

Andrzej Lisowski



Na Kresach – czas pokoju i wojny
Wspomnienia osobiste z epoki wielkich
przemian – wiek XX i lata do 2022 r.



Tom I



Katowice 2022

*Andrzejowi
i tym co przyjdą po nas.*

Andrzej Lisowski

Andrzej Lisowski

Na Kresach – czas pokoju i wojny

Tom I

Wspomnienia osobiste
z epoki wielkich przemian – wiek XX i lata do 2022 r.

Wydawnictwo
Bizo

Katowice 2022 r.

Wydanie II poprawione i uzupełnione

Opracowanie redakcyjne:
Ewa Gliwa (2011 r.)

Skład i łamanie:
Krzysztof Gralikowski (2011 r. i 2022 r.)

Korekta:
Małgorzata Kuśmirek-Zegadło (2011 r. i 2022 r.)

Projekt okładki:
Zenon Dyrszka (2011 r., 2022 r.)

Copyright©by
Andrzej Lisowski (2011 r. i 2022 r.)

Zdjęcia głównie ze zbiorów autora (2011 r. i 2022 r.)

ISBN 978-83-966673-0-4 (całość)
ISBN 978-83-966673-1-1 (T. 1)

Druk i oprawa:  (2011 r.)

Druk i oprawa: Zakład Poligraficzny Węglogryf, Katowice, 2022 r.

Spis treści

Od Autora	IX
Wprowadzenie	1
1. Dzieciństwo i Lack Wysoki	5
Rodzinne kąty	5
Dwór i gospodarstwo	12
Dom mego dzieciństwa	23
Ogród i polowa dróżka	30
Las i nasze zwierzęta	34
Dworskie zaplecze i Spuszanika	38
Karalowszczyzna	44
Mleczarnia, młyn i staw	45
2. Lata szkolne	50
Szkolne „przedbiegi”	50
Gimnazjum i Szczuczynek	55
Nauka i nauczyciele	63
Liceum w Grodnie	69
Świąteczne ferie i szkolne wakacje	75
Rodzicie i sąsiedzi	80
3. Wojna 1939 roku, „uciekierka” i powrót	89
Tragiczny wrzesień	90
Pierwszy etap uciekierki – Grodno	94
W drodze za Bug	99
W Warszawie	103
W Osieku	107
Droga do domu	115
4. Na Kresach pod niemiecką okupacją – trwanie i konspiracja	119
Zagospodarowanie	122
Okupacyjne trwanie	126
Nurty konspiracji – zaprzysiężenie	130
Rosnący terror – śmierć Ojca	135
Stan „przedzawałowy” – przejście do partyzantki	143
5. W partyzanckich oddziałach Armii Krajowej	149
U „Lecha” – pod Dubiczami	152
Nad i za Niemnem	161
Przejście od „Lecha” do „Krysi”	170
U „Antoniego” – początki	177
Ponowne wejście Armii Czerwonej na Kresy	185
6. W Wilnie, po aneksji Kresów i na Podlasiu w antykomunistycznym podziemiu	191
Operacja „Ostra Brama” i sytuacja na Kresach po jej załamaniu	192
Idziemy na zachód!	201
„Ładowanie” w Wilnie	205
Wileńskie trwanie	208
Za linię Curzona	214
W antykomunistycznym podziemiu	217
Publikacje i źródła przywołane w I tomie	XI

OD AUTORA

Każdego, kto chce czytać to dwutomowe wydawnictwo – muszę poinformować, że ma ono specyficzną cechę. Warto o niej wiedzieć. Otóż dwutomowa całość składa się z dwóch części. Część zasadniczą stanowi powtórzone dwutomowe wydawnictwo z roku 2011. Do niego opracowałem UZUPEŁNIENIE, które przedłuża okres objęty wspomnieniami do roku 2022. Od razu wyjaśniam, co mnie zachęciło do opracowania potrzebnych tekstów i wydania UZUPEŁNIONEJ wersji „Wspomnień...”.

Artykułem pod tytułem: „W jakim i czyim interesie z polskiej gospodarki paliwowo-energetycznej ma być wyeliminowany polski węgiel” (Przegląd Górniczy 2021 nr 1-3) – postanowiłem zakończyć *kampanię*, którą od 1989 roku prowadziłem w obronie polskiego górnictwa węgla kamiennego przed degradacją. Ta decyzja – po krótkim okresie wahań – objęła całą moją działalność zawodową.

W tej sytuacji pojawiło się trudne pytanie. Skoro wskazaną *kampanią* i w ogóle swoją działalność zawodową postanowiłem zakończyć w 2022 roku – to czy swoich „Wspomnień osobistych...” – już opublikowanych w roku 2011 – nie powinienem przedłużyć i objąć nimi ten sam okres?

Decyzja nie była łatwa, ale postanowiłem *przedłużyć* opracować wraz z końcową oceną wyniku rynkowej transformacji polskiego górnictwa węgla kamiennego oraz próbą przekazania poglądu, którym kończę te „Wspomnienia osobiste...”.

W efekcie „Wprowadzenie” w tomie I uzupełniłem jedynie krótkim tekstem (Tekst uzupełniający), a rozdziały od 1 do 6 – pozostają niezmienione. W tomie II „Wspomnień...”, zamiast powtarzać tekst „Wprowadzenia”, zamieszczam niniejszy tekst „OD AUTORA”. Rozdziały od 7 do 11 pozostają niezmienione. Opracowane uzupełnienie to głównie rozdział 12 i Zakończenie, w którym podjąłem próbę podsumowania „Wspomnień...”.

Przeważało przekonanie, że podstawową SPUŚCIZNĄ Kresów, dziedziczną przez *okrojoną* Polskę – jest ich HISTORIA, **znamienna wiernością i wytrwałością w walce** o swą polskość!

Ale – co istotne – nie tylko HISTORIA całych Kresów jako dzielniczy Rzeczypospolitej Obojga Narodów i II Rzeczypospolitej, lecz również HISTORIA **kresowych ludzi, rodzin i rodów**. Zwłaszcza, jeżeli są **charakterystyczne** dla swych stron i czasów.

Jestem głęboko przekonany – że moje „Wspomnienia osobiste...” relacjonują historię, którą można uznać za charakterystyczną dla społeczeństwa Grodzieńszczyzny i ostatniego stulecia. Wprawdzie mój Ojciec i jego przodkowie (tak jak całe społeczeństwo tamtych ziem) pracowali głównie „na roli” – a ja pracowałem w górnictwie – ale te **zakresy działalności** są podobne – oba mają **ogromne znaczenie**. We „Wprowadzeniu” to podobieństwo scharakteryzowałem następująco: „*ludzie od zawsze są żywieni przez*

*przyrodę i rolnictwo, a ich cywilizacja – przez górnictwo. Bez surowców mineralnych dostarczanych przez górnictwo, cywilizacja by nie powstała, a dziś nie mogłaby istnieć”. Rolnictwo i górnictwo – jakże różna działalność – ale ich **znaczenie** jest porównywalne!*

Biorąc pod uwagę również tę znamiennej zależność, zdecydowałem się uzupełnić wspomnienia opublikowane wcześniej o dodatkowy rozdział i uzupełnione ZAKOŃCZENIE oraz niewielkie korekty w już opublikowanym tekście.

Tak więc – powtarzam – to uzupełnione i wznowione wydawnictwo obejmuje wspomnienia opublikowane w roku 2011 oraz lata późniejsze wraz z pierwszą połową 2022 roku oraz próbą oceny (podsumowania) całego okresu rynkowej transformacji i całego okresu wspomnień.

Zachęcam do przeczytania uzupełnionej wersji tych „Wspomnień...”. Wszystkich, którzy to zrobią – proszę by pamiętali o historycznej SPUSZCZYNIE utraconych Kresów i dbali by ta pamięć nie zanikała w polskim społeczeństwie – co niestety (moim zdaniem) następuje.

Katowice-Brynów, lipiec 2022 r.

Andrzej Lisowski

WPROWADZENIE

(tekst powtórzony z wydawnictwa 2011 r. i uzupełnienie)

Czym jest czas, który nie ma przecież ani początku ani końca – i czym jest pamięć o minionym czasie?

W pierwszych latach XXI wieku, gdy rozpoczęła się ósma dekada mego życia – czas miniony był mi już nieporównanie bliższy niż przed laty. Uwagę przestałem skupiać głównie na czasie teraźniejszym i przyszłym! Zacząłem też wyraźniej zauważać fakt, że w dzieciństwie i młodości perspektywa dwudziestu, trzydziestu czy pięćdziesięciu lat wydawała się niewyobrażalnie odległa. Teraz natomiast, oglądając się na miniony czas – ta sama liczba lat zaczęła być okresem wcale nie tak dawnym. Wspomnienia o zdarzeniach z nawet najodleglejszej przeszłości znacznie się przybliżyły, a wydarzenia w otaczającym świecie – stanowiące realne tło owych przeżyć – uległy „zagęszczeniu”, jakby swoistej „kompresji”. Tym sposobem wspomnienia sprzed lat stały się zadziwiająco bliskie.

Takie postrzeganie przeszłości można sobie wyjaśnić, przyjmując, że w naszym subiektywnym odbiorze, *miarka*, którą mierzymy czas, zależy od długości naszego życia. W dzieciństwie czy latach szkolnych nasza *miarka* jest krótka, więc czas nią mierzony – ten miniony i ten przyszły – wydaje się długi. Ale gdy wraz z upływem życia *miarka* się wydłuża – czas miniony skraca się i przybliża, a perspektywa paru czy kilku lat już nie straszy. Co ciekawe – także uczuciowo staje się bliższy! Może działa tu świadomość, że jest coraz bardziej zagrożony zatarciem i zapomnieniem?

Prawie przez całe dorosłe życie – gdy tylko zdobyłem się na kupno aparatu fotograficznego – utrwaląłem na zdjęciach sytuacje i widoki, które wydawały mi się ważne lub piękne. Zatrzymywałem czas i zamykałem go w „klatce” zrobionej fotografii. Mogłem ponownie oglądać jakieś dawne spotkanie czy świąteczną uroczystość w rodzinnym gronie ... jakiś wspaniały zachód słońca ... coś co było w danym czasie istotne. Gdy jednak rozpocząłem ósmą dekadę życia – zaczęło mi to nie wystarczać. Pojawiła się nieznana dawniej potrzeba przywołania i utrwalenia – nie fragmentów mijającej rzeczywistości – a całej panoramy wielu minionych lat!

Ponieważ nie da się tej potrzeby zaspokoić inaczej niż spisaniem wspomnień – zacząłem się z tą myślą oswajać. Decyzję przyspieszyło narastające przekonanie, że nie przynoszą niestety „skutku użytecznego”^{*)} wysiłki, które po roku 1989 podejmowałem przez niemal dwie dekady – aby w polskim górnictwie węgla kamiennego (z którym związałem swe życie zawodowe) minimalizować fatalne skutki polityki przyjętej przez WŁAŚCICIELA tego górnictwa. Gdy również „agresywna” argumentacja wskazująca na potrzebę

^{*)} Określenie używane przez Karola Adamieckiego, jednego z pionierów współczesnej nauki o zarządzaniu¹⁾.

zmian (opublikowana w lutym 2007 roku)⁹⁵⁾ nie wywołała żadnego odzewu w środowisku gospodarczych decydentów i nauki – zniechęcenie przeważało. *Zwróciłem się ku przeszłości* i zacząłem pisać te wspomnienia.

Pisałem je głównie dla siebie – jako WSPOMNIENIA OSOBISTE. Chciałem z perspektywy minionych lat spojrzeć na swoje dzieciństwo i lata szkolne spędzone na Kresach północno-wschodnich oraz głównie tam spędzone trudne lata wojny. Od 1942 r. był to czas konspiracji, partyzantki i antykomunistycznego podziemia. Także niełatwy i pracowity czas dorosłego życia. Chciałem sobie lepiej uświadomić, jak ścieżka mego życia była skorelowana z wydarzeniami, które – tocząc się w tym czasie przez Kraj, Europę i Świat – formowały EPOKĘ WIELKICH PRZEMIAN. Była to przecież epoka, która w okresie jednego życia – rozpoczętego w latach dwudziestych ubiegłego wieku – przyniosła ludzkości niebywale zbrodnie i tragedie. Także zaskakujące zmiany geopolityczne oraz zupełnie niewyobrażalny postęp w obszarze nauki, cywilizacyjnych zdobyczy i globalnej gospodarki.

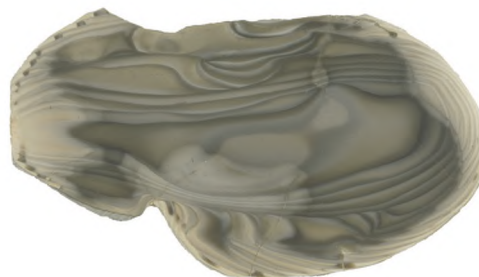
Pisząc wspomnienia głównie dla siebie – miałem oczywiście na myśli również swoich bliskich. Chciałem im przybliżyć rodzinne powiązania i kresowe korzenie. Chciałem też, by mogli ocenić to, co mają dziś, na tle tego co było udziałem ich poprzedników w sztafecie pokoleń. Przekonanie, że kolejnym pokoleniom, budującym swój nowy świat – jest jednak potrzebna wiedza o świecie minionym – wyniosłem z rodzinnego domu, w którym tradycja i historia były wszechobecne.

I właśnie w tym kontekście zadziałała rutyna. W życiu zawodowym do moich obowiązków należało publikowanie wyników badań i kształtowanych nimi poglądów. Chciałem więc potencjalnym Czytelnikom WSPOMNIENÍ przekazać tekst „możliwie czytelny”, z niezbędnymi ilustracjami i wskazaniem wykorzystanych źródeł. Tym „tropem” przyszła decyzja przygotowania WSPOMNIENÍ w postaci spełniającej wymagania stawiane publikacjom tak, aby osoba czytająca nie czuła się zlekceważona.

Najwięcej wątpliwości i trudności w merytorycznym ujęciu treści wspomnień wiązało się ze znalezieniem właściwych proporcji między relacją o życiu prywatnym i życiu zawodowym. Te dwa nurty są istotnie różne, ale przecież płyną równolegle i nieuchronnie splatają się w jedną całość. Przekonałem się *na własnej skórze*, że URODĘ ŻYCIA można znaleźć nie tylko w życiu rodzinnym i towarzyskim, w ciekawej turystyce czy innej rozrywce – ale również w pracy zawodowej. I to nie w pracy intelektualnie finezyjnej, uprawianej przez elity w obszarze filozofii, sztuki ... czy astrofizyki. Przekonałem się, że można ją znaleźć także w pracy „zgrzebnej”, dalekiej od finezji.

Ja znalazłem ją w pracy dla górnictwa. Tak! Dla tego zwykłego górnictwa, które przecież funkcjonuje w naszej rzeczywistości od zarania dziejów. Łatwo można się o tym przekonać, jadąc w rejon Gór Świętokrzyskich do

Krzemionek Opatowskich. Liczne zagłębienia terenu znaczą tam miejsca, w których – głównie w latach 3000–1800 przed naszą erą – zgłębiono 700 szybów umożliwiających pozyskiwanie *krzemienia pasiastego* z głębokości 10–20 m. Wyrabiane z niego piękne siekier-y i noże eksportowano na duże obszary Europy – dopóki brąz nie okazał się skutecznym „konkurentem” i nie rozpoczął nowej epoki w rozwoju ludzkości.



Przekrój „buli” krzemienia pasiastego. Współcześnie jest wykorzystywany do wyrobu biżuterii

Twierdzę nieskromnie, że: „*ludzie od zawsze są żywieni przez przyrodę i rolnictwo, a ich cywilizacja – przez górnictwo*”. Bez surowców mineralnych dostarczanych przez górnictwo, cywilizacja by nie powstała, a dziś nie mogłaby istnieć. Ci (niekiedy również znani politycy), którzy górnictwo uznają za „*tradycyjny i nieperspektywiczny dział gospodarki*” i rzekomo z definicji „*nienowoczesny*” – bardzo się mylą. Nie przeczę, że górnictwo to taka działalność gospodarcza, w której znajdują zatrudnienie dziesiątki i setki tysięcy ludzi wykonujących ciężką i niebezpieczną pracę. Jednak przynajmniej od 100 lat pozyskiwanie złóż kopalin jest działalnością wyjątkowo *naukochłonna* – angażującą nie tylko naukę górnictwa i geologii, ale również wiele innych dyscyplin zarówno technicznych, jak i pozatechnicznych.

W górnictwie – głównie węgla kamiennego – znalazłem nie tylko „*chleb powszedni*”, lecz także satysfakcję oraz przekonanie, że robię coś konkretnego i pożytecznego. Ta praca znaczyła w moim życiu zbyt wiele, abym mógł ją wyłączyć ze wspomnień! Mówię więc o niej tak samo jak o życiu pozazawodowym – o sprawach osobistych i rodzinnych. Nie było to łatwe i wiem, że w wielu szczegółach nie będzie łatwe dla Czytelnika, głównie ze względu na wprowadzaną do tekstu terminologię górniczą. Starłem się minimalizować jej udział – ale ten wysiłek nie zawsze był skuteczny. Trochę przewrotnie to niepowodzenie „osładzam” sobie myślą, że nieco wiedzy o górnictwie – razem z jego specyficzną terminologią i problematyką – przyda się każdemu! Może ułatwić rozumienie fundamentów naszej cywilizacji, która – jak podkreślałem – bez górnictwa po prostu by nie istniała.

Aby ułatwić zrozumienie niektórych terminów górniczych użytych w tekście drugiego tomu – wyróżniam je pochylonym pismem (kursywą). Podobnie – aby ułatwić przekaz – używam kursywy (czasem pogrubiam czcionkę), gdy do tekstu wprowadzam określenia, którymi staram się wyrazić specyfikę opowiadanej sytuacji, albo po prostu chcę podkreślić wymowę użytych słów. Często są to również jakieś określenia i powiedzonka używane dawniej i dziś już przeważnie zapomniane. Kursywę stosuję także, gdy poda-

ję cytaty lub zapożyczenia, ale wówczas dodatkowo wprowadzam cudzo-
słów, aby podkreślić ich autentyczność. Za tę *samowolkę* językową i redak-
cyjną – może czasem z naruszeniem przyjętej poprawności – przepraszam.
Mam nadzieję, że we WSPOMNIENIACH OSOBISTYCH – *ujdzie mi to*
plazem.

Co jeszcze autor może powiedzieć Czytelnikom jego OSOBISTYCH
WSPOMNIENI? Może jedynie wyrazić nadzieję, że nie będą rozczarowani
lekturą i nie uznają czasu zużytego na jej przeczytanie za czas stracony.
Przekazując Czytelnikom to wydawnictwo – tego obawiałem się najbar-
dziej... i nadal obawiam!

Równocześnie pocieszam się myślą, że książka to przecież wynalazek
tym wspomniały, że jej czytanie można przerwać w każdej chwili i zająć się
czymś zupełnie innym. Pociechę znajduję też w przekonaniu, że przeżycia
i doświadczenia każdego z kilkudziesięciu milionów Polaków, po których
przetoczył się walec historii w EPOCE WIELKICH PRZEMIAN – są prze-
cież inne! Każde – przekazane we wspomnieniach – mogą stanowić dogodny
punkt wyjścia nie tylko do własnych wspomnień, lecz także zupełnie współ-
czesnych, przemyśleń i refleksji. Te zaś są najważniejsze, bo to one nadają
życiu właściwy *smak i sens*.

Oby przemyślenia i refleksje wywołane moimi wspomnieniami były op-
tymistyczne i stymulowały niełatwą walkę o stawiane sobie cele i o udane
życie.

(Tekst uzupełniający)

Wprowadzenie, które opracowałem do „Wspomnień...” opublikowanych
w roku 2011 – jest w pełni aktualne dla wydawnictwa teraz wznawianego.
Zamieściłem je wyżej bez zmian.

W tym miejscu zwrócę jedyne uwagę, że wersja opublikowana w roku
2011 nie zamykała „Wspomnień...” na określonej dacie. Jak to wyjaśniałem
w tekście „Od Autora” – wersję uzupełnioną kończę na roku 2022.

To wywołało zrozumiałą potrzebę wprowadzenia do relacji **elementów
oceny lub podsumowania** minionych zdarzeń.

Zaspokojenie tej potrzeby w rozdziale 12 i Zakończeniu nie było łatwym
zadaniem. Czy potrafiłem je udźwignąć? Ocenę Czytelnik.

1. DZIECIŃSTWO I LACK WYSOKI

Stoję na palcach trzymając się parapetu i usiłuję wyrzeć za okno. Nie widzę nic. Ale tam, gdzie podłoga dotyka ściany, jest przybita dość szeroka listwa. Z największym wysiłkiem, wciąż trzymając się parapetu usiłuję stanąć na tej listwie. Nie jest to łatwe. Pantofel jest miękki – noga wciąż się ześlizguje. Jednak w końcu się udaje! Za oknem śnieżna zima, znany klon, a obok dwa krzaki bzu i między nimi drewniana buda – schronienie dla psów, które zresztą nigdy nie były do niej przywiązywane. Co za satysfakcja! Pierwszy raz patrzyłem na świat za oknem bez wspinania się na krzesło. Świat dobrze znany choćby ze spacerów i zabaw przed domem – ale teraz jednak inny – jakiś „ważniejszy”!

Czemu to tak błahe przeżycie zachowało się w pamięci jako pierwsze wspomnienie z lat najwcześniejszego dzieciństwa? Czemu jest tak wyraziste?

Drugie, nieco późniejsze. Otwierają się drzwi wejściowe z ganku do przedpokoju. Wchodzi ojciec w mundurze wojskowym z szablą przy boku... zdejmuje rogatywkę... Mama biegnie witać, a ja łapię Ojca za nogę i ściskam ją z całej siły... Jeszcze dziś... jakbym czuł... jak z tym mocnym uchwytem ulatuje ze mnie niepokój. Dzięki znacznie późniejszym opowiadaniom Ojca o majowym zamachu Piłsudskiego w 1926 roku – identyfikuję to wspomnienie jako moment Jego powrotu do domu. Ojciec, jako rotmistrz powołany z rezerwy, brał udział w majowym starciu po przegranej stronie Rządu. Pewnie do Mamy docierały wiadomości o walkach i ponad 300 zabitych – co wyjaśnia panujący w domu ogromny niepokój, który i mnie się udzielił.

Wspomnień z późniejszych lat jest coraz więcej. Takie pojedyncze epizody są mniej wyraźne – a jeżeli się pojawiają, to są elementem rozległej panoramy dziecinnych lat. Lat jedynych – niepowtarzalnych! Żeby je przybliżyć trzeba zacząć od początku.

Rodzinne kąty

Trzeba sięgnąć do odległych czasów dość długiego pokoju poprzedzającego w Europie pierwszą wojnę światową. Europa przeżywała wówczas swój świetny okres technicznego postępu... epokowych wynalazków... i gospodarczej koniunktury. Był nią objęty także kraj mego dzieciństwa i młodości – rozciągający się między Niemnem a Dźwiną – tak pięknie opisany przez Tadeusza Łopalewskiego w międzywojennej serii wydawniczej „Cuda Polski”¹⁰⁰⁾.



Najstarsza z ocalałych rodzinnych fotografii. Od lewej siedzą wujowie Skawińscy: Bolesław i Wilhelm. Stoją Mama Justyna, obok – jej pierwszy mąż Kazimierz Karwowski. W środku Babcia Petronelka Skawińska, z domu Szmigiero



„Kochani Bolkowie, dzisiaj odebrałam fotografię mojego jedynaka i zaraz wam wysyłam...” – to zapis na odwrocie tego zdjęcia, zrobiony przez Mamę 19 stycznia 1917 r. – gdy była w Mohylewie na „uciekinierce”

W owych latach był to zabór rosyjski – kraj rolniczy, pozbawiony większego przemysłu – ale i tam ludzie przedsiębiorczy umieli wykorzystać pojawiające się możliwości.

Należeli do nich obydwaj moi Dziadkowie. Ojciec Mamy Józef Skawiński – wywodzący się spod Wasiliszek, z rodzowego folwarku o zadziwiającej nazwie Bogudzięki – był dobrym biznesmenem, choć nie miał wielkiego zaufania do nowych wynalazków. Gdy gdzieś jechał koleją, wybierał się na dworzec z wielką rezerwą czasu i – jak opowiadała Babcia, jeżeli na stacji nie czekał godzinę – mówił: „...o mało się nie spóźniłem na pociąg”. Potrafił jednak, dzierżawiąc szczuczyński klucz majątków należących do Księcia Drucko-

-Lubeckiego, zgromadzić kapitał, który wystarczył do kupienia dwóch dużych folwarków. Lack Wysoki, gdzie urodziła się Mama (1889 r.) – pozostawił jej. Kulbaczyn przekazał nieco starszemu Bolesławowi, a rodowy folwark – pozostawił Wilhelmowi, najstarszemu z rodzeństwa.

Dziadek Antoni Lisowski wywodzący się spod Grodna, z folwarku Strupin* – gdzie urodził się mój ojciec (1885 r.) – dzierżawił Dziębrów należący do dóbr Spuszy księcia Sapiehy. To była ta Spusza – położona od Lacka Wysokiego zaledwie o kilkanaście kilometrów – w której spędził dzieciństwo Eustachy Sapieha, autor wspomnień o okresie międzywojennym, czasach wojny i o powojennej walce o byt w odległej Kenii¹¹⁰. Dzierżawa Dziębrowa umożliwiła Dziadkowi Antoniemu kupienie folwarku Szczuczynek. Za mojej pamięci mieszkała tam Babcia Szczuczynkowska (tak ją nazywaliśmy – Matka Ojca) i Jego młodsza siostra: Cio-cia Niusia – a gospodarzył Ojciec.

* Pamiętam z dzieciństwa opowiadanie Ojca o podgrodzieńskim zaścianku Obuchowicze jako mateczniku Lisowskich herbu „Lis”.

Tak więc moje wczesne dzieciństwo wiąże się z Lackiem Wysokim. Szczuczynek był później. W Lacku zamieszkali Rodzice po ślubie zawartym 5 lipca 1921 roku – krótko po powrocie Ojca z wojny z bolszewikami. Mama w tym czasie mieszkała już w Lacku ze swą Matką (Dziadek zmarł w czasie wojny). Gospodarzyła i wychowywała syna z pierwszego małżeństwa – Tadeusza Karwowskiego – mego ukochanego brata Tadzia (lub Tadzika), a później Tadeusza. Jego Ojciec – znany wileński lekarz – także zmarł w czasie wojny na szalący wówczas tyfus. Rodzice znali się oczywiście niemal od dzieciństwa, bo Lack i Szczuczynek dzieliła odległość zaledwie 7 kilometrów. Ich drogi „zeszły” się jednak dopiero po wojnie. Przed nią, Ojciec studiował razem ze starszym bratem Wiktorem we Lwowie na Wydziale Dróg i Mostów, tamtejszej Politechniki. Mama była „na pensji” w Wilnie. W czasie wojny i w następnych latach walk z bolszewikami o wschodnie granice – Ojciec „nie zdejmował munduru” – najpierw porucznika, a później rotmistrza kawalerii. Podobno to małżeństwo nie było dla nikogo zaskoczeniem.



Ojciec Bolesław Lisowski jako student Politechniki Lwowskiej

W Lacku Wysokim urodził się mój starszy brat Bolesław – do dziś nazywany Sławkiem – a ja 17 miesięcy później 10 listopada 1923 roku. Chrzcił nas ksiądz Szkop, proboszcz parafialnego kościoła w sąsiedniej, niewielkiej wsi: Lack Kościelny. Ksiądz Szkop wybudował ten kościół – duży, murowany – na miejscu starego drewnianego kościółka, który podobno nie nadawał się już do użytku. Ksiądz Szkop chrzcił też moją Mamę i dawał ślub Rodzicom. Był częstym gościem w naszym domu. Gdy w 1930 roku przeszedł na emeryturę – zamieszkał w folwarku Karalowszczyzna należącym do Lacka Wysokiego i prowadził z zamiłowaniem dużą pasiekę (chyba około 60 uli). Specjalnie dla niego Ojciec wyremontował w Karalowszczyźnie dworek – od czasu wojny mocno zaniedbany.



Mama z małym Tadeuszem

Żeby uwolnić się od powtarzania pełnej nazwy moich „rodzinnych kątów” od razu wyjaśnię, że oprócz Lacka Wysokiego i wsi Lack Kościelny był jeszcze Lack Dolny, folwark należący do rodziny Bołtuciów. Generał Mikołaj Bołtuć, który w kampanii 1939 roku zginął pod Łomiankami, przebijając się ze swą jednostką do okrażonej już wówczas Warszawy – należał do tej rodziny³²⁾. Lack Dolny sąsiadował z Lackiem Wysokim „o miedzę”, koło młyna wodnego Jewłasze, który tak jak Karalowszczyzna, należał do

Lacka Wysokiego. Otóż w dalszym ciągu tych wspomnień – gdy będę mówił o Lacku, bez drugiego członu nazwy – będzie to oznaczało, że mówię o „rodzinnych kątach”. Będę też mówił o kościele w Lacku, a nie w Lacku Kościelnym. Sądzę, że tak skrócone nazwy nie będą utrudniały rozumienia „topograficznych zawłości” przekazu.

Świat, w którym dorastałem rozszerzał się szybko – mimo, że we wczesnym dzieciństwie i Sławek i ja byliśmy bardzo chorowici. Jak mówiła Mama: „*Czepiały się nas wszystkie choróbka*”, a normalne dziecięce choroby – jak na przykład koklusz – przechodziliśmy bardzo ciężko. Do rodzinnej legendy – opowiadanej przez Mamę – przeszła jedna z chorób Sławka z bardzo wysoką gorączką. Gdy leżał w malignie, a lekarze „*bezradnie rozkładali ręce*” – Sławek w nocy raptem usiadł w łóeczku i zupełnie przytomnie powiedział do pochylonego nad nim Ojca: „*Tatusiu – mnie trzeba leczyć ziółkami*” – po czym upadł na posłanie i dalej coś bredził w gorączce. Przerażeni Rodzice zaraz rano znów sprowadzili lekarza. Po naradach – rzeczywiście



Tadzik, Dzidka (Wanda), Sławek, ja i Zosia – lato 1929 roku

zostały zastosowane jakieś „ziołowe kompresy i herbatki” i Sławek wyzdrowiał. O mnie – po bardzo uporczywej anginie – profesor Czarnocki w Wilnie powiedział, że jestem mizerny jak „*moskiewski biezprizorny*”. Parę lat później usunął mi połowicznie migdałki, w Szpitalu na Wilczej Łapie.

Jednak mimo gnębiących nas chorób – obydwaj rośliśmy normalnie, a Rodzice nie trzymali nas w domu „pod kloszem”. Razem zdobywaliśmy więc coraz

więcej terytorium do zabaw i penetracji. Sławek był niewątpliwie głównym „partnerem” tej ekspansji. Jednak ogromną rolę w moim dzieciństwie odegrała cała „drabinka” widoczna na zachowanej fotografii. Tadeusz był najstarszy (urodził się 28.10.1914 r.) i z wielu względów najważniejszy, ale stryjeczne Siostry: Dzidka (Wanda) i Zosia (najmłodsza), które pojawiały się latem – też były istotną składową wspianiałych warunków naszego dorastania. W Kulbaczyźnie w odległości ośmiu kilometrów rośli również nasi cioteczni bracia, synowie wuja Skawińskiego – którzy nieco później, również dołączali do naszego „zespołu”.

Ekspansja na wciąż nowe „tereny zabaw” nie zawsze odbywała się gładko. Pamiętam piękny zimowy dzień – gdy ubrani w płaszczyki z misia i czapki uszatki – uzbrojeni w szaliki i rękawice z jednym palcem – mieliśmy przed domem lepić bałwana. Prawdziwego – jak z kolorowych bajek dla dzieci – z oczami z węgla, nosem z marchwi i ustami wyciętymi z buraka. Ale koło kuchni „urzędowało” stado indyków z ogromnym indorem – większym od nas. Diabeł podkusił i zaczęło się przedrzeźnianie indora! Odpowiedzią na każde jego



*Bolek (1915), Józik (1917) i Janek (1920)
Skawińscy. Zdjęcie z 1924 roku*

„gulgotanie” było nasze jeszcze głośniejsze – aż w końcu rozwścieczony indor skoczył na mnie z rozpostartymi skrzydłami – z łatwością przewrócił i zaczął „kuć” dziobem gdzie popadło – głównie w głowę. Na szczęście leżałem z nosem w śniegu, a czapka z misia stanowiła dobrą ochronę. Krzyk Sławka przywołał w końcu kogoś z dorosłych i tak zostałem uratowany z opresji.

Ten incydent miał taki skutek, że zacząłem lepiej dostrzegać zwierzącą część świata wsi. Obok przyjaznych kotów i psów, z którymi wiązały się najwcześniejsze wyobrażenia o otoczeniu – pojawił się indor, który wymagał większego „respektu”. Wkrótce, gdy zaczęły się penetracje gospodarczych budynków dworu – rzeczywistość dorastającego dziecka znacznie się rozszerzyła. Pierwszym prawdziwym odkryciem była stajnia. Koń zaczął być magnesem, a jazda na koniu była największym marzeniem. Ojciec czasami konno objeżdżał roboty prowadzone na bardziej odległych polach – a że był kawalerzystą – jego sylwetka na pięknym kasztanie ucieleśniała te marzenia.

Gdy miałem chyba sześć lat (a brat prawie osiem) otrzymaliśmy od Ojca dwa osiołki. Dostał je dla nas od Pana Przedpeńskiego (seniora), który pod niedalekim miasteczkiem Kamionka, „siedział na gospodarstwie” wojskowego osadnika. Tym osadnikiem był Jego syn – kolega Ojca z Politechniki Lwowskiej, który w tym czasie mieszkał na Śląsku. Był znanym przemysłowcem – członkiem wielu rad nadzorczych – z miesięcznymi poborami sięgającymi (według relacji prasowych) paru dziesiątków tysięcy ówczesnych „mocnych” złotych. Osiołki były czarne, podpalane – byliśmy nimi



*Sławek na swoim „Walusiu” z Zosią Lisowską.
Ja trzymam osiołka*

zachwyceni. Na nich mogliśmy jeździć konno – na *oklep* – to znaczy bez siodła. Nie eliminowało to marzeń o koniu i siodle, jeszcze dość długo niedostępnych – ale stanowiło dobrą namiastkę. „Waluś” – nieco większy – był osiołkiem Sław-ka; „Baśka” – niebywale „chytra” – była moim. Obydwa osiołki, chociaż bardzo miłe i przyjazne, wiedziały dobrze co chcą i czego nie lubią. Nie lubiły mieć jeźdźca na grzbiecie i nie omijały żadnej okazji, żeby go rzucić. Najczęściej stosowanym sposobem był gwałtowny skręt i wjazd pod niskie gałęzie przydrożnego drzewa czy krzaka. Jeździec zostawał zmieciony z grzbietu, a osiołek oglądał się zatroskany i ochoczo truchtał dalej. Oczywiście za chwilę znowuż miał na grzbiecie niechciany ciężar, ale był z siebie wyraźnie zadowolony – zwłaszcza „Baśka”.

Innym ich wypróbowanym sposobem był przyspieszony trucht, na przykład do upatrzonej kępy smakowitej koniczyny, a następnie gwałtowne zatrzymanie i spuszczenie głowy. Jeździec nie dość doświadczony – niechybnie leciał osiołkowi przez głowę i lądował na ziemi. Tę samą technikę lubiły stosować przy wodopoju, którym był tzw. *mały stawek* spiętrzony na dopływie Spuszaneki, niedaleko zabudowań dworu. W tej sytuacji delikwent lądował nie na ziemi, a w wodzie – i tylko szybki zeskok mógł go uratować od kąpieli.

I Sławek i ja, dość szybko opanowaliśmy sztukę unikania momentalnym zeskokiem skutków złośliwości naszych osiołków, ale niczego niepodjęwających rówieśników – dla których jazda na takim wierzchowcu była prawdziwą sensacją – poddawaliśmy czasem „próbie sprawności”.

Upamiętniła mi się jedna z takich prób. Chyba było to w 1930 roku. 31 maja były uroczyste obchodzone imieniny babci (imię Petronela, które nosiła, rzadko było w domu używane). Zawsze na te imieniny odbywało się duże łowienie ryb w Spuszanice spiętrzonej przy młynie w Jewłaszach. Szocik



Ciocia Marynia (z domu Cholewianka) i wuj Skawiński przed domem w Kulbaczynie (1938 r.)

z Jewłasz, który robił to rybobranie – mocno zziębnięty przynosił wczesnym rankiem wielki kosz szczupaków, płoci i linów. Niezależnie od jakiejś zapłaty dostawał od Mamy przy stole w stołowym pokoju dobrą zakąskę i na rozgrzewkę małą szklankę wódki, którą wypijał duszkiem za zdrowie „starszej Pani”. Ten „rytuał” widziany wielokrotnie w dzieciennych latach – wiązał się ściśle z imieninami Babci.

Przyjechało wówczas – jak zawsze zresztą – sporo osób z sąsiedztwa i oczywiście wuj Skawiński z Kulbaczyna z ciocią Marynią i trzema synami. Budzikiem (Bolkiem, który tak był w rodzinie nazywany do śmierci,

bo jako malec wrzeszczał całe noce) i Józiem – jako „starszakami” – zajął się Tadzik. My natomiast z Jankiem – naszym (prawie) rówieśnikiem – poszliśmy do *cugowej stajni*, gdzie nasze osiołki miały swój boks. Rzucona mimochodem uwaga, że „Baśka” rzuci go, gdy tylko zechce – wywołała oczywiście ostre protesty – i zakład, nie pamiętam o jaką stawkę. A, że zakład trzeba było od razu rozstrzygnąć – więc Sławek na swoim „Walusiu”, Janek na mojej „Baśce”, a ja biegiem obok – walimy drogą do Lacka Kościelnego w kierunku wspomnianego stawku. Obydwa osiołki, gdy tylko znalazły się w jego pobliżu – ostro skręciły z drogi w dół skarpy, do wodopoju i zanim biedny Janek się spostrzegł, już leżał w wodzie. Sławek oczywiście zdążył zeskoczyć, ale Janek wyglądał żałośnie. Wizytowe ubranko, uroczysty krawat – wszystko w wodzie i błocie. Nie pomogło potajemne wchodzenie do domu przez kuchnię i przebieganie Janka w nasze suche ubrania. Sprawa się wydała!

Reprimenda, którą dostaliśmy wówczas od Ojca na temat gościnności – była gorsza od tzw. „łapy”. „Łapa” była najsurowszą karą cielesną, którą dostawaliśmy od Ojca za ciężkie przewinienia. Polegała na tym, że trzeba było przynieść z sypialni rodziców drewnianą szczotkę do włosów – dość dużą i masywną – z rączką. Trzeba było wystawić otwartą dłoń – właśnie „łapę” – i w nią dostawało się dość mocne uderzenie – zawsze tylko jedno. Przeważnie szło się dodatkowo „do kąta” na 10 lub 20 minut, żeby „pomyśleć nad swoją głupotą”.

Ostatni raz dostałem „łapę”, gdy miałem 12 lat i byliśmy z Bratem już w drugiej klasie gimnazjum (1935 r.). Mieszkaliśmy wówczas w Szczuczynku u cioci Niusi. W niedzielę – dzień wolny od zajęć szkolnych – również ciocia Nusia była w Lacku i przy obiedzie poskarżyła się Ojcu, że włąziliśmy na dach domu, a ja dodatkowo włązłem na komin i wołałem do właśnie przechodzącej cioci żeby „popatrzyła”. „*Bolku, jak popatrzyłam to czułam, że mi nogi wrosły w ziemię! Strzeżni się ty nad nimi żeby przestali skakać po dachach*” – mówiła Ciocia mocno przejęta. Ojciec popatrzył na mnie groźnie i spytał: „*Jak było?*” Coś zacząłem kręcić więc spytał: „*To znaczy, że Ciocia kłamie?*” Ja na to dość głupawo powiedziałem „*Nie wiem*” – i w tym momencie zobaczyłem, że Ojciec się „zagotował” (bardzo zdenerwował). To się skoń-



Ciocia Nusia (Anna) – w ciemnej sukni. Zosia (u kolan Cioci) i jej koleżanki – w Szczuczynku

czyło potężną „łapą” i chyba półgodzinnym „kątem” – ale była to już „łapa” ostatnia.

Przy ogromnej swobodzie, którą cieszyliśmy się w „rodzinnych kątach” – Ojciec trzymał nas „krótko”. Było wiadomo co wolno, a czego nie wolno. Do „łapy” dochodziło bardzo rzadko. Mama nigdy nie zabiegała o „ułaskawienie” i także nas nie rozpieszczała spełnianiem każdej zachcianki – przy równoczesnej ogromnej serdeczności i wyrozumiałości. Najmniej „moresu” czuliśmy przed Babcią, która czasem usiłowała „przeświecić” nas skręconą ścierką – ale dawaliśmy się dopaść tylko wówczas, gdy czuliśmy, że przeskrabaliśmy i że Babcia ma rację. Przeważnie uciekaliśmy, a gniew Babci szybko mijał.

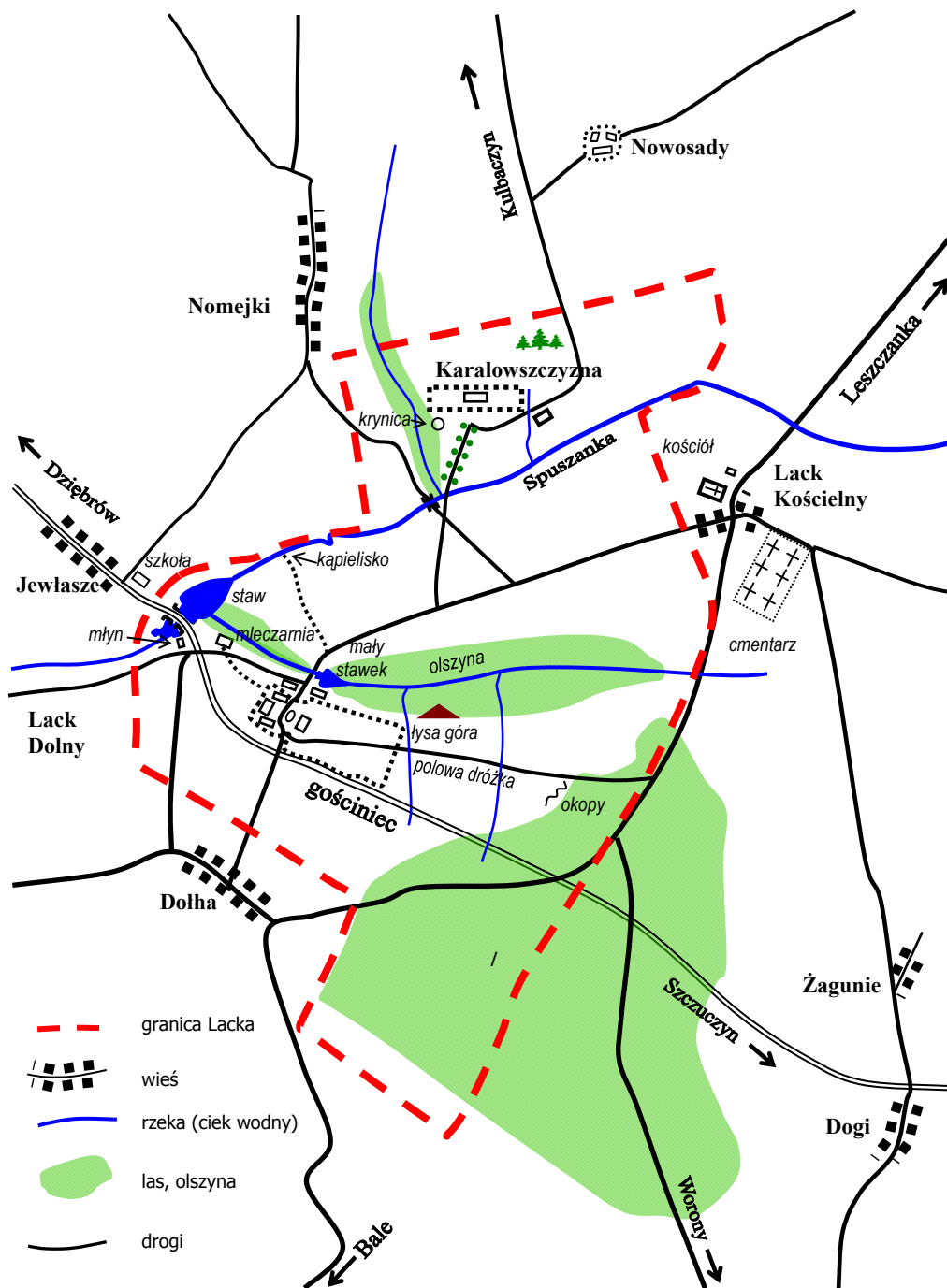
Tadzik uczęszczał do gimnazjum Jezuitów w Wilnie. Jego przyjazd na każde świąteczne ferie i na wakacje – był prawdziwym gorąco oczekiwanym świętem (na które odkładało się cukierki „zaoszczędzone” dla niego) – ale „codzienne zdobywanie otaczającego świata” realizowaliśmy we dwójkę.

Jak powiedziałem, świat mego – a ściślej: mego z Bratem – dzieciństwa rozszerzał się szybko. Za sprawą osiołków (które gdy byliśmy już w gimnazjum zostały oddane do ZOO w Grodnie) – i oczywiście przybywających lat – zasięg eksploracji obejmował coraz nowe obszary. Ciekawość i pomysłowość tego „tandemu” była wystarczająco duża, aby wyeliminować z życia coś takiego, jak bezczynność czy nuda. Nawet pojawienie się tzw. *bony* i egzekwowanych przez nią zajęć edukacyjnych, nie psuło chęci do zabaw i przygody (*bony* uczyły nas głównie języka niemieckiego).

Dwór i gospodarstwo

Żeby podstawę dalszych wspomnień stanowiły realia tamtych czasów i realia tamtych kresowych stosunków – muszę przywołać bardziej szczegółowy obraz Lacka. On był „matecznikiem” mego dzieciństwa! Bez niego – wszystko byłoby inne i ja pewnie byłbym inny!

Będę przywoływał ten obraz „z pamięci”, bo wojennej zawieruchy nie przetrwały żadne dokumenty i pozostała tylko znikoma liczba fotografii przechowanych przez przyjaciół i rodzinę. Pamięć „odświeżyłem” paru wyjazdami do Lacka w latach dziewięćdziesiątych, ale o nich opowiem później. Aby jednak opis Lacka powiązać z jego minioną rzeczywistością, przygotowałem prezentowany niżej szkic sytuacyjny. Sporządziłem go wykorzystując wycinek przedwojennej sztabówki, którą posługiwało się nasze wojsko przed wojną i w kampanii wrześniowej. Granice Lacka naniosłem na podstawie „zapamiętanej topografii”. Następnie odpowiedni fragment mapy powiększyłem wielokrotnie i uzupełniłem o szczegóły, które nie mogły się znaleźć nawet na mapie bardziej dokładnej. Mam nadzieję, że przygotowany szkic ułatwi zaangażowanie wyobraźni Czytelnika do odbioru moich dalszych wspomnień, i że tym sposobem przekaz stanie się bardziej czytelny.



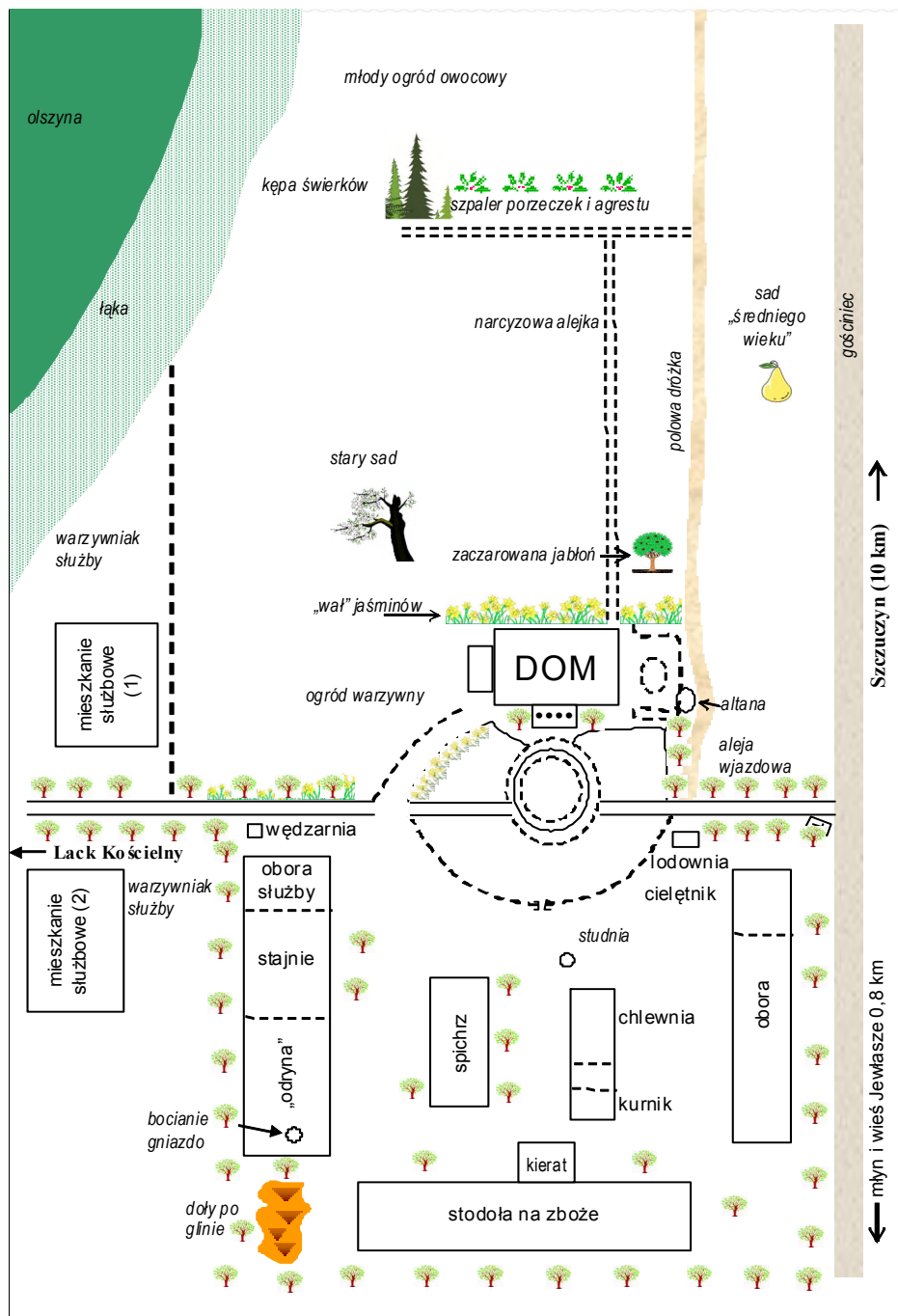
Topograficzny szkic majątku Lack Wysoki, który był całym światem mego wczesnego dzieciństwa

W czasach mego dzieciństwa, gdy na Kresach posiadłość ziemska liczyła 50–80 hektarów – określano ją jako folwark. Posiadłość większa, o powierzchni 200 czy 300 hektarów – była majątkiem. Lack liczący 352 hektary był więc majątkiem. Dom i zabudowania majątków – zwykle z jakąś aleją wjazdową i ogrodem – rzadziej również z parkiem – były określane jako „dwór”. Powszechnie – również we wsiach – mówiono: „...jadę do dworu, ...pracuję we dworze” itd. Dom mieszkalny był też określany jako dwór, ale dla nas to był zawsze po prostu DOM.

Otóż dwór miał przeważnie kształt wielkiego czworoboku z tzw. dziedzińcem w środku. Dom stał „frontem” do dziedzińca i otaczających go zabudowań gospodarczych, a za domem był zawsze sad. Tak też było w Lacku. Dalszy jego opis będę nawiązywał do szkicu podanego na następnej stronie. Szkic wykonałem, przenosząc na papier obraz Lacka zachowany w mej pamięci – w stanie, który (tak twierdzą) nie został naruszony „zębem czasu”. Dziś go „widzę i opisuję” – jak powiedział Mickiewicz – jakbym z Lacka nigdy nie wyjeżdżał. Będąc tam w 1991 roku – a więc blisko 50 lat od czasu, gdy go opuściłem – zrobiłem fotografię, na której widać lokalizację ocalałego domu i spichrza oraz ogólny zarys dworu – co może ułatwić „czytanie” szkicu i dalszego tekstu. Do swoich wizyt w Lacku – już w czasach postsowieckich – jeszcze wrócę w dalszych wspomnieniach.



*Widok na dwór w Lacku Wysokim – z drogi prowadzącej do Lacka Kościelnego. Stan w 1991 roku.
Dom i spichrz jeszcze stały*



Szkic sytuacyjny zabudowań dworu oraz domu i sadu, które stanowiły w Lacku bezpośrednią „otulinę” mego dorastania

Naprzeciw domu, czworobok zabudowań gospodarczych zamykała długa stodoła (*gumno*) – z przybudówką (w środku długości) – mieszczącą duży drewniany kierat (*maneż*). Stodoła była atrakcją, bo przez wrota w szczytowych ścianach – gdy była pełna zboża układanego aż po dach – widziało się długi jakby tunel z twardym klepiskiem. Biegało się w nim znakomicie *na wyprzódki* – kto pierwszy dopadnie przeciwnych wrót. Kierat – do którego zaprzęgano dwie pary koni (gdy miał napędzać młocarnię) lub tylko jedną parę (gdy przygotowywano sieczkę dla koni i krów) – także stanowił dużą atrakcję. Siedząc na tzw. *dyszlu* za końskim zaprzęgiem, można było jeździć w kółko z autentycznym poczuciem, że się końmi powozi.

Z prawej strony, czworobok zamykała tzw. *lepianka* – ogromny budynek wzniesiony w 1844 roku – co było wykute na głazie wmurowanym w fundament. Ten budynek był znakomitym przykładem taniego budownictwa, jego ściany były bowiem ubijane z gliny zmieszanej z ciętymi gałęziami krzaczastej wierzby (tak zwanej *łozy*), a glina była pozyskiwana na miejscu. Między szczytową ścianą stodoły i szczytową ścianą *lepianki* były głębokie doły po wybranej glinie (patrz szkic – str. 15). W czasach mego dzieciństwa były obrosnięte dużymi wierzbami i okresowo wypełniane wodą opadową – co temu zakątkowi, pokrytemu latem gąszczem pokrzyw i łopianów, przydawało tajemniczości i atrakcyjności. Atrakcyjne były zwłaszcza ogromne białe *purchawki*, których w jesieni było mnóstwo, i które znakomicie spełniały rolę amunicji w prowadzonych tam „działaniach wojennych”.

W *lepiance* mieściły się kolejno – licząc od strony domu: obora dworskiej służby, stajnia *cugowa* z kilku końmi *do bryczki i pod wierzch*, dalej stajnia dla około 10 par koni *roboczych* i wreszcie część dla nas najważniejsza: tzw. *odryna*, czyli składnica siana, głównie dla koni.

Nadzwyczajna atrakcyjność *odryny* – jako miejsca zabaw – wynikała z konstrukcji budynku i właściwości przechowywanego siana. Otóż dach *lepianki* wspierał się na dwóch rzędach murowanych filarów, które dzieliły budynek na trzy nawy. Na słupach i na ścianach spoczywały masywne drewniane podłużnice, a na nich leżały dość gęsto poprzeczne belki podtrzymujące *krokwie i dranicowy*^{*)} dach. Na jego końcu od strony stodoły było olbrzymie bocianie gniazdo. Gdy zwożone z łąk suche siano pakowano do *odryny* aż po sam dach i gdy po pewnym czasie siano się „uleżało” – pod kratownicą belek powstawały jakby „nory”^{**)}, którymi można było przemieszczać się całkiem swobodnie. Rozległa *odryna* stawała się zaczarowanym labiryntem „nor”, w których od czerwcowych sianokosów aż do późnej jesieni – zabawom nie było końca. Ze względu na solidną konstrukcję *lepianki*, zdrowotne właściwości aromatu siana z miejscowych łąk i zupełnie dobrą

^{*)} *Dranica* – rodzaj deseczek „dartych” z drewna osiki, którymi kryto dachy.

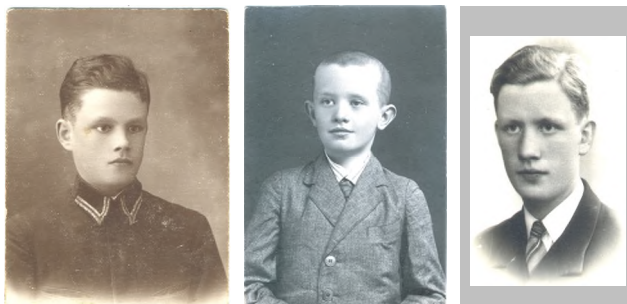
^{**)} Nory – korytarze drążone w ziemi przez lisy i borsuki.

wentylację „nor” – mieliśmy generalną zgodę Rodziców na zabawę „na sianie” – także wówczas, gdy towarzyszyli nam zachwyceni goście – rówieśnicy.

Wielką atrakcją zabaw „na sianie” były nie tylko „nory”, lecz także tajemnicza „jaskinia”, którą co roku drążyliśmy w sianie przy dużym otworze znajdującym się w zewnętrznej ścianie *lepianki*. Dziurę wybił pocisk artyleryjski w pierwszym roku pierwszej wojny światowej, gdy na polach Lacka wojska rosyjskie i niemieckie toczyły zacięte walki – również na bagnety. Znajdowała się mniej więcej w połowie wysokości ściany i nikt jej nie łątał, bo nie naruszała trwałości budynku. My, wykonując w sianie parometrową pochylnię, docieraliśmy do otworu i następnie w jego sąsiedztwie – usuwając pracowicie siano – wykonywaliśmy dość obszerną „jaskinię”, w której mieściło się nawet kilku małych „rozbójników Ali Baby” chowających tam swe skarby (przeważnie były to ulubione zabawki, pudełka „zaoszczędzonych” słodczy, nabierane owoce itp.). Gdy byliśmy nieco starsi – bywali to, na przykład „spiskowcy” walczący z caratem lub członkowie „Samoobrony” przygotowujący się do bitwy z nadciągającymi bolszewikami. Wejście do „jaskini” było oczywiście starannie maskowane „korkiem” z siana i znane tylko wtajemniczonym – choć mówiąc prawdę, do wtajemniczenia byli bardzo szybko dopuszczani również nowicjusze tych zabaw.

W okresie wakacji, do naszego „tandemu” – jak wspomniałem – często dołączał Tadzik i dwie córki stryja Wiktora, które przeważnie gościły w Szczuczynku, ale też dużo czasu spędzały w Lacku. Pojawiali się też cioteczni bracia z Kulbaczyna, a w późniejszych latach nasi szkolni koledzy z sąsiedztwa i także córki przyjaciół Ojca, którzy spędzali w Lacku część swych letnich urlopów. Ponieważ były to pаниenki wychowane w miastach – w początkowym okresie zabaw „na sianie” – bardzo przeżywały wszechobecność różnego rodzaju żuków, pajaków, koników polnych i innych „mieszkańców” siana świeżo zwiezonego z łąk. Dopiero wytrwałe tłumaczenie, że wszystkie te „koziawki” są zupełnie nieszkodliwe – i ich własne doświadczenie potwierdzające prawdziwość naszych zapewnień – dość szybko likwidowało wszelki strach.

Naprzeciw *lepianki*, czworobok dziedzińca zamykał budynek obory. Był węższy od *lepianki* – więc konstrukcję dachu podtrzymywał tylko jeden szereg filarów, dzielących budynek na dwie „nawy”. W każdej z nich stały dwa



Bolek, Józik i Janek Skawiński w okresie naszych zabaw na sianie

rzędy krów, wzdłuż głębokich koryt, do których były przywiązywane łańcuchem. Że konie zawsze trafiały w stajni do swych boksów – wydawało mi się zupełnie naturalne. Krowy natomiast – które wracając z pastwiska lub od wodopoju przeważnie bezbłędnie ustawiały się na swych miejscach i wyraźnie czekały aż łańcuch zostanie im zapięty – zawsze mnie zastanawiały. W czasach, do których wracam pamięcią – krów było chyba około 40 – później ich liczba się podwoiła, ale nawet gdy we wrotach był największy tłok – one bez błądzenia zawsze trafiały do swojej „nawy” i swojego miejsca. Były kolczykowane i miały swoje numery i imiona wypisane na tabliczkach umieszczonych nad korytem – w pewnym okresie podejrzewałem więc, że może rozpoznają te tabliczki. Buhaj – prawdziwy olbrzym – miał swe stanowisko zaraz z brzegu przy wrotach do obory i do niego nie wolno nam było podchodzić. Wiedzieliśmy, że kiedyś potrafił tak przycisnąć pastucha do koryta, że o mało go nie uśmiercił – woleliśmy więc obchodzić olbrzyma z daleka!

Najciekawsze w oborze było jej lewe skrzydło, gdzie były wydzielone zagrody dla owiec i cieląt. Owiec początkowo było niewiele – później stado powiększało się głównie z inicjatywy Mamy. Baranina i znakomite baranie kołduny, które pamiętam z Lacka od najwcześniejszego dzieciństwa – miały oczywiście związek z tą hodowlą – ale z czasem coraz większego znaczenia nabierała wełna i wełniane *samodziały*. Mama, na spotkaniach „Koła porad sąsiedzkich”, przekonywała wszystkich „niedowiarków”, że najlepszą wełnę dają *merynosy* i *merynoprekosy*. Były to duże białe owce bez rogów, które rzeczywiście przed wiosennym strzyżeniem miały na grzbietach prawdziwy, gruby „materac”. Stopniowo przestawiała hodowlę na produkcję wełny. Strzyżenie owiec stało się naszą oczekiwaną atrakcją, a zwały wełny przygotowywanej na sprzedaż – zakazanym miejscem zabawy.

Najlepsze partie wełny, zamiast na sprzedaż, były posyłane do pana Parczewskiego, który w nieodległej Spuszy, księcia Sapiehy – z inspiracji i pod protektoratem Księżnej – prowadził małą manufakturę tkacką na wzór dawnych manufaktur angielskich. Wełniane *samodziały* przez niego produkowane mogły konkurować jakością z najlepszymi materiałami z ówczesnej Łodzi czy Bielska. Zimowe ubrania – zwłaszcza gdy byliśmy starsi – kurtki i płaszcze całej rodziny i oczywiście *burki* nakładane w zimie nawet na kozuchy (gdy odbywały się dalsze zimowe wyprawy saniami), były szyte ze spuszańskich *samodziałów*.

Cieląt w oborze też przybywało, ale ich liczba nie przekraczała kilkunastu – tyle co było trzeba na odnawianie i powiększanie mlecznego stada, które – jak to powtarzał Ojciec, było w Lacku najpewniejszym i stałym źródłem dochodu. Dla nas największą atrakcją – zwłaszcza w zimie, gdy zabaw w „plenerze” było mniej – stanowiły najmłodsze cielaki i śliczne małe jagnięta. Lubiliśmy towarzyszyć zaprzyjaźnionym dziewczętom z kuchni – gdy szły z wiadrami poić cielęta lub z butelką i smoczkiem ratować małe, nie dość samodzielne jagnięta.

To były wielkie przeżycia i prawdziwe odkrycia związane z narodzinami i dorastaniem zwierząt. Może były również zaspokajaniem atawistycznej potrzeby bliskiego kontaktu z udomowionym czworonogiem.

Na środku dziedzińca, zamkniętego czworobokiem domu, stodoły, *lepianki* i obory – stał spichrz (często określany jako *magazyn*). Wialnie i inne urządzenia używane do oczyszczania zboża z plew i nasion chwastów oraz mniejsze lub większe „góry” ziarna zalegające w *magazynie* – przeważnie żyta, owsa i jęczmienia – nie były wielką atrakcją. Prawdziwy zaczarowany świat stanowiły natomiast duże poddasza „doczepione” do budynku spichrza na obydwóch jego końcach. Nazywano je *powietką*; mówiło się: bryczka stoi pod *powietką*, idę bawić się pod *powietką* itd. Były przeznaczone do przechowywania maszyn i urządzeń rolniczych – głównie zepsutych i oczekujących na reperację, lub już w ogóle nieużywanych, ale wciąż z perspektywą przydatności. Mówiąc prawdę – były to graciarnie najróżniejszego rolniczego sprzętu i równocześnie miejsca jego naprawy. Kuźnia, która była we dworze jeszcze parę lat po wojnie i którą mile wspominał Tadzik jako miejsce swych zabaw – za naszych czasów już nie istniała.

Pod *powietką* (bliższą domu) był zarówno warsztat stolarski, jak i ślusarski – z imadłami, *toczydłem* do ostrzenia siekier i noży do żniwiarek, z bogactwem różnych narzędzi, pił, dłut ... oraz śrub, gwoździ itd. *Powietka* na drugim końcu magazynu była nie tyle zapleczem naprawczym sprzętu, co „bazą” budowlano-remontową zabudowań dworu – z wytwórnią cementowych dachówek do krycia dachów. Obok było ustawione urządzenie do produkowania *dranicy* (także stosowanej do krycia dachów) i wysokie *kozły*, na których tarto deski lub tzw. *kantówkę* na krokwie i łaty, do których przybijano *dranicę*. Dopowiem, że głównym elementem dziś już nieznanego urządzenia do produkcji *dranicy*, była kratownica skonstruowana z grubych belek i przycięta w kształt koła o promieniu około 4 m. Na jego obwodzie, między belkami kratownicy, były zakładane do odpowiednich uchwytów kłocze osinowego drewna długości około 60 cm. W środku kratownicy był na stalowej osi zamocowany *dyszel* – wyposażony w odpowiednio skonstruowany nóż półmetrowej długości. *Dyszel*, do którego zaprzęgano dwa konie, był obracany wokół kratownicy, a nóż, prowadzony nad osinowymi kłocami, strugał (oddzierał) z nich cienkie jakby deseczki grubości około 0,5 cm i szerokości 15–25 cm – i to właśnie była *dranica*.

Kozły były urządzeniem o wiele prostszym. *Kozłem* nazywano krótką belkę wspartą na każdym końcu na dwóch podporach w kształcie odwróconej litery „V”. Na takich *kozlach* wysokości około dwóch metrów był układany pień okorowanej sosny (rzadziej innego drzewa), a na nim i pod nim stawał z długą piłą, tzw. *pilszczyk* (tracz). W naszych stronach i w owych latach – fach *pilszczyka* był najczęściej w rękach wędrownych *starowierów* (prawosławnych staroobrzędowców noszących długie brody),

którzy chętnie podejmowali zlecony zakres roboty i według powszechnej opinii, bardzo uczciwie się z niej wywiązywali.

W latach dwudziestych – na które przypadło moje wczesne dzieciństwo – Lack dopiero dźwigał się z powojennej ruiny. Był wielkim placem remontu budynków, wymiany dachów i nawet wymiany zbutwiałych *podwalin*. Wszystko było robione *sposobem gospodarczym*, tzn. głównie siłami dworu, z udziałem wynajmowanych wiejskich cieśli, murarzy lub *pilszczyków* – pod osobistym nadzorem Ojca. Był wprawdzie inżynierem dróg i mostów, ale z prowadzeniem tego rodzaju robót świetnie sobie radził. Niemal obsesją Ojca było unikanie kredytów bankowych – powojenna odbudowa Lacka trwała więc długo. Jednak w dobie powszechnego wówczas kryzysu, bankructw i sprzedaży ziemi – był to w powiecie jeden z nielicznych niezadłużonych majątków.

Nas obowiązywał niestety zakaz kręcenia się na terenie robót budowlano-remontowych, a sama tylko obserwacja – bez „osobistego zaangażowania” – bardzo zmniejszała ich atrakcyjność. Na przebywanie pod *powietką* mieszczącą „warsztat” stolarski i mechaniczny – mieliśmy natomiast generalną zgodę. To było dla nas najważniejsze, bo przez większość czasu wolnego od zajęć szkolno-wychowawczych egzekwowanych przez bony – byliśmy pochłonięci pasją majstrowania i konstruowania. O kupowanych w mieście mechanicznych zabawkach czy choćby dziecinnych rowerkach, które ma dziś niemal każde dziecko – my nawet nie marzyliśmy. Były po prostu poza naszą świadomością, która koncentrowała się na realizacji własnych pomysłów i na samodzielnym zaspokajaniu swych „zabawowych” potrzeb.

Chyba pierwszym naszym genialnym wynalazkiem było metalowe kółko od kultywatora^{*)}, z wsadzonym zamiast ośki – odpowiednio zastruganym patykiem. Trzymając za ten patyk jedną ręką z prawej, a drugą z lewej strony kółka – mając jego obwód tuż przed nosem – można było gonić z całych sił, na wyścigi, do wyznaczonej mety albo tylko dla czystej przyjemności. Pod *powietką* robiło się też proce o różnej wielkości i konstrukcji – zależnej głównie od rodzaju zdobytej gumy. Z procy strzelało się do celu lub „polowało” na wrony, bo te kradły kurczęta i były uznawane za „wroga”. Oczywiście robiło się też leszczynowe lub jałowcowe łuki i strzały z misternie montowanym grotem – gwoździem ... pułapki, w których miały być łapane myszy ... łódki z kory, testowane z pasją na wspomnianym już *stawku* ... jakieś proste szkatułki itd. itp. Największym przedsięwzięciem konstrukcyjnym był własnej roboty rower („bicyklus”), który nie chciał funkcjonować – ale przestał być celem wciąż ponawianych wysiłków dopiero, gdy byliśmy w starszych klasach gimnazjum i dostaliśmy prawdziwe rowery. Znacznie wcześniej otrzymaliśmy własne siodła i jazda konna – już nie na osiołkach – stała się niemal „powszednią” przyjemnością.

^{*)} *Kultywator* – urządzenie rolnicze na kółkach używane do spulchniania ziemi ornej.

Między magazynem a oborą – też niemal na środku dziedzińca – dopiero około 1932 roku, została wybudowana nowa chlewnia na kilkadziesiąt sztuk trzody. Część budynku (bliższa stodoły) została wydzielona i wraz z poddaszem, była miejscem hodowli ptactwa. Tego zawsze było dużo – zaczynając od indyków, które były źródłem znaczących dochodów „przydomowego” gospodarstwa Mamy, a kończąc na zasilających spiżarnię, zwykłych kurach i kaczkach. Również ten budynek został wzniesiony sposobem gospodarczym, z betonowych „pustaków” produkowanych na tym samym placu co cementowa dachówka. W tym czasie nasze zainteresowania wychodziły już coraz dalej poza zabudowania dworu – więc do nowego budynku zaglądaliśmy raczej rzadko. Nie liczę oczywiście takich okazji, jak na przykład pojawianie się małych kaczatek – z reguły wysiadywanych przez kwoki, a nie kaczki – lub wezwanie (przez dziewczęta posyłane z kuchni po jajka) do myszkowania po zakamarkach „kurnikowego poddasza” w poszukiwaniu jajek, które były składane czasem nie w gniazdach, a „zupełnie byle gdzie”. Pamiętam, że bardzo współczułem kwokom – kurom, które wysiedziały kaczęta i później – gdy ich dziatwa pływała po *stawku* – bardzo zatroskane krążyły po brzegu.

Bardzo ważną rolę w życiu toczącym się na dziedzińcu odgrywała głęboka studnia zlokalizowana na jego środku. Była wyposażona w podwójną możliwość czerpania wody: wysoki żuraw z drągiem zaopatrzonym w ogromne drewniane wiadro oraz kołowrót z łańcuchem – obracany ręczną korbą – i z nieco mniejszym wiadrem. Dla nas ciekawy był zwłaszcza przedwieczorny czas powrotu do dworu końskich zaprzęgów z robót w polu i prac transportowych. Z tym było związane pojenie koni – przy wydłubanym w pniu olchy, ogromnym korycie, które swym końcem przytykało do studni. Latem krowy wracające z pastwiska były pojone głównie w *małym stawku*, ale w zimie były trzy razy dziennie wypuszczane do studni. Dziedziniec wypełniał się wówczas rykiem i beczeniem – było głośno i ciekawie. Tłoczące się krowy, a do tego cielęta i owce – i niekiedy dość gwałtowna walka o miejsce przy korycie – wszystko to było atrakcją, więc gdy akurat nie było pomysłu na jakąś inną zabawę czy wyprawę – udział w *obrządku* wodopoju skutecznie wypełniał czas.

Specjalną atrakcją był ogromny baran – czujący się panem swych owiec – który czasem, zupełnie bez przyczyny, dochodził do wniosku, że musi ich bronić. Wówczas atakował każdego, kto wydał mu się intruzem. Podchodził spokojnie, ale w pewnym momencie przyspieszał i walił łbem – na szczęście nie miał rogów – tak, że nawet dorosłego mężczyznę potrafił zwalić z nóg. Jeżeli któregoś z nas uznał za wroga – ratowaliśmy się ucieczką. Trzeba było dostatecznie wcześnie zauważyć, że idzie „na ciebie” i wówczas – biec co sił za jakąś przeszkodę – najlepiej za jedno z drzew rosnących na dziedzińcu. Zawsze chciałem, żeby wałnął łbem w drzewo, za które udało mi się

uskoczyć, ale on hamował skutecznie i wycofywał się z godnością, a moje marzenie o zemście za rajteradę pozostawało tylko marzeniem.



W 1992 roku jeszcze trwał kawałek lackowskiej alei wjazdowej od strony gościńca: Szczuczyn-Jawłasz-Dzięb-rów. To u jej wlotu na dziedziniec była urządzona lodownia

Z gospodarczych zabudowań na dziedzińcu – była jeszcze tylko lodownia i wędzarnia. Lodownia była budowana już za mojej pamięci. Miała postać dużej piwnicy, ale zlokalizowanej nie pod jakimś budynkiem, a po prostu „pod trawnikiem” blisko alei wjazdowej. W zimie były do niej zwożone foremne bloki lodu przygotowywane – na stawie koło młyna w Jewłaszach (patrz szkic na stronie 13) – tą samą piłą, którą tarto kłoc drewna na deski i kantówkę. Pięciokilowy odważnik, przymocowany na zanurzonej w wodzie końcu piły, zastępował tego *pilszczyka*, który stał pod kłocem. Lód na stawie był „piłowany” dopiero wówczas, gdy jego grubość osiągała 0,3–0,5 metra – przeważnie w końcu stycznia lub w lutym. Szczelnie ułożony w dwumetrowy masyw i zasypany grubą warstwą trocin – trwał do późnej jesieni. Do lodowni chodziliśmy głównie latem żeby uczestniczyć w „kręceniu lodów” – w specjalnym urządzeniu z korbą – lub żeby przynieść kwas chlebowy, który był tam przechowywany. Kwas chlebowy robiony w Lacku pod „komendą” Mamy – był „najlepszy na świecie” – bo był wyjątkowo

smaczny, wspaniale musujący i orzeźwiający. Przy otwieraniu butelek strzelał jak szampan! Niestety – zdarzało się, że niektóre butelki same wystrzeliwały w lodownię – ale Mama się tym nie zrażała i kwas zawsze był robiony (podobno przyczyna niepowodzenia tkwiła w przedawkowaniu ilości dodatkowych rodzynek).

Wędzarnia – to był nieduży drewniany budynek o wymiarach zaledwie około 3 na 3 metry – ale dość wysoki, bez sufitu – tylko z niezbyt szczelnym dachem z desek. Zamiast podłogi był w nim płytki dół, w którym było palone ognisko zasilane jałowcem przywożonym prosto z lasu. Gdy jesienią i drugi raz, przed Wielkanocą odbywało się tzw. świniobicie – wędzarnia wypełniała się bogactwem wiejskich, kresowych wędlin: szynki, baleronów, różnych rodzajów kielbas, boczków, polci słoniny itd. itd. Tajemnica dobrych wędlin – jak twierdziła Mama – jest prosta: „trzeba dobrać do smaku i dobrze uwędzić”. A dobre uwędzenie polegało na umiejętności utrzymania paleniska z odpowiednią dawką jałowcowych gałęzi i na umiejętnym najpierw rozwieszeniu wędlin nad paleniskiem – a w późniejszej fazie wędzenia, na ich umiejętnym przemieszczaniu na coraz wyższe „piętra”

wędzarni. Mama – konsultując się z Ojcem – osobiście doglądała wędzenia wędlin, które trwało parę dni. My byliśmy dopuszczani co najwyżej do podkładania jałowca – który potrafił pięknie trzaskać – ale nie mogliśmy tego robić samodzielnie.

Dom mego dzieciństwa

Dziedziniec wyznaczony *podkową* rzech głównych budynków gospodarczych – za którymi obrys dworu wyznaczał gęsty szpaler starych klonów i jesionów – był oddzielony od tzw. gazonu oraz od domu i sadu, niewysokim płotem. Ten płot (patrz szkic na stronie 15), a raczej płotek zrobiony z drewnianych metrowych sztachet – biegł szerokim łukiem między aleją wjazdową prowadzącą do dworu od strony gościńca Szczuczyn – Dzieńbrów oraz z drugiej strony – aleją prowadzącą do Lacka Kościelnego. Choć był niepozorny i częściowo zasłonięty przycinanym żywopłotem – stanowił wyraźną granicę. Przekraczało się ją przez małą furtkę zamykaną na haczyk. Co prawda obowiązywało zamykanie furtki, ale ona nie odgradzała, a raczej łączyła dwie jakże różne przestrzenie, w których upływało moje dzieciństwo.

Po jednej stronie furtki było gospodarstwo fascynujące dziecięcą wyobraźnię swą specyficzną zmiennością, w której już sama tylko obecność była atrakcją i zabawą. Po drugiej stronie furtki – najpierw był rozległy trawnik (z krzewami *spirei* rozmieszczonymi w sposób nieuporządkowany), a za nim – przed domem – duży okrągły klomb utrzymywany przez Mamę w stanie permanentnego kwitnięcia (od wiosennych bratków i tulipanów do jesiennych astrów). Klomb był otoczony pasem trawnika – na którym w regularnych odstępach rosły pięknie kwitnące dalie. Z kolei trawnik był opasany kołowym, żwirowanym podjazdem doprowadzającym bryczkę (a w zimie sanie) pod sam ganek domu. To DOM stanowił sedno tej drugiej przestrzeni... – połączonej drewnianą furtką z przestrzenią dziedzińca i gospodarstwa. Całe bezpośrednie otoczenie DOMU i rozległy owocowy sad były tylko dopełnieniem jego magicznej istoty, związanej nierozłącznie z Rodzicami.

Może z tego względu – w moim wczesnym dzieciństwie – momenty, w których Rodzice gdzieś wyjeżdżali bez nas lub nawet, gdy wyjeżdżał tylko Ojciec do Szczuczyna „w *interesach*” – przeżywałem jako rozstanie i jakieś zagrożenie. Dom nieprzyjemnie pustoszał. Najpewniej z tego względu, gdy bryczka pojawiała się przed gankiem, kręciłem się koło odjeżdżających z pytaniem: „*kiedy wrócicie?*”, „*kiedy Tata wróci?*”. Oczekiwanie na odjazd bryczki stanowiło oczywiście okazję do wdrapania się na tzw. *koziół* by poudawać furmana. W owych latach prawdziwym furmanem był Boleś, sierota przygarnięta w czasie wojny z bolszewikami przez 13 pułk ułanów

– gdzie był luzakiem*) Ojca. Z Bolesiem wiąże się przygoda, którą przeżyłem mając chyba sześć lat. Gdy podjechał bryczką pod ganek, pozwolił mi usiąść koło siebie na *koźle*, ale ktoś odwołał go na chwilę do kuchni. Pech chciał, że konie się spłoszyły i szarpnęły bryczką, a ja spadłem na żwirowy podjazd i dość paskudnie złamałem prawe przedramię. Oczywiście – tą samą bryczką – zostałem od razu zawieziony do Szczuczyna, gdzie doktor Mikołaj Kondrat – szef powiatowego szpitala – rękę mi złożył i zagipsował. Niestety – gdy po kilku tygodniach zdjęto gips – okazało się, że złamana kość uszkodziła nerw i mięsień, co po zagojeniu wywołało „przykurcz” nadgarstka. Mimo długotrwałych bolesnych masażów, nie udało się całkowicie usunąć jego skutków. Do dziś pamiątką tamtego upadku jest ograniczona możliwość odgięcia „do góry” otwartej prawej dłoni.

Dom, swym stylem i wielkością, nie różnił się od większości siedzib kresowego ziemiaństwa. Tak jak cały dwór i wszystkie okoliczne wsie – nie był zelektryfikowany. Prąd był tylko w miastach powiatowych i większych mias-teczkach. Pokoje były oświetlane dużymi lampami naftowymi zawieszonymi pod sufitem lub tzw. kinkietami przytwierdzonymi do ścian. Były



Jedyna zachowana, przedwojenna fotografia rodzinnego domu w Lacku. Na ganku siedzi Ojciec (w głębi, naprzeciw drzwi) i Mama (na ławce), a Sławek i ja stoimy z naszą boną – panią Olgą (u niej przechowała się ta fotografia)

*) *Luzak* – ułan przydzielany oficerom polskiej kawalerii do opieki nad ich koniem.

oczywiście używane również lampy przenośne, ustawiane na stole, na przykład do czytania czy innych robót. Najnowsze, duże lampy były wyposażone w knot ułożony w kształt koła, o obwodzie nawet dziesięciu centymetrów. Te zapewniały całkiem dobre oświetlenie. Jednym z zadań pokojówki było codzienne czyszczenie *szkieł* we wszystkich lampach – co umożliwiało utrzymanie oświetlenia domu na poziomie nie wiele gorszym niż przy użyciu elektryczności.

Z ganku, wspartego na czterech drewnianych kolumnach, wchodziło się do przedpokoju, gdzie po prawej stronie stały tzw. *szaragi*. Na nich wieszało się płaszcze, a na stolik pod oknem rzucało czapki, szaliki, rękawiczki. Po lewej stronie pod drugim oknem stało biurko Ojca, przy którym widzieliśmy go często, gdy załatwiał sprawy wynikające z prowadzenia gospodarstwa i z ogromnego zaangażowania w pracę społeczną. W głębi przedpokoju stały dwa głębokie fotele, niski stolik i kanapa oraz duża szafa, tzw. ubraniowa. Drzwi na prawo prowadziły do tzw. salonu, zajmującego po tej stronie cały front domu. Drzwi na lewo prowadziły do stołowego pokoju i dalej do kuchni. Od strony ogrodu były kolejno: pokój babci, pokój Tadzia, wspólny pokój mój i Sławka, a dalej sypialnia Rodziców, jeszcze jeden pokój i łazienka przylegająca do kuchni. W sumie było osiem pokoi, dwie kuchnie („domowa” i służby) oraz służbówka zajmowana przez kucharkę i pokojówkę. Od strony wejścia do kuchni była dobudowana duża sień, z której prowadziły schody na strych i schody do piwnicy; stały też w niej duże szafy nazywane spiżarnią. W sumie był to więc dość rozległy dom, w którym nie czuliśmy ciasnoty. Wszędzie mieliśmy wstęp, wszędzie „było nas pełno” i wszędzie to był NASZ DOM – jedyny i niepowtarzalny.

Były oczywiście miejsca i przedmioty, z którymi wiązało się najwięcej dzieciennych emocji. W przedpokoju takim miejscem było biurko Ojca i wisząca nad nim skóra rysia z autentyczną głową i dużymi kłami. Trafiła do Lacka jakąś okrężną drogą od kłusownika, który tego kota – w naszych stronach bardzo rzadkiego – prawdopodobnie złapał w sidła. Tadeusz załatwił w Wilnie wyprawienie skóry i spreparowanie głowy. W jednej z szuflad biurka były różne ordery i odznaczenia Ojca – nigdy przez niego nienoszone. Gdy wówczas jako dzieci czasami, ukradkiem zaglądaliśmy do tej szuflady, nie wiedziałem, że największą ocalałą pamiątką po działalności Ojca będą właśnie wnioski do tych odznaczeń z lat 1921–1938, udostępnione mi w 2005 roku przez Centralne Archiwum Wojskowe w Warszawie¹⁵⁹). Z tych wniosków dowiedziałem się więcej o niepodległościowej działalności Ojca niż zapamiętałem z Jego raczej „skąpych” opowiadań słuchanych w dzieciństwie. Do tej działalności Ojca jeszcze powrócę.

W salonie takim czarownym miejscem był kominek ulokowany na wewnętrznej ścianie, między dwoma kafłowymi piecami (na lewo i prawo od nich były drzwi do pokoi sypialnych). W zimie, gdy dość często paliły się

w nim duże polana brzozy czy olchy, Rodzice siedzieli w świetle tego ogniska i o czymś rozmawiali lub coś opowiadali. Ja leżałem przeważnie na podłodze wpatrzony w migające płomienie..., a świat stawał się bajkowy! Ciekawe, że magia płonącego ogniska – gdy odezwała się we mnie już w najwcześniejszym dzieciństwie – zawsze była mi wierna. Powracała nieodmiennie nawet wówczas, gdy na karku siedziała już osiemdziesiątka i gdy w czasie spływu kajakowego Brdą czy Czarną Hańczą udawało się na biwaku zapalić przed namiotem ognisko. W salonie było jeszcze jedno magiczne miejsce, pod wiecznie zielonym klonem, który rósł w ogromnej donicy w rogu salonu, między oknami. Pod gałęziami tego klonu bawiliśmy się w „ciepłe kraje”, a za donicą mieliśmy sekretne pudełeczko, w którym gromadziliśmy srebrne papierki po czekoladkach. Wierzyliśmy, że tym sposobem możemy bardzo pomóc „afrykańskim koleżkom”.

Na krótki czas Bożego Narodzenia, jeszcze bardziej magicznym miejscem stawał się przeciwległy róg salonu, w którym była ustawiana na podłodze – sięgająca do sufitu – ogromna choinka. We wczesnym dzieciństwie braliśmy udział w „lepieniu łańcuchów”, „gwiazdek” i innych „zabawek” na choinkę z arkuszy kolorowego papieru. Uczestniczyliśmy także w ubieraniu choinki. Jednak nie to było wówczas najważniejsze. Prezenty pojawiały się



Babcia miała surowy wygląd, i „Szmigierowski charakter” (co oznaczało upór i despotyzm) – ale nas zawsze rozpieszczała

pod choinką dopiero rano, w pierwszy dzień Świąt. Wieczór Wigilijny – wypełniony kolacją, zapalaniem świeczek na choince i śpiewaniem kolęd – był wspaniały. Jednak największe przeżycia wiązały się z wczesnym rankiem następnego dnia, gdy boso i tylko w nocnych koszulkach – lecieliśmy prosto z łóżek w ten czarodziejski kąt salonu, aby z nieopisanym przejęciem „nurkować” pod choinkę w poszukiwaniu gwiazdkowych prezentów. Przeżyć, które były udziałem tamtych świątecznych dni najwcześniejszego dzieciństwa – nie da się opowiedzieć. Później, w latach szkolnych – sami, z Tadzikiem, jeździliśmy po choinkę do lasu i sami ją ubieraliśmy – i choć wiążą się z tym wspaniałe wspomnienia – nie było w nich już tej wyjątkowej magii i niezapomnianego czaru.

Z salonu prowadziły drzwi do pokoju Tadeusza i do pokoju Babci. W rogu salonu przy drzwiach do pokoju Babci stało ogromne lustro w ozdobnej ramie, sięgające od podłogi niemal do sufitu. Wspominam o nim, bo kiedyś – pod nieobecność Rodziców, gdy ze Sławkiem kopaliśmy piłkę – ja pechowym uderzeniem rozbiłem dolną część lustra (na szczęście mniejszą od górnej). Bardzo to przeżyłem i byłem skrajnie zgnębiony, bo myślałem, że „przebrałem miarę niegrzeczności”. Dopiero później zauważyłem, że Rodzice byli tym znacznie mniej przejęci niż ja. Wiedzieli lepiej ode mnie, że tego rodzaju materialne straty są dość łatwe do usunięcia.

W pokoju Babci najwspanialszym miejscem była duża szafa, w której wisały różne, przeważnie już nienoszone ubrania. Był tam również frak Ojca i smoking z błyszczącymi klapami – z Jego czasów jeszcze akademickich. Czasem pod nieobecność Babci, jeden z nas wkładał frak, a drugi – smoking i wówczas – mimo, że wprost „tonęliśmy” w tych strojach – wyobraźnia wprowadzała nastrój niezwykłości. W istocie były to „wyglupy i miny”, które w innych okolicznościach nie przychodziły do głowy. Były dalekie od nastroju uroczystości w Politechnice Lwowskiej, w których ten frak i smoking brały udział, ale nam sprawiały wówczas wielką frajdę – bodaj większą niż huśtawka zawieszana w Babci pokoju na belce (było tam dość miejsca i Babcia ją tolerowała). Z tą huśtawką wiąże się nasz wyczyn, do którego nie przyznaliśmy się nawet Tadzikowi. Otóż, gdy siedziałem na huśtawce, a jej wychylenia wydawały mi się zbyt małe – poprosiłem Sławka, żeby wziął szczotkę do zamiatania podłogi i z jej pomocą porządnie mnie rozkołysał. Jak poradziłem, tak zrobił. Frajda była wielka, ale w pewnym momencie nie zdążył wycofać pchającej mnie szczotki i ta opierając się jednym końcem o piec stojący przy ścianie pokoju – drugim końcem ugodziła mnie w „nadlatujące” plecy tak skutecznie, że „wyleciałem” z huśtawki jak z procy. Że kręgosłup to wytrzymał i że wyszedłem z tego „bez kalectwa” to był prawdziwy „cud Boski”. Obydwaj byliśmy śmiertelnie przerażeni moim stanem i do tego baliśmy się, że huśtawka zostanie zlikwidowana. Żeby „przyjść do siebie”, pół dnia leżałem w naszym pokoju, tłumacząc to okropnym bólem brzucha. Fortel się udał i cała przygoda została „utajniona”.

W pokoju Tadzika największym „magnesem” była półka, na której – gdy był w domu – leżała czapka gimnazjum Jezuitów w Wilnie, a w późniejszym okresie – czapka uniwersytetu Stefana Batorego i tak zwany „dekiel” korporacji „Polesia”, do której należał. Flet leżący na szafie – na którym Tadzik przez krótki czas grał w szkolnej orkiestrze – był też dużą atrakcją, co było utrapieniem Babci, gdy byliśmy zbyt *muzykalni*.

Pokój Sławka i mój – był bardzo skromny; dwa twarde łóżka, między nimi, pod oknem, stolik, a w głębi szafa ubraniowa oraz etażerka z książkami i zeszytami. Jego najbardziej czarowne miejsce było za oknem, gdzie wzdłuż domu rósł „wał” jaśminowych krzewów. W zimie to był tylko pas śnieżnej bieli przykrywającej zarówno ten „wał”, jak i rozległy sad ciągnący się za nim. Ale wiosną, gdy przez okno wyskakiwało się do ogrodu, to był czar świeżej zieleni, czar słowików zanoszących się śpiewem, czar kwitnących gałęzi i słowiczych piskląt, do których można było się podkraść, by patrzeć jak rosną i czasem próbować wrzucać im muchy do otwartych dzióbków... Ten czarodziejski (w owym czasie) wał jaśminów okazał się niemal równie silny jak to wspomnienie. Gdy po siedemdziesięciu latach, które upłynęły od tamtych dziecinnych „podchodów”, byłem w Lacku – pierwszy raz po wojnie – jego resztki wciąż rosła pod oknami domu (tom II str. 490).

W pokoju Rodziców, przedmiotem trwałego zainteresowania były trzy karabiny wiszące na ścianie – obok drzwi prowadzących do naszego pokoju. Tadek bardzo szybko nas nauczył, że najdłuższy z nich to karabin rosyjskiej piechoty, drugi trochę krótszy też karabin piechoty ale austriackiej, a ten najkrótszy to karabin francuski używany w naszej kawalerii (do niego była w domu amunicja, do której nie mieliśmy dostępu). Ponieważ karabiny wisiały na ścianie bez amunicji – gdy byliśmy już trochę starsi – czasem zdejmowaliśmy je ze ściany i bawiliśmy się w wojnę. Nie było zbyt surowego zakazu ruszania karabinów – zakaz taki dotyczył natomiast „nagana” leżącego na szafie. Wiedzieliśmy, że jest nabity i że tu obowiązuje zakaz bezwzględny. Jak pamiętam był też bezwzględnie przestrzegany aż do wojny. Dubeltówka stojąca w szafie – której Ojciec nie używał, bo nie polował – też była zakazana. Dopiero, gdy byliśmy starsi, a Tadek już polował, również i ja jako jego „asystent” zacząłem mieć dostęp do tej strzelby.

Pokój stołowy – sąsiadujący z pokojem Rodziców, z przedpokojem i kuchnią – nie miał żadnych miejsc „czarownych” czy tajemniczych. Był duży. Ściany pokryte tapetą w kolorze ciemnego brązu, ze złotym wzorem – oraz duży kredens w starym stylu – wprowadzały w nim nastrój trochę uroczysty. Tu koncentrowało się zorganizowane życie całego domu, a rytm tego życia wyznaczał czas posiłków. Przy nakrytym stole siadała cała rodzina – będąca aktualnie w domu. Ojciec siedział zawsze na końcu stołu, pod oknem. Po lewej stronie stołu siedziała Mama, a obok niej Babcia. Po prawej stronie – siedzieliśmy my trzej – w różnej „konfiguracji”. Gdy zaczęliśmy mieć *bonę*, która przerabiała z nami kurs szkoły podstawowej i uczyła języka niemieckiego – siadywała różnie – albo po naszej stronie stołu, albo koło Babci. Ten porządek ulegał zmianom, gdy byli goście – dorośli lub nasi rówieśnicy. Na duże przyjęcia z okazji Świąt, imienin, spotkań „Koła sąsiedzkich” lub wizyt „uroczystych” – stół był rozsuwany i wówczas mogło przy nim siadać nawet 25–30 osób. Na oficjalnych przyjęciach dzieci nie siadały do stołu. „Honory domu” zawsze pełnili zarówno Mama, jak i Ojciec, ale do stołu normalnie podawała pokojówka – ewentualnie z pomocą kucharki. Mama choć sama bardzo drobiazgowo kierowała kuchnią i sama lubiła „coś tam robić”, nie lubiła chodzenia do kuchni w czasie normalnych obiadów i tym bardziej w czasie przyjęć, gdy byli goście.

W życiu codziennym czas posiłków był dość ściśle przestrzegany – w sensie pory dnia: śniadania koło 8⁰⁰, obiad między 13⁰⁰ a 14⁰⁰, kolacja między 19⁰⁰ a 20⁰⁰. Do każdego z tych posiłków na stoliku przy kredensie pojawiał się szumiący samowar z imbryczkiem zaparzonej esencji. Podawanie herbaty po obiedzie należało przeważnie do naszych obowiązków. Drugie śniadanie i podwieczorek – przysługiwały młodzieży. Latem, najczęściej były to jakieś jagody, ciastko, ogórek z miodem czy lody. Jedliśmy je na ganku lub w „plenerze”. Często był to stół stojący pod szeregiem rozłożystych

klonów i jesionów, rosnących między gazonem a *polową dróżką* i pasem ogrodu oddzielającego dwór od gościńca: Szczuczyn – Jewłasze – Dziębrów (patrz szkic na stronie 15). Bywało, że na ten stół w upalne noce czerwca czy lipca przenosił się Tadzik ze swym posłaniem – i ku naszej zazdrości rano opowiadał jak w nocy z gałęzi wiszącej nad stołem przyglądała się mu sowa swymi oczami „*błyszczącymi jak latarnie*”.

Kuchnia przylegająca do stołowego pokoju – wyposażona w ogromną płytę na osiem fajerek, opalana oczywiście drewnem – nie budziła większego zainteresowania. A jeżeli już – to w okresie świąt, gdy również Mama lub Babcia krzątały się tam przy pieczeniu ciast, tortów czy wielkanocnych mazurków. Zresztą wszystkie kucharki – a pamiętam ich kilka – „tępiły” naszą obecność w kuchni. Znacznie ciekawsza była druga kuchnia – gdzie „urzędowały” kuchenne dziewczęta i gdzie stał ogromny piec chlebowy wraz z tzw. *jamką*. W piecu chlebowym był wypiekany autentyczny wiejski chleb żytni – mniej lub bardziej razowy – wspaniale pachnący, zwłaszcza latem, gdy na *podkładkę* był używany świeżo zerwany tatarak lub klonowe liście. Ten tak zwany „kuchenny chleb”, krupnik czy zacierka smakowały nam znacznie lepiej niż jedzenie podawane w stołowym pokoju.

Na *jamce* – gdzie dziewczęta przygotowywały jedzenie dla siebie i innych robotników zatrudnianych na tzw. *gotowym stole* – był też robiony sękacz na święta wielkanocne. W chlebowym piecu przygotowywano *żar* (palący się węgiel drzewny), a na *jamce*, naprzeciw *żaru*, ustawiano urządzenie do „kręcenia” sękacza. Składało się z dwóch metalowych koziółków, na których wspierał się pręt z korbą i umieszczonym na nim stożkowym wałkiem o średnicy wnętrza sękacza i długości około 0,5 m. Robienie sękacza polegało na polewaniu wałka rzadkim ciastem utartym z sześćdziesięciu kurzych jaj. Ciasto ściekające z wałka zastygało pod wpływem żaru – a kolejno nakładane warstwy formowały się w ogromny sękacz. Nie było większej radości niż uzyskanie zgody na kręcenie korbą i obserwowanie jak warstwa za warstwą rosą piękne sęki... jak zaczarowane. W okresie Świąt, gdy było do wyboru wiele mazurków i tortów sękacz nie miał u nas powodzenia, ale był trwały i dopiero na „Zielone Świątki” bardzo smakował.

Dużą atrakcją kuchni była masywna *klódka* – niewysoki pień grubej sosny, stojący w kącie między dwiema kuchniami, przy wejściu z sieni. Na niej wymiary drewna przygotowywanego w *drewutni* były ostatecznie dostosowywane do potrzeb zarówno kuchni, jak i pieców ogrzewających wszystkie pokoje. Mówiąc ściślej – atrakcją nie była sama *klódka*, a rąbanie na niej drobnych szczapek – niezbyt ciężką siekierką, przeznaczoną do robienia „rozpałki”.

Inną atrakcją, którą z kuchni dobrze pamiętam z lat najwcześniejszego dzieciństwa był rymarz „domokrązca”. Pojawiał się w zimie, gdy zaprzęgi konne były mniej obciążone i właśnie w kuchni – między piecem chlebowym

a oknem – zakładał swój rymarski warsztat. Pod *powietką* wyprawiał skóry krów i koni, które „padły” w minionym roku, a w kuchni „remontował” drobniaczko każdy szczegół uprzęży, która miała służyć przez cały następny rok. Robił też nowe komplety. To trwało kilka tygodni, a wizyty, które mu składaliśmy – gdy był w dobrym humorze – bardzo urozmaicały długie zimowe popołudnia.

Sień mieszcząca się w przybudówce, i piwnica czy strych domu nie zapisały się w mej pamięci jako miejsca szczególnych dziecinnych emocji i przeżyć. Były częścią DOMU, bo na strychu aż do większych mrozów były przechowywane jabłka rozłożone na słomie... bo w sieni – w spiżarnianych szafach – Babcia przechowywała pyszne kandyzowane śliwki i gruszki, w których się specjalizowała (a my „dobieraliśmy się” do nich)... bo w piwnicy stały wielkie beki ze świetną kiszoną kapustą i dzieże, w których „dojrzewało” ciasto na chleb, bo... Tych związków i skojarzeń pozostało dużo, ale niezbyt wyraźnie wpisują się w obraz DOMU mego dzieciństwa – jako niepowtarzalnej całości.

Ogród i polowa dróżka

Schodząc ze schodów ganku i skręcając w lewo (patrz szkic na str. 15) – mijało się jeden z dwóch starych klonów rosnących przed domem. Dalej mijało się piękną brzozę rosnącą przy jego narożu – i dochodziło do „kwiatowego królestwa” Mamy. Wzdłuż szczytowej ściany domu – pod którą rosły odporne na mróz brzoskwinie, morele i winorośl – ciągnął się szeroki kwietnik. Przed nim był duży okrągły klomb – a dalej znów szeroki pas róż, piwonii, floksów... Po prawej stronie – podobny pas kwiatów odgradzał okrągły klomb od trawnika utrzymywanego na *gazonie*. Nieco w głębi – na wysokośći wspominanego już szeregu dużych klonów i jesionów – rosła zwarta kępa bzów otaczających altanę ze stolikiem i ławkami. Po lewej stronie tę całą kwiatową przestrzeń oddzielał – od ogrodu – „wał bzów”, stanowiących przedłużenie „jaśminowego wału” rosnącego pod oknami domu. Za nimi ciągnął się sad.

Wchodząc do sadu przez „lukę” między krzewami – z jednej strony jaśminu, a z drugiej bzu – szło się dalej spacerową ścieżką obsadzoną zimotrwałymi narcyzami, które już wczesną wiosną wychodziły z ziemi jak gęsta szczotka i kwitły długo. Ścieżka kończyła się na skraju starego sadu, gdzie rósł szpaler porzeczek i agrestu. Porzeczki rosły też w innych miejscach ogrodu, ale tu były największe i najśłodsze – zwłaszcza białe. Tu najwięcej gnieździło się też pliszek i sikorek. Były jeszcze mniej płochliwe niż słowiki w jaśminach pod naszymi oknami. Gdy przechodziliśmy sfruwały z gniazda, ale siadały na nieodległej gałęzi i głośnym ćwierkaniem wyrażały swoje niezadowolenie. Do gniazda wracały od razu po naszym odejściu.

Skręcając ze ścieżki w lewo szło się do kępy dużych świerków, pod którymi były wysypywane „odpady” powstające w wyniku „obierania” grzybów przynoszonych z lasu i gdzie czasami – w związku z tym – potrafiły rosnąć grzyby (przeważnie były to rydze). Pod tymi świerkami pamiętam zagrodę, w której zostały umieszczone trzy młode dziczki (prosięta dzika). Trafiły do dworu, bo w sąsiedniej wsi Dołha wpadły do dołu używanego do przechowywania w zimie ziemniaków. Niestety kuchenne dziewczęta dały im parzone ziemniaki zamiast surowych i wszystkie dziczki zdechły – co oplakaliśmy rzewnymi łzami.

Skręcając z „narcyzowej” ścieżki w prawo wychodziło się na tzw. *polową dróżkę*, która biegła równolegle do gościńca, od alei wjazdowej przez cały ogród aż pod *łysą górę* i dalej do lasu zamykającego horyzont. *Polowa dróżka* stanowiła „oś” ogrodowego kompleksu o powierzchni kilkunastu hektarów. Ogród z jednej strony sięgał gościńca, a z drugiej – *małego stawku* na dopływie Spuszaneki i łąk otaczających olszynę rosnącą wzdłuż tego dopływu (w przybliżeniu równoległego do gościńca).

Najstarsze drzewa owocowe rosły w bezpośrednim otoczeniu domu, między *polową dróżką* a *małym stawkiem* i wspomnianym szpalerem porzeczek. To ta część ogrodu była przez Babcię nazywana sadem – i wszyscy to akceptowali. W sadzie rosły najdawniejsze gatunki drzew owocowych: najwcześniej dojrzewająca grusza *małgorzatka* i później dojrzewające *bercy*; wczesne jabłka *papierówki*, *pepiny* z czerwonym *boczkiem* wieszane na świątecznej choince i ogromne, złociste *kamienne antonówki*. Na jednej ze starych jabłoni, rosnącej za „wałem bzów” – stryj Wiktor – zaszczepił na poszczególnych gałęziach różne, dawne i nowe gatunki jabłek. Dobrał je specjalnie dla nas od najwcześniejszych *papierówek* po zimowe *jonatany*. To była wielka frajda, gdy rówieśnikom można było imponować taką jabłonią – nie mówiąc oczywiście (przynajmniej w momencie pierwszej prezentacji), że jest to wynik szczepień prowadzonych przez Stryja przez wiele lat. Nieopodal tej „czarodziejskiej” jabłoni był duży *kwartał* malin różnych gatunków – także „uszlachetniony” przez Stryja gatunkami u nas nowymi. Największe powodzenie miały zawsze ogromne maliny biało-różowe. Twierdziliśmy, że gatunek ten preferuje nawet nasza ukochana „*Małpa*” – czarna wilczyca, która czasem chodziła z nami na maliny i potrafiła delikatnie, „jednym zębem”, zrywać je z krzaka i ze smakiem zjadać (stąd imię „*Małpa*”, bo nas „małpowala”).

Między *polową dróżką* a gościńcem i starym sadem rosły jabłonie w „średnim wieku”. Ten *kwartał* ogrodu zapewniał dzierzawcom najwięcej owoców. Tu były też plantowane truskawki, kapusta, groch, konopie... ale



Stryj Wiktor Lisowski w okresie studiów we Lwowie

główny ogród warzywny był po drugiej stronie domu, koło kuchni. Truskawki jedzone „prosto z krzaka” – to była nigdy nie nudząca się atrakcja dzieciennych lat – od czerwca do pełnego lata. W tej części ogrodu – najczęściej za altaną otoczoną bzami – swoją „budę” urządzali stróże pilnujący wydzierżawionej części ogrodu. To, co powszechnie



Stryj Wiktor Lisowski i stryjenka. Dziewczynki to Dzidka (Wanda) i Zosia – patrz strona 8 i 9 (1934 r.)

nazywano „budą” było w istocie obszernym i wygodnym szałasem, krytym słomianą strzechą. W głębi szałasów wysłanego słomą znajdowało się „legowisko” stróża, a w przedniej części były gromadzone tzw. „opadki” oraz jabłka zerwane, oczekujące na transport. Wybrane jabłonie, grusze i śliwy były wyłączone z dzierzawy i z tych drzew mieliśmy owoców pod dostatkiem – ale wizyty w „budzie” stróża zawsze kusily czymś nowym. Nie pamiętam stróża, który pracowałby w Lacku przez dwa sezony, ale wszyscy byli przyjacielscy i zapraszali nas do siebie.

Za tym ogrodem „średniego wieku” i za starym sadem – wzdłuż *polowej drożki*, między gościńcem a łąkami i olszyną – ciągnął się wielohektarowy młody ogród owocowy. To było „oczko w głowie” stryja Wiktora – zamiłowanego ogrodnika. Pracował i mieszkał w Brześciu nad Bugiem, gdzie był „Naczelnikiem Odcinka Drogowego”. Wiedzieliśmy, że

w Kolejach Państwowych to była duża „figura” nadzorująca stan techniczny torów kolejowych w północnych województwach kraju i że jeździ służbową salonką. Bardzo to nam imponowało, ale kochaliśmy go za to, że większość swoich urlopów spędzał w rodzinnym Szczuczynku i również w Lacku. Stryjenka – znana lekarka szkolna – przeważnie wyjeżdżała na urlopy za granicę (choć *zrobiła* również z Dzidką spływ kajakowy Prypecią), a Stryj wolał poświęcać je swym zamiłowaniom ogrodniczym. Mamie przywoził, ze swych hodowli w Brześciu, bulwy najnowszych gatunków dali, które tak pięknie rosły przed domem. Za jeden z nich, przez siebie „wyprowadzony” i nazwany „Pani Marta” (od imienia swojej pierwszej żony) – otrzymał nagrodę na jednej z krajowych wystaw ogrodniczych. Morele, brzoskwinie i winorośle – wytrzymujące nasze kresowe zimy – też pochodziły z Brześcia. Ojcu doradzał, a właściwie dyktował – jakie gatunki drzew owocowych należy wprowadzać do powiększanego ogrodu, jak je nawozić i pielęgnować. Już wówczas pojawiły się w Lacku gatunki jabłek, na Kresach zupełnie nieznane:

kosztele, malinowe oberlandzkie ... delicjusz tak aromatyczne, że ugryzienie jednego jabłka nappełniało wspańiałym zapachem cały pokój.

Nas uczył jak szczepić owocowe drzewka (mówił o „oczkowaniu” drzew) i jak ratować je po ogryzieniu pnia przez zające. Po bardzo śnieżnej zimie – chyba w 1930 lub 1931 roku – okazało się, że niemal co piąte młode drzewko jest zagrożone bądź uschnięciem w wyniku ogryzienia kory na całym obwodzie pnia, bądź znacznym spowolnieniem przyrostu spowodowanym częściowym ubytkiem kory. Stryj pracował wówczas niezmordowanie, zastępując brakującą korę swoistymi „bajpasami” – gałązkami wziętymi z korony drzewka i wszczepionymi w korę pnia – nad i pod pierścieniem pozbawionym kory. Bardzo przeżywalismy tę „akcję ratowniczą”! Stryj pozwalał nam „operować” niektóre drzewka – tam gdzie na obwodzie pnia pozostał pas kory nieogryzionej i gdzie nasza bardzo prawdopodobna „fuszanka zabiegu” nie decydowała o przeżyciu drzewka. Skuteczność „akcji” okazała się bardzo duża. W następnych latach mogliśmy obserwować jak szybko większość zagrożonych drzewek odbudowała normalny przepływ soków i osiągała dobre przyrosty.

Idąc *polową dróżką* aż na skraj młodego ogrodu owocowego – dochodziło się do łąki, która wąskim pasem przedzielała pola ciągnące się w stronę lasu. Za tą łąką – przekraczając mostek nad niewielkim ciekim wodnym – osiągało się podnóże *łysej góry*. Tak było nazywane niewysokie morenowe wzgórze, na którego szczycie od niepamiętnych czasów był pozyskiwany piasek i żwir. We dworze odbudowywanym „po bolszewikach” piasek był potrzebny głównie do produkcji betonu i betonowych prefabrykatów (dachówek, pustaków). Żwir był używany najczęściej do utwardzania dróg i podjazdów, między innymi do likwidowania błotnych kałuż na lackowskim dziedzińcu. Doły po wybranym piasku i żwirze były ogromne. Robiliśmy wyścigi kto szybciej z takiego dołu wdrapie się na stromą skarpę. Zadanie nie było łatwe. W ogóle był to teren pusty i trochę tajemniczy – co sprawiało że wyprawy na *łyśą górę*, były dość wysoko punktowane w repertuarze naszych eskapad.

Dalej *polowa dróżka* prowadziła – przez jeszcze jedną łączkę – na skraj lasu, gdzie były dobrze zachowane okopy z pierwszej wojny światowej. W nich „trzymały front” wojska rosyjskie, a wojska niemieckie atakowały od strony Lacka. Efektem były dwa cmentarze – każdy ze zbiorowymi mogiłami ponad 100 zabitych – jeden przy alei wjazdowej do dworu, a drugi przy gościńcu na skraju lasu. Około 1930 roku na obydwu cmentarzach przeprowadzono ekshumacje – co było dla nas ogromną sensacją. Ekipa ekshumacyjna zajmowała się głównie tym co pozostało z ciał zabitych, natomiast z resztkami ubrań i przedmiotów wydobywanych z grobów obchodziła się dość bezceremonialnie. Po tych wydarzeniach w naszych „skarbach” przez dłuższy czas były przechowywane: metalowy „szpic” od pruskiej „pikielhau-by”, klamra od pasa z napisem „Gott mit Uns” i kawałek dobrze zachowanej

gazety „Berliner Zeitung”. W okopach, gdy się trochę pogrzebało w piasku, można było znaleźć karabinowe łuski, a raz znaleźliśmy nawet rosyjski bagnet – niestety w połowie ułamany.

Las i nasze zwierzęta

Za linią okopów (patrz szkic na str. 13) zaczynał się las – najpierw brzozy młodniak – jesienią z mnóstwem kozaków i czerwonołowiec – a głębiej stary sosnowy las. Choć nie rosły w nim sosny tak wspaniałe jak w sąsiednich lasach Spuszy księcia Sapiehy – określone przez ekspertów jako najwyższe w Europie¹¹⁰⁾ – był to jednak las „z prawdziwego zdarzenia”. Bywało w nim sporo grzybów, zwłaszcza *lisic* (kurek) i borowików. Ale najwięcej borowików było w znacznie młodszym lesie sosnowym, który po drugiej stronie gościńca – ciągnął się w kierunku wsi Bale i wsi Worony, przy szutrowej szosie Grodno – Lida. Cały, niezbyt zresztą duży obszar leśny – tylko częściowo należący do Lacka – znaliśmy dobrze. Razem z Rodzicami i z Tadzikiem był penetrowany w czasie jesiennych wypraw na grzyby. Był to las tym ciekawy, że łączył się przez mniejsze laski, z dużym kompleksem lasów należących do dóbr Spuszy (ciągnących się w kierunku Kamionki), z lasami państwowymi ciągnącymi się w kierunku Puszczy Ruskiej (Grodzieńskiej) i wreszcie z lasami Szczuczyńskich dóbr księcia Drucko-Lubeckiego ciągnącymi się w kierunku Puszczy Zaniemeńskiej (Lipiczańskiej). Nie było w nim wprawdzie większych „mateczników”, ale jak wszędzie na naszych Kresach, było sporo zwierzyny „wędrującej”, która pojawiała się okresowo.

W czasie śnieżnej zimy, gdzieś na początku lat trzydziestych, wilki potrafiły nocą podchodzić pod sam dom i to wówczas porwały bardzo przez nas lubianego psa Puszka. Był to biały szpic, miły i wesoły psiak, z jednym okiem różnym od drugiego. Gdy poszliśmy z Tadzikiem po śladach do lasu

– znaleźliśmy tylko jego ogon i trochę skóry. Chyba w tym samym roku, latem – wilki podkopały się w Karalowszczyźnie do owczarni i – jak to się mówiło – „zarżnęły” 18 owiec. Jedną rozszarpały i zjadły koło owczarni, a drugą zaciągnęły na łąkę nad Spuszą i zakopały „na potem”.



Dalsze wyprawy – oczywiście w towarzystwie psów – często odbywały się takim zaprzęgiem

Dwa „półwilki” mieliśmy wśród naszych psów podwórzowych. Dostaliśmy je od Stryja Wiktora, a On otrzymał je od *dróżnika* kolejowego, którego

pies – suczka „zaprzyjaźniła” się z leśnym wilkiem. Miały wygląd prawdziwych wilków – charakterystyczny „sztywny kark” i „truchtały trochę bokiem” – ale były przy tym mądre i przyjazne. Mój „*Popiołek*” padł młodo na nosaciznę, natomiast „*Wilczek*” żył do czasów wojny. Był tylko ten kłopot, że gdy dochodziło – przy okazji naszych dalszych wypraw – do starcia między „*Wilczkiem*” a jakimś wiejskim kundlem – wynik był przesądzony. Kundel – nawet znacznie większy od niego – był momentalnie przewracany uderzeniem barku i zostawał na polu walki z przegryzionym gardłem. Były oczywiście związane z tym nieprzyjemności. Na szczęście to nie on atakował, a kundla, które czuły w nim wilka. Ułatwiało to sytuację, ale i tak musieliśmy go bardzo pilnować.

W Lacku mego dzieciństwa stale były hodowane jakieś dzikie ptaki lub czworonogi. Pierwszym ptakiem, którego pamiętam, był bocian. Jako „nadliczbowy” – został wyrzucony z olbrzymiego gniazda, „siedzącego od zawsze” na szczycie dachu *lepianki*, nad *odryną*. Początkowo hodowaliśmy go pod *powietką*, ale pod koniec lata chodził już zupełnie samodzielnie po całym dziedzińcu – razem z psami. Zimą przychodził regularnie do kuchni na posiłki i dopiero następnej wiosny, gdy już dobrze latał – „przepadł”, prawdopodobnie ze znaną partnerką.

Chyba w następnym roku Siwy Wujek z Małej Bobry (Kazimierz Docha – jego matka i Matka mego Ojca, z domu Jodkowska, były siostrami) przywiózł nam w klatce dwa małe kruki. Zostały wybrane z gniazda w lesie przylegającym do zabudowań dworku, a fakt, że tam gniazdowały, Wuj tłumaczył bliskością Puszczy Augustowskiej. Były to ptaki dla nas zupełnie nowe, bo w naszych stronach kruków nie było. Wkrótce tak się oswoiły, że klatkę stojącą na ganku zostawialiśmy otwartą. Wychodziły z niej na coraz dalsze wyprawy, ale wracały na „jedzenie i spanie”. W jesieni, gdy były prawie dorosłe, do klatki już nie wchodziły. Jedzenie zdobywały własnym przemysłem a na dodatkowe dokarmianie najchętniej „chodziły” do kuchni. Właściwie większość trasy przebywały „podlatywaniem” i skokami, a „*poważnymi krokami*” – jak pisał Mickiewicz w „Panu Tadeuszu” – chodziły tylko na krótkie dystanse, na przykład, gdy w kuchni otrzymały kawałek chleba i trzeba było zanieść go za *klódkę* do rąbania drewna, aby tam starannie wepchnąć w kąt „na czarną godzinę”. Z psów, które zawsze kręciły się koło domu, nic sobie nie robiły, ale skrupulatnie utrzymywały dystans około jednego metra. Gdy chcieliśmy je mieć blisko wystarczyło zawołać przed domem kilka razy: „*Kubuś... Kubuś*”! Przeważnie nadlatywały nie wiadomo skąd. Jeden z nich podskakiwał blisko, wlatywał na wyciągniętą rękę i potrafił spokojnie siedzieć na ramieniu. Drugi był bardziej nieufny i wołał paradować w odległości paru metrów. Obydwa były równie duże i piękne – nie do rozróżnienia. Każdy z nich był „*Kubusiem*”. Pod koniec zimy zaczęły pojawiać się coraz rzadziej, a wiosną zniknęły całkowicie. Może przeniosły się w rodzinne strony?



Ojciec i Wojtuś przed domem w Lacku

który widocznie smakował bardziej niż „zielenina”. „Wojtuś” – koziołek – był bardziej ufny i przyjacielski niż „Baśka”. Oceniliśmy, że najbardziej lubił Ojca. Chętnie za nim chodził po ogrodzie i dziedzińcu. Kiedyś zadziwił



Tadzik z Wojtusiem

wszystkich, gdy wczesnym rankiem, znalazł otwarte drzwi do domu i do sypialni Rodziców i cały w rosie, wskoczył Ojcu na łóżko. Jako pewna osobliwość – był czasem prezentowany gościom, ale tego wyraźnie nie lubił, bo w salonie kopytka ślizgały się mu na froterowanej podłodze. W miarę dorastania sarenki były coraz bardziej samodzielne. Zaczęły zaglądać do lasu, ale wracały i trzymały się domu przez całą zimę. Dopiero wczesną wiosną przestały wracać i słuch po nich zaginął. Mieliliśmy nadzieję, że może dołączyły do wędrującego stada saren, ale nie było pewności czy niestety nie stały się łupem kłusowników.

Z dzikich czworonogów, które hodowaliśmy w Lacku, najbardziej mi się upamiętniły dwie sarenki przyniesione przez gajowego. Matkę prawdopodobnie zabili kłusownicy – małe wymagały więc opieki rozpoczynającej się od smoczka, używanego do „ratowania” słabych jagniąt. Sarenki szybko rosły i szybko się usamodzielniały. Same wybierały sobie miejsce do spania w ogrodzie. Psów w ogóle się nie bały, a psy też nimi się nie interesowały. Trawy miały wszędzie pod dostatkiem, ale chętnie przychodziły również do kuchni po chleb,

Spośród innych mniejszych zwierzątek dobrze pamiętam jeża, na którego natknęliśmy się w ogrodzie, i który na nasz widok nawet się nie zwinął w swój „jeżowaty” kłębek. Okazało się, że miał ranę

Wielką naszą radością, przez dłuższy czas, była mała wiewiórka, którą zdobył Tadzik – tylko sobie znanym sposobem. Bardzo szybko oswoiła się nie tylko z nami, ale z całym domem. Klatkę, która stała w naszym pokoju na szafie – traktowała jak dziuplę, do której wracała tylko wówczas, gdy miała ochotę. Buszowała po całym domu, gdzie mogła i jak chciała. Była towarzyska, więc gdy wszyscy siedzieli w stołowym pokoju przy obiedzie – lubiła być razem. Uznając, że człowiek siedzący na krześle niczym nie różni się od drzewa – szybko wdrapywała się po nim i siadała na ramieniu. Gdy na stole było coś ciekawego – na przykład kawałek skórki od chleba lub orzech położony dla niej – wskakiwała między talerze i półmiski jak baletnica. Czasem od razu pałaszowała łup, trzymając go w dwóch łapkach, ale przeważnie wracała na upatrzone miejsce na czyimś ramieniu – i niestety – czasem również na głowie. Tego właśnie najbardziej bała się Babcia, która zaplatała na głowie duży kok. Nie lubiła też jak wiewiórka biegała w górę i w dół po firankach i przeskakiwała od jednego okna do drugiego – traktując tę gonitwę jako świetną zabawę. „Konflikt” Babci z wiewiórką narastał, aż chyba po roku – gdy nie było nas w domu – wiewiórka przepadła. Podejrzewaliśmy, że Babcia zaniósła ją do lasu – skąd już nie umiała wrócić – ale nie wiem czy podejrzenie było słuszne. Rzeczywista przyczyna zniknięcia wiewiórki nigdy nie została wyjaśniona.

Charakterystyczne dla naszych dzieciennych lat było nie tylko hodowanie wszystkiego co się dało – i na co była zgoda Rodziców – lecz także łapanie, po to żeby obejrzeć, żeby pokazać Mamie, Tacie czy jeszcze komuś innemu i żeby wypuścić! Moment wypuszczenia był chyba nie mniej przyjemny niż moment złapania. W tym procederze celował Tadzik, który na naszą prośbę potrafił złapać, na przykład sowę mieszkającą w stodole, bo miała tam swój niewyczerpany „magazyn” myszy. Nas ustawiał przy szczytowych oknach stodoły, żeby sowa nie uciekła, a sam, gdy parę razy przeleciała między „zablokowanymi” oknami i była już zmęczona – nakrywał ją kurtką lub zdjętą koszulą. Oglądanie złapanej sowy, ewentualnie pokazanie jej komuś i wypuszczenie w tęże stodołę, żeby „dalej łapała myszy” – było wielką przygodą. Prawie taką jak – wspominać już – podglądanie małych ptaków w ich gniazdach – gdy wysiadują małe, gdy je karmią i gdy później uczą je fruwać.

Jednak największą przygodą (z tego „gatunku”) było podglądanie ptaków, które budowały swe gniazda na drzewach lub w dziuplach. Aby udostępnić nam tę możliwość Tadzik doskonalił nasze „wrodzone” zdolności do wspinania się na drzewa. Wpajał nam – zawsze obowiązującą zasadę – utrzymywania na drzewie „trzech punktów podparcia”: albo dwie nogi i jedna ręka, albo obydwie ręce i jedna noga. W trudniejszych wyprawach – a do takich należało, na przykład zagłębienie do bocianiego gniazda z wysokiej lipy rosnącej między *lepianką* a stodołą – ułatwiał pokonanie wysokiego pnia i dosięgnięcie pierwszych gałęzi oraz ubezpieczał dalszą

„wspinaczkę”. Spektakle, które można było oglądać, siedząc wygodnie na gałęzi pod wierzchołkiem lipy – były zadziwiające. Jak bocian pozostający w gnieździe witał tego przylatującego, gdzieś z pól i łąk! Jak klekotał i zapraszał go do gniazda! Jak małe – przepychały się do pożywienia i cieszyły! Z czym mogły się równać takie widoki?

Bez Tadzika nigdy byśmy nie widzieli ogromnego puchacza, którego – jak opowiadał – widział już parę razy i zna miejsce jego dziennego snu. W odległości około siedmiu kilometrów od Lacka był las o nazwie Puchaczowszczyzna (należący do Kulbaczyna), byliśmy więc przekonani, że ten puchacz przywędrował stamtąd. Żeby go pokazać, poprowadził nas za *łysą górę* do gęstej olszyny. Po długim skradaniu się przez krzaczaste poszycie i zielska – najciszej jak potrafiliśmy – pokazał nam wysoki jałowiec w odległości może 8–10 metrów. Było to dziwacznie rozgałęzione „drzewko” – chyba jedyny jałowiec w tej na ogół podmokłej olszynie. Na wysokości człowieka – siedział na nim ogromny ptak. Głową – z niewielkimi uszkami i oczami jak „latarnie” (którymi prawdopodobnie w środku dnia słabo widział) – obracał tak, że nie poruszając tułowia patrzył to na nas, to zupełnie w przeciwną stronę. To niespokojne zachowanie trwało dobrą minutę aż ptaszysko rozpostarło skrzydła, chyba metrowej rozpiętości i bezszelestnie, jak duch spłynęło w głąb olszyny. Nigdy przedtem – ani później – nie widziałem puchacza na wolności, a jego widok w krzaku starego jałowca należy do najbardziej wyrazistych wspomnień dzieciństwa.

Gdyby nie Tadzik, który zabierał nas na swoje wyprawy – często organizowane specjalnie dla nas – dwór z całym jego gospodarstwem, dom i ogród oraz las i olszyna – nigdy nie utworzyłyby we wspomnieniach tak wspaniałej, zadziwiającej całości. Ale ta całość miała jeszcze inną część – dotychczas nieopowiedzianą – we wspomnieniach równie wyrazistą.

Dworskie zaplecze i Spuszanka

Schodząc ze schodów ganku i skręcając nie w lewo, a w prawo – dosłownie „wpadało” się na stare drzewko bzu. Normalnie bez przybiera formę krzaka – ten natomiast był drzewkiem. Widać go – między mną a naszą Panią Olgą – na już pokazanej fotografii lackowskiego domu (str. 24). Ten bez – na wysokości około dwóch metrów – miał poziomą gałąź, która dla Tadzika i dla nas – była najpierwszym przyrządem gimnastycznym. Spełniała funkcję drążka, na którym początkowo robiło się tylko zwis, a później ćwiczyło podciąganie na rękach – z liczeniem liczby podciągnięć – wykonywało się przewrotki itp. Tadzik potrafił podciągnąć się nawet dwadzieścia razy – co dla nas było wyczynem nie do powtórzenia. Nawet dorośli, zachęceni naszym przykładem, sprawdzali czasem swoje możliwości... i gałąź to wytrzymywała.

Idąc dalej, mijало się drugi z klonów rosnących przed domem i krzaki bzu, które zobaczyłem, gdy po raz pierwszy samodzielnie wyrzaleм przez okno stołowego pokoju – bez wdrapywania się na krzesło (str. 1). Jeszcze dalej – od naroża domu w kierunku alei prowadzącej do Lacka Kościelnego – biegł płotek, taki sam jak ten, który oddzielał gazon od dziedzińca. Wzdłuż niego – rósł „wał” starych bzów. Ciągnął się aż do alei – zamykając przestrzeń gazonu wysokim gąszczem, w którym gnieździły się roje kłótliwych wróbli. Przechodząc koło naroża domu przez furtkę w płocie wkraczało się w przestrzeń przykuchennego gospodarstwa domowego. Tu było miejsce na „podręczny” skład drewna opałowego, tu były ustawiane na specjalnych „regałach” konwie na mleko, był trzymany jakiś sprzęt ogrodniczy itd. Tę przestrzeń oddzielał od ogrodu warzywnego następny płot – ale to był płot wysoki i gęsty, zrobiony z prętów *łozy* „zaplatanych” między trzema poziomymi *żerdkami*. Miał zabezpieczać ciągnący się za nim ogród warzywny (i równocześnie stary sad) od przenikania ptactwa domowego, którego koło kuchni nigdy nie brakowało. Miał zabezpieczać – ale Babcia, która ogród warzywny traktowała jako swój „obszar kompetencji” – często narzekała, że ptactwo znowu „weszło w szkodę”.

Między tym wysokim płotem a krzakami bzu – biegła ruchliwa droga, łącząca gospodarstwo kuchni z gospodarstwem skupionym wokół dziedzińca. Dalej – łącząc się z aleją wjazdową – prowadziła do budynków zamieszkałych przez dworską służbę. Były to dwa budynki zlokalizowane dość daleko od domu – w pobliżu *małego stawku*. W każdym budynku były cztery mieszkania (stąd nazwa: *czworaki*) zajmowane przez, na ogół, liczne rodziny fornali. Nasz kontakt z ich dziećmi był praktycznie „żaden”. Dziś dziwię się, że tak mało o nich wiedziałem. Nie było jakiegoś zakazu zabawy z tymi dziećmi, bo Mama była ich „nadwornym” lekarzem – tak zresztą jak całej służby. Przybiegały do „Pani” ze swoimi skaleczeniami i „biedami”, a Mama odwiedzała je, gdy były chore. Ale one chodziły do pobliskiej szkoły podstawowej w Jewłaszach, my natomiast uczyliśmy się w domu. Później wyjechaliśmy do gimnazjum i liceum. Wiedzieliśmy, że zaraz po wojnie z bolszewikami, gdy Tadzik był w naszym wieku – bardzo przyjaźnił się z „Czaplukami” (synami pana Czapli – ekonoma) i swymi wyczynami przysparzał Mamie wielu kłopotów. Do legendarnych wyczynów Tadzika „stowarzyszonego z Czaplukami” należało strzelanie z karabinu w „stopę” artyleryjskiego pocisku (75 mm), który jako „niewypał” był wbity w jedną z belek lepianki (w tej części, gdzie mieściła się obora dworskiej służby). Tkwił w niej również „za naszych czasów” – aż do wojny – i nikt nie próbował go usunąć. Że pomysł strzelania z karabinu do tego niewypału nie zakończył się tragedią, można zaliczyć do cudów opaczności, która – jak mówiła nasza Mama – „czuwała wówczas nad tymi durniami”. Ani Sławek, ani ja – nie szukaliśmy kontaktów z dziećmi służby – a i one nas nie potrzebowały.

W bardzo wczesnym dzieciństwie – największą atrakcją w tym rejonie Lacka – był długi kawał szyny kolejowej – powieszony na starej wierzbie pochylonej ku drodze. Był to „gong”, oznajmający czas wyjścia do roboty i koniec dniówki. „Walić” w tę szynę kawałkiem żelaza mogliśmy tylko wówczas, gdy robił to *karbowy* – i to właśnie było wielką uciechą. Później „gong” nie był już używany – chyba dlatego, że zegarek przestał być rzadkością – i choć szyna nadal wisiała jako urządzenie alarmowe na wypadek pożaru, przestała być atrakcją.

Mijając *czworaki* – szło się drogą albo prosto w kierunku kościoła, albo skręcało w lewo, do mleczarni i młyna w Jewłaszach – gdzie ta lokalna droga łączyła się z gościńcem. Obydwa kierunki prowadziły w rejony Lacka – całkiem różne od tych, do których docierało się *polową dróżką*. Tę „inność” – wraz z perspektywą wspaniałej zabawy i przygody – zapewniała Spuszan-ka. Nie wiem czy należy ją nazywać rzeką, czy raczej rzeczką. To był jej górny bieg – jednak w rejonie Karalowszczyzny i Lacka formowała już całkiem rozległą dolinę. Łąki nad Spuszan-ką były wprawdzie miejscami zarośnięte krzakami *łozy*, ale dawały dużo dobrego siana. Zasilana wielu dopływami łąkowych cieków spod morenowych wzgórz – prowadziła dość wody, aby utworzyć w Jewłaszach duży staw i zasilać młyn wodny. Wysokość spiętrzenia na *grobli*, którą gościniec Szczuczyn – Dziębrów przecinał Spuszan-kę – wynosiła około 2–3 m, co odpowiednio podnosiło głębokość Spuszan-ki na długości blisko jednego kilometra. Tam, gdzie sięgało spiętrzenie – dla nas była to całkiem duża rzeka! W wielu miejscach – nawet Tadziki „nie miał dna”.

Powyżej spiętrzenia, woda sięgała przeważnie do kostek lub do kolan. Spuszan-ka była więc w istocie małą rzeczką choć prowadziła sporo wody. Podobnie poniżej grobli i dwóch mostów – przy których były zbudowane *zastawki* (służące do spiętrzania i spuszczenia wody) – Spuszan-ka znów stawała się sobą – tj. małą rzeczką. Jedynie za drugim z mostów – gdzie były zastawki do spuszczenia nadmiaru wody po ulewnych deszczach lub wiosennych roztopach – była tzw. *jama*, rozległa i głęboka na parę metrów. Latem, młodzież z Jewłasz przychodziła tu, aby się kąpać i aby również kąpać przyprowadzane konie. Za pierwszym z mostów – przy którym były zastawki doprowadzające wodę do stalowej turbiny młyna – było też głęboko, ale młynarz – pan Chona – zabraniał w tym miejscu kąpiele ze względu na wiry wodne wywoływane pracą turbiny. Dla nas Spuszan-ka – tam gdzie jej nurt był płytki – nie stanowiła większej atrakcji ani koło młyna, ani w pobliżu Karalowszczyzny. Staw natomiast i spiętrzony odcinek rzeki – były ogromną przyciągającą siłą, zwłaszcza latem!

W najwcześniejszym dzieciństwie, wyprawy nad rzekę nie były częste i odbywały się pod „ Eskortą” – najczęściej Tadzika. Dopiero upływające lata i przekonanie Rodziców, że już umiemy dobrze pływać – otworzyły nam

swobodny dostęp do rzeki. Ulubionym miejscem kąpielowym nie był staw. Był przy drodze, miał dość błotniste brzegi zarośnięte trzciną lub tatarakiem i rosło w nim dużo wodnych lilii. Ulubionym miejscem było kąpielisko „pod olchą” na środkowym odcinku spiętrzonej rzeki. Dochodziło się do niego ścieżką, którą „wydeptywaliśmy” przez uprawy – bez względu na to czy było to żyto, czy cokolwiek innego. Ścieżka prowadziła od ogromnego kamienia przy drodze do kościoła, w poprzek rozległego pola, do rzeki (patrz szkic str. 13). Na tym kąpielisku bywaliśmy najczęściej. Do wody wchodziło się z piaszczystej plażki, a dno – też piaszczyste – obniżało się stopniowo. Dopiero po przejściu z biegiem rzeki kilkunastu metrów „traciło się dno” i trzeba było pływać. Umiejętność pływania opanowaliśmy szybko, bo Tadeusz – gdy byliśmy jeszcze całkiem mali – robił nam tzw. pływaki. Były to – zrobione z długiej trzciny – dwa pęki o średnicy około 30 cm, połączone przeważnie trzema sznurkami. Delikwent uczący się pływać – leżąc na tych sznurkach między pękami trzciny – stopniowo opanowywał sztukę na tyle skutecznej pracy rąk i nóg, aby tzw. „pieskiem” utrzymywać się na powierzchni. Gdy próbował być samodzielny – czasem pił wodę – ale pływaki towarzyszące nauce zwiększały bezpieczeństwo i robiły z niej przyjemną zabawę. Umożliwiały też spływanie rzeką w kierunku młyna, albo płynięcie pod prąd w kierunku Karalowszczyzny.



Kąpielisko „pod olchą”. Fotografia z okresu, gdy w Lacku bywał Zygmunt Kuczyński – uniwersytecki kolega Tadeusza (1937 r.). W głębi, słabo widoczny ze swą panną

Możliwość pływania kajakiem od młyna aż do płycizn w górze rzeki – pojawiła się w naszym dzieciństwie dość późno – chyba w 1934 roku. To wówczas, Tadeusz – już jako student – wziął udział w kajakowym zlocie młodzieży akademickiej w Gdyni, organizowanym na „Dni Morza”. Zlot polegał na tym, że jego uczestnicy z różnych stron Polski mieli własnymi kajakami dopłynąć do Gdyni – na dzień największych uroczystości. Tadeusz – ze swym przyjacielem Mietkiem Cholewą, z pobliskiej Makasiowszczyzny – zrealizował wówczas „spływ gigant”, który mnie „oczarował” i „zaraził” kajakarstwem na całe życie.



Miecio Cholewa (z lewej) i Tadeusz jako studenci USB w Wilnie

Miesiąc przed datą spotkania ruszyli z miejscowości Mosty nad Niemnem – między Szczuczynem a Wołkowyskiem. Płynęli Niemnem, przez Grodno do ujścia Czarnej Hańczy (130 km); dalej Kanałem Augustowskim (102 km); następnie Biebrzą do Narwi i Bugu, aby osiągnąć Wisłę pod Modlinem (334 km). Stąd płynęli już Wisłą do Bałtyku i morskim wybrzeżem do Gdyni (425 km). Sumaryczna długość spływu wyniosła blisko 1000 km – a trzeba pamiętać, że były to czasy, gdy dwaj studenci nie mogli sobie pozwolić na drogi sprzęt. Płynęli zwykłym „dykciakiem”! Ponieważ w „dykciaku” nie mieścił się ówczesny namiot – spali pod gołym niebem, okrywając się „burką” ze spuszańskiego samodziału, a w razie załamania pogody nocowali w stogu siana na łąkach lub w stodole u „przybrzeżnego” gospodarza. Mieli tylko spirytusową, turystyczną maszynkę – więc gdy były po temu warunki – zamieniali ją na zwykłe ognisko.

Do rodzinnej legendy przeszło opowiadanie Tadzika – jak to Miecio „piekł kurę w glinie”. Otóż Miecio, w pewnym momencie ogłosił, że ma w żyłach tatarską krew i, że jego przodkowie na wojennych wyprawach umieli w ognisku upiec w glinie pysznego „kuraka”, bez oskubywania go z pierza. Zdobył „kuraka”, starannie oblepił go gliną i w wielkim ognisku – gdy było już dużo *żaru* – zaczął go piec. Wszystko szło świetnie, dopóki w ognisku nie nastąpił niespodziewany wybuch. Okaza-

ło się, że potomek tatarskich wojowników zapomniał kurę wypatroszyć i to jej wnętrzności – pachnące niezbyt przyjemnie – spowodowały ten wybuch. Miecio oczywiście gwałtownie zaprzeczał tej wersji wydarzeń – gdy z okazji różnych spotkań towarzyskich były przedmiotem żartobliwych opowieści. Twierdził, że to „*potwarz i wymysł przewrotnej kajzerki*” – przy czym celowo używał przezwiska, którym „ochrzczono” Tadzika jeszcze w gimnazjum Jezuitów, i które w owym czasie było niechybnym sposobem na



Tadeusz i Mietek – w czasie spływu. W Toruniu spotkali się z bratem Mietka, który był tam adwokatem (jest w mundurze, bo właśnie odbywał ćwiczenia)

sprowokowanie go do ataku i gwałtownej bitwy. Prawdziwej wersji wydarzeń – uzgodnionej między obydwojema uczestnikami „spływu giganta” – nigdy nie usłyszeliśmy.

Jednak opowieści o wyprawie – zakończonej sprowadzeniem kajaka na naszą Spuszanekę – zasiały we mnie marzenie o kajakowych spływach jako najlepszym sposobie spędzania wakacji. „*Oliwy do ognia*” tych marzeń dolała, głośna w tamtych latach, fantastyczna wyprawa nauczyciela gimnastyki w jednym z wileńskich gimnazjów (tak zwanego „Kilometra”), który przepłynął kajakiem z Gdyni do Indii. Płynąc stale wzdłuż brzegu – (podobno) okrążył Europę, przepłynął morze Śródziemne wzdłuż Afrykańskiego brzegu i po pokonaniu kanału Sueskiego i okrążeniu półwyspu Arabskiego – dotarł do Kalkuty. Kajakowe marzenia mogłem realizować niestety, dopiero po trzydziestu latach i tylko w „lokalnej” skali, gdy w 1959 roku kupiłem „Neptuna” – świetny składak produkowany wówczas na Mazurach.

Spuszaneka miała także swój dopływ, o którym już wspominałem. Idąc drogą od „czworaków” w kierunku kościoła, dochodziło się do mostku nad tym dopływem i do *małego stawku*. Sam stawek, jako miejsce wodopoju krów, koni i także naszych osiołków – nie był specjalnie ciekawy – choć hodowały się w nim piękne karpie. Znacznie więcej atrakcji krył mostek, bo pod nim – w strugach wody ciekącej przez nieszczelne zastawki – lubiły „siedzieć” kielbie i miętusy. Nie było możliwości łapania rękami dużych karpie w stawku, natomiast tu – warunki były sprzyjające. Złapanie rękami pod kamieniem śliskiego i „węzowatego” miętusa – z jego bardzo brzydką „wąsatą głową” – było wyczynem, który dawał ogromną satysfakcję.

W zimie sytuacja się zmieniała. Stawek zamarzał i stawał się rozległą ślizgawką. Wystarczyło ominąć przereble wykonywane przy brzegu jako miejsca wodopoju – żeby nie tylko ślizgać się na stawku, ale robić również wyprawy w górę strumienia, w głąb starej olszyny. Łyżwy mocowane do zimowych butów za pomocą blaszki wmontowanej w obcas i uchwyty zaciskanych śrubą na podeszwie buta – mieliśmy od najwcześniejszego dzieciństwa. Wyprawy po lodzie w górę strumienia były najciekawsze zaraz po jego zamarznięciu, gdy lód był jeszcze cienki i przezroczysty. Wówczas można było oglądać cały podwodny świat płytkiego strumienia jakby pod „mikroskopem” – w bezpośrednim zbliżeniu! Widziało się nawet żaby mniej lub bardziej „zakopane” w mule i jakby pogrążone w letargu. W nieco późniejszych latach, gdy Siwy Wujek przywiózł do Lacka i wpuścił do *małego stawku* trzy duże kosze raków nałapanych w Biebrzy płynącej przez łąki Małej Bobry – pod lodem można było zobaczyć również raka, który nie wiedzieć czemu nie skrył się gdzieś głębiej pod korzeniami starych olch. To były fascynujące odkrycia! Szkoda, że „spektakl” zniknął po pierwszej śnieżycy. Zamarznięty strumień umożliwiał jednak dotarcie w te bagniste rejony olszyny, które latem były praktycznie niedostępne. Tylko ta jedna okoliczność

stanowiła wystarczającą motywację, żeby posuwać się w górę strumienia możliwie najdalej, aż do miejsc, w których strumień nie zamarzał nawet w tęgie mrozy.

Karalowszczyzna

Za mostkiem – idąc w stronę kościoła, zaraz na górze – dochodziło się do starej wierzby i wspomnianego wyżej ogromnego kamienia, od którego „wydeptywaliśmy” ścieżkę do kąpieliska „pod olchą”. Pokonując następnych kilkaset metrów i skręcając w boczną drogę, schodziło się w dół do Spuszan-ki. Tu droga ta – po przecięciu innej drogi łączącej wieś Nomejki z Lackiem Kościelnym – prowadziła poprzez płytki bród prosto do folwarku Karalowszczyzna (przypominam szkic na str. 13). Pod dom mieszkalny folwarku – stojący na wyniosłym wzgórzu nad Spusząnką – prowadziła aleja długości co najmniej kilkuset metrów. Jesiony, klony i lipy rosnące w tej alei – były wspaniałe! Starsze i znacznie większe niż drzewa w Lacku.

Niestety – w roku chyba 1931 – nad Karalowszczyzną przeszła trąba powietrzna, która „powaliła” tę aleję. Pozostały z niej tylko nieliczne, okaleczone drzewa. Na szczęście trąba ominęła dom mieszkalny oraz otaczające go drzewa i duży sad na zapleczu. Trąba „zahaczyła” jeszcze tylko o stodołę stojącą dość daleko od dworku, za niewielkim obniżeniem terenu i łąką. Stodoła została wówczas zamieniona w stos splątanych belek i „płatów” zwalonego dachu. Stodoły Ojciec nie odbudował więc w folwarku Karalowszczyzna – nie licząc pomocniczych zadaszeń – był właściwie tylko dworek i sad. Dworek był mniejszy niż w Lacku, ale był do niego podobny. Od frontu też miał ganek z czterema drewnianymi kolumnami, a różnił się głównie tym, że również od strony sadu był drugi bliźniaczy ganek (tzw. weranda).

Sad był stary i czemuś od strony pola otaczał go głęboki rów. Między drzewami owocowymi były rozstawione ule – duża pasieka księdza Szkopa. Największą atrakcją Karalowszczyzny był w owym czasie właśnie ksiądz Szkop. Wiedzieliśmy, że wybudował kościół w Lacku i że był przez wszystkich bardzo szanowany. Już za naszej pamięci w lackowskiej plebani odbyła się wielka uroczystość – chyba sześćdziesiątej piątej rocznicy urodzin księdza Szkopa. Był to prawdziwy zjazd księży i przyjaciół jubilata. Najważniejsze jednak było to, że ksiądz Szkop nas lubił i że nie bał się pszczół. Nie tylko chodził wśród uli z odkrytą głową – całkowicie siwą – ale otwierał je i zaglądał do nich nie nakładając siatki. Bardzo to nam imponowało! Gdy pokazywaliśmy się w Karalowszczyźnie częstował nas plastrem miodu! Nie miodem ze słoika – bo to była codzienność – a kawałkiem autentycznego plastra z zasklepionymi komórkami, z których miód trzeba było wysysać, a wosk „odkładać” dla pszczół. Gości (dorosłych) podejmował pitnym miodem własnej roboty – podobno znakomitym. Gdy zmarł – parę lat przed

wojną – w dworku pozostał Walerek (ekonom), a pszczołami zajmowała się Walerkowa. Niestety z odejściem Księdza Szkopa bardzo zmniejszył się wyjątkowy urok tego miejsca.

W Karalowszczyźnie – jak w całym „lackowskim świecie” – były „czarowne” miejsca, do których chętnie zaglądaliśmy. Najbardziej tajemnicza była tzw. *krynica*. W istocie było to źródło bijące spod wzgórza, na którym stał dworek, ale przy samej ziemi było otoczone drewnianym, mocno przegniłym, zrębem – co nadawało mu postać starej „zaginionej studni”. Krynica była skryta pod krzaczastą olchą, więc na jej dnie zalegały liście. Mimo to – woda bijąca z tego dna była zawsze bardzo czysta, zimna i smaczna. Picie wody z *krynicy* – w czas upalnego lata – należało do wielkich przyjemności, a żaby i traszki, które w niej „kwaterowały” – wcale nam nie przeszkadzały. Odwrotnie – traszka, której nigdzie poza sąsiedztwem *krynicy* nie udawało się zobaczyć – była wielką atrakcją tego uroczyska.

Innym „czarownym miejscem” Karalowszczyzny była kępa starych sosen rosnących w polu – w odległości kilkuset metrów od fundamentów powalonej stodoły. To właśnie, że te sosny rosły zupełnie w polu, że były bardzo grube i stare i że pod nimi można było znaleźć najpiękniejsze szyszki – używane do strojenia świątecznej choinki – przesądzało o ich atrakcyjności. Istotne było również to, że w tej kępie sosen, w niedostępnych koronach – gnieździły się czasem ciekawe ptaki – nawet myszołowy i jastrzębie. Zawsze samotność tej kępy sosen na wzniesieniu i widok, który się stąd roztaczał na dolinę Spuszanek, na pola ciągnące się między nią i olszyną – aż hen po las i po rodzinny dom – były źródłem dziecinnych odczuć trudnych do określenia.

Trafialiśmy tu rzadko – bo dalej droga prowadziła już tylko do folwarku Nowosady państwa Moraczewskich (u których Rodzice „nie bywali”) oraz do Kulbaczyzna, gdzie można było dojechać „na skróty” przez lasy o nazwie Horbowo. Wyprawy do Kulbaczyzna – choć niestety nieczęste – były zawsze dużą atrakcją. Jednym z „magnesów” ciągnących do Kulbaczyzna był staw spiętrzony na niewielkiej rzeczce, tuż za ogrodem. Dużej, wiosłowej łódki, którą pływało się po tym stawie – w Lacku niestety nie było.



Staw w Kulbaczyźnie i łódź, której zazdrościliśmy naszym ciotecznym braciom

Mleczarnia, młyn i staw

Żeby zakończyć opis rzeczywistości, która była światem mojego dzieciństwa, muszę się cofnąć do alei prowadzącej sprzed domu i dziedzińca – w kierunku kościoła. Gdy za budynkami „czworaków” – zamiast iść prosto

przez mostek – skręcało się w lewo wówczas dochodziło się najpierw do mleczarni, a następnie do młyna (patrz szkic na str. 13).

Mleczarnia została wybudowana już za mojej pamięci. Jej powstanie miało związek z wieloletnią pracą społeczną prowadzoną przez Ojca wśród chłopów z okolicznych wsi. Celem pracy była gospodarcza aktywizacja chłopskich gospodarstw – pogrążonych w owym czasie w dziś niemal niewyobrażalnej „pозaborowej” i powojennej biedzie. Jej „świadectwem” była *kurna chata* stojąca w Janczukach przy trakcie Szczuczyn – Dziębrów – na szczęście jedyna w naszych stronach. Środkiem do aktywizacji była Kasa Stefczyka „ucząca” gromadzenia nawet najskromniejszych oszczędności oraz upowszechnianie hodowli mlecznych krów i skup mleka przez miejscową mleczarnię. Budynek, w którym mieściła się mleczarnia i mieszkanie kierownika mleczarni – Ojciec wybudował z własnych funduszy na gruntach Lacka, ale mleczarnia miała status spółdzielni. W owym czasie Ojciec był niewątpliwie zagorzałym propagatorem ruchu spółdzielczego. Mimo to, w moich wspomnieniach z dzieciństwa Jego praca społeczna nie występuje jako „odrębna” działalność. Byliśmy przyzwyczajeni do licznych rozmów, które prowadził z panem Kucejką ze wsi Dołha i z innymi gospodarzami pełniącymi jakieś funkcje w Kasie Stefczyka i w Spółdzielni Mleczarskiej, ale te spotkania były tak wpisane w codzienne zajęcia Ojca, że dla mnie były prawie niezauważalne.

Kierownikiem mleczarni był pan Serafin Radziwonowicz, za którego około roku 1930 wyszła nasza bona, pani Olga. On był prawosławny, a ona protestantką o niemieckich korzeniach. Oboje przeszli na katolicyzm, a Mama „matkowała” temu małżeństwu. To ich syn był znanym oszczepnikiem, który w pewnym okresie „deptał po piętach” Sidle – wielokrotnemu mistrzowi Polski i Europy (lata 1950–1960). Pan Serafin pozwalał nam przyglądać się, jak z mleka przyjmowanego od poszczególnych gospodarzy są pobierane próbki do badania zawartości tłuszczu (od tej zawartości zależała cena mleka); jak mleko jest schładzane, wirowane i jak później – w ogromnej beczce obracanej ręczną korbą – jest wytwarzane masło najwyższej jakości. W dużych, pięciokilogramowych blokach było sprzedawane do Wilna i do Warszawy, a w pewnym okresie „szło” nawet na eksport. Gdy ilość przyjmowanego mleka bardzo wzrosła, została uruchomiana również produkcja *sera szwajcarskiego*^{*)}, który także miał dobrą opinię i zbyt. Bardzo szybko poznaliśmy procesy produkcyjne mleczarni, ale ich ponawiana „lustracja” robiona przy różnych okazjach – była zawsze atrakcją. Okazji do odwiedzania mleczarni było dużo, bo pani Olga prowadziła przy mleczarni mały sklepik spożywczy, do którego czasem byliśmy posyłani, albo też biegaliśmy z własnej inicjatywy.

^{*)} *Ser szwajcarski* – powszechnie używana nazwa twardego „żółtego sera” produkowanego na Kresach.

Gdzieś w tym czasie weszło w zwyczaj wydeptywanie ścieżki przez pole ciągnące się od stodoły i lepianki aż do młyna – między gościńcem i drogą prowadzącą od „czworaków” (szkic str. 13). Bez względu na rodzaj uprawy – podobnie jak do kąpieliska „pod olchą” – ścieżka była wydeptywana i powszechnie używana nawet przez Ojca. Nasz bieg tą ścieżką – od domu do młeczarni i młyna nie trwał dłużej niż 5–10 minut.

We wczesnym dzieciństwie, młyn odwiedzaliśmy głównie po to, żeby z jednej strony mostu patrzeć jak woda puszczona na turbinę „wali” przez podniesione zastawki i jak – z drugiej strony mostu, daleko w dole – bucha spod turbiny „spienioną masą”. Penetrowanie wnętrza młyna też było ciekawe ze względu na gmatwaninę pasów transmisyjnych, które „rozprowadzały napęd” od dolnego piętra, gdzie był wprowadzony do młyna główny wał napędowy turbiny aż po trzecie piętro, gdzie było zasypywane zboże do różnych urządzeń procesu przemiałowego. Na pana Chonę – dzierżawcę młyna – patrzyliśmy z wielkim zainteresowaniem i szczerym podziwem, gdy – uwiłaj się wśród tych urządzeń (cały biały od mąki) brał do ręki próbki przemiału... oceniał jego jakość i coś podregulowywał różnymi pokrętłami.

Później, gdy w młynie był już kajak – biegano się tam głównie po to, żeby spuścić go na wodę i płynąć na nasze kąpielisko albo po prostu penetrować różne zakamarki rozległego stawu, gdzie zawsze było coś ciekawego do obejrzenia lub pokazania towarzyszom zabaw. Wielką atrakcją były dzikie kaczki, zwłaszcza gdy gdzieś z rozległych trzcinowisk wyprowadzały swe kaczęta na nurt czystej wody.

W czasie wypraw z Tadzikiem – łapanie ryb „trójkątną siatką” było przygodą najlepszą z najlepszych. Tajemnica powodzenia w tych połowach polegała na spokojnym „podciągnięciu” stożka siatki – jej otwartym, trójkątnym „wlotem” – od środka rzeki w pobliżu jej brzegu i następnie na gwałtownym nagonieniu w kierunku siatki ryby stojącej w przybrzeżnych trzcinach. To gwałtowne nagonienie ryby w kierunku siatki było naszym „bojowym” zadaniem – podejmowanym zawsze z największą ochotą – Tadzik natomiast „podciągał” siatkę do brzegu i w odpowiednim momencie podnosił jej wlot nad wodę. Dopiero ten ruch wyjaśniał czy tym razem „podciągnięcie” było skuteczne – czy w wierzchołku stożkowatej siatki znalazła się ryba kwalifikowana do wzięcia. „Upolowanie” szczupaka o wadze 1,5–2,0 kg – bo takie sztuki były preferowane przez Mamę – wcale nie było rzeczą łatwą.



Tadeusz na naszym stawie w Jewłazach, podczas jesiennej polowania na kaczki

Tylko w wyjątkowych sytuacjach, gdy poziom wody w stawie był obniżony i ryba z licznych rozlewisk „spływała” do głównego nurtu rzeki – łapanie ryby o pożądanych wymiarach nie było żadną sztuką.

Mijając młyn, po przejściu obydwóch mostów, dochodziło się do pobliskiej wsi Jewłasze – gdzie zaraz na jej skraju była siedmioklasowa szkoła powszechna. Kierownikiem szkoły był pan Belczyk, który choć pochodził z odległej Bochni – na Kresach znalazł pracę i zapuścił „korzenie”. Państwo Belczykowie bywali w Lacku, a my często bawiliśmy się z Wisią – ich córką – naszą nieco „młodszą rówieśniczką”. W latach trzydziestych państwo Belczykowie przenieśli się do Szczuczyna i wybudowali tam dom.

* * *

Szkoła na skraju wsi Jewłasze i mieszkanie państwa Belczyków, to była właściwie granica do której – na kierunku Szczuczyn – Dziębrów – sięgał Lack, a wraz z nim świat mego wczesnego dzieciństwa. Dalej za wsią był jeszcze rzadki brzozowy las – tak zwana Podharabinka – rosnący na piaszczystych wydmach. Podobno z tych wydm, wiatr potrafił wywiewać ludzkie kości, ofiar cholery, która wybuchła po Powstaniu Styczniowym – ale my, mimo poszukiwań, nigdy ich nie widzieliśmy. Za laskiem była osada Bohda-



Dworek w Makasiowszczyźnie (1930 r.)

ny i zaraz obok majątek Makasiowszczyzna, w którym gospodarzyła pani Cholewina. Często przyjeżdżała do Lacka swoją jednokonną bryczuszką, szukając u Ojca porady w gospodarczych kłopotach. To Jej syn był towarzyszem – pamiętnego kajakowego spływu „giganta”. My jednak w Makasiowszczyźnie bywaliśmy rzadko, bo tu już nie sięgał teren naszych samodzielnych wypraw i penetracji. Jeżeli byliśmy – to przeważnie z Rodzicami, gdy czasem odwiedzali panią Cholewinę.

Jedna z tych wizyt upamiętniła mi się wyjątkowo wyraziście. Opowiem o niej, bo dość dobrze ilustruje klimat beztroski i zabawy, w którym spędzaliśmy nasze *szczenięce lata*. Otóż siedzimy w Makasiowszczyźnie na werandzie – wszyscy korzystają z jakiegoś poczęstunku, a pani Cholewina trzyma na kolanach swego ukochanego ratlerka i rozmawia z Rodzicami. Tadzik siedzący z boku – tak że go pani Cholewina nie widzi – robi do ratlerka różne miny, które go denerwują. Ratlerek szczeka – jego Pani nie wie czemu – więc go uspakaja i zaczyna się złościć. My z trudem powstrzymujemy się od śmiechu, a Tadzik co rusz pokazuje ratlerkowi zęby. W końcu gdy ten – całkiem wyprowadzony z równowagi – podnosi niebyswały jazgot, pani Cholewina daje mu klapsa i zrzuca z kolan. Po chwili ratlerek znowu wskakuje swej pani na kolana, Tadzik znowu zaczyna swoją

grę, a my pękamy z powstrzymywanego śmiechu. Dopiero Mama, gdy zauważyła co się dzieje – przerwała tę zabawę odsyłając nas do ogrodu.

To, co nas tak wówczas bawiło – pewnie nie było zbyt mądre. Ale to były te wspaniałe *szczenięce lata*, w których wystarczyło całkiem niewiele sytuacyjnego humoru, żeby wywołać ogromną wesołość. Wystarczyło całkiem niewiele czegoś nowego, żeby wywołać duże zainteresowanie. Wystarczyła nienajmądrzejsza inicjatywa do jakiegoś działania czy jakiejś wyprawy, żeby wywołać pełne zaangażowanie i wielką ochotę.

Lack ze swym bogactwem gospodarstwa, z ukochanym DOMEM, z sadem i *polową drózką*, z lasem, Spuszą, Karalowszczyzną i młynem – stanowił świat autentycznie rozległy i urozmaicony. Nigdy nie brakło w nim humorystycznych sytuacji, wciąż nowych obserwacji i niewyczerpanych pomysłów na zabawę i aktywność. Sądzę, że gdybym nawet miał moc czarnoksiężnika – to nie umiałbym wyczarować dzieciństwa równie wspaniałego.

Gwoli ścisłości jest potrzebne stwierdzenie, że to dzieciństwo nigdy nie byłoby tak wspaniałe, gdyby było pozbawione inspiracji Tadzika – który był niewątpliwie jego „dobrym duchem” – i gdybym nie spędzał go z Bratem, niemal równolatkiem. Charaktery mieliśmy różne, ale nasza wrażliwość na otoczenie i zmysł codziennego życia – były podobne. We wczesnym dzieciństwie, moja rola we wszelkich działaniach i zabawach była głównie pomocnicza. Byłem kimś w rodzaju „Piętaszka” – używanego *na posyłki*. W miarę upływu lat wywoływało to jednak coraz częstsze konflikty. Aż pewnego razu – pamiętam, że działo się to w pokoju Rodziców, podczas ich nieobecności a ja miałem już chyba dziewięć lat – została stoczona decydująca, zażarta bitwa zwaśnionych stron. Wynik był remisowy. Od tego czasu zapanowało jednak „równouprawnienie”. Nie oznacza to, że nie pojawiały się spory i kłótnie – ale przeważnie kończyły się ugodą. Gdyby moje dzieciństwo nie upłynęło w naszym – mniej lub bardziej zgodnym „tandemie” – z pewnością nie byłoby tak wspaniałe.

2. LATA SZKOLNE

Dorastanie następowało niepostrzeżenie – w natłoku wrażeń i przeżyć związanych głównie z zabawą, wyprawą, przygodą. Nauka była czymś „dodatkowym” – zresztą niezbyt uciążliwym. Głównym zadaniem nauczycielek – jak już wspomniałem – było uczenie nas języka niemieckiego i chyba z tego względu mówiło się, że są to „bony”. Oprócz pani Olgi, pamiętam jeszcze panią Elżę – też niemieckiego pochodzenia. Wszelkie wątpliwości, czy warto uczyć nas niemieckiego – Ojciec ucinął stwierdzeniem, że „*trzeba znać język swego największego wroga*”. Program pierwszych klas szkoły podstawowej był więc przerabiany jakby „na doczepkę” – a i nauka niemieckiego polegała głównie na konwersacji, co nie było większym obciążeniem.

Nauka w tak małym stopniu absorbowwała moją uwagę, że doprawdy nie pamiętam kiedy nauczyłem się czytać i kiedy opanowałem tabliczkę mnożenia. Wydaje mi się, że czytać umiałem „od zawsze”, bo już najdawniejsze wspomnienia wiążą się z – towarzyszącymi naszemu dzieciństwu – grubymi tomami „Przyjaciela Dzieci”. To było czasopismo dużego formatu – chyba tygodnik lub dwutygodnik – wydawany przed pierwszą wojną światową w zaborze rosyjskim. Było oprawione w opasłych „rocznikach” i było w nim mnóstwo ciekawych rzeczy: zagadek, rebusów, krzyżówek... wierszyków i ilustrowanych opowieści. Ale najciekawsze w nim były książki drukowane w odcinkach. Świetna była historia pt. „W grotach Ojcowa”, w której mały wiejski chłopak wpada przez skalną szczelinę do podziemnej groty i tym sposobem przenosi się w czasy Władysława Łokietka. Zostaje wciągnięty w wir historycznych wydarzeń, broni króla, dostaje się do Krakowa... itd. Podobnie – z zapartym tchem czytało się „Pierścień Cezara”, przeżywało losy galijskiego Wercyngetoryksa... jego niezłomność i waleczność.

Szkolne „przedbiegi”

Pierwszym sygnałem zbliżającego się końca dobrych czasów wczesnego dzieciństwa, była decyzja Rodziców o posłaniu nas do Gimnazjum Macierzy Szkolnej w Grodnie. Ja miałem niecałe osiem lat, a Sławek nieco ponad dziewięć. Ponieważ brakowało nam świadectw szkoły podstawowej – mieliśmy wiosną 1932 roku zdać egzamin obowiązujący eksternistów. Z tego egzaminu pamiętam tylko tyle, że „oblałem” geografię. Nie umiałem odpowiedzieć na pytanie: jakie są rodzaje delt rzecznych. Tak więc – ku naszemu zadowoleniu – do gimnazjum nie wyjechalśmy i dzieciństwo spędzane w Lacku przedłużyło się o następny rok.

W tym czasie – Tadzik przeżywał perypetie w gimnazjum Jezuitów w Wilnie. Ksiądz Czudek – wychowawca siódmej klasy, do której uczęszczał – już w półroczu powiedział Mamie, że jej pierworodny jest „bardzo słaby” i że „będzie musiał powtarzać rok”. Tadzik twierdził, że ksiądz Czudek „uwziął się na niego”, za jakąś „bitwę z kolegami” (poszło o przezwisko *kajzerka*) i że nie chce powtarzać roku. Mama uniesiona ambicją zabrała go od Jezuitów i przeniosła do gimnazjum Salezjanów w Różanym Stoku (południowa Suwalszczyzna), gdzie siódmej klasy nie powtarzał, a w następnym, 1933 roku bardzo dobrze zdał maturę. Wybór gimnazjum Salezjanów miał prawdopodobnie związek z tym, że Różany Stok był oddalony od Małej Bobry zaledwie o około 10 km, i że tym sposobem Siwy Wujek „mógł mieć na niego oko”.

Po naszym nieudanym „podejściu” do nauki szkolnej w Grodnie – cały rok uczyliśmy się w domu – w tym okresie z większym „naciskiem” na program szkolny niż na język niemiecki. W jesieni 1933 roku, bez trudu dostaliśmy się do trzeciej klasy gimnazjum (starego typu) w Różanym Stoku – tego samego, które ukończył Tadzik. Zaczęły się prawdziwe szkolne obowiązki i życie w internacie prowadzonym przez zakon Salezjanów. Z opowiadań Tadzika wiedzieliśmy z grubsza jak wygląda życie w internacie – jednak wszystko co zastaliśmy na miejscu było inne i zaskakujące.

Gdy dziś próbuję odtworzyć w pamięci tamten czas i ocenić naszą zdolność do funkcjonowania w całkiem nowych warunkach – nabieram przekonania, że ten życiowy egzamin zdaliśmy całkiem nieźle. Zaradność i raczej ograniczone oczekiwania na zewnętrzną pomoc – „ćwiczone” od najmłodszych lat – bardzo się przydały! Już po paru tygodniach czuliśmy się w nowym środowisku całkiem dobrze „zakorzenieni”. Nasz „tandem” nie uległ wyraźniejszemu rozluźnieniu. Byliśmy zgodni zarówno w kwestiach „podziału pracy” – związanej z odrabianiem lekcji – jak i w solidarnym przeciwstawianiu się wszelkim zaczepkom i agresji skierowanej przeciwko jednemu z nas. Cennym wzorem solidarności w przypadku konfliktu – byli dla nas bracia Tarasiewiczze (bliźniaki), których bali się nawet chłopcy ze znacznie wyższych klas. Gdy dochodziło do „wojennego starcia” – bronili się i atakowali od razu we dwóch, z ogromną zajadłością – i z reguły wygrywali. Taka bojowa solidarność była dla nas czymś nowym, bo w Lacku nie pojawiały się okoliczności, w których byłaby potrzebna.

Nasza nauka w Różanym Stoku trwała tylko trzy miesiące. Na początku grudnia obydwaj – jak na komendę – zachorowaliśmy na odrę. Wystąpiły powikłania i w efekcie – przerwaliśmy naukę u Salezjanów. W pamięci utrwaliły się jednak: ogólny rozkład zajęć i specyficzne doświadczenia, o których opowiem.

Charakterystyczne były przede wszystkim poranne zbiórki koło internatu – chyba jeszcze przed śniadaniem – i przejście dwójkami do Szkolnej Kapli-

cy na niezbyt długą modlitwę. Kaplica – zatłoczona młodzieżą ze wszystkich klas – była zawsze ładnie oświetlona i pełna dobrej muzyki organowej. Śpiewaliśmy wszyscy „Kiedy ranne wstają zorze”. Oprócz tej porannej modlitwy – wszystkich uczniów obowiązywała też modlitwa wieczorna, na którą maszerowało się do kaplicy – znowu parami – po kolacji, prosto z internatowej stołówki. Ta modlitwa była bardziej nastrojowa, z udziałem chóru i „błogosławieństwem” celebrowanym uroczyście. W niedzielę był obowiązkowy, zbiorowy udział w „sumie” – czasami nie w kaplicy szkolnej, a w ogromnej barokowej bazylice ze słynnym obrazem Matki Boskiej Różanostockiej. Chociaż w Lacku prawie w każdą niedzielę jeździliśmy z Rodzicami bryczką do kościoła (lub chodziliśmy pieszo) – wszystko to było dla mnie czymś całkiem nowym – przeżyciem nadspodziewanie poruszającym. Po paru tygodniach zostałem wciągnięty do „Kółka Ministrantów”. Dość szybko opanowałem łaciński tekst obowiązujący w owym czasie ministranta i przed zachorowa-



Różany Stok, bazylika z cudownym obrazem matki Boskiej Różanostockiej. Obok funkcjonował duży kompleks gimnazjum O.O. Salezjanów

niem na odrę – parę razy, z wielkim przejęciem, służyłem do niedzielnej mszy. Był to niewątpliwie w moim życiu okres rozbudzonej religijności, której w tej skali nie doświadczyłem już nigdy później.

Jednak aspekt religijnego wychowania wcale nie był u Salezjanów dominujący. Czas był wypełniony przede wszystkim lekcjami bardzo rygorystycznie prowadzonymi przez nauczycieli, w ogromnej większości świeckich. Dobrze pamiętam profesora przyrody i geografii (profesorami nazywaliśmy wówczas wszystkich nauczycieli). Profesor Żelnio miał duże wąsy i mówił śpiewnie

z wyraźnie kresowym akcentem. Umiał nas zainteresować otaczającą przyrodą i swoją tzw. pracownią, w której prowadził hodowlę najróżniejszych roślin, owadów i małych zwierzątek. Jego lekcje geografii były pasjonującą wędrówką po Polsce i świecie. Pamiętam go także jako człowieka wyjątkowej dobroci i uczynności, gdy w 1939 roku, po wejściu Sowieców na nasze Kresy – pomagał nam w ucieczce na zachód – ale do tych wspomnień wrócę później.

Po lekcjach, które trwały do godziny drugiej lub trzeciej oraz po obiedzie w internatowej stołówce – był czas wolny. Spędzaliśmy go na grze w piłkę

– głównie w siatkówkę – i na zwykłym „bąblowaniu” po ogromnym terenie zakonnego kompleksu Salezjanów. Cały teren był otoczony solidnym, wysokim murem. Był ładnie zadrzewiony. Liczne budynki zajmowane przez gimnazjum i internat, przez księży i przez jakieś jeszcze inne organizacje – tonęły w zieleni. Było gdzie się bawić i „odprężyć” po lekcyjnej dyscyplinie. W tym czasie odbywały się też nielegalne wyprawy za mur – trzeba było przeczołgać się pod zamkniętą bramą – do sklepiku, w którym można było kupić niemal wszystko. Czemuś była wówczas „w modzie” chałwa różnych gatunków. Odbywały się zawody: kto szybciej zje ćwierć lub nawet pół kilogramowy „brusek” chałwy. Wygranie takich zawodów – oprócz nagrody (też w postaci chałwy) – dawało ogromną satysfakcję i często również ogromny rozstrój żołądka, ale czego się nie robiło „dla sportu”?

Od godziny 17⁰⁰ do 19⁰⁰ odbywało się obowiązkowe „repetytorium” – tzn. odrabianie lekcji. Siedzieliśmy w ogromnej sali – z chyba pięciu szeregami dwumiejscowych ławek. Ksiądz, wychowawca tkwił nieruchomo na wysokiej „katedrze”, gdzieś daleko w przodzie. Obowiązywała bezwzględna cisza – ale gdy „delikwent” już się uporał z zadaniem materiałem – zaczynał się nudzić. Świetnie pamiętam incydent, który był owocem takiej nudy. Z ławki przede mną odwraca się kolega i przejmującym szeptem pyta: „*Chcesz miodu?*” Ja – tknięty przeczuciem, odpowiadam: „*nie*”! Ale kolega siedzący za mną słyszy to i nadaje szeptem „*Ja chcę*”. Padła zaproszenie: „*To chodź*”. Kolega z tylnej ławki, żeby ukryć się przed wzrokiem wychowawcy osuwa się w przejście między ławkami, podpełza na czworakach na wysokość mojej ławki i otwiera szeroko łakomą gębę. Właściciel „miodu” wydobywa ze słoika dużą łopatkę i wkłada do tej gęby solidną porcję kasztanowego kleju. Efekt był piorunujący! Delikwent zerwał się, złapał dłonią za usta i zaczął biec do drzwi sali – przesyłając w stronę „katedry” rozpaczliwe znaki, że ma mdłości i biegnie do ubikacji!! Wychowawca na „katedrze” niczego się nie domyśla i kiwa głową. My, którzy znamy sytuację – z trudem powstrzymujemy się od śmiechu – ale tych było tylko paru. Dopiero po zakończeniu zajęć – gdy cała uczniowska brać znalazła się na korytarzu – zapanowała powszechna uciecha i głośnie rechotanie. Rozpoczęło się też wyrównanie „rachunków” między właścicielem „miodu” a obdarowanym.

Choć pomysłów „na wygłupy” nigdy nie brakowało – na ogół jednak zarówno lekcje, jak i „repetytorium” – były czasem autentycznego wysiłku. Dopiero wówczas



Sławek – uczeń gimnazjum



Moja fotografia z czasów szkolnych

w Rózanym Stoku dowiedziałem się jak wygląda prawdziwa nauka i szkoła. Koniec tego wszystkiego nastąpił niespodziewanie. Któryś nauczyciel zauważył, że siedzę na lekcji jakiś nie bardzo przytomny. Podeszedł i dotknął mego czoła. Od razu kazał iść do tzw. „izby chorych” i zmierzyć temperaturę. Okazało się, że gorączka sięgnęła czterdziestu stopni, z paru kreskami. Sławek tego samego dnia też wylądował w „izbie chorych”. Stwierdzono ciężkie przypadki odry, która – w dalszej fazie – dała powikłania w pracy serca i płuc. Boże Narodzenie spędziliśmy w szpitalu. To były pierwsze święta poza domem – bardzo smutne. Po powrocie do Lacka wciąż obydwa mieliśmy stan podgorączkowy. Lekarze zgodnie zalecili leczenie klimatyczne – ze wskazaniem Rabki, która była już w tym czasie modna jako uzdrowisko dziecięce. Pamiętam, że w domu były wówczas rozmowy o gromadzeniu gotówki; potem nastąpiła sprzedaż stada indyków i innych zasobów Lacka... i w marcu 1934 roku razem z Mamą znaleźliśmy się w Rabce.

Mówiąc prawdę – mimo stanu podgorączkowego i Sławek i ja – czuliśmy się dobrze. Wyjazdem byliśmy zachwyceni. To była pierwsza tak daleka wyprawa i pierwszy pobyt w górach. Pamiętałem swój wcześniejszy wyjazd pociągiem do Wilna – gdzie (jak wspominałem) profesor Czarnocki w Szpitalu na Wilczej Łapie, połowicznie usunął mi zaropiałe migdałki. Jednak dopiero ten wyjazd – z krótkim pobytom w Warszawie – był prawdziwie wielką przygodą. Zamieszkaliśmy w pensjonacie państwa Mlekodajów, z dala od centrum Rabki. Tuż koło willi – pensjonatu płynął górski potok. Rabka tonęła w śniegu, ale potok nie był zamrożony. W porównaniu ze Spuszką – na jej niespiętrzonym odcinku – był znacznie większy i ciekawszy.

Czas w Rabce płynął miło. Pani Mlekodajowa była prawdziwą góralką – pensjonariuszy podejmowała bardzo gościnnie – zwłaszcza nas, dzieci. Własnych dzieci miała chyba pięcioro. Najbardziej upamiętnił mi się malec, który miał nie więcej niż trzy może cztery lata. Wybiegał z domu tylko w koszulce wskakiwał w kalosze przymocowane do małych nart i bez kijków, energicznie „paradował” po podwórzku. My w tym czasie jeszcze nie mieliśmy nart, więc był to przedmiot ogromnego zainteresowania. Gdy w Rabce – na sąsiedniej górze „Grzebień” odbywał się w tym czasie ogólnopolski konkurs skoków narciarskich – namówiliśmy Mamę, żeby zrobiła nam wycieczkę na tę imprezę. Skoki – choć ich długość chyba nie przekraczała wówczas 40 metrów – zrobiły na mnie ogromne wrażenie. Sensacyjność temu wydarzeniu nadał wypadek, który miał miejsce w czasie zawodów. Otóż jednemu z zawodników, na zeskoku, odpięła się narta i wpadając w tłum – w którym byliśmy również my – złamała komuś nogę. Jeżeli do tego dodam, że wycieczka odbyła się góralskimi saniami – a koń miał założone „janczary” (jak w Lacku) – trudno się dziwić, że wydarzenia te do dziś świetnie pamiętam.

Codzienne bytowanie w Rabce było dość monotonne. W znacznej mierze było wypełnione regularnymi posiłkami podawanymi przez zawsze

uprzejmą panią Mlekodajową. Gdy odwiedziłem Ją po czterdziestu latach (w połowie lat siedemdziesiątych) w jej willi w Rabce – była wciąż tą samą „prawdziwą panią na pensjonacie” jak mówiła moja Mama. Tylko wówczas nie było już w pensjonacie „Mlekodajowego drobiazgu”, który – bodaj w komplecie – pokończył studia i był dobrze urządzony. Poza posiłkami – czas wypełniało leżakowanie i długie spacerowanie... bo leczenie polegało głównie na „przebywaniu na świeżym powietrzu”. Trochę wolnego czasu, który pozostawał po tych podstawowych zajęciach spędzaliśmy na „podwórkowych” zabawach z małymi Mlekodajami – na zapleczu pensjonatu. Wiezorami było jeszcze trochę lektury (z nauki byliśmy zwolnieni) – a później długie spanie. Dwumiesięczna kuracja minęła nadspodziewanie szybko. Stan podgorączkowy minął całkowicie! Wprawdzie jeszcze przez wiele lat, lekarze narzekali, że „na swój wiek” mam za małe serce, ale ogólnie byliśmy zdrowi. Także okres chorób dziecińczych – mieliśmy już za sobą.

Do domu wracaliśmy z radością. W perspektywie było sporo nauki, bo mieliśmy „nadrabiać” stracony czas. Tym się jednak żaden z nas nie przejmował. Nauczycielką była bardzo miła i przystojna panna Sobieszczańska – ziemiańska córka spod Słonimia. Tadeusz, gdy wrócił na wakacje już jako student – chętnie z nią tańczył w salonie przy patefonowej muzyce – ze mną jako „operatorem”. Zbliżały się również nasze wakacje – niestety skrócone do połowy – ale i tak one były najważniejsze! Spędziliśmy je w nastroju, wciąż jeszcze trwających *szczenięcych lat*. Przeżycia związane z pobytem w Różanym Stoku i Rabce – przybladły. Wróciły dawne dobre czasy – wypełnione beztroską i wspaniałą rzeczywistością Lacka.

Gimnazjum i Szczuczyniek

Historia Szczuczyna Nowogródzkiego – kiedyś Litewskiego – sięga prawdopodobnie XIV wieku. Tędy przechodziły trzy ważne szlaki komunikacyjne: *trakt* tatarski biegnący przez Nowogródek – Bielice – Grodno, *trakt* królewski łączący Wilno z Krakowem przez Ejszynki, Raduń, Wasiliszki, Mosty, Wałkowysk, Lublin – oraz *trakt* Batorego (inaczej Napoleona), którym szły ich wojska przez Grodno, Lidę i Wilno na Smoleńsk. Pierwszy kościół w Szczuczynie został ufundowany przez wojewodę trockiego w 1436 roku. Na początku XVIII stulecia powstało tu kolegium zakonu pijarów, a Stanisław Bonifacy Jundziłł, wybitny botanik, założył przy nim pierwszy na Litwie ogród botaniczny (jeszcze przed wileńskim i wiedeńskim)¹²². Znaną świetną szkołę funkcjonującą przy klasztorze Pijarów kończyli późniejsi studenci uniwersytetu wileńskiego – filomaci: Onufry Pietraszkiewicz (urodzony w Szczuczynie) i Ignacy Domeyko¹²². Po powstaniach listopadowym i styczniowym – w wyniku carskich represji i skasowania klasztoru pijarów – Szczuczyn bardzo podupadł.



NOWOGRODCZYNA - SZCZUCZYN. Kościół św. Teresy

Wjazd do Szczuczyna od szosy Grodno – Lida.
Kościół św. Teresy i kompleks zakonu pijarów



Kazimierz Omiljanowicz
– dyrektor naszego gimnazjum
w Szczuczynie



Budynek Państwowego Gimnazjum w Szczuczynie Nowogrodzkim – nasza „buda”
w 1938 roku

W czasach mego dzieciństwa Szczuczyn Nowogrodzki był miasteczkiem powiatowym, liczącym blisko trzy tysiące mieszkańców. W 1938 roku cały powiat liczył 104 tysiące mieszkańców, w tym 65% Polaków, 20% Białorusinów, 14% Żydów i 1% innych narodowości¹³⁾ – jednak miasteczko było bardzo żydowskie. Od 1922 roku funkcjonowało tu Państwowe Seminarium Nauczycielskie, które w latach 1926–1936 wypromowało 232 absolwentów¹³⁾. Ich wkład w porozbiorowy i powo-

jenny rozwój oświaty oraz państwowej i samorządowej administracji zarówno w powiecie szczuczynskim, jak i w powiatach sąsiednich – był ogromny. Z tej kadry wywodziło się też wielu żołnierzy i dowódców Armii Krajowej w okresie ostatniej wojny i niemieckiej okupacji tamtych ziem – co będę jeszcze omawiał z większymi szczegółami. W roku 1933, w związku z przeprowadzoną wówczas reformą szkolnictwa powszechnego i średniego – zostało uruchomione czteroklasowe gimnazjum nowego typu (koedukacyjne). Seminarium Nauczycielskie funkcjonowało równocześnie, ale kończyło działalność w roku szkolnym 1935/1936. W Liceum Pedagogicznym – będącym kontynuatorem tradycji likwidowanego Seminarium – miało rozpocząć się nauczanie w 1939 roku, jednak wojna przerwała realizację tego planu. Dyrektorem gimnazjum i funkcjonującego jeszcze seminarium był Kazimierz Omiljanowicz – pedagog wymagający, ale lubiany przez uczniów i szanowany przez rodziców. Kadra nauczycielska gimnazjum częściowo wywodziła się z seminarium, ale w znacznej części była nowa i przeważnie młoda.

Gdy od 1 września 1934 roku – Sławek i ja – zaczęliśmy uczęszczać do pierwszej klasy Państwowego Gimnazjum Ogólnokształcącego w Szczuczynie – mieliśmy przed sobą pierwszy – niezbyt liczny – rocznik nowo uruchomionego gimnazjum. Nasza klasa liczyła czterdziestu uczniów, zajmowaliśmy więc największą salę – ze sceną, na której były wystawiane szkolne przedstawienia. Poszczególne klasy były związane na stałe ze swymi salami zajęć – z tym, że niektóre lekcje odbywały się

w „pracowniach”, na przykład fizyki. Przy gimnazjum funkcjonował niewielki internat, ale niemal wszyscy uczniowie mieszkali albo w swoich domach i dochodzili lub dojeżdżali na zajęcia, albo zajmowali tzw. stancje (wynajęte pokoje) w miasteczku.

Organizacja życia szkolnego była więc zupełnie inna niż w Różanym Stoku, gdzie internat zapewniał całodobowy kontakt z kolegami. Tu spotykaliśmy się z koleżankami i kolegami głównie na lekcjach i – rzadziej – na obowiązkowych zajęciach pozalekcyjnych, na przykład na próbach szkolnego teatru lub szkoleniach przysposobienia wojskowego (PW), obowiązującego od trzeciej klasy. Bywały jeszcze prywatne spotkania koleżeńskie, organizowane po lekcjach, w celach „sportowych” (siatkówka była najpopularniejsza) lub towarzyskich. Te ostatnie pojawiły się jednak dopiero, gdy byliśmy w czwartej klasie i dotyczyły głównie Sławka, który w tym czasie zaczął już interesować się bardziej koleżankami niż kolegami. Popularnym miejscem uczniowskich wagarów i randek był piękny park na zapleczu pałacu książąt Drucko-Lubeckich.

My zostaliśmy przez Rodziców ulokowani w Szczuczynku – u ciotki Niusi – więc z życiem szkolnym byliśmy powiązani dojazdami. Tak jak większość kolegów – na lekcjach pojawialiśmy się regularnie, natomiast w życiu pozalekcyjnym uczestniczyliśmy „od przypadku do przypadku” albo pozostając od razu po zajęciach, albo wracając do Szczuczynka na obiad i dojeżdżając powtórnie. Do naszej dyspozycji mieliśmy przydzieloną parokonną bryczkę i pocziwego, flegmatycznego Staśka, który uważał, że on też, razem z nami „chodzi do gimnazji”. Gdy byliśmy na zajęciach, czekał na nas w podwórzu domu, w którym – przy szczuczyńskim rynku – miał swój sklep pan Bronisław Sikorki, kombatanat Ojca z czasów wojny z bolszewikami. Przeważnie jeździliśmy drogą „na skróty” – koło sadzawek, przez olszynę i łąkę należącą do Szczuczynka. Dalej przejeżdżało się „w bród” rzeczkę Turję, mijało folwark o tej samej nazwie należący do Fedorowiczów i koło Nadleśnictwa osiągało się miasteczko. Dojazd do gimnazjum nie trwał dłużej niż 20–30 minut.



Pałac Drucko-Lubeckich w Szczuczynie Nowogrodzkim (pocztówka z 1935 r.)



Rynek miasteczka Szczuczyn (pocztówka z 1935 r.). Charakterystyczne tzw. „sukiennice”, w których mieściły się żydowskie sklepiki („kramy”)



Bryczka z młodzieżą przed domem w Szczuczynku. Widoczny róg krytej werandy, okna saloniku i włoski orzech rosnący za rogiem domu (1936 r.)

Gdy zamieszkaliśmy w Szczuczynku, Babcia Szczuczynkowska – matka Ojca – już w tym czasie nie żyła (zmarła w 1929 roku). Gospodarstwo domowe prowadziła pani Chmielewska. Była przedstawicielką specyficznej dla naszych Kresów zubożałej szlachty, która – w wyniku carskich, popowstaniowych wywłaszczeń, przesunięcia granic albo innych przeważnie wojennych wydarzeń – była zmuszona do podejmowania pracy najemnej. Mężczyźni często pełnili obowiązki zaradców w majątkach ziemskich,

a kobiety – przeważnie samotne – stawały się gospodyniami lub raczej „przyjaciółkami” w tych domach, które miały więcej szczęścia i nie uległy degradacji.



Kaktus, który hodowałem w swoim mieszkaniu w Katowicach (w latach 2000) – potrafił mieć ponad 30 kwiatów, ale nigdy nie był tak ukwiecony jak ten na Szczuczynkowskiej werandzie

Dom w Szczuczynku, w którym wcześniej dorastał mój Ojciec, stryj Wiktor i najmłodsza z rodzeństwa – ciocia Nusia (Anna) – a teraz stał się naszym „domem lat szkolnych” – był podobny do lackowskiego. Wprawdzie od frontu była kryta weranda, ale ganek wsparty na czterech kolumnach był od strony ogrodu (jak w Karalowszczyźnie). Układ pokoi był podobny jak w Lacku – z tym jednak, że cały dom był nieco mniejszy i znacznie starszy. W czasie wymiany „podwalin” – przeprowadzonej przez Ojca w roku 1930 – został znaleziony w szklanym naczyniu akt erekcyjny domu z roku 1795, wraz z modlitwą i monetą z czasów Stanisława Augusta. Ciocia Nusia kazała to znalezisko pozostawić na dawnym miejscu – w fundamencie domu – o co mieliśmy do Niej żal, bo dokumenty „pamiętające” Polskę przedrozbiorową były dla nas niebywałą sensacją.

Wchodząc do domu od frontu, przez werandę – mijało się stojącą tam, ogromną drewnianą donicę w której rósł ulubiony kwiat nieżyjącej już Babci – „kaktus” wspaniale rozrośnięty. Na raczej nieefekownych zwisających „liściach” – w okresie kwit-

nienia – pojawiało się kilkadziesiąt purpurowych kielichów zadziwiających delikatnością i finezją. Nigdy później – i nigdzie – nie widziałem tak wspaniałego okazu kaktusa tego gatunku. Dalej wchodziło się do mrocznego przedpokoju wypełnionego charakterystycznym zapachem „starego domu”. W głębi były małe drzwi – „zamaskowane” tapetą – prowadzące do schodów: w dół do rozległej piwnicy i w górę, na strych. Prawdopodobnie to te pomieszczenia były źródłem specyficznego zapachu „starego domu”, który bardzo lubiłem. Po lewej stronie – tak jak w Lacku – drzwi prowadziły do stołowego pokoju, a po prawej do saloniku. Na ścianie koło tych drzwi wisiały obrazki, ale nie jakieś zwyczajne – malowane. Były to umieszczone za szkłem – zasuszone polne kwiaty – ułożone w barwne bukiety. Mówiło się, że pochodzą z czasów, gdy Ojciec i Stryj byli uczniami grodzieńskiego gimnazjum i że sama Eliza Orzeszkowa propagowała tego rodzaju „ludowe” kompozycje. Po blisko pięćdziesięciu latach – w roku 1980 – gdy w odległych Katowicach zobaczyłem w sklepie CEPELII podobne obrazki, natychmiast je kupiłem do nowego mieszkania, które wówczas urządziłem.

Otrzymaliśmy narożny pokój – od strony ogrodu. Jedne drzwi z tego pokoju prowadziły do saloniku, a drugie do dużego pokoju gościnnego, z którego wychodziło się na ganek i do ogrodu. To niemal bezpośrednie połączenie z ogrodem było istotne, bo choć na sześć dni w tygodniu znaleźliśmy się w nowej sytuacji – i byliśmy obciążeni czasochłonnym szkolnym obowiązkiem – rozstanie z jeszcze niedawnym trybem życia nie było łatwe. Na szczęście, ograniczony czas pozostający na zabawę i przygodę w „lackowskim stylu” – mógł być wykorzystany w znakomitych warunkach, które zapewniał również Szczuczynek.

Przed domem i werandą – na niewielkim gazonie – rósł wspaniały „srebrny świerk” kanadyjski, a koło bramy wjazdowej od strony dziedzińca, dwa piękne modrzewie. W maju i czerwcu były „oblepione” niebywałą liczbą chrabąszczy. Ciocia zachęcała nas do ich „otrząsania” i zbierania – głównie żeby „ratować drzewa” i także – by dokarmiać drób. Duża kępa drzew i różnorodnych krzewów, rosnących wzdłuż masywnego płotu oddzielającego dom od dziedzińca i dworskich zabudowań oraz „przykuchennego” gospodarstwa – była siedliskiem wróbli i innego ptasiego drobiazgu – co przypominało „wały” bzów i jaśminów otaczających dom w Lacku.

Ale najbardziej atrakcyjny był w Szczuczynku nie gazon i nie gospodarstwo skupione wokół dziedzińca, a rozległy sad i jego zaplecze. Okrążając dom od „frontu” w stronę ogrodu, mijało się rozgałęziony od ziemi, ogromny włoski orzech. Co roku był niezawodnie obsypany orzechami o „papierowej”



Jeden z obrazków – przypominający dom w Szczuczynku

skorupie, którą z łatwością można było rozgniatać w palcach. Od następnego narożnika domu, w prawo biegła leszczynowa aleja przecinająca tę część ogrodu aż do jego krańca, gdzie zaczynały się uprawne pola. Orzechy z tej alei, przysyłane ze Szczuczynka na każde Święta Bożego Narodzenia – były w całym okresie dzieciństwa – oczekiwaną atrakcją. Tylko raz – pamiętam – spotkał nas zawód. Ciocia Nusia zawiadomiła, że do orzechów, które



To resztki szczuczynkowskiej leszczynowej alei, którą pokazuje synowi w 1991 roku – w czasie pierwszej po wojnie wyprawy w rodzinne strony

w *niecce* suszyły się na strychu „...dobrały się wiewiórki i zostały tylko świstuny”^{*}). Leszczyna była w alei tak rozrośnięta, że można było wspinać się na nią jak na drzewa – nie tylko po to żeby rwać orzechy, ale też dla czystej przyjemności. Zdarzyło się, że gdy Sławek akurat wdrapał się na leszczynę – a ja zobaczyłem Ciocię nadchodzącą od strony domu i ostrzegłem go: „Ciocia idzie” – tak się spieszył ze schodzeniem, że spadł na ziemię i jak to się u nas mówiło: „*duch mu zabiło*”. Siedział nie-

borak na ziemi i nie mógł złapać tchu – co przstraszyło Ciocię znacznie mocniej niż gdyby zobaczyła go na leszczynie. Wspominam tę leszczynową aleję z tym większym sentymentem, że gdy w 1991 roku po raz pierwszy, po blisko pięćdziesięciu latach, znalazłem się w Szczuczynku – jej resztki wciąż



Kamienna stodoła w Szczuczynku – widziana od strony spichrza i domu. Stan z 1991 roku (w przybudówce mieścił się kierat)

trwały!! A dookoła nie było już ani domu, ani zabudowań gospodarczych (z wyjątkiem kamiennej stodoły – na zdjęciu – i spichrza), ani lipy, której wiek był przed wojną określany na 400–500 lat.

Ta prastara lipa rosła obok leszczynowej alei, od strony ogrodu, w połowie jej długości. Korona lipy była już „*przycięta wiekiem*”. Liczne jej konary były odłamane i pełne wypróchniałych dziupli, w których gnieździły się sowy i wiewiórki. Także główny pień był w środku pusty, co można było

^{*} *Świstun* – pusta skorupka orzecha laskowego, z dziurką wydrążoną przez robaka.

widzieć z góry, gdy się wdrapało między rozgałęzione konary. Średnica głównego pnia była tak duża, że – według naszej oceny – gdyby zrobić w tym pniu odpowiednie wejście, można by w jego wnętrzu urządzić stół i ławeczki i mieć tam znakomitą „jaskinię”. To przekonanie dojrzało przez parę lat, aż gdy byliśmy już w trzeciej klasie – decyzja zapadła. Wejście postanowiliśmy umieścić za kępą młodych pędów, przyziemnych odrostków starego pnia lipy. Siekierą zaczęliśmy w nim wyrąbywać szczelinę, do której mieliśmy wprowadzić pilę i wypiłować „tajne wejście” 70×70 cm, dostosowane do naszych ówczesnych rozmiarów. Wszystko szło dobrze, choć z trudnością, bo otwór wyrąbaliśmy tylko wówczas, gdy była pewność, że nikogo nie ma w pobliżu i nikt nie słyszy uderzeń siekiery. Po kilku dniach wytrwałej pracy okazało się jednak, że grubość „ścian” lipy, w dolnej części jej pnia, jest znacznie większa niż w części górnej – gdzie zaglądaliśmy. Z bólem serca – gdy otwór był już „mocno zaawansowany” – musieliśmy się poddać. Finał tego przedsięwzięcia był niestety fatalny. Gdy jesienią liście opadły z młodych pędów maskujących planowane wejście do „jaskini” – wyrąbany otwór stał się widoczny. Ciocia go zauważyła i dość szybko zidentyfikowała sprawców. Co najgorsze – wyniki śledztwa ogłosiła. Najdotkliwsza była reprimenda stryja Wiktora, który – gdy pojawił się w Szczuczynku – potężnie nas zrugął i bardzo zawstydził.

Obok lipy prastarej – rosła druga lipa znacznie młodsza, ale wyższa i rozgałęziona od samej ziemi. Razem tworzyły koronę, która przewyższała wszystkie inne drzewa w bardzo zadrzewionym Szczuczynku. Widać ją było z odległości wielu kilometrów, gdy się jechało gościńcem Szczuczyn – Dzieńbrów lub szosą Grodno – Lida. Parę pni tej młodszej lipy dotrwało do roku 2004, aż w końcu i one uległy kołchozowej gospodarce „Łukaszenkowskiej” Białorusi.

Wychodząc z domu przez ganek i kierując się w głąb ogrodu – leszczynową aleję pozostawiało się po prawej stronie, gdzie był też niewielki kwiatowy skwer. Do ogrodu wchodziło się jakby bramą utworzoną przez dwie wysokie tuje i – obok nich – dwa rozrośnięte krzaki jaśminu. Spacerowa ścieżka prowadziła przez stary jabłoniowy sad aż na jego skraj. Dalej zaczynała się łąka ciągnąca się wzdłuż dopływu rzeki Turii. Na granicy sadu i łąki rósł samotnie olbrzymi dąb o koronie tak rozrośniętej, że rozmiarami nie wiele ustępowała koronie lip. Dąb był otoczony okręgiem bżów, co tworzyło w jego cieniu obszerną altanę. Nieco poniżej dębu – już na łące – stał przedziwny, bardzo stary i zaniedbany budynek – suszarnia owoców. Był



A to „ruina młodszej lipy”, która w 1991 roku wciąż trwała

„ażurowy”, wewnątrz wypełniony gęstwą rusztowań i drewnianych sit, na których były kiedyś układane owoce do suszenia „na wolnym powietrzu”, bez żadnych urządzeń grzewczych. Mówiło się, że „przed wojną” i „za czasów Babci” suszarnia była używana. Ciocia Nusia z suszarni czemuś nie korzystała. Robiła natomiast – podobnie jak Babcia – konfitury i przezroczyście galaretki z drylowanych porzeczek i agrestu (pozbawianych pestek), co wszystkim wprawiało w podziw, ze względu na ogromną pracochłonność tych smakołyków. Za suszarnią i łąką rozciągała się stara gęsta olszyna rosnąca nad dopływem Turii. Zamykała horyzont i zasłaniała widok na Szczuczyn, odległy w prostej linii zaledwie o około dwa kilometry.



„Górna sadzawka” w Szczuczynku.
Widoczne świerki otaczające „górkę” (1935 r.)

Kierując się ścieżką w lewo – wzdłuż granicy sadu i łąki dochodziło się do dwóch sadzawek. Tak były nazywane niewielkie stawki spiętrzone na małym cieku wodnym – płynącym w kierunku olszyny i dopływu rzeki Turii. Górna sadzawka była większa, głębsza i tylko w niewielkim stopniu przykryta *zieloną rzęśłą*. Nadawała się do kąpieli – nie tak wspaniałej jak w Spuszanca – ale lepszej nie było.



Ten bukiet kijaszy został przywieziony
ze spływu Brdą (1998 r.)

Dolna sadzawka była całkowicie, szczelnie przykryta *rzęśłą*. Była raczej niedostępna i pozostawała królestwem donośnie rechoczących żab. Obydwie były malowniczo położone na rozległej łące. Za nimi na tzw. „górcie” był duży ogród śliw i wiśni – pozostający pod specjalną opieką Stryja – obramowany gęstym szpalerem wysokich świerków. Uroku temu zakątkowi dodawała rosnąca na łące *srebrna osika* – której liście drgały nawet przy prawie bezwietrznej pogodzie oraz gęsta trzcina obrastająca brzegi sadzawek. Był to ten gatunek trzciny, który wypuszcza tzw. *kijasze*, piękne brązowe „pałki”. Po zasuszeniu – ustawione w dużym wazonie – stanowiły w Szczuczynku charakterystyczną ozdobę saloniku. Gdy po wielu latach, zacząłem „praktykować” kajakowe spływy – takie bukiety *kijaszy*, zrywanych na Krutyni czy Czarnej Hańczy, stały się zwyczajową ozdobą również mego mieszkania.

Z sadzawkami wiąże się historia, która dość dobrze charakteryzuje specyfikę i warunki, w których

mijały lata naszej gimnazjalnej nauki. Otóż, gdy znaleźliśmy się już w trzeciej klasie – w czasie popołudniowej wrześniowej kąpieli – odkryliśmy na dnie górnej sadzawki zatopioną łódź. Zakopana w mule leżała tam od czasów wojny i była oczywiście w fatalnym stanie. Postanowiliśmy jednak łódź wyciągnąć i zobaczyć, co się da zrobić. Niemałym wysiłkiem – z pomocą naszego Staśka i jego pary „kasztanków” – łódź znalazła się na brzegu. Okazało się, że żebra łodzi i jej kadłub sporządzony z dość grubych desek – przetrwały w mule sadzawki prawie nieuszkodzone – jedynie „szczelność przepadła”. „Rada w radę” – postanowiliśmy obić łódź wodoodporną sklejką (*dyktą*) i tym sposobem doprowadzić ją do stanu używalności. W Szczuczynie była fabryka sklejk, więc sklep pana Sikorskiego – za zgodą Rodziców – bez kłopotów nam ją udostępnił i roboty ruszyły. „Czajka” – bo tak ją nazwał Stasiek – została zwodowana jeszcze owej jesieni (i tylko trochę ciekła). Katastrofa nastąpiła, gdy na półroczu odebraliśmy świadectwa szkolne. Okazało się, że obydwaj – solidarnie – zaliczyliśmy po sześć dwój. Były jakieś różnice w „zawalonych” przedmiotach, ale niewielkie. Nadszedł więc smutny czas nadrabiania zaległości. Na następny okres dwój było już tylko trzy i szczęśliwie przeszliśmy do następnej – czwartej klasy. Tak więc – choć były kłopoty – mieliśmy jednak swoją łódź, jak nasi cioteczni bracia w Kulbaczynie.

Nauka i nauczyciele

Czas naszej nauki w Szczuczynskim Gimnazjum dzielił się na dwa zasadnicze „rozdziały”: pierwszy – to zajęcia w gimnazjum, od poniedziałku do soboty oraz czas, który musieliśmy poświęcać w Szczuczynku na naukę i odrabianie szkolnych zadań; drugi – to wszystkie niedziele, ferie świąteczne i letnie wakacje spędzane w Lacku. Każdy z tych „rozdziałów” był inny, bo pierwszy był nierozzerwalnie związany ze Szczuczynkiem, a drugi był przedłużeniem dzieciństwa spędzonego w Lacku. Gdy w sobotę – po lekcjach – jechaliśmy przeważnie wprost do Lacka – nauka, kłopoty z tym czy innym nauczycielem... wszystko pozostawało za nami. Gdy natomiast w niedzielę po południu jechaliśmy do Szczuczynka (trzeba było wieczorem odrobić zadania domowe) – zabieraliśmy z Lacka swe nabyte tam w dzieciństwie przyzwyczajenia, zamięłowania i pasje.

W efekcie czas spędzany w Szczuczynku, także dzielił się na dwa „podrozdziały”: czas wypełniony szkołą i zadaniami domowymi oraz „czas wolny”, który wypełnialiśmy według „wzorca” ukształtowanego w Lacku. Między tymi „podrozdziałami” musieliśmy – z niemałym wysiłkiem – zachowywać właściwe proporcje. Jeśli nam się to nie udało – następowała „kraksa”! Największą była wywołana remontem „czajki” – natomiast pozostałe były raczej nieliczne i nie tak bolesne.

Tak więc – w ramach „wolnego czasu” – wszystko nas interesowało i byliśmy wszędzie. W domu, bardzo ciekawy był strych, który był niebywałą rupieciarnią i krył mnóstwo „skarbów”. Pewnego razu odkopaliśmy tam (dosłownie odkopaliśmy w glinianej *polepie*^{*)} izolującej sufit) – ku zaskoczeniu i Ojca i Stryja – dobrze ukryty i świetnie zachowany sztucer do polowania na kozice i grubego zwierza – z lunetą zapewniającą celność strzału. Nikt nie umiał wyjaśnić, czemu został zapomniany tak bardzo, że dopiero nasze wścibstwo wydobyło go na światło dzienne.



Odpooczynek nad „górną sadzawką” w głębi „srebrna (plącząca) osika” (1937 r.)

Było nas pełno – choćby na krótko – nad sadzawkami ... w ogrodzie na truskawkach, jabłkach czy świetnych „włoskich węgierkach” na „górcie” ... Takich śliwek i wiśni jak w Szczuczynku – w Lacku nie było! Podglądaliśmy wiewiórki jak „fruwały” między leszczyną a swymi schowkami w prastarej lipie i sowy, które wieczorami „hukały” i „świeciły oczami”, siedząc na gałęziach w pobliżu swych dziupli.

Któregoś popołudnia, gdy „buszowaliśmy” ze Sławkiem w ogrodzie, zobaczyliśmy cztery małe sówki siedzące „rządkiem” na niskiej gałęzi starej jabłoni. To był chyba ich pierwszy wylot z dziupli, bo nas się w ogóle nie bały. Wziąłem ostrożnie jeden „kłębuszek” puchu w dłonie i idziemy spokojnie w stronę domu, żeby pokazać to „cudo” Cioci lub pani Chmielewskiej. Nie uszliśmy jednak ani dziesięciu kroków, gdy coś z tyłu walnęło mnie w głowę tak mocno, że od razu znalazłem się na ziemi. To stara sowa, bezszelestnym „lotem koszącym staranowała” rabusia. Sówki nie wypuściłem z rąk, ale dalej posuwaliśmy się już „trwożnym truchtem”, a Sławek wywijał nad głowami zdjętą kurtkę, żeby zapobiec ponownemu atakowi. To była świetna lekcja pokazowa, jak instynkt, w końcu niezbyt dużego ptaka, każe mu walczyć o swe potomstwo z napastnikiem stokrotnie większym. Gdy wróciliśmy, żeby posadzić sówkę na tę samą gałąź jabłoni, z której ją zdjąłem – pozostałego rodzeństwa już nie było. Zachodziliśmy w głowę, dlaczego wówczas nie uciekały, skoro chyba umiały latać? Dlaczego ta sówka, którą posadziłem teraz na gałęzi też nie leci – tylko jak mały sfinks, czeka – może na mamę czy tatę?

^{*)} *Polepa* – glina zmieszana z pociętą słomą, stosowana do ocieplania drewnianych stropów.

W porównaniu z „dawnymi czasy” – mniej interesowaliśmy się gospodarstwem, które w Szczuczynku było znacznie mniejsze (150 ha) i wydawało się nam mniej ciekawe. Jedynie wspaniała stodoła zbudowana z polnego kamienia, zwieńczona wysokim „kopertowym” dachem – była wielką atrakcją! W Lacku nie było budynku tak okazałego. Gdy stało się w tej stodole i patrzyło w górę na konstrukcję wspierającą wysoki dach – czuło się „fizycznie” jej wielkość i piękno. Jeszcze w 1994 roku ta kamienna stodoła trwała – zdawało się nie do pokonania! (przypominam foto na str. 60). Jednak dziesięć lat później, zamiast dawnego dachu było już tylko niskie eternitowe przykrycie, pod którym niegdyś wspaniałał budynek wyglądał żałośnie! Do wspomnień z powojennych wizyt w Szczuczynku i w Lacku – jeszcze powrócę.

Program ogólnokształcącego gimnazjum, który wypełniał nam czas spędzany na lekcjach i na odrabianiu zadań domowych – był niewątpliwie ciekawy. Opanowanie materiału podręcznikowego – udostępnianego przez oddanych pedagogów (niejednokrotnie w wersji rozszerzonej) – wymagało sporo wysiłku. Wystarczyło jednak dobrze uważać na lekcjach i osobiście opracowywać zadania domowe – aby uczęszczanie do „budy” (tak się wówczas mówiło) nie było męką. Mówiąc prawdę – „czasu wolnego” pozostawało sporo.

W klasie I najgorzej dawał nam „w kość” profesor Stanisław Maciaszek – polonista. „Walił” dwóje bez miłosierdzia, za każdą niedbałość w zadanym opracowaniu, czy nie daj Boże – błąd ortograficzny! Często stosował karę, która polegała na nauczaniu się na pamięć jakiegoś wiersza lub zwykłej prozy z podręcznika „Mówią Wieki”. Ja niestety z ortografią byłem „na bakier”, więc przepisywaniu błędnie napisanych wyrazów – po 50 i 100 razy – nie było końca. Pamiętam sprawdzian pisany na lekcjach, w którym należało porównać „dwóch Radziwiłłów” (już nie pamiętam których). Pech chciał, że w słowie „dwóch” systematycznie stosowałem „u” zwykle. Maciaszek omal „nie wyskoczył ze skóry”! W efekcie tych nieszczęsnych „dwóch Radziwiłłów” musiałem przepisać 200 razy – i do tego musiałem wkuć na pamięć dwie strony zwykłej prozy z podręcznika. Do dziś pamiętam kawałek tego tekstu



Zajęcia rozszerzające program nauczania biologii – prowadzone przez inżyniera Edwarda Koźlińskiego, powiatowego agronoma, Ojca naszego Kolegi. W górnym rzędzie, trzeci od lewej – Sławek

Kossak-Szczuckiej, zatytułowanego: „Bitwa pod Kłuszynem”. Ale ten prawie „znienawidzony belfer” – od II klasy został naszym wychowawcą – i wszystko się zmieniło. Nadal był wymagający, jednak stał się bardziej wyrozumiały. Aranżował dyskusje wychowawcze... przy pięknej pogodzie potrafił iść z nami w plener i tam prowadzić lekcje... organizował wycieczki... i zaczął być szczerze lubiany.

Celem jednej z tych wycieczek – zorganizowanej w porozumieniu z Komitetem Rodzicielskim, pod koniec roku szkolnego 1935/36 – był Lack. Niestety – ta wycieczka zakończyła się tragicznym wypadkiem. Po obiedzie, podanym na świeżym powietrzu – przy stołach ustawionych pod wspomnianym już szeregiem klonów i jesionów – przeszła krótka burza z ulewnym deszczem. Po burzy paru kolegów „znających teren”, niepostrzeżenie odłączyło się od grupy i pobiegło do stawu w Jewłaszach, żeby się wykąpać. Wśród nich był Jaczkowski, świetnie pływający chłopak z Lidy – z kolejarzkiej rodziny. Ponieważ po burzy woda w stawie gwałtownie przybrała, jedna z zastawek była podciągnięta. Nie wiadomo czy Jaczkowski tego nie zauważył, czy zlekceważył. Dość, że gdy w pewnym momencie skoczył do stawu z poręczy mostu – woda go porwała i wciągnęła pod most, gdzie utonął – prawdopodobnie wcześniej uderzony o któryś z filarów. Mimo, że zaalarmowani dość szybko znaleźliśmy się na miejscu – nie pomogło bardzo długie sztuczne oddychanie prowadzone przez profesora Maciaszka. Wszyscy wiedzieliśmy, że to był fatalny zbieg okoliczności i tragiczny wypadek, ale byliśmy straszliwie zszokowani. Najdotkliwiej nasza Mama i Profesor, który był całkowicie załamany. Jakoś wkrótce po tym wydarzeniu odszedł z naszego gimnazjum... – a życie toczyło się dalej. Jeszcze dziś przypominam sobie czasem wiersz Ujejskiego „wkuty” przed laty za jakieś przewinienie:

*„Nad Maratonem wzniosło się niebo zarzewiem czerwonym,
Nad Maratonem przeciągają sępy
Siadły na skalach i dziób ostrzą tępy*

...

*W Atenach trwoga; lud tłumem się zbiera
Milczy i smutnie po sobie spoziera*

...

*Wśród nich Milcjades jak zesłannik Bogów,
Jak ona Pytia z Delfickich trójnogów
Słowem podźwiga zwątpiałego ducha*

*Lud go otoczył, zwiesił skroń i słucha.
Kto chce być sługą, niech idzie, niech żyje
Niech sobie powróż okręci o szyję
Niech jak pies głodny czołga się bez końca
Za pańską nogą, która nim potrąca.
A my zostajemy! My w nieszczęściu razem
Albo wytępić wrogów tym żelazem*

*Lub za najświętszą Wielkich Bogów wolą
W grobie się wolni schronim przed niewolą!"*

...

Sądzę, że profesor Maciaszek – choć był postacią kontrowersyjną – był dobrym polonistą i pedagogiem – jednym z naszych najlepszych nauczycieli.

Świetnie pamiętam profesor Jankowską – nauczycielkę historii i geografii – bo gdy byliśmy w pierwszej klasie – wyrządziłem jej ogromną przykrość. Na przerwie miała miejsce jakaś koleżeńska zwada, która po dzwonku przeniosła się do klasy. Mój przeciwnik siedział kilka ławek przede mną, naprzeciw tablicy. Chcąc „na gorąco” wyrównać „rachunki” – z całym rozmachem rzuciłem w niego gimnastycznym trampkiem – jednak niestety chybiłem. Trampkę, jak na złość uderzył całą powierzchnią podeszwy w tablicę, niedaleko głowy pani Profesor, która odwrócona tyłem do klasy pisała kredą temat „dzisiejszej lekcji”. Huk i efekt był piorunujący. Profesor Jankowska, już mocno starsza pani, odwróciła się z pobladłą twarzą do śmiertelnie cichej sali i powoli powiedziała: „Już wiem co znaczy przekleństwo: obyś cudze dzieci uczył”. Znowu odwróciła się do tablicy, dokończyła pisany wcześniej temat lekcji i normalnie poprowadziła zajęcia do przerwy. Byłem tak przerażony i zgnębiony, że dopiero następnego dnia zdobyłem się na to, żeby pójść do Pani Profesor i ją przeprosić. Przeprosiny przyjęła i nigdy, przez wszystkie lata, nie wypomniała mi tego zdarzenia, a ja starałem się być wobec niej „w największym porządku”.

A inni nauczyciele? Pamiętam wielu! Dyrektor Kazimierz Omiljanowicz, który przez jakiś czas uczył nas matematyki – był określany przezwiskiem „Matros”, bo podobno służył w carskiej marynarce gdzieś na Syberii^{*)}. Był surowy, ale sprawiedliwy. Profesor Zygmunt Czarnecki – fizyka i chemia – najdłużej nie mógł nam darować zaniedbań, których dopuściliśmy się w pierwszym półroczu III klasy i dopiero przed samym końcem roku – gdy zdaliśmy egzamin z całego materiału – przepuścił nas do następnej klasy. Łacinę prowadził najpierw profesor Olechnowicz – właściwie nauczyciel języka białoruskiego (przedmiot nadobowiązkowy) – i ten niczego nas nie nauczył. Dopiero w IV klasie, gdy przyszła panna Smuszkinaówna,



*Powrót klasy z ćwiczeń Przysposobienia Wojskowego (PW)
– na rynku w Szczuczynie*

^{*)} Prawdę o tym fragmencie życiorysu naszego dyrektora poznałem dopiero w 2008 roku z jego świetnych wspomnień opublikowanych przez Córkę w Wydawnictwie HANCZA w Suwałkach.

z naszym przydomkiem „Habere” – z gardłowym „r” – dowiedzieliśmy się co to jest łacina! Była utalentowanym pedagogiem! Nawet tak niewdzięcznym przedmiotem potrafiła nas zainteresować. Germanistka bardzo młoda i przystojna panna Hoffmanówna – na swoich lekcjach w ogóle ignorowała braci Lisowskich. Uważała, że nasza znajomość niemieckiego „wystarcza na dwie piątki”. Wkrótce wyszła za Jana Ramszę – bardzo przez nas lubianego – profesora gimnastyki i „szefa” w hufcu przysposobienia wojskowego (PW). Potrafił bawić się z nami w „dwa ognie”! Był niskiego wzrostu, ale świetnie grał w siatkówkę. Czasem po lekcjach organizował międzyklasowe zawody w tej dyscyplinie, ale wówczas zajmował pozycję sędziego. Choć byłem najmłodszy w klasie, czasem występowałem w reprezentacji, której zawsze przewodził rudy Edek Garncarek, nasz najlepszy siatkarz. Profesor Ramsza podobno zginął w kampanii wrześniowej. Pamiętam oczywiście biologa, profesora Gaczorka; panią Dorkowską, która uczyła rysunku, a dziewczęta robót ręcznych; księdza



Klasa na spotkaniu pozalekcyjnym w „plenerze”. Od lewej siedzą: dwie koleżanki (NN), Sławek, Adam Reichel i Zbyszek Koźliński. Najwyżej stoją: ja i Zbyszek Mierzejewski, z którym długi czas siedziałem w jednej ławce

Sebastiana Dybca, który tolerował moje „wymądrzanie się” kłopotliwymi pytaniami z historii kościoła... Wszyscy byli nauczycielami „z prawdziwego zdarzenia”, których mogłoby pozazdrościć niejedno wielkie miasto!

Jednak spora część kadry, która nas wprowadzała w tajniki gimnazjalnej wiedzy – rozplynęła się „we mgle zapomnienia”. Podobnie, również pamięć o Koleżankach i Kolegach, z którymi przeżyliśmy przecież cztery lata wspólnej nauki

i zabaw – uległa znacznemu zatarciu. Najwyraźniej przetrwali we wspomnieniach Ci, z którymi po zdaniu „małej matury” – utrzymywał się jakiś kontakt – ale tych było zaledwie paru. Także Ci, o których w czasie... i po wojnie – docierały wieści – przeważnie te najgorsze. Wiedziałem, na przykład że Władek Maciejewicz – bodaj najlepszy uczeń w klasie – został zastrzelony przez Niemców w 1944 roku w swojej rodzinnej wsi pod Różanką, że Mietek Dobryłko wpadł w ręce Niemców w akcji batalionu „Ponurego” na Szczuczyn (29.04.1944 r.) i prawdopodobnie został przez nich stracony publicznie w Mińsku, że Staszek Gwozdowski zginął po aresztowaniu przez NKWD w 1944 roku...

Dopiero, gdy chyba w roku 1989 przypadkowo „odkryłem” w Sosnowcu kolegę Jasia Budrewicza i gdy udostępnił mi sporo zdjęć upamiętniających owe lata – wiele wspomnień wróciło. Ponieważ z moich i Sławka zbiorów nie ocalało nic – wszystkie zamieszczone tu zdjęcia z gimnazjalnych czasów – pochodzą od Jasia. Lata niemieckiej okupacji przetrwał jako gminny „dolmecz” w rodzinnej Kamionce – i swoje pamiątki „repatriował” bez komplikacji. Ze wstydem muszę się przyznać, że gdy pierwszy raz – po blisko pięćdziesięciu latach – spojrzałem na udostępnione mi zdjęcie pierwszoklasistów, zrobione na zakończenie roku szkolnego 1934/1935 – zaledwie do połowy widocznych tam twarzy umiałem przypisać nazwiska. Mimo to wszystkie twarze rozpoznawałem jako bliskie i dobrze znane. Czas odległy o całą epokę, znowu się przybliżył.



Jaś Budrewicz (po wojnie)

W środku naszej grupy siedzi profesor Jankowska a obok: ksiądz Sebastian i profesor Maciaszek. W najniższym rzędzie trzeci od lewej to Jaczkowski, który utonął w stawie w Jewłaszach, piąty to ja – a obok mnie siedzi Witold Bołtuć (Tolcik) z sąsiedniego Lacka Dolnego. W 1935 roku wslawił się ucieczką z domu, żeby spieszyć z pomocą Abisynii napadniętej wówczas przez faszystowskie Włochy. Policja dopadła Go, gdy zbliżał się już do rumuńskiej granicy – co w klasie zakończyło się nadaniem mu przezwiska – *abisyńczyk*. Drugi w najwyższym rzędzie – to Dobryłko, a szósty – to Maciejewicz. Sławka nie ma na zdjęciu, bo był w tym czasie chory na anginę.



Pierwsza klasa Gimnazjum Państwowego w Szczuczynie Nowogródzkim, po zakończeniu roku szkolnego 1934/1935

Liceum w Grodnie

Z grupy czterdziestu pierwszoklasistów do małej matury dotarło nas dwudziestu ośmiu. Po wakacjach nastąpiło wielkie „przetasowanie”. Bodaj

największa grupa pozostała w Szczuczynie – w oczekiwaniu na uruchomienie Liceum pedagogicznego. Reszta rozpieczętowała się do różnych szkół w kresowych miastach, bo tylko nieliczni kończyli edukację na poziomie małej matury... Sławek i ja – nadal razem – „wylądowaliśmy” w matematyczno-fizycznym liceum męskim w Grodnie. Prawdopodobnie zdecydował o tym sentyment Ojca, który urodził się pod Grodnem i tam ukończył klasyczne gimnazjum w 1906 roku (greckie i łacińskie sentencje potrafił przytaczać do śmierci).

„Korzenie” tego sentymentu naświetla następujący tekst z 1937 roku, który otrzymałem ze wspomnianego już Centralnego Archiwum Wojskowego¹⁵⁹. *„Bolesław Lisowski w okresie 1903–1906.... brał czynny udział w pracach PPS... W czasie uroczystości związanych z odsłonięciem pomnika Katarzyny w Wilnie... był jednym ze szczupłego grona organizatorów i aktywnych uczestników »obstrukcji chemicznej« podczas okolicznościowego odczytu w tzw. Sali aktywnej gimnazjum. Jej rezultatem było udaremnienie obchodów i wydalenie z gimnazjum siedmiu uczniów. O ile mi wiadomo, był to jedyny protest na terenie ziem litewsko-białoruskich przeciwko uroczystościom ku czci carycy”.*

Autorem tekstu jest Michał Pankiewicz, jeden z siedmiu uczniów usuniętych w owym czasie z grodzieńskiego gimnazjum, z tak zwanym „wilczym biletem”, to znaczy bez prawa wstępu do jakiegokolwiek gimnazjum na obszarze rosyjskiego imperium. Tak się złożyło, że gdy byliśmy chyba w drugiej lub trzeciej klasie gimnazjum – wakacje spędzał w Lacku właśnie pan Pankiewicz (ze swymi córkami) – więc suchą informację o „chemicznej obstrukcji” mogę uzupełnić o dalsze szczegóły opowiedziane przez grodzieńskich „spiskowców” – w czasie jednego ze „wspomnieniowych wieczorów”. Otóż akcja polegała na wyprodukowaniu w szkolnym laboratorium dużej porcji smrodliwego siarkowodoru i zamknięcia go w kilku szczelnych, szklanych pojemnikach. Następnie na wniesieniu tych pojemników na salę, w której miała się odbyć uroczystość, na ukryciu ich pod krzesłami i otwarciu w kulminacyjnym momencie ceremonii. Wszystko się udało, a efekt – w postaci powstałej paniki – był znakomity. Dyrektor, zaproszeni promineneci i nauczyciele „o mało się nie pozabijali” w drzwiach sali, a wtajemniczeni uczniowie eskalowali panikę.

Gimnazjalista z „wilczym biletem” zdał maturę i ukończył studia w za-borze austriackim, a w czasie gdy spędzał urlop w Lacku – był znaczącym działaczem polonijnym w Brazylii. Namawiał Ojca, by kupił koło Parany kawał ziemi, co mogło być nie tylko dobrą lokatą kapitału, ale dawało też obywatelstwo Brazylii. Wskazywał na zbliżające się zagrożenie ze strony hitlerowskich Niemiec i potencjalną wartość takiego zabezpieczenia. Wszyscy byliśmy wciągnięci w dyskusję nad tą propozycją. My – młodzież – byliśmy oczywiście „za”, ale Rodzice nie byli przekonani. Dopiero w czasie wojny,

gdy się okazało, że obywatelstwo neutralnej Brazylii umożliwiało wyjazd z okupowanej Europy – zdaliśmy sobie sprawę jak ogromny wpływ na nasze losy mogło mieć wykorzystanie dyskutowanej wówczas możliwości.

Ale decyzji nie było, a my od 1 września 1938 roku zamieszkaliśmy w Grodnie „na stacji” u państwa Sulewskich w ich niewielkim „dworku” przy ulicy Grandzickiej. Pan Sulewski był profesorem w gimnazjum Macierzy Szkolnej, więc dla nas był jedynie „gospodarzem” wynajmowanego pokoju i z woli Rodziców „miał na nas oko”. Pokój był wygodny, a wyżywienie, zapewniane przez panią Sulewską, zupełnie przyzwoite. Do naszego liceum, imienia Adama Mickiewicza, szło się około 20–25 minut. Po drodze przechodziło się przez park miejski – tak zwaną „Szwajcarską Dolinę” – więc droga była przeważnie przyjemnym spacerem w aurze złotej jesieni, zimowej bieli czy wiosny budzącej się w 1939 roku bardzo wcześnie.

Do Lacka nie jeździło się już na każdą niedzielę. Rozklekotany autobus pana Strelca – kursujący dwa razy dziennie między Szczuczynem a Grodnem – potrzebował blisko trzech godzin, aby pokonać tę trasę (50 km). Autobus zatrzymywał się w Woronach (na żądanie) – a więc tylko około 2 km od Lacka – ale i to udogodnienie nie zachęcało do podróży. Praktycznie cały rok szkolny spędziliśmy w Grodnie – oczywiście nie licząc ferii świątecznych. Rok ten zleciał niebywale szybko i pewnie to jest przyczyną, że zapisał się w mojej pamięci w mocno zdekompletowanych fragmentach.

I Państwowe Liceum i Gimnazjum im. Adama Mickiewicza funkcjonowało pod tą nazwą od 1938 roku, ale była to kontynuacja pierwszej polskiej szkoły średniej w Grodnie, założonej w 1915 roku – ze świetną tradycją w działalności harcerskiej. Od 1920 roku szkoła ta funkcjonowała jako Państwowe Gimnazjum Męskie im. Adama Mickiewicza – z działającym przy nim szkolnym Ogrodem Botanicznym i działem zoologicznym, tzw. Zwierzyńcem. „*W maju 1928 r. świadectwo dojrzałości otrzymał w tym gimnazjum Leon, Lech Beynar, bardziej znany później jako Paweł Jasienica*”,¹²²⁾ żołnierz wileńskiej Armii Krajowej (później brygady Łupaszki) i historyk, którego podziwiam.

Gdy w jesieni 1938 roku znaleźliśmy się w tym liceum, jego dyrektorem był ksiądz Potrzebski. Podobno stanowisko to zawdzięczał bardzo „zaangażowanemu” przemówieniu na uroczystościach związanych z pogrzebem marszałka Piłsudskiego. Może tak było, ale pamiętam Go jako lubianego „dyra” i dzielnego człowieka. Po zajęciu w 1939 roku Grodna przez sowietów – dosłownie „odtworzył” nasze liceum w tajnym nauczaniu w Warszawie, gdzie znalazło się wielu grodzieńskich profesorów i uczniów. Dzięki Niemu, mając maturę zdaną w 1940 roku, mogliśmy wchodzić w powojenne życie nie zasiadając powtórnie w szkolnej ławce. Zginął w Powstaniu Warszawskim.

Języka polskiego uczył profesor funkcjonujący w szkolnym żargonie jako „Akerman” (nazwiska nie pamiętam). Był podobno asymilowanym żydem

– co nie musiało być prawdą. Uczył nas polskiej literatury z wyraźnym, patriotycznym „ukierunkowaniem”. Był świetnym pedagogiem – i z pewnością to Jego wpływ był, w znacznym stopniu, przyczyną „pasji czytania”, którą przeżywałem w owym czasie. Czytałem nie tylko obowiązkowe pozycje naszych klasyków – ale również książki zupełnie niezwiązane z programem nauczania. Pochłaniałem dosłownie „wszystko”, co było w bibliotece miejskiej i szkolnej, nie wyłączając „udziwnionej” prozy Struga czy Przybyszewskiego, która z pewnością dla ucznia w moim wieku nie była literaturą najwłaściwszą. Ponieważ profesor Sulewski – w ramach sprawowanego nadzoru – wymagał regularnego trybu życia i gaszenia światła najpóźniej o godzinie dziesiątej – jedenastej – chowałem lampę pod kołdrą i czytałem czasem „do białego rana”.

Wiosną 1939 roku profesor „Akerman” zorganizował bardzo udaną wycieczkę do Bohatyrowicz, opisywanych przez Orzeszkową w „Nad Niemnem”. Płynęliśmy w górę Niemna na dużej barce ciągniętej powoli przez mały stateczek. Czas był częściowo wypełniony odpowiednio dobranymi fragmentami „Nad Niemnem” – czytany z talentem przez „Akermana”. Ale głównie podziwialiśmy wspaniałe, urozmaicone brzegi Niemna – z licznymi jarami jego małych i większych dopływów – z wsiami rozłożonymi na wysokich brzegach i niekiedy z „głębokimi lasami” ciągnącymi się po horyzont. Po takim przygotowaniu – Bohatyrowicze – zaścianek, schludne zabudowania, historyczna „Mogiła”... wszystko to było dla mnie niezapomnianym przeżyciem. Z czasem wspomnienia tych przeżyć przybladły – ale po latach, znów odżyły za sprawą świetnej ekranizacji dzieła Orzeszkowej. Nałożyły się przy tym na wspomnienia o wydarzeniach z czasów partyzanckiej wojaczki (1943/1944) i na wspomnienia z jeszcze późniejszych wypraw nad i za Niemen – organizowanych przez Światowy Związek Żołnierzy AK – wiążąc tę rzekę nierozzerwalnymi więzami z „kraią moich wspomnień”.

Niemieckiego uczył nas profesor Franciszek Dańko. On pierwszy zaczął wymagać znajomości gramatycznych podstaw języka – co bardzo szybko doprowadziło do ujawnienia naszej (zwłaszcza mojej) ignorancji. Zaczęło się zbieranie dwój – zamiast dawnych piątek. Musiałem nadrabiać zaległości narosłe w czasach gimnazjalnych. Nie wywoływało to mojej sympatii do profesora Dańki, ale podziwiałem go za pasję historyka. Gdy klasa dowiedziała się o tym – często były podejmowane próby „wsadzenia” profesora na jego „konika historii”. Czasem się to udawało. Był bardzo nerwowy. Gdy wpadał w złość lub w podniecenie wywołane tematem – zaczynał mówić stentorowym basem. Dobrze pamiętam pogląd przekazywany przejmującym głosem: *„Cała historia Polski to jeden wielki błąd polityczny! Gdy ekspansja państwa Osmańskiego zagrażała Królestwu Obojga Narodów – należało spełniać misję »przedmurza chrześcijaństwa«. Ale gdy ta ekspansja zwróciła się przeciw Cesarstwu Austrii – należało z Turkami zawrzeć przymierze, odebrać*

– wówczas rdzennie polski – Śląsk i Pomorze oraz zlikwidować niemieckie Prusy. To była szansa, aby historię i Polski i Europy skierować na zupełnie inny tor. Z szansy nie skorzystaliśmy i w nieco ponad 100 lat później straciliśmy niepodległość, a wśród państw rozbiorowych była Austria i Prusy”. Wówczas ten pogląd wprowdził mnie w autentyczną fascynację, a i dziś sądzę, że przejawiał się w nim nie tylko wielki patriotyzm, ale i zdrowy rozsądek. W okresie okupacji – 20 października 1942 r. profesor Dańko został przez Niemców zamordowany w Naumowiczach pod Grodnem – wraz z trzema innymi profesorami naszego liceum: Janem Kochanowskim, Zygmunt Mrozowskim i Józefem Wanatowskim¹²²).

Pośród profesorów liceum dobrze pamiętam również profesora fizyki i chemii. Był nim Białoszczyński – brat znanego w okresie międzywojennym amanta filmowego. To rodzinne powiązanie miało większy wpływ na Jego popularność niż zaangażowanie pedagogiczne. Potrafił zadać klasie jakiś temat do opracowania i następnie siedzieć całe kwadransy milcząco na katedrze, bawiąc się ołówkiem. Gdy pytany uczeń nie umiał odpowiedzieć na zadane pytanie – padał standardowy epitet: „*Siadaj cymbale jeden – nic nie umiesz!*”. I na ogół miał rację. W większości, nie uczyliśmy się i nie umieliśmy – ani fizyki ani chemii – było jednak wiadomo, że *cymbał* (tak go nazywaliśmy) – „*nie oblewa*”. Po zajęciu Grodna przez sowietów – uciekł do Warszawy i angażował się w tajne nauczanie. Po wojnie – gdy cała dokumentacja naszych matur zdanych w konspiracji spłonęła wraz z klasztorem Wizytek – Profesor bardzo nam pomagał w postępowaniu weryfikacyjnym prowadzonym wówczas przez specjalną ministerialną Komisję. W sumie – choć dziewięćmiesięczny okres licealnego nauczania nie utrwalił w pamięci większości profesorów – Białoszczyńskiego zapamiętałem jako nauczyciela może nadmiernie „wyrozumiałego”, ale przyjaznego i godnego szacunku.

Nasza pierwsza klasa matematyczno-fizyczna liczyła niewiele ponad dwudziestu uczniów. Była zżyta i solidarna. Byliśmy razem nie tylko na lekcjach, lecz także na szkolnym boisku. W mniejszych lub większych grupach umawialiśmy się na spotkania w mieście – głównie w którymś kinie lub na ulicy Dominikańskiej. Była to swoista międzyszkolna „promenada” młodzieży z różnych liceów i gimnazjów. Sławek bywał na tej „promenadzie” o wiele częściej niż ja. To wówczas „wypatrzył” sobie małą blondyneczkę z żeńskiego gimnazjum – Halę Songinównę – z którą ożenił się po wojnie. W niedziele umawialiśmy się na grodzieńskim Zamku lub na wycieczki za miasto, w „Góry Kredowe” i nad Niemen. Można by się spodziewać, że wszystko to utrwali w pamięci nazwiska lub imiona i twarze – jeżeli nie wszystkich – to większości kolegów. Nie wiem czemu – ale tak się nie stało. Nie przetrwała również żadna fotografia – która jak w przypadku Szczuczyńskiego Gimnazjum – mogłaby odświeżyć zatartą pamięć.

Cały okres nauki w grodzieńskim liceum zamyka dość wyraźne wspomnienie z obozu w Grandziczach. Bezpośrednio po zakończeniu roku szkolnego – zostaliśmy tam skierowani na miesięczny obóz Przysposobienia Wojskowego (PW) – tak zresztą jak absolwenci pierwszych klas pozostałych liceów z Grodna, Białegostoku i innych miast. Było nas co najmniej kilkuset, ubranych w wojskowe drelichy, zorganizowanych w drużyny,



Uczestnicy obozu PW w Grandziczach – 10.VII.1939 r.

plutony i kompanie, wyposażonych w autentyczne francuskie karabiny („Lebele”) i zakwaterowanych w wojskowych barakach. Dowódcami drużyn i plutonów byli zawodowi podoficerowie, a dowódcami kompanii i większych jednostek – oficerowie. Była to normalna kadra szkoleniowa któregoś z pułków piechoty stacjonujących w Grodnie.

Obozowy czas był szczelnie wypełniony ćwiczeniami w terenie, służbą wartowniczą i wykładami. Ćwiczenia były „mordercze”! W czerwcowych upałach, nawet zwykła musztra, „atak tyralierą” czy „czołganie w odskoku od nieprzyjaciela” – powtarzane wielokrotnie w piaszczystym pagórkowatym terenie, pod presją podoficerskich dosadnych epitetów i z obciążeniem kilkunastokilogramowego plecaka – wyciskały z nas „siódme poty”. Służba wartownicza – w porównaniu z ćwiczeniami – była o wiele przyjemniejsza. Warty były rozstawiane dokoła rozległego terenu wojskowych ćwiczeń. Ogródzony teren przytykał jednym „bokiem” do Niemna, więc na narożnikach – nad jego wysoką skarpą – były ulokowane punkty wartownicze. Lubilem pełnienie warty na tych punktach – zwłaszcza nocą, gdy księżyc „kąpał się” w migocących falach rzeki – lub nad ranem, gdy słońce wychodzące nad horyzont walczyło z porannymi mgłami zasnuwającymi zadrzewioną dolinę Niemna. Byłem dzieckiem wsi i miałem wówczas 15½ roku – ten kontakt z przyrodą dostarczał mi wielu niezapomnianych wrażeń – o wiele miłszych niż znojne ćwiczenia na piaszczystym poligonie. Wykłady były powtórką tej wojskowej wiedzy, którą przekazywano nam już w gimnazjum, na zajęciach PW – były więc nudne. Wyniosłem z nich jednak dwie znakomite sentencje „objawione” przez sierżanta – szefa naszej kompanii: „Chlebak, jak sama nazwa wskazuje, służy do noszenia granatów” – i druga, jeszcze popularniejsza: „Tu nie uniwersytet! Tu trzeba myśleć – panowie!”

Najprzyjemniejsze w Grandziczach były „ostre” strzelania prowadzone na wojskowej strzelnicy oraz ogniska organizowane w niedzielne wieczory

– z występami „artystycznymi” uczniów poszczególnych szkół. Nasze liceum nie „błysnęło” ani razu czymś szczególnym – prezentowaliśmy jakieś recytacje i skecze. Licea humanistyczne były przeważnie lepsze od nas. Najbardziej upamiętnił mi się jednak skrzypcowy występ ucznia – podobno z liceum muzycznego w Białymstoku. Była akurat niedziela kończąca miesięczny pobyt w Grandziczach – a on przy już dogasającym ognisku – grał serenadę Szuberta. Skrzypce były powleczone jakąś fosforyzującą substancją – tak, że w migającym świetle ogniska i zapadającym mroku były świetliście srebrne. Był jakiś masywny, z dużą twarzą przytuloną do skrzypiec – jakby nie pasujący do tego świetlistego instrumentu – ale grał porywająco! Grał... kończył ... i znowu grał zmuszany oklaskami!! Jego nazwisko od razu stało się znane we wszystkich jednostkach. Jeżeli mnie pamięć nie myli – tym uczniem był Izrael Lewin.

Z upływem lat „koloryt” wspomnień o Grandziczach zmieniał się wyraźnie. Błędły wspomnienia o „wojskowym drylu”, którego nas uczono ... o mustrze i „wylewanym pocie”... – a wyrazistości nabierały wspomnienia przyjemniejsze. Niedzielne Msze polowe odprawiane pod gołym niebem przez wojskowego kapelana... defilada, którą na zakończenie szkolenia przyjmował jakiś pułkownik z całym sztabem w galowych mundurach... ów niezapomniany koncert przy dogasającym ognisku... Ponieważ Grandzicze zamykały okres nauki w grodzieńskim liceum – a ta była kontynuacją czteroletnich dojazdów do szczuczyńskiego gimnazjum – wspomnienia w „ciepłym kolorycie” objęły z czasem całą „epokę” lat szkolnych. We wspomnieniach – choć fragmentarycznych i pełnych luk – zapisała się ta „epoka” wspaniale. Gdy minęła – byłem już nie tym małym chłopcem, który stawiał pierwsze kroki w Różanym Stoku i rozpoczynał pierwszą klasę gimnazjum nowego typu w Szczuczynie. Przybyło mi 5 lat. Byłem dobrze rozwinięty i nieźle wysportowany – ale czy przygotowany na nadchodzące wielkie przemiany?

Świąteczne ferie i szkolne wakacje

Teraz muszę się jeszcze cofnąć w „głąb” czasów szkolnych, żeby przypomnieć, jak spędzaliśmy w Lacku czas wolny od nauki: niedziele (gdy mieszkaliśmy w Szczuczynku) oraz krótkie niestety – święta Bożego Narodzenia i Święta Wielkanocne? Jak mijały – oczekiwane przez cały rok – ponad dwumiesięczne wakacje letnie?

Otóż był to przede wszystkim czas znamienity całkowitym oderwaniem od nauki. Nawet, gdy popadaliśmy w szkolne „tarapaty” – a to się czasem zdarzało – czas wolny był przeznaczony nie na nadrabianie zaległości, a na odpoczynek i relaks. Rodzice nie wymagali od nas nauki w czasie wolnym, my zaś wiedzieliśmy, że jak się „nawalilo”, trzeba „mocniej przysiąc fałdów” w czasie przeznaczonym na naukę i o własnych siłach wyjść z opresji. Tylko raz – po „wielkiej wpadce” w III klasie – pamiętam naukę w czasie

ferii świątecznych i krótkie korepetycje z fizyki przed egzaminem z „całości materiału” u profesora Czarneckiego.

Świąteczne ferie i wakacje były więc czasem powrotu – w zmniejszającej się skali – do tych zabaw, zainteresowań i aktywności, które wypełniały szczęśliwe lata przedszkolne. Różnice wynikały w sposób naturalny z faktu, że dorastaliśmy. Mogliśmy też – choć trochę – odciążać Rodziców w tych domowych i gospodarczych obowiązkach, które dawniej były poza naszym zasięgiem. Istotny był również fakt, że Lack zaczynał przechodzić z fazy powojennej odbudowy w fazę stabilizacji – żeby nie powiedzieć „sytości” i „towarzystwa ożywienia”.

W okresie ferii Bożego Narodzenia i Wielkanocy przejmowaliśmy coraz więcej obowiązków związanych z przygotowywaniem tradycyjnej oprawy tych Świąt. Najmocniej mam zapisane w pamięci zimowe wyprawy po świąteczną choinkę. Braliśmy zwykle jednokonne sanki i – oczywiście z Tadzikiem – jechaliśmy w te lasy, w których spodziewaliśmy się znaleźć najbardziej „foremny świerk”. W naszych stronach i tamtych czasach – wycięcie „dla dworu” choinki na święta Bożego Narodzenia nie wymagało specjalnego pozwolenia właściciela lasu. Najczęściej ładną choinkę udawało się znaleźć na obrzeżach państwowych lasów Horbowo – w tzw. „nomejkowskich krzakach”. Młode świerki rosły tam pojedynczo, w rzadkich zaroślach i był ich spory wybór. Jednak znalezienie tej „najładniejszej” nie było łatwe i trwało przeważnie pół krótkiego zimowego dnia. Brnięcie przez głęboki śnieg – moment znalezienia i ścięcia upatrzonej choiny – a później jej „tryumfalne” wiezienie do domu – to były przeżycia niezapomniane! Ustawianie i ubieranie choinki w salonie było jedynie przedłużeniem świątecznego nastroju „wiezionego prosto z lasu”.

W okresie Świąt Wielkanocnych – podobną rolę w eskalowaniu świątecznego nastroju – wywoływały wyprawy do lasu po widłak, którym był ubieramy świąteczny stół. Muszę wyjaśnić, że w owym czasie widłak nie był pod ochroną – przynajmniej w naszych stronach. Rósł „pospolicie” nie tylko w naszym lesie, lecz także w lasach sąsiednich. Robiono z niego grube „sploty” zwisające od sklepienia głównej nawy lackowskiego kościoła – aż do podstawy kolejnych, bocznych filarów. Taki był tradycyjny sposób przystrajania kościoła na Święta Wielkanocne! Na ubranie świątecznego stołu – choć był długi – potrzebowaliśmy oczywiście widłaku całkiem niewiele (ani dziesiątej części jednego kościelnego „splotu”). Musiał to być jednak widłak „gęsty i długi”, żeby na obrusie zwisającym ze stołu aż do podłogi, można było przypinać „równe girlandy”. Penetracja lasu – czasem jeszcze zimowego, a innym razem całkiem wiosennego – to była przygoda „wliczana” do Świąt. Przy okazji szukało się też zielonych gałązek *jagodnika*, które potrafiły przetrwać pod śniegiem w całkiem dobrym stanie – przydatnym do uzupełniającej dekoracji wielkanocnego stołu.

Przygotowania do Świąt Wielkanocy zaczynały się parę tygodni przed ich kalendarzowym terminem. Gdy nasze świąteczne ferie się rozpoczynały, znaczna część prac prowadzonych przez Mamę – związanych głównie z przygotowaniem szynki i wędlin – była już wykonana. Ale punkt kulminacyjny – pieczenie ciast – zbiegał się z naszym przyjazdem – więc włączanie się do tych prac było naturalnym obowiązkiem i wielką frajdą. Stół wielkanocny – ustawiony w salonie na „wewnętrznej ścianie” (zasłaniał kominek nieużywany w tym czasie) – zawsze był w Lacku wspaniały! Tylko stół w Kulbaczynie, u cioci Maryni, mógł się z nim równać (może był nawet trochę „bogatszy”). Na środku długości – w głębi stołu – stał wysoki sękacz z ustawionym na nim, wielkanocnym barankiem. Przed nim – na długim półmisku – leżał dość duży złocisty prosiak upieczony w całości w piecu chlebowym, zawsze z malowanym jajkiem w małym ryjku. Na lewym i prawym końcu stołu „pyszniły” się wysokie drożdżowe baby i misternie zwijane „makowniki” – pięknie lukrowane i przybrane zielonym „jagodnikiem”. Obok każdej z bab stała ogromna szynka, marynowana, peklowana i wędzona „w całości”. Skóra na szynkach była przecinana w długie paski, aby następnie, co drugi pasek, mógł być zwinięty w ozdobne ruloniki, przebite ozdobną szpilką i przybrane migdałem.

Cała pozostała przestrzeń stołu była gęsto zastawiona „święconym ciastem”. Zawsze były dwa albo trzy torty i rozmaite mazurki: cygański, królewski, czekoladowy, cytrynowy... – wymieniam tylko najbardziej przez nas lubiane. Mama posługując się bardzo starą „Kucharką litewską” – przeważnie wyszukiwała w niej jakieś nowe „rarity”, więc mazurkowy „koncert” zawierał niespodzianki. Między mazurkami była ustawiana obszerna patera pełna wielkanocnych jaj – zdobionych przez „młodzież”. Przypinanie girland widłaku na obrusie świątecznego stołu ... ucieranie czegoś „do białości” albo „do gładkości” w wielkiej „makutrze”... pomaganie Ojcu w „pisaniu lukrem” na tortach i na mazurkach stosownych dat i tradycyjnego „Alleluja” oraz właśnie malowanie wielkanocnych jaj – to były nasze, chętnie wypełniane obowiązki. „Malowanie” było bardzo proste, bo polegało na gotowaniu jaj w łuskach cebuli lub w kupowanych w Szczuczynie różnokolorowych „bezpiecznych” barwnikach. Żmudna „praca” rozpoczynała się dopiero wówczas, gdy na tak przygotowanym „podkładzie” wydrapywało się żyłką różne zajaczki, gałązki bazi lub inne kompozycje – z odpowiednim adresem: Babcia, Mama... itd. Znana technika „kraszenia” jaj przy użyciu wosku – nigdy nam „nie wychodziła”. Tadzik nauczył nas „drapania żyłką” – i do dziś uważam, że jest



Nie jest to ów niezapomniany sękacz na lackowskim wielkanocnym stole. Został przysłany z Sejnu przez ciocię Dochową w 1965 r.

to technika najlepsza. Sam był mistrzem w wydrapywaniu sylwetki siedzącego kota „widzianego z tyłu”.

Letnie wakacje – zawsze spędzane w Lacku – chyba najbardziej przypominały czasy przedszkolnego dzieciństwa. Zaczęły się wprawdzie pojawiać polecenia Ojca, aby sprawdzić „...*jak idzie zwózka zboża i układanie go w stogi*”, na przykład w Karalowszczyźnie lub zobaczyć „*czy konieczna pod lasem już się nadaje do zwózki?*” ... ale były to polecenia raczej sporadycznie wydawane, gdy sam był zajęty jakąś pilniejszą sprawą. Polecenie, które trafiało do nas bardziej systematycznie – gdy byliśmy już w starszych klasach – było związane z sianokosami i polegało na tak zwanym „dzieleniu siana”. Gospodarze z sąsiednich wsi zabiegali o zgodę na koszenie, suszenie i układanie siana w kopki – na kawałku określonej, dworskiej łąki. Zapłatą za ich wkład pracy była „co druga” lub „co trzecia” kopka gotowego siana. Otóż naszym obowiązkiem było sprawdzenie czy koszenie łąki zostało wykonane prawidłowo (co było raczej formalnością) i następnie wskazanie, które kopki gospodarz ma zatrzymać jako swoją zapłatę, a które ma zawieźć do dworu. Jakość siana w różnych częściach łąki była różna – trzeba więc było tak zatkać gałązki wskazujące kopki przyznane gospodarzowi – żeby „*nie był pokrzywdzony*”. Teoretycznie – należało jeszcze sprawdzić czy gospodarz rzeczywiście pozostawił na łące kopki jemu przyznane i wydać zgodę na ich zabranie do swojej stodoły – ale ta czynność przeważnie nie była wykonywana. Gospodarze, którzy „*brali łąkę*” – byli znani z uczciwości – a ci „wątpliwi” na ogół bali się „wpadki”, bo wiedzieli, że w przyszłości nie mieliby już możliwości pozyskiwania siana tym dogodnym sposobem.

Wypełnianie poleceń Ojca – odciążających Go w zajęciach gospodarskich – nie zajmowało nam wiele czasu. Brało się konia, który akurat był w stajni „cugowej” i siodło, które tam zawsze czekało – albo wskakiwało na rower – i sprawę załatwiała „od ręki”. Ponieważ zastępowanie Ojca w zlecanych nam sprawach przynosiło też sporo satysfakcji – realizację zleceń dość łatwo dawało się godzić z działaniami podejmowanymi z własnej inicjatywy. Te zaś – w czasach gimnazjalnych – zaczęły się bardzo wyraźnie wiązać z „obowiązkami gościnności” w stosunku do towarzystwa, które w tym czasie, niemal każdego roku zaczęło pojawiać się w Lacku.

Nie wiem czy był to zbieg okoliczności, czy przemyślane postępowanie Rodziców – tak się jednak działo, że w owych latach swe urlopy spędzali w Lacku koledzy Ojca z żonami i córkami. O panu Pankiewicz już wspominałem. Jego żony w ogóle nie pamiętam, ale ich córki były bardzo miłymi „podlotkami” – gotowymi do udziału w każdej proponowanej zabawie czy eskapadzie. Moją prawie rówieśnicą była młodsza Pankiewiczówna, o ekscentrycznym imieniu Wisła. Po wojnie – w 1945 roku – mieliśmy informację, że była w tym czasie żoną Osóbki-Morawskiego, pierwszego premiera PRL. Wówczas nie mieliśmy jednak najmniejszej ochoty do odnawiania (w tej

sytuacji) dawnych kontaktów i nikt z nas osobiście tej informacji nie sprawdził. Lubilem ją, bo dobrze jeździła konno, sprawnie łąziła po drzewach, chętnie bawiła się z nami „na sianie”... Część lata w 1938 i 1939 roku spędzali w Lacku państwo Żbikowscy z córkami Marysią i Stenią. Też były prawie naszymi rówieśnicami – Marysia moją, a Stenia – Sławka. Obie – choć urodzone warszawianki – były bardzo dzielne – we wszystkich wspólnie wymyślanych „szaleństwach”. Ich Ojciec – w owym czasie Prezes Najwyższej Izby Kontroli Państwa – był na bieżąco orientowany o politycznej sytuacji kraju. Gdzieś w połowie sierpnia 1939 roku – przerwał te wakacyjne „zabawy” młodzieży i zdecydował powrót rodziny do Warszawy. To był pierwszy, groźny „pomruk” zbliżającej się wojny – zdawało się, że wciąż jeszcze mało prawdopodobnej. Wkrótce – w jej wyniku – mieliśmy się znowu spotkać, ale w Warszawie, w jakże innych okolicznościach i warunkach.

W tym czasie, gdy Sławek i ja byliśmy w gimnazjum i liceum, a wakacje spędzaliśmy w towarzystwie rówieśników – tych nowych z „wielkiego świata” i dawnych, to znaczy Zosi i Dzikki (które jak zawsze dojeżdżały ze Szczuczynka) oraz Skawińskich z Kulbaczyna i innych „miejscowych koleżków” – zmienił się dość wyraźnie nasz „układ” z zawsze ukochanym Tadeuszem (coraz rzadziej Tadzikiem). Jego opiekuńczy udział we wspólnych zabawach stawał się coraz rzadszy – intensywniejsze były natomiast Jego kontakty z uniwersyteckim środowiskiem. Oprócz naszego – „szkolnego nurtu” zabaw i swawoli zaczął więc w Lacku funkcjonować „nurt akademicki”. Jako pierwszy pojawił się Lolek Śmieciuszewski – student Wydziału Sztuk Pięknych – który podkochiwał się w Dzikce (chyba z wzajemnością).



Zygmunt lubił robić zdjęcia „komponowane”. Za plecami Tadeusza widać dach powietki, pod którą w latach dzieciństwa odbywało się nasze wielkie „majsterkowanie”



Zgrana paczka „akademickiego nurtu” zabaw; od lewej: Zygmunt Kuczyński, Tadeusz, Mietek Cholewa, Nika Mickiewicz (zginął w 1939 r.)



Przebierańcy w „nastroju bojowym”. Karabiny i dubeltówka zostały wzięte z pokoju Rodziców



W „zaprzęgu”: Mietek i Tadeusz; „powozi” Zygmunt; siedzą Irka Świdarska i panna Zambrzycka (Irka, już wkrótce została żoną Mietka)

Później zaczął spędzać w Lacku sporą część wakacji kolega Tadeusza z korporacji – student medycyny – Zygmunt Kuczyński. Ponieważ był aktywnym działaczem akademickiego ruchu narodowego i policja „deptała mu po piętach” – tym sposobem „schodził jej z oczu”. W Makasiowszczyźnie u Mietka Cholewy spędzał wakacje Nika Mickiewicz – parujący w tym czasie w mundurze podchorążego – oraz ich zaprzyjaźnione panny: Zambrzycka i Świdarska... W Lacku, w salonie, stał patefon z dużym zbiorem najmodniejszych płyt, które Tadeusz przywoził z Wilna – taneczne podwieczorki, co rusz trafiały więc do „repertuaru” spotkań. Cała ta „paczka” była dobrze zgrana – chciała i umiała się cieszyć ogromną wakacyjną swobodą na kresowej wsi. Pokazane zdjęcia, które ilustrują pomysłowość „akademickiego nurtu” zabaw – przechowywały się u Zygmunta, bo to on miał aparat fotograficzny i „żyłkę” dokumentatora. Nasze grube albumy starych rodzinnych zdjęć, które leżały w salonie na stoliku obok patefonu – niestety nie ocalały.

Rodzice i sąsiedzi

Obydwa „nurty” – szkolny i akademicki w zależności od roku i miesiąca upływającego lata – pojawiały się z różnym nasileniem lub zanikały... biegły obok siebie albo się „splatały”... na przykład nad Spusząnką, na kąpielisku „pod olchą”. Dziś wspominam je jako jeden wspaniały czas wakacyjnej beztroski, który zapewniali nam Rodzice. Ich stała obecność i troska – czuwały nad nami jak niewidoczne, ale potężne „oko opaczności”. Funkcję „punktów kontaktowych i kontrolnych” – spełniały posiłki, na których wszyscy stawiali się możliwie punktualnie. Jeżeli ktoś był nieobecny – musiało to być wcześniej omówione i uzgodnione. Tym rygorom podporządkowywali się wszyscy – nie było wyjątków.

Do dziś jest dla mnie tajemnicą, jakim sposobem Rodzice, kierując dużym majątkiem ziemskim i angażując się w pracę społeczną, umieli prowadzić równocześnie otwarty dom – zwłaszcza w okresie letnich wakacji – pełen gości; zajmować się bezpośrednio starszym pokoleniem tych gości; czuwać nad dużą gromadą młodzieży i do tego – włączać się w organizację wspólnych przedsięwzięć – przeważnie małych, ale czasem i dużych. Do małych zaliczam na przykład wspólny spacer na miejsce kąpieli w Spuszanca i urządzenie tam „podwieczorku na zielonej trawie”, ze świeżymi malinami czy jagodami. Także wspólne wyprawy do lasu na grzyby, które w naszym lesie potrafiły pojawiać się już w sierpniu. Nie były to takie wyprawy, w których – jak opowiadała Babcia – była brana do lasu beczka, a rydze były składane wprost do niej i zasypywane solą. Zbiory były jednak, przeważnie całkiem przyzwoite. Dzięki dokumentacyjnej pasji Zygmunta Kuczyńskiego zachowały się zdjęcia z takiego grzybobrania – z Rodzicami w „roli głównej”.

Jako duże przedsięwzięcie obejmujące całą młodzież i dorosłych – upamiętniła mi się wyprawa, którą zorganizowali do huty szkła w miejscowości Niemen nad Niemnem. Była to duża wytwórnia szkła użytkowego – różnych sło i słoików, szklanek, butelek itd. – ale również wyrobów pięknie zdobionych i kolorowych, eksponowanych w przyfabrycznym sklepie. Rodzice kupili wówczas bardzo ładny komplet – duży dzban i 12 filiżanek do podawania chłodnych napoi – zdobiony delikatnymi motywami roślinnymi. Był używany do wojny i podziwiany jako wyrób prawdziwie artystyczny – przy tym wytwarzany na naszych nieuprzedzonym Kresach. Młodzież najbardziej interesowali wówczas hutnicy, którzy stali przy rozżarzonych piecach. Na długich dmuchawkach – własnymi płucami – wytwarzali z ciekłego szkła odpowiednie „wydmuszki” i wkładali je do „zawiasowo zamykanych form”. Z nich wyjmowali gotowy słoik lub butelkę. Nie jestem pewny czy ówczesny proces produkcyjny był dokładnie taki, ale tak go zapamiętałem. Dodam,



Grzybobranie w lackowskim lesie. Tadeusz, Zygmunt Kuczyński i Rodzice



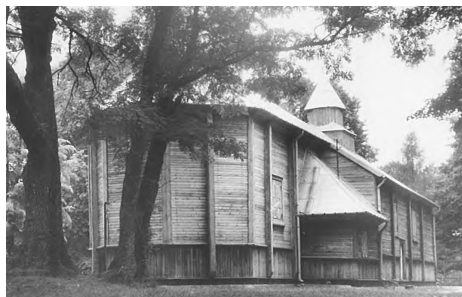
Odpoczynek przy ognisku po grzybobraniu. Mietek dosiadł się do grupy, a Ojciec zrobił to zdjęcie

że Czesław Niemen – „kultowy” śpiewak estradowy i kompozytor – wcale nie pochodził ze wspominatej miejscowości. Urodził się w Wasiliszkach, a jego pseudonim wiąże się z nazwą rzeki.

Inną pamiętną wyprawę – „nagraną” przez Rodziców – zrealizowaliśmy tylko we trójkę: Tadeusz, Sławek i ja. Jednokonną niewielką bryczką pojechaliśmy do Siwego Wujka (Kazimierza Dochy) do Małej Bobry. Odległość około osiemdziesięciu kilometrów pokonaliśmy z jednym noclegiem w folwarku Paniuki nad dopływem rzeki Kotry (koło Skidla), i blisko samej Kotry do której wpada Spuszanka. Panią na Paniukach była wówczas Maria Zielińska z domu Lenkiewiczowa (daleka krewna). Jej córka, którą wówczas poznałem jako małą dziewczynę – spędziła po wojnie w sowieckich łagrach 11 lat. Opisała je w pięknej książeczce: „Moje powojenne łagry (Teresa Pawłowska, 1992).

Tak się złożyło, że podczas naszego tam pobytu – już wieczorem – wyciągnięto z Kotry „buczę” – a w niej szczupaka, który ważył „pół puda” (8 kg)! Słyszałem, że w Niemnie były łapane sumy ważące „trzy pudy” (50 kg), ale nie myślałem, że w Kotrze mogą być szczupaki tych rozmiarów – z tak olbrzymią paszczą.

Następnego dnia, jadąc przez Grodno i Nowy Dwór, dotarliśmy do Małej Bobry. Okazało się, że Wuj – który właśnie zakończył sianokosy na nadbie-



*Kościół we wsi Studzieniczna (1936 r.)
nad jeziorem Studzienicznym i chyba jedyne
w Polsce żyrandole z jelenich rogów
w tym kościele (2004 r.)*

brzańskich łąkach – przygotował nam wielką niespodziankę. Po jednodniowym odpoczynku – kąpieli i łapaniu raków w Biebrzy – mieliśmy z Wujostwem, wielkim drabinias-tym wozem, pojechać na odpust do kościoła we wsi Studzieniczna nad jeziorem Studzienicznym, pod Augustowem. Tadzik znał to jezioro – bo płynął tamtędy, realizując „spływ gigant”. Dla nas była to wyprawa w strony znane tylko z wielu opowieści i z marzeń. Przy tym zupełnie niespodziewana – z Wujem, ukochanym od lat dziecinnych i czasów Różanostockich. Ciocia Zosia (z domu Kasperowiczówna z folwarku Jenorajście nad granicą litewską) przygotowała „wiktuały” na drogę, a nocleg czekał u zaprzyjaźnionego proboszcza. Trasa wiodła przez Lipsk i dalej przez Puszcę Augustowską – czy mogło być coś wspanialszego?

Wyprawa, zrealizowana przy pięknej pogodzie, była rzeczywiście bardzo udana. Prosty, drewniany kościół parafialny tuż nad jeziorem..., kaplica na wysepce z „cudow-

na”, uzdrowicielską wodą w małej studzience... bardzo kolorowe odpustowe uroczystości – wszystko to zapadło w pamięć jako jedno z najprzyjemniejszych wakacyjnych przeżyć. Było „żywe” jeszcze po bodaj ćwierćwieczu, gdy w czasie spływu swym pierwszym kajakiem (typu Neptun), kupionym w 1959 roku, pojawiłem się na Jeziorze Studzienicznym i ponownie zwiedzałem te urokliwe zakątki. Jednak największe wrażenie wywarła na mnie historia opowiedziana przez Siwego Wujka – na wozie – w czasie tej pamiętnej wyprawy. Zanim opowiedział tę historię – przyjmowaliśmy za rzecz oczywistą, że Siwy Wujek jest siwy. Po prostu – tak było, ale dlaczego? Nie wiedzieliśmy. Wyjaśniła to historia, którą opowiem w wielkim skrócie. Aby być możliwie najbliższym faktów opowiedzianych wówczas przez Wujka – zacytuję też fragmenty relacji spisanej przez pana Tadeusza Tomaszewskiego¹⁴⁶⁾ z Wielkiej Bobry – dużego majątku, oddalonego od Małej Bobry zaledwie o parę kilometrów. Dodam, że na polach Wielkiej Bobry rósł „święty wąż” opisywany przez Wandę Miłoszewską¹⁰²⁾. Dodam też, że był tam piękny morderzewiowy dwór, który gdzieś w końcu lat siedemdziesiątych został przeniesiony do skansenu podlaskiej wsi – urządzanego w owym czasie pod Białymstokiem – i (jak sądzę) może być tam oglądany do dziś.

Był czerwiec 1920 roku. Nasze wojska cofające się pod naporem armii Tuchaczewskiego znajdowały się już na linii Niemna. Dwaj bracia Tomaszewscy – Tadeusz i Jan – oraz Wuj postanowili zaciągnąć się do polskiego wojska – do 13. Pułku Ułanów, który miał się znajdować gdzieś koło Sokółki pod Grodnem (w tym czasie Ojciec służył w tym pułku).

„Samotrzeć, konno (relacjonuje pan Tadeusz Tomaszewski) z furgonem paszy dla koni i najpotrzebniejszym bagażem – wyruszyliśmy... Gdy byliśmy w Nowym Dworze, wpadła nieprzyjacielska konnica, która przeszła wbród Niemen pod Hożą... Po chwili wszędzie ich było pełno... Pojawili się komisarze... Na ganku plebani, przy świecach, zasiadł sąd wojenny... Na wszystkie pytania dawaliśmy te same odpowiedzi: »Byliśmy w sprawach gospodarczych w powiatowym mieście i wracaliśmy do domu«... W końcu kazano nas odprowadzić do »wojenkoma«... Było już może po północy gdy w drzwiach stanął uzbrojony żołnierz... »Pamieszcziki zdieś? Wychadi!« Na ulicy oczekiwało jeszcze dwóch krasnoarmiejców z krótkimi karabinkami... Kazano nam iść przodem w szeregu... Niebawem stanęliśmy w bramie cmentarza. Jeden z żołnierzy ujął mego brata za ramię i poprowadził w głąb cmentarza. Po chwili doszły mnie jakieś przytłumione głosy, a potem zgrzyt niby żelaza o żwir... Powrócił ów żołnierz, niosąc... buty i ubranie brata... Ujął mnie za ramię »stupaj!«... Poszedłem... W świetle księżycy ujrzałem brata Jasia... Wzdłuż czoła czerniała szeroka ciemna szrama... »Rozdiewajsia« – odezwał się mój oprawca... z podniesioną do cięcia szablą... Zacząłem się powoli rozbierać... Udając, że się mociję z butem, który nie chce zejść z nogi... podsunąłem się do nóg kata. W tym momencie zobaczyłem koniec szabli opusz-

*czonej ku ziemi. Zerwałem się w mgnieniu oka i prawy prosty wymierzyłem w szczękę... Pędem przebiegłem przez cmentarz... usłyszałem strzał z karabinu... Pewnie do pana Kazimierza... mignęło mi w głowie...*¹⁴⁶⁾.

To był rzeczywiście strzał oddany do Wujka. Gdy jeden z oprawców, słysząc hałas wywołany ucieczką pana Tadeusza Tomaszewskiego pobiegł w głąb cmentarza – Wujek siedzący pod bramą cmentarza pod wycelowaną w niego lufą karabinu – postanowił uciekać. Zapytał czy może się przeżegnać. Usłyszał: „*Nu kagda wieruszczij, tak krestiś*”. Wówczas – zgodnie z prawosławnym obyczajem – wstał... i rzucił się do ucieczki. Niestety kula ugodziła go w udo od strony pachwiny. Stracił przytomność! Odzyskał ją dopiero pod wpływem strasznego bólu, gdy oprawcy zdzierali z niego buty – ale nie okazał, że żyje – udawał trupa. Gdy odeszli aby dalej szukać pana Tadeusza – Wujek nadludzkim wysiłkiem stanął na nogi i przesuwając rękami zranioną nogę przeszedł od bramy cmentarza, przez drogę do rosnącego opodał żyta. Tu upadł znów nieprzytomny. Gdy przyszedł do siebie zaczął pełznąć... tracił przytomność i znów pełznął... byle dalej od cmentarza... W zbożu przeleżał do świtu i cały dzień – bo w pobliżu „*krasnoarmiejcy*” kosili dla swych koni owies i jęczmień. Słyszał ich głosy. W nocy, pełzając natrafił na zagon ziemniaków. Wyrzebał kilka i ssał, ale pragnienie dukało jeszcze bardziej. Gorączka wzrastała.

Następny dzień był jeszcze gorszy – ze względu na upał, pragnienie i roje much, których nie miał już siły odganiać. W nocy spadł deszcz, więc z mokrego ubrania wysysał wodę i to przynosiło trochę ulgi. Gdy nadszedł kolejny, już trzeci dzień, zdecydował się wypełznąć ze zbawczego żyta i wówczas zobaczył go pan Kolendowicz z Nowego Dworu, który miał tam kawałek pola. Kazał Wujowi pozostać w zbożu, ale przyniósł mu mleka i pozwolił po trochu pić. Sam wyruszył do Małej Bobry, żeby zawiadomić rodzinę, która o niczym nie wiedziała.



Dworek w Małej Bobrze. Zaraz za domem rozpoczynał się las należący do folwarku

Przewiezienia Wuja do Małej Bobry – mimo, że wszędzie było pełno bolszewickiego wojska – podjęła się Kaliszanka, dziewczyna mieszkająca samotnie we wsi Lojstry niedaleko Bobry. Według wskazówek Kolendowicza odnalazła Wuja i podjechała do niego bliźniutko wozem. Spokojnie zaczęła żąć zboże, potem chwyciła

go na ręce i „jednym rzutem” ulokowała na wozie. Przykryła płachtą i zżętym zbożem i okólną drogą, omijając miasteczko, dojechała do Małej Bobry. Tu – w obawie przed rewizją – Wuj jeszcze jedną noc przeleżał na wozie, w lesie rosnącym tuż za domem – ale był już opatrzony i nakarmiony. Naza-jutrz rano, ta sama Kaliszanka powiozła Wuja do Grodna, do szpitala, gdzie doktor Szumkowski rozpoznał go i „omijając” długą kolejkę, od razu wziął na stół operacyjny. Noga i życie zostały uratowane, ale właśnie te przeżycia – w ciągu paru dni – pokryły jego głowę srebrną siwizną.

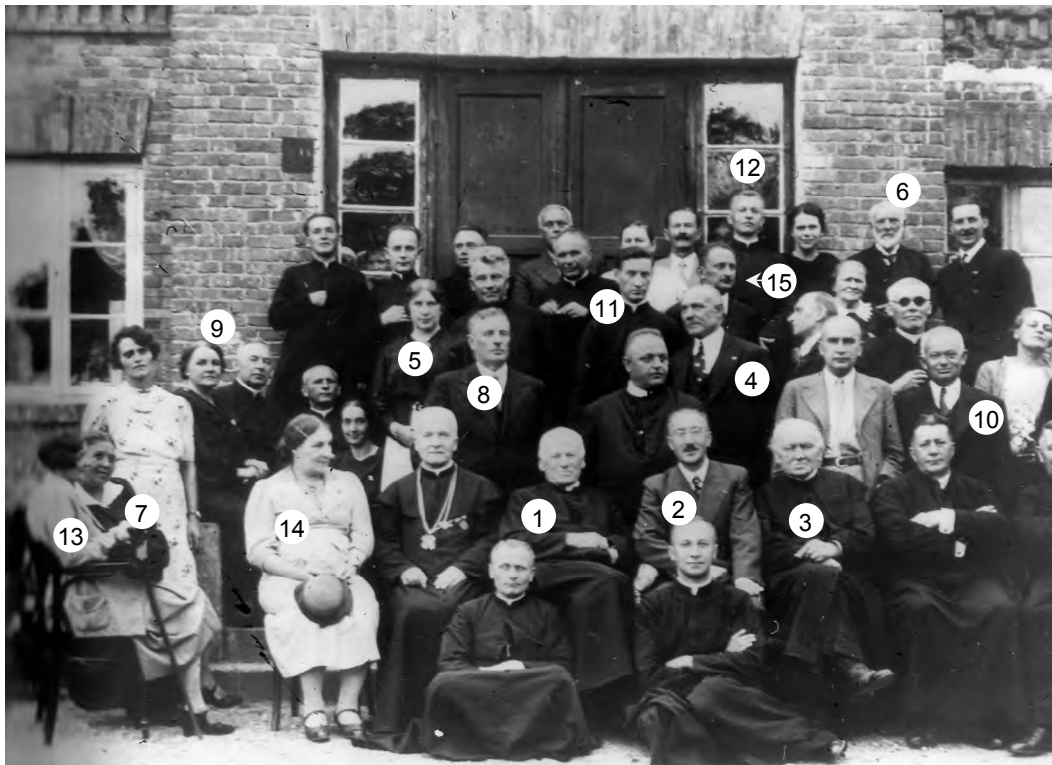
Usłyszana historia jeszcze bardziej zbliżyła nas do Siwego Wujka. Po wojnie i „odsiadce” w PRL-owskim więzieniu – wyrzucony z Małej Bobry – pracował w ośrodku wczasowym PAX-u „Halin”, nad Liwcem, koło Wyszkowa. Parę razy go tam odwiedziłem i grałem w brydża – który był Jego ulubioną rozrywką.

Przykładów ogromnego wkładu Rodziców w organizację naszych wakacyjnych wypraw i przeżyć mógłbym przytoczyć więcej – bo wiele z nich dobrze pamiętam. Zamiast mnożyć przykłady – podkreślę, że ten Ich wysiłek był realizowany w warunkach dużego zaangażowania w pracę społeczną i w życie towarzyskie.

O opiece – również medycznej – sprawowanej przez Mamę nad rodzinami zatrudnionej służby – już wspominałem. Wspominałem też pracę społeczną Ojca w Kasie Stefczyka i Spółdzielni Mleczarskiej. Dodatkowo obciążały ich również obowiązki w zakresie organizacji działalności „Koła Porad Sąsiedzkich”. Działalność ta obejmowała nie tylko sferę gospodarki – w szczególności: wymianę doświadczeń w zakresie sposobu uprawiania i nawożenia pól, dochodowości różnych dziedzin gospodarki rolnej... itd. – ale również organizację życia towarzyskiego. Pokolenie moich Rodziców, boleśnie doświadczonych przeżyciami wojennymi – lubiło i chciało się też bawić – zwłaszcza, gdy miało już za sobą najtrudniejszy okres odbudowy i kryzysu. Ojciec z Mamą świetnie tańczyli mazura! Wprawdzie pokolenie to nie miało zbyt wiele czasu na zabawę, ale wykorzystywało różne okazje, aby się spotkać, potańczyć i pobiesiadować. Okazję tę stwarzały uroczystości rodzinne – głównie imieniny i jubileusze – jakieś polowania... i także „robotyczne” spotkania „Koła Porad Sąsiedzkich”. Na fotografii ze wspomnianych już 65. urodzin księdza Szkopa – ocalałej w zbiorach księdza Sebastiana Dybca – znalazło się wielu sąsiadów, z którymi spotykali się w „Kole ...” i przyjaźnili moi Rodzice. Te postacie zajmują też istotne miejsce w moich wspomnieniach z tamtych lat.



Siwy Wujek grający w brydża – po wojnie, w „Halinie” (1955 r.)



Jubileusz 65. urodzin księdza Szkopa (1934 r.). Jedyna zachowana fotografia, na której znaleźli się równocześnie Rodzice i wielu ich sąsiadów

Na fotografii, jest oczywiście jubilat ksiądz Szkop (1), goście honorowi: Starosta Szczuczyński w latach 1932–1938 Wacław Kowalski (2) i ksiądz dziekan Ignacy Cyrawski z Wasiliszek (3). Z sąsiedztwa Rodziców (4 i 5): senior okolicznego ziemiaństwa pan Grabowski (6) z Leszczanki z żoną (7), wuj Skawiński (8) z ciocią Marynią (9), Siwy Wujek (10), ksiądz Alfons Borowski z Lacka Kościelnego (11) i ksiądz Sebastian Dybiec (12); pani Moraczewska z Andruszowców (13), pani Bałtuciowa z Lacka Dolnego (14) i pan Bodzio (Bohdan) Połoński (15) z Ródkiewicz położonych bardzo blisko Szczuczyna i Szczuczynka.

Nie mam żadnych wątpliwości, że kontakty sąsiedzkie i towarzyskie utrzymywane przez Rodziców – choć były absorbujące – sprawiały im wiele satysfakcji. W większości było to towarzystwo ludzi dobrze wykształconych – z dużym bagażem doświadczeń i ciekawych intelektualnie. Przykładem może być ostatni z wymienionych – pan Bodzio Połoński. Był to absolwent Wydziału Rolnego Politechniki w Rydze, człowiek bardzo towarzyski i dowcipny. Głośna była jego wypowiedź na jednym z posiedzeń „Koła Porad

Sąsiedzkich”. Na apel skierowany do wszystkich uczestników obrad, aby szczerze powiedzieli skąd w swych majątkach czerpią największe dochody – pan Bodzio odpowiedział: „Z mojej Teściowej”. I mówił prawdę. Jego Teściowa była właścicielką Walewic (tych znanych z historii czasów napoleońskich) i wspomagała nieco kulejącą gospodarkę majątku Ródkiewiczów – zarządzanego przez jej zięcia i córkę, a moją matkę chrzestną. Bardzo ją lubiłem, bo świetnie jeździła konno i, właśnie konno, często przyjeżdżała do Ojca na gospodarskie dyskusje. Pamiętam też Pana Bodzia, jak podczas jednego z polowań urządzonych w Lacku (choć Ojciec sam nie polował) – pozwolił mi być swoim „asystentem”. To była zima – staliśmy na linii strzelców wzdłuż drogi do Woron (szkic str. 13). Miot idący od rozległej leśnej poręby był obliczony na lisa, może dziką, ale na pana Bodzia wyszły dwa zajęce. Ustrzelił je klasycznym „dubletem” i oddał mi dubeltówkę mówiąc, że zakończył polowanie. W czasie okupacji Niemcy kierowali do prac polowych w Ródkiewiczach – żydów^{*} ze Szczużyńskiego getta – a pan Bodzio wykorzystywał tę okazję i bardzo im pomagał. Po wojnie pracował jako zwykły magazynier w Ustce. Swoją łaskę myśliwską, z piękną główką wyżła, przekazał mi po śmierci jako „dar przyjaźni”.



Główka wyżła zdobiona łaską Bodzia Połońskiego, przekazana mi na jego życzenie przez rodzinę. Wisi pod porożem łosia w moim pokoju

Ojciec przez wiele lat organizował i prowadził „Krakusa”, który był rodzajem ochotniczego związku kultywującego tradycje polskiej kawalerii. „Banderie Krakusa”, w ułańskich paradnych mundurach, brały udział w obchodach świąt narodowych – Trzeciego Maja i Jedenastego Listopada – w powiatowym Szczuczynie. Gdy proboszczem w Lacku został Ksiądz Borowski – też „zapalony” społecznik – wciągnął Ojca w działalność Akcji Katolickiej. Poświęcał tej organizacji wiele czasu i serca – traktując ją jako jeszcze jedną dźwignię kulturowego rozwoju lokalnej społeczności. Fotografie (obok), zrobioną na stopniach lackowskiej plebanii,



Pamiątkowe zdjęcie z uroczystości organizowanej przez Akcję Katolicką (1937 r.). W środku siedzą ksiądz Borowski i Ojciec

^{*} Określając wyznanie, a nie narodowość, stosuje się małą literę.

podczas jakiegoś uroczystego spotkania Akcji Katolickiej, dał mi w 1994 roku zakrystian kościoła Pan Bolesław Szocik. Znalazł ją w przedwojennych dokumentach przechowywanych w zakrystii.

Czy jest jakiś sposób na określenie wkładu naszych Rodziców w nasz rozwój i tworzenie warunków, w których mogliśmy czerpać radość z przeżywania lat szkolnych? Czy da się ten wkład choćby opisać i uświadomić ile było z Ich strony dobrej woli i wysiłku, aby – mając inne znacznie większe i trudniejsze obowiązki – dać nam to co otrzymaliśmy? Próbowałem o tym opowiedzieć – nie wiem jednak, czy jest to próba udana.

* * *

Beztraskę nasze ostatnich szkolnych wakacji 1939 roku przerwało wezwanie mobilizacyjne, które otrzymał Ojciec – chyba dwudziestego sierpnia. To nie był już „pomruk wojny” – jak przyspieszony o tydzień wyjazd rodziny Żbikowskich. To był grzmot nadciągającej burzy! Gdyby wezwanie przyszło do Tadeusza, który był wachmistrzem podchorążym „świeżo upieczonym” w Centrum Wyszukolenia Kawalerii w Grudziądzu (po niedawno odbytych letnich manewrach) – wrażenie byłoby mniejsze. To byłby normalny „porządek rzeczy” – natomiast wezwanie rotmistrza rezerwy, weterana I wojny światowej i wojny z bolszewikami – było niezrozumiałe i denerwujące.

Ale dyskusji nie było! Mama przyjęła to ze spokojem. Tadeusz był „wściekły”, a my dosyć „ogłupiali”. Pożegnania z odjeżdżającym Ojcem w ogóle nie pamiętam. Byliśmy w domu i wciąż były „niby wakacje”. Wcale nie czułem, że kończy się epoka lat szkolnych, i że te wszystkie wspaniałe ferie i wakacje – będą już tylko coraz odleglejszym wspomnieniem.

3. WOJNA 1939 ROKU, „UCIEKINIERKA” I POWRÓT

W Lacku radio było od zawsze. Pamiętam dwa wysokie maszty ustawione w ogrodzie i antenę długości chyba pięćdziesięciu metrów – bo dopiero taka umożliwiała odbiór audycji na „kryształowym” odbiorniku. W 1939 roku, było już w domu wielolampowe radio z „magicznym okiem”, a olbrzymia antena zniknęła. Radia słuchali głównie Rodzice – a ściślej mówiąc Ojciec – który zawsze interesował się polityką. W 1922 roku był wybrany na posła do Sejmu Wileńskiego Litwy Środkowej (który „uchwalił” przyłączenie Wilna do Polski^{*}) – i następnie jako poseł tego sejmiku był oddelegowany do Sejmu Ustawodawczego w Warszawie¹⁵⁹). Piłsudskiemu nie mógł darować „zamachu majowego” (1926 r.) i nie był piłsudczykiem. Choć prenumerował „Gazetę Warszawską” – nie był też wojującym endekiem i z czasem zaczął uznawać racje Piłsudskiego w jego dążeniu do „powściągnięcia sejmokracji”.

Był przede wszystkim społecznikiem i głównie z tej racji – utrzymywał dobre stosunki z administracją powiatu. Powiat powstał w Szczuczynie w roku 1929, a pierwszym starostą był Józef Sielawa – osoba bardzo otyła (waga 208–212 kg)¹³). Wiąże się z tym anegdota – specyficzna dla tamtych czasów i stron. Otóż pewnego razu, gdy wizytował wieś i w drodze jego samochód uległ awarii – zwrócił się z prośbą do przejeżdżającego chłopca, aby go podwiózł do Szczuczyna, gdzie urzędował. Chłopiec podobno podrapał się w głowę i mocno zafrasowany powiedział: „*Panoczku – z achotoj, nu za raz nie zabieru*”. Osoba tego starosty inspirowała powstawanie również innych anegdot (m.in. podawanych przez Melchiora Wankowicza) o konsternacji wywołanej zamówieniem u kelnera na śniadanie jajecznicę z 40 jaj. Od 1932 roku starostami byli działacze sanacji – do której Ojciec odnosił się krytycznie. To jednak nie przeszkadzało mu nadal żywo interesować się polityczną i gospodarczą sytuacją kraju.

Gdy w wyniku wezwania mobilizacyjnego, Ojciec przestał być głównym odbiorcą i „dalszym przekaznikiem” wiadomości radiowych „ze świata” – tę funkcję przejął Tadeusz. My oczywiście stanowiliśmy asystę. Mama natomiast weszła w rolę Ojca i zarządzała bieżącym funkcjonowaniem majątku – co zwiększyło też nasze obowiązki w doglądaniu robót kończących żniwa i przygotowujących jesienne siewy. Jednak zainteresowanie polityką – dominowało. Właściwie po raz pierwszy w moim dotychczasowym „uczniowskim” życiu pojawiła się polityka jako coś istotnego... coś, co może nie

^{*} Pod tą Uchwałą widnieje wyraźny podpis Ojca.

tylko zmieniać świat gdzieś daleko, ale co wkracza w nasze życie... moich Rodziców i moje. Wcześniejsze wydarzenia polityczne, takie jak uchwalenie nowej konstytucji w 1935 roku – czy w tymże roku, śmierć Marszałka Piłsudskiego – docierały do mojej świadomości zupełnie „powierzchniowo”. Podobnie, wchłonięcie Austrii przez hitlerowskie Niemcy w marcu 1938 roku i wkrótce po tym traktat w Monachium, którym Wielka Brytania i Francja „oddaly” Hitlerowi Czechosłowację – rejestrowałem jako ważne wydarzenia – obok takich jak budowa Gdyni czy Centralnego Okręgu Przemysłowego (COP) – ale ich znaczenia nie doceniałem i w istocie nie rozumiałem. Zajęcie Zaolzia przez nasze wojsko 1.10.1938 roku – odbierałem (jak prawie cała młodzież i społeczeństwo) jako sukces Polski i „wyrównanie rachunków” z Czechami, za zajęcie przez nich tego powiatu w czasie, gdy my w 1920 roku toczyliśmy najcięższe walki z bolszewikami.

Teraz wiadomości polityczne stały się najciekawsze i najważniejsze. A w wiadomościach radiowych aż huczało o marcowej deklaracji Rządu Wielkiej Brytanii, który zobowiązał się do poparcia Polski w jej ewentualnym zbrojnym starciu z Niemcami. Było też głośno o brutalnej presji Hitlera na Polskę, aby zgodziła się na aneksję Gdańska i budowę „eksterytorialnej” autostrady przez nasze Pomorze. Z wypowiedzi publicystów i polityków emanował nastrój determinacji i woli oporu. Hasło: „*Jesteśmy silni, zwarci, gotowi*” – przekazywane radiosłuchaczom w najróżnorodniejszych postaciach – bardzo dobrze współgrało z nastrojami panującymi w naszym domu. Ostatnie tygodnie i dni sierpnia 1939 roku upływały więc w Lacku w rosnącym napięciu, ale z nadzieją, że wszystko skończy się dobrze.

Tragiczny wrzesień

Pierwszego września – poranne wiadomości o ostrzelaniu o godzinie 4⁴⁰ naszej wojskowej placówki na Westerplatte w Gdańsku i o przekroczeniu przez Wehrmacht naszych granic – były wstrząsające!!

Niemcy napadły na Polskę – jest wojna z Niemcami!

Gdyby wówczas była dostępna wiedza, którą dziś mają wszyscy – ta ranna wiadomość brzmiałaby zupełnie inaczej – prawdopodobnie tak: *Zgodnie z paktem rozbiorowym hitlerowskich Niemiec ze Związkiem Radzieckim, zawartym przed tygodniem, 23/24 sierpnia w Moskwie przez W. Mołotowa i J. Ribbentropa – dziś od godz. 4⁴⁰ wojska niemieckie przystąpiły do realizacji ustaleń tego paktu. W najbliższym czasie niewątpliwie uderzą również wojska sowieckie. Rozpoczyna się wojna na dwa fronty – przeciw zaborcom, którzy realizują swój plan ponownego rozbioru Polski.* Ten pakt był dość oczywistą konsekwencją ścisłej współpracy obydwóch totalitaryzmów w zakresie zbrojenia swych armii i wzajemnego gospodarczego zaopatrzenia – podjętej wkrótce po dojściu Hitlera do władzy. Mimo to – okazał się ogromnym zaskoczeniem.

Europa oraz polski rząd i całe społeczeństwo żyło w przekonaniu, że jest to napad samych tylko Niemiec. Także ja tak wówczas myślałem.

Nie umiem opisać tego przeżycia, ale pamiętam je do dziś. To było jakieś wewnętrzne podświadome zrozumienie, że stało się coś bardzo ważnego, co zmienia całą dotychczasową rzeczywistość; że coś minęło i coś się zaczyna! Ale w tym wrażeniu wcale nie było przeczuć złowróżbnych. Jeszcze przed obiadem wsiedliśmy ze Sławkiem na rowery i pojechaliśmy do Szczuczyna. Wzdłuż gościńca i kresowych, polnych dróg – obok kolejn „wyjeżdżonych” wozami, były prawie zawsze gładkie ścieżki dobrze udeptane przez pieszych. Nie upłynęło pół godziny i już byliśmy na szczuczyńskim rynku u pana Sierki, który obok sklepu pana Sikorskiego prowadził lodziarnię. Spotkaliśmy tam Zbyszka Koźlińskiego, który tak jak my przyjechał ze swojej Czarnowszczyzny – „po wieści”. Po omówieniu sytuacji – pamiętam to dokładnie – zegnaliśmy się zawołaniem: „*Do zobaczenia w Berlinie*”. I myśmy mówili to całkiem serio!

Z wojennych komunikatów – które przez pierwsze trzy dni informowały głównie o walkach na granicy, o nalotach Luftwaffe na otwarte miasta i o nadlatywaniu nieprzyjacielskich samolotów („*uwaga, uwaga – nadchodzi*”) – trudno było zorientować się w sytuacji na frontach. Rosnący niepokój zagłuszyła informacja, że trzeciego września o godzinie 17⁰⁰ Wielka Brytania przystąpiła do wojny z hitlerowską Rzeszą. Sześć godzin później do wojny włączyła się Francja. Entuzjazmu, który zapanował wówczas w domu – nie da się opisać. Babcia, która pamiętała powstanie styczniowe (opowiadała, jak chowając się pod stołem słuchała konspiracyjnych narad powstańców) i przeżyła dwie wojny (światową i z bolszewikami) – choć patrzyła już na wszystko z dużym dystansem – dosłownie płakała ze wzruszenia. Byliśmy bardzo podnieceni i teraz już zupełnie pewni, że Niemcy przegrają!

Następnego dnia – z radia i od kogoś, kto był w Grodnie – dotarła wiadomość, że Niemcy zbombardowali dworzec i śródmieście. Od razu – ze Sławkiem – pojechaliśmy rowerami obejrzeć skutki bombardowania. Okazało się, że zrzucone bomby nie wyrządziły większych szkód. W „Szwajcarskiej dolinie”, przez którą przed paru miesiącami chodziliśmy do naszego liceum, oglądaliśmy niewielki lej i ławkę rozerwaną odłamkami. Wróciliśmy więc do Lacka mocno zmęczeni stukilometrową eskapadą, ale z przeświadczeniem, że bombardowania nie są tak groźne, jak się opowiada w radiowych audycjach. Ponieważ na szosie Grodno – Lida nie było w tym czasie uciekających tłumów – i lotnictwo niemieckie nie było w tym rejonie aktywne – groza wojny prowadzonej przez lotnictwo zupełnie nie docierała do naszej wyobraźni. Pamiętam, że któregoś dnia, gdy niemiecki mały samolot zwiadowczy zaczął czemuś krążyć nad okolicą i przelatywał bardzo nisko nad Lackiem – zaczęliśmy strzelać z dachu stodoły do dobrze widocznego pilota – Tadeusz z francuskiego karabinu, a ja z dubeltówki. Że nas wówczas nie

„skosił” ze swoich karabinów maszynowych – bo dobrze nas widział (jak my jego) – zawdzięczamy chyba tylko temu, że nie miał już amunicji.

Dopiero szóstego i siódmego dnia, gdy się okazało, że armie niemieckie zagrażają Warszawie, że nacierając z Prus Wschodnich i Pomorza przecięły korytarz, że są na przedpolach Łodzi i po zajęciu Śląska zbliżają się do Krakowa – zaczęliśmy rozumieć powagę sytuacji. Nadzieja na skuteczną pomoc Anglii i Francji – słabła. Mówiło się, że mają w dyspozycji ponad 100 dobrze uzbrojonych dywizji, a Niemcy na zachodniej granicy tylko około 20. Czemu nie uderzają i nie kończą wojny? Nikt tego nie rozumiał!! Mama w pomoc Zachodu w ogóle nie wierzyła.

Znowu pewien przypływ optymizmu przyniosły komunikaty o „zwrocie zaczepnym” i sukcesach odniesionych przez naszą Armię Poznań pod Kutnem i Łowiczem, w bitwie nad Bzurą. Później podtrzymywały na duchu informacje o bohaterskiej walce tej armii i jej próbach przebicia się do Warszawy, która w tym czasie podjęła już walkę w okrążeniu. Ale przed świadomością, że wojnę przegrywamy – nie było ucieczki. Tadeusz – zawiedziony brakiem wezwania mobilizacyjnego – przeżywał nadciągającą klęskę szczególnie dotkliwie. Dwa razy jeździł do Szczuczyna i w wojskowej delegaturze, przy starostwie, dowiadywał się o możliwość ochotniczego zaciągnięcia się do wojska. Wracał z niczym. Czasami nie chciał słuchać komunikatów radiowych i „uciekał w pole i las”. Towarzyszyłem Mu w tych „ucieczkach”! Chodziliśmy właściwie bez celu, ale wspaniała pogoda trwająca wówczas nieprzerwanie... myślołowy krążące nad polem koniczyny skoszonoj za *łysą górą*... pola i las tchnące już wczesną jesienią... i w końcu zwykłe fizyczne zmęczenie – przynosiły trochę uspokojenia. Z rozmów na tych „ucieczkach” przynosiliśmy też trochę otuchy wynikającej z narastającego przeświadczenia, że przecież przegrywamy tylko pierwszą wojenną kampanię, a wojna będzie toczyć się dalej... do wygranej!

Trzynastego września sytuacja była już jawnie desperacka. Było widoczne, że do obrony zostały tylko nasze Wschodnie Kresy i że tu muszą być zorganizowane nowe formacje liniowe, które powinny wesprzeć rozbite armie wycofujące się z zachodu. Tadeusz zdecydował, że jedzie do Lidy, bo „...*tam przecież stacjonuje duży garnizon, który z pewnością potrzebuje ochotników*”. Sławek i ja „naparliśmy się”, że jedziemy razem, bo mamy za sobą szkolenie Przysposobienia Wojskowego (PW) i na pewno się przydamy. Mama decyzję Tadeusza przyjęła ze zrozumieniem, co do nas – stanowczo się sprzeciwiała. Zaczęły się usilne prośby i przekonywanie, z koronnym argumentem, że „*przecież nie będziemy siedzieć w domu, gdy Ojciec jest już tyle czasu gdzieś na froncie*”. W końcu biedne Matczysko – uległo. Następnego dnia wzięliśmy jednokonny wózek („drabczak”), jakieś rzeczy, które – jak się nam wydawało – będą potrzebne i pojechaliśmy do Lidy. Tam – głównie Tadeusz – przez cały następny dzień prowadził rozmowy w różnych

urzędach i jednostkach wojskowych. Wszędzie były widoczne oznaki rozprzężenia i chaosu. Nikt nie wiedział co z nami zrobić, ale w końcu stanęło na tym, że są w Lidzie jakieś „nadwyżki mobilizacyjne”, które właśnie będą wysyłane do Wilna. Tam odbywa się koncentracja zdezorganizowanych jednostek i tam będą formowane nowe oddziały liniowe – zdolne do dalszych działań. My możemy dołączyć do wysyłanych jednostek i tam mamy szansę znalezienia się w wojsku.

Późnym popołudniem, szesnastego września wyruszył w kierunku Wilna ogromny wojskowy tabor – jakieś niewielkie oddziały piechoty, jakieś karabiny maszynowe na taczankach, trochę kawalerii, ale głównie wozy wojskowe i chłopskie zarekwirowane furmanki. W obawie przed niemieckimi nalotami tabor nie posuwał się szosą Lida – Wilno, a piaszczystym traktem i bocznymi drogami. Wlekliśmy się w żółtym tempie całą noc i rano siedemnastego września. Na postój zatrzymaliśmy się w dużym majątku pod Bieniakoniami – zatłoczonym jakimś wojskiem, uciekinierami i taborami. Tu dotarła do nas wiadomość – biegnąca gdzieś od dowództwa taboru – że już o szóstej rano Armia Czerwona wkroczyła w granice Polski. Zaskoczenie, niedowierzanie... plotka, że to pomoc w walce z Niemcami... jakieś kłębowski rozpaczliwych myśli... wszystko to formowało się w głowie w poczucie straszliwej klęski. Siedzieliśmy we trójkę na naszym wózku zszokowani i załamani! Dopiero po pewnym czasie zaczęła narastać świadomość, że „coś trzeba robić”.

Tadzik poszedł do dworu, gdzie ulokował się „sztab” – w istocie grupa dowódców poszczególnych oddziałów i oddziałków z różnych jednostek. Narady i dyskusje trwały do późnych godzin wieczornych. Jeden z załamanych dowódców wyszedł do sąsiedniego pokoju i strzelił sobie w skroń. Tadzik wrócił z tej narady z gotową decyzją. „*Ja idę na Litwę i będę przez Szwecję dostawał się do Anglii. Wy musicie wracać do domu*”. Ta decyzja zastąpiła poprzednią niepewność i teraz – gdy była już podjęta – wydawała się oczywista. Wiedzieliśmy, że w taborze jest znajomy gospodarz z Nomejek. Teraz zwolniony z wojskowej rekwizycji – chętnie zgodził się zabrać nas na swój wózek. Zaczęła się długa droga – chyba jedna z najtrudniejszych w życiu. Całą noc padał drobny uporczywy deszczyk. Po paru tygodniach wspaniałego wrześniowego słońca – to załamanie pogody potęgowało ponury nastrój. Było ciężko i źle – jak nigdy dotąd!

Gdy gdzieś w godzinach przedpołudniowych 18 września, znaleźliśmy się w Lacku, zobaczyliśmy przed gankiem jednokonny wóz i za chwilę oboje Rodziców, niosących do wozu jakieś pakunki. Radość była ogromna, bo od miesiąca nie wiedzieliśmy co dzieje się z Ojcem, a Mama bardzo niepokoiła się o nas i nie mogła sobie darować, że pozwoliła nam na wyjazd z Tadeuszem. Nie było czasu na dłuższe rozmowy. Ojciec, który zaledwie parę godzin przed nami dotarł do Lacka – przynaglał do pośpiechu. Chciał wyjechać z Lacka zanim zjawią się Sowieci – a były informacje, że posuwają się

bardzo szybko. Dramatyczne było pożegnanie z Babcią i Ciocią Niusią, która już od paru dni była w Lacku. Obie uparły się, że nigdzie nie pojedą! „*Zostajemy w Lacku, przecież nam starym nic nie zrobią*”. Nie pomogły namowy Mamy i Ojca – ani nasze prośby. Bały się „uciekinierki” w nieznane. Wybierały niepewny los, ale chciały być w swoim domu. Dla mnie było to rozstanie pełne złych przeczuć z dominującym uczuciem, że dzieje się coś nieodwracalnego. Przyszłość potwierdziła, że było to rozstanie ostatnie. W marcu 1940 roku na Kresach została przeprowadzona czystka etniczna, zakrojona na niebywałą skalę. Babcia i Ciocia zostały wywiezione jako „wrogowie ludu” do Kazachstanu, a tam przyszła szybka śmierć. Pani Grabowska z Leszczanki – wywieziona tym samym transportem – po wojnie wróciła z zesłania i przywiozła „Sprawkę” z informacją, że Babcia zmarła 12 grudnia 1941 roku. Ciocia Nusia – choć znacznie młodsza – zmarła wcześniej. Obie z zimna i głodu.

Pierwszy etap uciekinierki – Grodno

Ruszyliśmy z Lacka wczesnym popołudniem – Rodzice na wozie w byle jakim „przyodziewku”, który miał imitować chłopskie ubranie – my na rowerach. Kierunek Grodno – z zamiarem zatrzymania się u państwa Sulewskich – jeżeli się uda? „Galka” – ulubiona klacz Ojca – była w świetnej formie. Po dwóch godzinach osiągnęliśmy Skidel. Na przedmieściach zatrzymał nas ogromny zator wozów. Droga zamknięta przez wojsko. Okazało się, że komunistyczna bojówka, głównie skidelskich żydów i prawosławnych chłopów – od rana rozbijała na szosie małe grupki wycofujących się żołnierzy. Nadciągnął jednak oddział regularnego wojska i właśnie likwidował bojówkę. Gdy przejazd szosą został otwarty i mijaliśmy drogę prowadzącą do centrum miasteczka – gdzie wciąż trwała strzelanina – zobaczyłem przy drodze kilku zabitych dywersantów z czerwonymi opaskami na rękawach. Były to pierwsze ofiary tej wojny, które zobaczyłem, ale nie zrobiły na mnie większego wrażenia. Może dlatego, że byli to członkowie sowieckiej dywersji? O oddziale, który utorował nam drogę – krążyła wieść – że należał do „*pulku dowodzonego przez pułkownika Dąmbrowskiego*”, który szedł do Grodna (albo przyszedł z Grodna?). Informacja ta bardzo poruszyła Ojca, gdyż znał rotmistrza (później majora) Jerzego Dąmbrowskiego z czasów, gdy obaj w 1918 i 1919 roku walczyli o wschodnią granicę Rzeczypospolitej. Nie wiedział jednak czy to „*ten sam Dąmbrowski*”, którego znał, czy może „imiennik”.

Dziś wiem, że była to ta sama osoba. We wrześniu 1939 roku, jako podpułkownik w stanie spoczynku dowodził 110. Rezerwowym Pułkiem Ułanów i prawdopodobnie to któryś z jego pododdziałów likwidował w Skidlu bandę dywersantów²⁶⁾. Na przełomie lat 1918/1919, jako rotmistrz



„Portret” Galki”
– zrobiony przez Zyg-
munta Kuczyńskiego
– przechował się
w jego zbiorach

dowodził dużym oddziałem kawalerii (który nazywał siebie 1. Pułkiem Ułanów Wileńskich) oraz batalionem piechoty. To do tego oddziału – Ojciec dołączył swój oddział Samoobrony Szczuczyńskiej, z którego – nieco później – powstał „...76. pułk Strzelców Lidzkich im. Ludwika Narbutta, a rozkazy, wydane do Szczuczyńskiego Oddziału... znalazły się w Muzeum 76. pułku i uważane są za pierwsze rozkazy pułku”¹⁵⁹⁾ (w okresie międzywojennym pułk stacjonował w Grodnie).

Dalej, cofając się w czasie – cytuję pierwszy z rozkazów Szczuczyńskiej Samoobrony wydany 13 listopada 1918 roku – a więc dwa dni po ogłoszeniu w Warszawie odzyskania przez Polskę – niepodległości. Jest charakterystyczny dla tamtych czasów i operatywności Ojca, który w tym dniu – „na zebraniu ziemianstwa i całej inteligencji polskiej w Szczuczynie” – został upoważniony do „...tworzenia polskiej siły zbrojnej”⁷⁾.

„Rozkaz N.1 Szczuczyn dnia 13 listopada 1918 r. Wobec zbliżającego się ustąpienia Niemców, przystępuję do niezwłocznego formowania siły zbrojnej w powiecie „Planty” (powiat Szczuczyn tak był nazywany przez Niemców zajmujących wówczas nasze Kresy – A.L.) – w celu utrzymania porządku w powiecie i zapobieżenia rabunkom i grabieżom. Dowódca oddziału Porucznik jazdy /-/ Lisowski, Adiutant Chorąży /-/ Brochocki.”¹⁵⁹⁾

Rozkaz z następnego dnia dobrze ilustruje jak trudne były początki Samoobrony Szczuczyńskiej.

„Rozkaz N.2 Szczuczyn 14 listopada 1918 roku § 1 Podaję do wiadomości, że środki do formowania oddziałów zbrojnych Polskich w Szczuczynie i do objęcia władzy w powiecie przez Rząd stały i nawiązania stosunków z wyższymi władzami Polskimi, będą czerpane ze składek dobrowolnych. § 2 Pertraktacje z Niemcami wymogły na ostatnich pozwolenie formowania oddziału z 20 ludzi dla walki z bandytami, bez prawa noszenia karabinów, a tylko z dubeltówkami i rewolwerami. § 3 Żołnierze należący do oddziału Szczuczyńskiej Samopomocy /Wachtschutz im Szczuczyn/ wyróżniają się przepaską białą na lewym ramieniu w pieczęcią powiatową. Dowódca oddziału Porucznik jazdy /-/ Lisowski, Adiutant Chorąży /-/ Brochocki”¹⁵⁹⁾.

Jednak po kilku tygodniach ogromnej pracy organizacyjnej, prowadzonej we współpracy z obywatelską „Radą Powiatu” – udokumentowanej wielu dalszymi rozkazami – powstał oddział o znacznej sile. Przyczyniła się do tego między innymi wyprawa do Warszawy – podjęta 10 grudnia przez dowódcę oddziału i jego adiutanta. Przywieźli z tej wyprawy – przez niemiecki kordon – skrzynkę granatów i 20 karabinów, otrzymanych w Komendzie POW w Modlinie¹⁵⁹⁾. Nie wszędzie na Kresach, gdzie organizowała się w tym czasie samoobrona – przebieg tych działań był tak pomyślny. W nieodległym Słonimiu – tamtejszy proboszcz Jan Weber, który organizował w mieście oddziały samoobrony – został 29 stycznia 1919 roku bestialsko zamordowany przez bolszewików¹²²⁾. W Szczuczynie natomiast, 26 stycznia

1919 roku Samoobrona Szczuczyńska połączyła się z oddziałem rotmistrza Dąmbrowskiego: „...oddział Szczuczyński w sile 116 bagnetów pod dowództwem porucznika Sikorskiego wszedł w skład oddziału jako »kompania Szczuczyńska« (...) pluton jazdy pod dowództwem podporucznika Stanisława Brochockiego został włączony w skład 3-go szwadronu pułku ułanów (później przekształconego w 13. Pułk) (...) a porucznik Bolesław Lisowski został przydzielony do sztabu rotmistrza Dąmbrowskiego, jako jego zastępca”⁷⁾.

Oddział rotmistrza Dąmbrowskiego w latach 1919–1920 toczył zacięte walki z armią bolszewicką o polskie Kresy północno-wschodnie. Dowódca – w czasie walk partyzanckich („zagonów” na tyły wroga) – używał pseudonimu „Łupaszo”. Po dwudziestu trzech latach, pseudonim ten przyjął Zygmunt Szendzielorz słynny dowódca V Wileńskiej Brygady AK, który do 1946 roku walczył na Białostocczyźnie z komunistycznym zniewoleniem. „Zginął zamordowany przez UB w więzieniu na Rakowieckiej w Warszawie 8 lutego 1951 r., po procesie pokazowym w październiku 1950 r.”¹⁴³⁾.

Zwrócę uwagę, że wówczas, 18 września 1939 roku, w rejonie Skidla – w sposób zadziwiający – znaleźli się bardzo blisko siebie uczestnicy nie tylko wydarzeń dawnych, ale również wydarzeń przyszłych. W 110 pułku – zastępcą dowódcy był późniejszy słynny „Hubal”, major Henryk Dobrzański, walczący z Niemcami w rejonie Gór Świętokrzyskich do 30 kwietnia 1940 roku. Oficerem taktycznym był późniejszy wybitny dowódca Armii Krajowej na Nowogródzczyźnie – kapitan dyplomowany saperów Maciej Kalenkiewicz (cichociemny „Kotwicz”). Żołnierzem Hubala był też wachmistrz podechorąży Józef Świda²⁶⁾ (później rotmistrz „Lech”) – dowódca batalionu, w którym w 1943 roku Tadeusz, Sławek i ja, przeszliśmy chrzest bojowy na skraju nieodległej Puszczy Ruskiej (Grodzieńskiej). Wówczas – gdy mijaliśmy Skidel w uciekinierce na zachód – ta przyszłość była jeszcze ani znana, ani nawet przeczuwana. Do tych wydarzeń – jeszcze powrócę.

Do Grodna dotarliśmy wieczorem. Państwo Sulewscy przyjęli nas bardzo gościnnie. Choć byliśmy zmęczeni po całodziennym podróży i emocjonujących przeżyciach – do późnej nocy trwała „narada”. Wszyscy byliśmy zszokowani nową sytuacją. Ojciec był przy tym przygnębiony swoim dotychczasowym udziałem w kampanii wojennej. Dowiedzieliśmy się, że po zmobilizowaniu został skierowany do twierdzy Osowiec – na granicy Prus Wschodnich – gdzie pełnił funkcję „komendanta placu”. Jednak Niemcy tej silnej twierdzy właściwie nawet nie usiłowali zdobywać. Jej garnizon prawie nie wziął udziału w walkach. Gdy Armia Czerwona wkroczyła na Kresy – twierdzę przekazano Niemcom „bez obrony”, a jej załoga została zdemobilizowana. Ojciec ciężko przeżywał tę sytuację i twierdził, że już na początku kampanii należało z Osowca „wyprowadzić uderzenie na Prusy, a nie siedzieć bezczynnie”. Był rozczarowany i krytykował Naczelne Dowództwo. Był też zdecydowany nie pozostawać pod okupacją sowiecką. Uważał, że

powinniśmy jechać do Warszawy i tam czekać na dalszy rozwój wypadków. Wierzył w zwycięstwo zachodnich aliantów, ale nie w rychły koniec wojny.

Ze spraw aktualnych, najdłużej „radziliśmy” o sytuacji Babci i Cioci, które pozostały w Lacku. Nikt się z tym nie chciał pogodzić. Stanęło na tym, że jutro (tj. 19 września) – Sławek i ja – pojedziemy na rowerach do Lacka i przywieziemy Je do Grodna „jakimś wozem, który na pewno tam jeszcze znajdziemy”. Po bardzo krótkim nocnym śnie – wczesnym rankiem – do Lacka pojechał niestety tylko Sławek. Ja czułem się fatalnie i miałem wysoką gorączkę – co, jak się później okazało – było początkiem ciężkiego zapalenia wątroby. Znalazł Babcię i Ciocię w dobrym nastroju. Mówiły o przyjaznym nastawieniu służby i nie miały zamiaru ruszyć się z Lacka. Sławek – choć był najukochańszym wnukiem Babci – nie potrafił Jej przekonać do wyjazdu.

Gdy był w Lacku, przyjechali „po wieści o swojej babci” – dwaj młodszy Skawińscy z Kulbaczyzna – Józik i Janek. Byli konno – co Sławek wypominał im jako wielką nieostrożność i namawiał do wyjazdu z Kulbaczyzna. Mówili, że Wój i Ciocia Marynia już wyjechali, a oni będą podążać za nimi. Dopiero w 1992 roku ich starszy brat Bolek, który po kampanii wrześniowej wojnę przetrwał w „oflagu” otrzymał informację z akt KGB¹⁴⁹⁾, że 6.10.1939 roku zostali aresztowani jako członkowie „polskiej powstańczej bandy pułkownika Dąbrowskiego” i na podstawie wyroku Sądu Najwyższego ZSSR zostali rozstrzelani. Gdzie? Nie wiadomo! Może w Kuropatach? Już wówczas leżało tam kilkadziesiąt tysięcy Polaków, ofiar wcześniejszej czystki etnicznej prowadzonej przez Stalina w Mińszczyźnie, po 1933 roku. Ciocia Marynia do śmierci (1947 r.) wierzyła, że ocaleli i kiedyś wrócą.

Nasz wyjazd z Grodna do Różanego Stoku (w drodze na Warszawę) – zaplanowany na następny dzień – nie doszedł do skutku. Rano 20 września – w zachodniej stronie miasta odezwały się wystrzały armatnie i serie karabinów maszynowych. To Armia Czerwona okrążyła Grodno od południa i usiłowała wejść do miasta przez mosty na Niemnie. Ponieważ tam prowadziła nasza droga – wyjazd z Grodna stał



Józik Skawiński – fotografia z akademickiej legitymacji, a więc zrobiona krótko przed aresztowaniem



Bolek Skawiński, który po powrocie z „oflagu” „zdobył” wiadomość o śmierci swych braci – był zawodowym oficerem kawalerii. Podjął pracę w państwowych stadninach koni i dysponował służbowym motocyklem

się niemożliwy. Trwaliśmy więc w domu państwa Sulewskich – tak jak Oni – targani niepokojem i niepewnością. Ja czułem się fatalnie, wymiotowałem i wciąż miałem mdłości. Może to było przyczyną, że cały ten dzień, noc i dzień następny zapisały się w mojej pamięci tylko paru wyraźniejszymi zdarzeniami.

Pamiętam jak Ojciec, który miał dotychczas przy sobie służbowy pistolet otrzymany w wojsku – postanowił się „rozbroić” i wrzucił go do dołu podwórkowej ubikacji państwa Sulewskich. Pamiętam nieznośnie wlokącą się noc, wypełnioną dość odległą strzelaniną i bliskim hałasem przeciągających co jakiś czas ulicą Grandzicką wojskowych taborów i zwykłych wozów ludności uciekającej z przedmieść i dzielnic objętych walkami. Pamiętam straszliwie zatroskaną twarz Ojca, gdy rano stwierdził, że nasz wóz razem z koniem i częścią rzeczy, które nie zostały wniesione do domu – zniknął z podwórza za domem państwa Sulewskich. Pamiętam też – koło południa, następnego dnia – pierwszy patrol krasnoarmiejców posuwających się ulicą Grandzicką w kierunku centrum miasta z karabinami gotowymi do strzału i długimi bagnietami nasadzonymi na lufy. Już od kilku dni żyliśmy myślą, że Sowietci są tuż, i że w końcu nas dopadną, ale ta świadomość dopiero teraz zmaterializowała się w uczuciu całkowitej klęski i ogromnej wrogości do tych „szmactarzy” w szynelach (na dole postrzępionych) i z karabinami „na sznurkach”.

Z Grodna wyjechaliśmy zaraz następnego dnia (23 września) – furmanką wynajętą „w trybie handlu zamiennego” – za nasze rowery. Miasto było już całkowicie zajęte przez krasnoarmiejców, ale panował ogólny chaos, który zdaniem Ojca sprzyjał ucieczce. Życie tak się ułożyło, że choć byliśmy bardzo blisko tych dzielnic Grodna, w których toczyły się walki – o szczegółach tej obrony wiedzieliśmy bardzo mało.

Dopiero po pięćdziesięciu latach ze źródłowego opracowania W.K. Cygana⁹⁾ i świetnych, bardzo osobistych relacji Grażyny Lipińskiej⁹⁸⁾ – dowiedziałem się jak desperacka i bohaterska była to walka. Wszystkie czołgi (było ich siedem), które jako pierwsze sforsowały mosty i wtargnęły do Śródmieścia – zostały zniszczone. Bronią były głównie butelki z benzyną – często w rękach uczniów grodzieńskich gimnazjów i liceów. „*W walkach obronnych wyróżnili się uczniowie Państwowego Gimnazjum i Liceum Męskiego im. A. Mickiewicza*”⁹⁹⁾ – a więc moi koledzy. Chyba dlatego – gdy słyszę, jak do dziś nasi redaktorzy z radia i telewizji – relacjonując walki i zamieszki w różnych częściach świata, mówią często o butelkach z benzyną jako o „*koktajlach Mołotowa*” – zawsze mnie to głęboko oburza. Przypomina mi się Obrona Grodna i nasze ćwiczenia w Grandziczach. Przecież właśnie tam – w czerwcu i lipcu 1939 roku – uczono nas, jak niszczyć czołgi w przypadku braku broni przeciwpancernej. W tym czasie Mołotow przygotowywał z Ribbentropem pakt rozbiorowy Polski – „*tego bękarta traktatu Wersalskiego*”

(określenie Mołotowa) – i dopiero gdy „wspólnik zdradził” i stanął z armią u wrót Moskwy, zajął się masowym przygotowywaniem dla jej mieszkańców butelek z benzyną. Na tej podstawie „niedouczeni” i „lizusowscy” Anglosasi ukuli hasło: „*koktajle Mołotowa*”. Nie znaczy to jednak, że ten „chwast językowy” może być tolerowany w Polsce – popularyzując rzekomy „wyczyn” zbrodniarza, którego podpis widnieje na katyńskim rozkazie egzekucji.

Główny ciężar walki w Obronie Grodna dźwigała oczywiście nie młodzież szkolna, a dwa bataliony Obrony Grodna (I i II), dowodzone odpowiednio przez kapitana Piotra Korzona i majora Benedykta Serafina. W walkach brało też udział wiele innych (niestety niewielkich) jednostek, które akurat znalazły się w mieście lub w jego okolicach. „*Przy szosie skidelskiej zginęło ponad stu obrońców Grodna – szeregowych, oficerów, a także cywili i harcerzy*”¹²². W organizowaniu „*ducha obrony*” dużą rolę odegrał wiceprezydent miasta, Roman Sawicki – co z podziwem podkreśla Grażyna Lipińska⁹⁸). Po załamaniu się obrony – miasto przeżyło koszmar represji: „*Rosjanie 21 i 22 września rozstrzelali około trzystu obrońców i mieszkańców Grodna, dorosłych i młodzież*”¹²²). Jednostki, które po wygaśnięciu walk nie uległy rozformowaniu usiłowały przedostać się na Litwę (jak nasz Tadeusz) albo iść na pomoc oblężonej Warszawie, jak major Henryk Dobrzański, który z częścią żołnierzy odłączył się od grupy pozostającej z podpułkownikiem Dąmbrowskim. Generał Olszyna-Wilczyński – dowódca Okręgu Korpusu Grodno – został przez Sowietów zastrzelony wraz z adiutantem w drodze na Litwę, przy czym zbrodnia ta została popełniona w obecności Jego żony i córki. Dąmbrowski wprawdzie dotarł na Litwę, ale w 1940 roku dopadło Go tam NKWD. Został przewieziony do Mińska i tam zamordowany¹²²). Rozmiar bohaterstwa i tragedii, które rozgrywały się w owych dniach – po wejściu Sowietów na nasze Kresy – nadal jest udokumentowany tylko w nielicznych fragmentach i wciąż oczekuje na właściwe miejsce w naszej historii.

W drodze za Bug

Do Różanego Stoku – jako kolejnego etapu w drodze do Warszawy – dotarliśmy bez przygód. Rodzice postanowili „*przycupnąć*” w tej małej miejscowości, leżącej na „*uboczu*” – żeby mnie wykurować i rozpoznać możliwość przejścia przez granicę między sowiecką i niemiecką strefą okupacyjną. Profesor Żelnio i jego bardzo miła żona – przyjęli nas serdecznie. Profesor pamiętał Sławka i mnie jako swoich uczniów – choć teraz byliśmy już dobrze wyrosniętymi dryblasami. Zaczęło się szukanie lekarza. Żeby nie tracić czasu, Mama zdecydowała się prosić o wizytę lekarza sowieckiej jednostki wojskowej, stacjonującej w Różanym Stoku. Młody *lejtnant* przyszedł owszem, osłuchał mnie... i nie postawił ani przekonującej diagnozy, ani nie zaordynował lekarstw, w które można by wierzyć. Długo natomiast

przekonywał mnie i Mamę, że księży sałezjanie – to „*pasożyty*”, a wiara to „*opium dla ludu*”. Dziwiliśmy się zaangażowaniu, z jakim ten młody oficer i lekarz szkolił nas ideologicznie.

Dopiero na drugi lub trzeci dzień udało się ściągnąć lekarza z pobliskiej Dąbrowy Białostockiej. Był żydem i uciekał przed Niemcami. Dopiero teraz wrócił do domu i do lekarskiej praktyki. Okazał się doświadczonym specjalistą chorób wewnętrznych. Już po paru pytaniach o objawy – zaczął badać wątrobę. Technika „opukiwania” wyznaczał i rysował kredką na skórze, jej obrys. Stwierdził stan zapalny i ogromne powiększenie wątroby. Zapowiedział, że prawdopodobnie – w wyniku porażenia woreczka żółciowego – będę wkrótce „*żółty jak cytryna*” i że kuracja musi potrwać parę tygodni. Rzeczywiście, wkrótce zamieniłem się w „*żółtkę*” – ale lekarstwa, które przepisał były dostępne w Dąbrowie – i moje samopoczucie zaczęło się poprawiać. Bardzo pozytywnym aspektem zalecanej diety było spożywanie dużych ilości konfitur. Pamiętam cały koszyk słoików przysłanych przez panią Baehrową – ziemiankę z tamtych stron, którą Rodzice znali ze spotkań w Małej Bobrze. Nigdy wcześniej nie jadłem konfitur jako lekarstwa – ani też żadne lekarstwo tak mi nie smakowało.

W związku z moją przedłużającą się kuracją – Ojciec zrezygnował z dalszej wspólnej podróży. Jako najbardziej zagrożony nasilającą się penetracją polskiego społeczeństwa przez miejscową komunę i NKWD – postanowił w pojedynkę przedostać się do Warszawy – my zaś mieliśmy wyruszyć w „drugim rzucie”. To był już koniec września. Granica między okupacją niemiecką i sowiecką ustabilizowała się na linii Bugu. Wieś gminna mówiła w tym czasie, że tam, gdzie granica biegnie rzeką – jej przekroczenie na „*zielono*” jest najłatwiejsze. Ojciec postanowił więc ruszyć w tamtym kierunku i na miejscu badać możliwości. Wyrabianie jakiejś sowieckiej przepustki do legalnego przekroczenia granicy oczywiście nie wchodziło w grę.

Ojciec poszedł i słuch po nim zaginął. Wierzyliśmy, że mu się udało, i że czeka na nas w Warszawie u Żbikowskich. Ja przychodziłem stopniowo do zdrowia. Po miesiącu kuracji – pod koniec października – wszyscy byliśmy zgodni, że możemy ruszać. Nawet moja „*żółcizna*” prawie zniknęła. Pociągi osobowe zaczęły już kursować – wprowadzie bez „*wiarygodnego*” rozkładu – ale jednak były. Postanowiliśmy więc jechać pociągiem z Dąbrowy Białostockiej do Białegostoku i dalej w kierunku Warszawy, do jakiejś małej stacji, nie za blisko granicy, a stamtąd wędrować furmanką. Obciążeni swymi tobołkami – w tłumie wędrujących „*bieżenców*” i miejscowej ludności, przeważnie obciążonej niesionym towarem – nie wyróżnialiśmy się niczym szczególnym. Mój wymizerowany wygląd pasował do wyglądu większości tych ludzi. Do upatrzonej stacji – nazwy nie pamiętam – dotarliśmy bez przeszkód – nie licząc prawie całonocnego oczekiwania w Białymstoku na najbliższy „transport”.

Po wyjściu z dworca zauważyliśmy, że są jeszcze dwie osoby, które podobnie jak my rozglądają się w sytuacji. Po pewnym czasie zobaczyliśmy polskiego kolejarza, który z nimi rozmawia... i prowadzi do miasteczka. Ucieszyliśmy się, gdy znów się pojawił i „z duszą na ramieniu” zagadnęliśmy go, czy mógłby nam pomóc, bo... itd. Od razu wyjaśniło się, że jest świetnie zorientowany w „biznesie” przerzutu ludzi „na niemiecką stronę Bugu”. W ciągu kilku tygodni funkcjonowania granicy zorganizował się – chyba zupełnie samorzutnie – wcale sprawny punkt przerzutowy uciekinierów we wsi Ołtarze, odległej około 30 kilometrów od naszej stacji. Nie mieliśmy innego wyjścia, jak zaufać kolejarzowi i ludziom, których wskazał. Tego rodzaju zaufanie nie zawsze kończyło się szczęśliwie. Stryj Wiktor, który z żoną i obydwoma córkami usiłował z Brześcia przedostać się do niemieckiej strefy okupacyjnej został przez „przewodnika” wydany Sowiетom. W efekcie, po „zaliczeniu” kilku sowieckich więzień, wszyscy znaleźli się w Kazachstanie i później w armii Andersa. Jedynie Zosia jako nieletnia została wypuszczona i dotarła do Warszawy, a później znalazła się pod opieką Mamy. My lepiej ulokowaliśmy nasze zaufanie.

Za opłatę w naturze (chyba zegarek i coś „na dodatek”) miejscowy gospodarz zawiózł nas do wsi Ołtarze, rozciągniętej wzdłuż Bugu i oddzielonej od rzeki tylko niezbyt szeroką łąką. Podróż była tak zaplanowana, żeby na miejsce dojechać już nocą i przy tym całkiem polną drogą. Rzeczywiście – zupełnie niespostrzeżenie (nie pokazując się na ulicy biegnącej przez wieś) – znaleźliśmy się w stodole jakiegoś gospodarstwa. Tu pojawił się właściwy przewoźnik, starszy już człowiek. Nakazał zachowywanie całkowitej ciszy, bo stodoła stoi blisko łąki, a łąką – wzdłuż rzeki – przechodzą patrole sowieckiej straży granicznej. *„Wszystko się uda, ale przeprawa musi się odbyć w czasie, gdy jest zupełnie ciemno lub jest mgła, a strażnicy są na tyle daleko, że nie ma obawy, aby coś mogli zobaczyć czy usłyszeć. Mamy siedzieć cierpliwie, w gotowości. Łódź jest ukryta w sianie, więc idąc do rzeki zabierzemy ją ze sobą. Oprócz nas, będzie się przeprawiać jeszcze parę osób”*. Pytaliśmy, czy Niemcy – jeżeli nas złapią – nie odeślą z powrotem na sowiecką stronę Bugu. Upewnił, że Niemcy sprawdzają kto przechodzi do ich strefy, ale uciekinierów wpuszczają. Teraz nastąpiło uregulowanie należności za przewóz. Pamiętam, że wysoko zostały ocenione dwie lackowskie *burki* ze „spuszańskiej manufaktury”. Pamiętam też długie nocne oczekiwanie.

Dopiero nad ranem wpadł do stodoły nasz przewoźnik z pomocnikiem i z dwoma „dodatkowymi” uciekinierami... chwyciliśmy nasze tobołki i pomagając taszczyć łódź... posuwaliśmy się cicho przez łąkę. Zwodowanie łodzi i jej załadunek poszły całkiem sprawnie. Po chwili odbiliśmy od brzegu i zanurzyliśmy się w nocną mgiełkę zbliżającego się poranka. Szczęście nam sprzyjało. Było ciemno „choć oko wykol”. Przewoźnik i jego pomocnik starali się zapobiec znoszeniu łodzi przez prąd, więc płynęli, kierując ją stale

w górę rzeki. Posuwaliśmy się wolno, ale „sowiecki brzeg” oddalał się coraz bardziej. Mama cały czas trzymała się bardzo dzielnie jednak teraz – nawet w panującej ciemności – było widoczne Jej wzruszenie. Zresztą wszyscy byliśmy głęboko poruszeni. Dobrze wiedzieliśmy, że po drugiej stronie też jest okupant, z którym walczyliśmy – jednak w tamtym czasie okupant niemiecki wydawał się bardziej cywilizowany od radzieckiego krasnoarmiejca i zwłaszcza NKWD-zisty.



W 2004 roku, w czasie jednej z wypraw w rodzinne strony byłem w Oltarzach i pokazywałem Synowi i wnuczce Bug w miejscu niegdyśszej przeprawy

Po wylądowaniu przewoźnik wskazał drogę, którą mamy iść i łódź odpłynęła. Czekaliśmy aż się trochę rozwidni. Gdy ruszyliśmy – wkrótce doszliśmy do jakiejś wsi i dopiero tu natknęliśmy się na patrol niemieckiej straży granicznej. Był to nasz pierwszy kontakt z drugim okupantem. Język niemiecki, którym dość płynnie rozmawialiśmy z prowadzącym podoficerem, niewątpliwie poprawiał naszą sytuację. Dość szczegółowo rozpytywał, kto jesteśmy oraz skąd i dokąd jedziemy. Mówiliśmy prawdę, a Niemiec – chyba nam wierzył. Nie robił trudności i pozwolił je-

chać do Warszawy. Pierwszy kontakt z Niemcami wydawał się potwierdzać nasz dotychczasowy pogląd, że okupant niemiecki jest jednak „lepszy” od sowieckiego. Dopiero dalsze wojenne losy oduczyły mnie takich porównań i przekonały, że nie mają większego sensu (choć oczywiście oceny emocjonalne są nadal nieuniknione).

We wsi „przycupnęliśmy” na cały dzień żeby się „uporządkować”, odnowić podrózne zapasy żywności i zorganizować dalszy transport.

Następnego dnia dojechaliśmy do najbliższej stacji kolejowej na linii Białystok – Warszawa i późnym popołudniem znaleźliśmy się na Dworcu Wschodnim. Wszystko na co patrzyliśmy w czasie tej drogi – zwłaszcza tu na dworcu w Warszawie – różniło się wyraźnie od tego, co zaledwie przed paru dniami otaczało nas w Różanym Stoku i w wędrówce przez Podlasie. Uderzał ruch i ożywienie tłumu. Było hałaśliwie. Nie czułem tego charakterystycznego w strefie okupowanej przez Sowietów – uczucia przygnębienia i niepewności. Nawet niemieckie mundury żandarmów patrolujących dworzec nie robiły większego wrażenia. Nie były to tylko moje odczucia. Również Mama i Sławek byli wyraźnie odprężeni.

Był 1 listopada 1939 roku – dzień Wszystkich Świętych. Pełna świadomość tej daty dotarła do nas dopiero o zmroku, gdy doczekaliśmy się na odjazd „konnego tramwaju” na Żoliborz i przez most pontonowy przejechaliśmy za

Wisłę. Tu były wyraźne ślady niedawno zakończonej obrony Warszawy. Przejmujący był widok świec zapalonych wśród ruin lub w oknach wypalonych domów oraz na mogiłach rozsianych wzdłuż ulic i skwerów. Dziś wiemy, że obrona pochłonęła 31 000 śmiertelnych ofiar. Rozmiar zniszczeń spowodowanych bombardowaniem Warszawy w 1939 roku – był znacznie mniejszy od tego, który przyniosły dalsze lata wojny. Jednak wówczas – obserwowane zniszczenia oraz płomyki świec – całkiem bliskie i migające gdzieś w głębi mijanych ulic – robiły ogromne wrażenie. Groza wojny – wyrażana dotychczas głównie sowiecką okupacją – pokazała w Warszawie swe inne oblicze.

W Warszawie

Konny tramwaj, zatrzymując się na licznych przystankach, posuwał się wolno. Na obszernej platformie (na samochodowych oponach) – zaprzężonej w dwa silne „belgijskie” konie – ludzie tłoczyli się na ustawionych ławkach i z trudem omijali tobołki i kosze upychane pod ławki lub trzymane na kolanach. „Rotacja” jadących pasażerów była duża, jak w autentycznym tramwaju na ruchliwej ulicy. Furman platformy pełnił funkcję nie tylko „motorniczego”, lecz także konduktora – z wielką wprawą. Choć niektóre odcinki właściwych linii tramwajowych w mieście zostały już uruchomione – „konny tramwaj” królował w tym czasie na ulicach Warszawy. Po raz pierwszy widzieliśmy też „rowerowe ryksze”. Na Plac Wilsona dotarliśmy późnym wieczorem, ale do willi państwa Żbikowskich, na ulicy Felińskiego 25 mieliśmy blisko. Odetchnęliśmy, gdy zobaczyliśmy, że „willa stoi”!

Witła nas nie tylko cała rodzina państwa Żbikowskich, ale również Ojciec. Nie wiedział co się z nami dzieje i bardzo się niepokoił. Radość była ogromna. Jedzenie „podróżne” – byle jakie – zastąpiła autentyczna kolacja przy nakrytym stole. Obrus... stołowa zastawa! Nie było luksusów, ale po raz pierwszy od bardzo dawna poczuliśmy się „jak w domu”. Pytaniom i opowiadaniom nie było końca. Okazało się, że Ojciec przekraczał „zieloną granicę” nie na Bugu, a w lasach, w rejonie Małkini. Przewodnikiem był leśnik – znajomy przypadkowo poznanego podoficera



Willa państwa Żbikowskich na ulicy Felińskiego 25. Zdjęcie zrobiłem dopiero w 2007 roku, ale od czasu wojny niewiele się zmieniła

z Garnizonu Białostockiego, który podobnie jak Ojciec uciekał spod okupacji sowieckiej. Ich „*pierwsze podejście do granicy było chybione*”, ale następna noc przyniosła sukces. Nasza przeprawa przez Bug była bardzo „chwalona” – choć, podobnie jak przeprawa Ojca udała się głównie dzięki przypadkowym, szczęśliwym zbiegom okoliczności.

Piętrowa willa Żbikowskich była w tym czasie doprowadzona do stanu używalności tylko na parterze, w paru pokojach. Okna w pozostałych pokojach i na piętrze były prawie bez szyb. Żoliborz nie był mocno zbombardowany – ale w całej Warszawie zapotrzebowanie na szkło okienne było ogromne. Tymczasem zima „naciskała”, więc zdobycie szkła i dykty (sklejki), aby zabezpieczyć wszystkie pokoje, stało się koniecznością i ambicją zarówno Sławka, jak i moją. Jakoś w tym czasie Ojciec zaczął realizować plan urządzenia w garażu willi państwa Żbikowskich, małego sklepiku warzyw i owoców. Miał to być sposób na zdobywanie środków utrzymania i przynajmniej częściowe uniezależnienie się od gościnności gospodarzy. Pierwsze tygodnie pobytu w Warszawie zostały wypełnione „myszkowaniem” po bazarach Warszawy w poszukiwaniu choćby niewielkich ilości taniego szkła okiennego i dykty... wyprawami do Grójca i pod Piaseczno po warzywa i owoce do sklepiku... szkleniem okien lub wstawianiem dykty, gdy brakowało szyb... zastępowaniem Mamy w sklepiku, otwieraniem rano i w godzinach popołudniowych... i innymi zajęciami domowymi. Naturalnym „dowódcą” wszystkich akcji był Ojciec, a Sławek i ja dość szybko nauczyliśmy się Warszawy. Byliśmy coraz bardziej przydatni i samodzielni.

Gdy nadeszły Święta Bożego Narodzenia, dom był zabezpieczony na zimę (choć wymiana dykty na szkło trwała jeszcze dość długo), a funkcjonowanie i zaopatrzenie sklepiku było zorganizowane, głównie transportem kolejowym lub kolejką wąskotorową i dalej rowerową riksą. Pani Żbikowska dbała o dom, wkładając dużo energii w pielęgnację parkietów (co Mama „podziwiała” trochę złośliwie). Marysia i Stenia – w szkołach, do których uczęszczały w minionym roku szkolnym – zaczęły brać udział w tajnym nauczaniu. Organizowano je pod „przykrywką” legalnych szkół rzemiosła lub nielegalnie – w prywatnych mieszkaniach. Po niedawnych przejściach – życie zaczęło być dość uporządkowane, a dojmujące uczucie bezdomności – wyraźnie zelżało. W przeddzień Wigilii – wraz z transportem jarzyn i owoców – Ojciec przywiózł dużą choinkę. Ustawiliśmy ją w pięknym salonie willi. Pomogliśmy dziewczętom odszukać w piwnicy duże pudła wspaniałych „warszawskich” zabawek na choinkę – głównie szklanych bombek, „srebrnych łańcuchów” i elektrycznych lampek, których w Lacku nie mieliśmy. Choinkę ubieraliśmy wszyscy – włączali się nawet Rodzice! Mieliśmy wówczas choinkę rzeczywiście wspaniałą!

Wigilia była wojenna – raczej skromna. Tradycja kresowa reprezentowana przez Mamę i warszawska – przez panią Żbikowską – złożyły się w sumie na

Wigilię bardzo uroczystą i „domową”. Życzenia były i osobiste i „wojenne”, ale wszyscy *nadrabiali minę*. Gdy dziś wspominam tę pierwszą – z sześciu wojennych wigilii – wydaje mi się najbardziej wzruszająca. Skumulowały się w niej przeżycia *tragicznego września*, rozstanie z domem, choroba i „*uciekiniierka*” za Bug... Równocześnie w tym świątecznym nastroju napięcie tych wszystkich przeżyć jakby się „rozładowało”. Po wigilijnej kolacji Marysia siadła do fortepianu i pięknie akompaniując – zaintonowała: „*Bóg się rodzi, moc truchleje...*” Coś mnie ścisnęło za gardło... Z trudem włączyłem się do wspólnego śpiewania tej „królowej” naszych kolęd. Poczułem wówczas, jak bardzo oddalił się mój dawny świat i jak przybliżyła się nieznana przyszłość. Właśnie przed paru tygodniami ukończyłem 16 lat i nie byłem tą przyszłością przestraszony.

Zaraz po Świątach, 27 grudnia nadeszła wiadomość o bestialskim wyciąganiu z domów i zamordowaniu w Wawrze – 106 Polaków – dorosłych, chłopców i starców. Pretekstem do tej zbrodni było zastrzelenie dwóch niemieckich podoficerów przez dwóch zbiegłych z więzienia i poszukiwanych kryminalistów. Wiadomość ta wywarła ogromne wrażenie na całym społeczeństwie, mobilizując do oporu. Pamięć o tej zbrodni – demonstrowana napisami na murach Warszawy: „*Wawer pomścimy*” – przetrwała całą okupację „*aż do zagłady miasta*”⁹⁸⁾. W willi Żbikowskich powiało grozą...

Jakoś na początku stycznia, zupełnie przypadkowo na ulicy spotkałem Zbyszka Mierzejewskiego. Dotarł do Warszawy zaraz po 17 września i miał już nawiązane liczne kontakty z profesorami i uczniami naszego liceum z Grodna. Okazało się, że już od początku listopada ksiądz Potrzebski organizuje dla naszej klasy „komplety tajnego nauczania”, i że zajęcia z podstawowych przedmiotów już się zaczęły. Ojciec i Mama bardzo się tym ucieszyli i od razu wyrazili zgodę na podjęcie przez nas nauki. Było oczywiście rozpatrywane niebezpieczeństwo związane z konspiracyjną nauką, ale perspektywa zdania matury i otwarcia tym sposobem drogi na studia – zaraz po wojnie – była zbyt kusząca. Tak więc obaj – Sławek i ja – zaczęliśmy funkcjonować w siatce „tajnych kompletów nauczania”.

W istocie, nasze spotkania z profesorami poszczególnych przedmiotów – odbywające się „na kompletach” – spełniały funkcje konsultacyjno-kontrolne. Profesor, mając na spotkaniu przeważnie 3–6 uczniów – wyjaśniał zgłaszane przez nich wątpliwości oraz sprawdzał zaawansowanie i postęp osiągnięty w opanowywaniu wiedzy przewidzianej programem II klasy liceum matematyczno-fizycznego. Czasem tłumaczył co w obowiązującym programie jest najważniejsze, jednak te wskazówki pojawiły się właściwie dopiero w maju i czerwcu, gdy zbliżała się matura. Tak więc nauka polegała głównie na samodzielnym opanowywaniu wiedzy podręcznikowej, a profesorowie jedynie regulowali z grubsza tempo „przegryzania” się przez materiał i „monitorowali” osiągnięty postęp. Na szczęście zdobycie podręczników,

które nas obowiązywały – nie było problemem. W antykwariatach można było kupić je za niewielkie pieniądze.

Wraz z „kompletami” zaczął się czas jazdy do różnych dzielnic Warszawy... pod różne adresy... w różnych terminach... w dni powszednie i w święta... o różnych porach dnia. Czasem miejsce i czas kolejnego spotkania były podawane od razu na zakończenie zajęć, ale często był wskazywany jedynie sposób uzyskania informacji o następnym spotkaniu. Mimo, że niektóre przedmioty miały w zasadzie niezmiennie adresy spotkań i mimo, że docierałem pod te adresy wielokrotnie – nie pamiętam, żadnego z nich. Odwiedzane wnętrza... twarze większości profesorów i spotykanych kolegów... wszystkie szczegóły – są w mej pamięci całkowicie zatarte. Może dlatego, że natłok wrażeń był w tym czasie ogromny? Może pamięć była bardzo wyraźnie skoncentrowana na „wkuwanej” w tym czasie wiedzy podręcznikowej?

Z tego okresu rozległych rozjazdów niemal po całej Warszawie, najsilniej utkwiał mi w pamięci jeden przejazd na linii Żolibórz – Śródmieście, który mógł się dla mnie skończyć tragicznie. Trzeba wiedzieć, że choć niemal wszystkie linie tramwajowe były już czynne – liczba kursujących składów była bardzo ograniczona. W konsekwencji na wszystkich przelotowych trasach, dostanie się do tramwaju było problemem. Normalnie jeździło się „na winogrono”, tzn. stojąc (często na jednej nodze) na stopniu tramwaju i trzymając się jakiegoś uchwyty (często jedną ręką). Drzwi „zablokowane” pasażerami nie były zamykane. Otóż, jadąc tramwajem „na winogrono” przez wiadukt przy Dworcu Gdańskim zagapiłem się i – zbliżając się do trakcyjnego słupa – nie zmniejszyłem swego „wychyłu”. Tramwaj na tym odcinku jechał szybko, więc całym pędem – ramieniem i plecami – wałnąłem w trakcyjny słup. Oderwany od tramwaju – znalazłem się na torowisku – niemal nieprzytomny. Na szczęście byłem uciepiony ostatnich drzwi w ostatnim wagonie – więc zostałem rzucony nie pod, a za tramwaj, który pojechał dalej. Na wiadukcie nie było chodnika i nie było ludzi. Po pewnym czasie sam zwlokłem się z torowiska i siedząc na skarpie wiaduktu – dobrą godzinę *dochodziłem do siebie*. Na szczęście nic mi się nie stało i po paru dniach znów podróżowałem „na winogrono” – tylko bardziej ostrożnie.

Jedną z zasad konspiracji, której nas uczono – było poruszanie się po mieście w pojedynkę. Mój rozkład zajęć był więc inny niż Sławka – przy czym obydwaj byli bardzo „niestabilni”. W tej sytuacji nasza pomoc w prowadzeniu sklepiu – była „mizerna”. Niemal cały ciężar zaopatrzenia spoczywał na barkach Ojca, a obsługa kupujących – Mamy. Nasza pomoc była bardziej skuteczna jedynie w dniach wolnych od spotkań z profesorami – ale tych dni nie było zbyt wiele. Tak więc czas był wypełniony „lataniną” i dorywczą pomocą w pracy Rodziców – zapewniającej środki utrzymania. Niektóre popołudnia, ale głównie wieczory, były dzielone między „życie towarzyskie” i naukę. Jej podstawę stanowiły podręczniki, o których już

wspominałem oraz obowiązujące pozycje lektury – pożyczane w różnych bibliotekach prywatnych i miejskich (formalnie nieczynnych). Kino i jakieś oficjalnie funkcjonujące imprezy kulturalne – były ignorowane przez mieszkańców willi na Felińskiego. Obowiązywało hasło: „*tylko świnie siedzą w kinie*” – przestrzegane skrupulatnie do końca wojny. Do imprez organizowanych konspiracyjnie nie mieliśmy wówczas dostępu.

„Życie towarzyskie” polegało więc głównie na dzieleniu się informacjami zasłyszanymi z różnych źródeł – o przebiegu wojny i o wydarzeniach w okupowanym kraju. W tej tematyce, nie było końca dyskusjom i sporom – prowadzonym głównie w gronie domowników, ale czasem również z udziałem znajomych państwa Żbikowskich. Ojciec pilnie śledził informacje o przebiegu agresji Związku Radzieckiego na Finlandię – rozpoczętej 30 listopada 1939 roku i wlokącej się do kwietnia 1940 roku. Upatrywał w tym ewidentny dowód słabości Sowietów. Pan Żbikowski ciężko przeżywał powodzenie działań niemieckich, które 9 kwietnia 1940 roku rozpoczęły się atakiem na Danię i Norwegię. Twierdził, że „oskrzydlenie” Wielkiej Brytanii od wschodu i północy oraz zabezpieczenie dostaw szwedzkiej rudy żelaza z Kiruny drogą przez Narvik – zdecydowanie przedłuży wojnę. Wiadomości o udziale polskich jednostek w oddziałach ekspedycyjnych państw sprzymierzonych – broniących Narviku były skąpe. Niemcy radioodbiorniki skonfiskowali – i państwo Żbikowscy nie mieli radia. Byliśmy więc zdani na niepewne informacje zasłyszane i przekaz niemieckich „gadzinówek”^{*)}. Na podziemne gazetki „natrafialiśmy” rzadko. My młodzież – mimo huśtawki nastrojów, byliśmy skłonni do większego optymizmu niż nasi Rodzice. Wciąż wypatrywaliśmy rychłego końca wojny – „*gdy ruszy Francja*”! Odrzucając się od stresujących wojennych „dywagacji” – przechodziliśmy do swoich obowiązków szkolnych – bez normalnych uczniowskich oporów. Specyfika konspiracyjnego systemu nauczania owocowała – wcześniej trudną do wyobrażenia – powszechną wśród uczniów obowiązkowością i starannością w opanowywaniu wiedzy objętej programem nauczania.

W Osieku

Jakoś w połowie kwietnia 1940 roku Rodzice nawiązali kontakt z panią Janiną Grabińską, siostrą mojej matki chrzestnej – wspomianej już – Marysi Połńskiej z Ródkiewicz. Pani Janina gospodarzyła w tym czasie w swoim folwarku Osiek – odległym o około 15 km od Łowicza i około 25 km od Walewic (gdzie gospodarzyła rodzina jej Brata). Gdy się dowiedziała, że jesteśmy w Warszawie – bardzo serdecznie zaprosiła nas do siebie. Rodzice wahali się ze względu na nasze zaangażowanie w tajnym nauczaniu. Twierdziliśmy

^{*)} Tak były nazywane gazety wydawane przez okupanta.

jednak, że na spotkaniach z nauczycielami cały wysiłek jest teraz skierowany na przedmaturalne powtarzanie obowiązującego materiału – a to potrafimy robić samodzielnie – ewentualnie, z nielicznymi dojazdami do Warszawy. Nasze argumenty – oraz rosnące zagrożenie i pogarszające się warunki bytowania w wielkim mieście – przeważały. Nie bez znaczenia była też perspektywa spędzenia lata na wsi. Pod koniec kwietnia nastąpiła „przeprowadzka”. Znowu znaleźliśmy się w warunkach przypominających Lack.

Dworek w Osieku był dość obszerny, a pani Janina była niezamężna. Była bardzo podobna do swojej Siostry, z Ródkiewicz. Typ amazonki! Bardzo energiczna i dzielna. W czasie plebiscytu i Powstań Śląskich odegrała dużą rolę w akcji plebiscytowej na Opolszczyźnie. Oprócz odznaczeń przyznanych w okresie międzywojennym – kilkadziesiąt lat później – otrzymała od PRL-owskiego Wojewody Jerzego Ziętka, specjalną, powstańczą rentę. Ojciec miał znakomity kontakt z panią Janiną – podobnie jak wcześniej z Jej siostrą. Mieli mnóstwo wspólnych tematów do dyskusji i sprzeczek zarówno w kwestiach gospodarki, jak i polityki. Pierwsze tygodnie spędzone w Osieku na prawach gości – Sławkowi i mnie – wypełniła nauka. Rodzice odpoczywali po warszawskiej krzątaniu – wyprawach Ojca po towar, dyżurach Mamy w sklepiku i rozlicznych domowych zajęciach. Ale ten czas był również nasycony przeżyciami wojennymi. Pani Janina miała odbiornik radiowy zakonstruowany w piwnicy, do której służba nie miała dostępu. Nasłuch różnych radiostacji był prowadzony dość regularnie – teraz byliśmy więc dobrze zorientowani w rozwoju wypadków.

A ten rozwój był tragiczny! Od barbarzyńskiego zbombardowania Rotterdamu dnia 10 maja 1940 roku do podboju całej Holandii i kapitulacji Belgii – upłynęło zaledwie 18 dni. *„Podbój Francji trwał niecałe 5 tygodni od przekroczenia granicy francuskiej 14 maja do upadku Paryża 16 czerwca”*¹⁰⁾. Francja broniła się krócej niż Polska napadnięta z dwóch stron przez Niemcy i Związek Radziecki. A przecież pomagał jej również silny korpus wojsk brytyjskich i także jednostki Wojska Polskiego organizowane głównie z ochotników walczących wcześniej w kraju! Przy tym podpisała kapitulację, oddała Niemcom Alzację i Lotaryngię, a rząd marszałka Petaina zobowiązał się do współpracy z hitlerowską Rzeszą. Wszystkie te wydarzenia były tak zaskakujące i przerażające, że *„nie mieściły się w głowie”*! Ciekawe, że ogromny „gmach” wcześniejszych nadziei – walący się w maju i czerwcu – owocował w naszym „tandemie” rosnącą determinacją zdania matury! Ta matura miała być czymś w rodzaju „przepustki” do dorosłego życia i do walki, którą wciąż widzieliśmy „na horyzoncie” jako coś pożądanego.

W kontaktach z kolegami z kompletów – na które, choć rzadziej, jednak docieraliśmy do Warszawy – zostaliśmy „zarażeni” pomysłem przygotowania *ściągawek* na egzamin maturalny. W warszawskich antykwariatach zaopatrzyliśmy się w *bryki* – funkcjonujące jeszcze przed wojną – i na tej

podstawie przygotowywaliśmy pracownice *harmonijki ściągawek* pisanych bardzo „drobnym makiem”. Było tego dużo – najwięcej z wiedzy o literaturze. Osobno były kompletowane obowiązujące wzory z algebry, trygonometrii i początków rachunku różniczkowego oraz wzory z fizyki. Byliśmy tak „pracowici”, że gdy do Osieka przyjechała w odwiedziny Bratowa z Walewic z dwójką swoich dzieci – w wieku zbliżonym do naszego – podobno zostaliśmy przez panią Janinę zarekomendowani jako „obiecująca młodzież”, której wpływ na rówieśników może być dodatni. Panie planowały nawet doprowadzenie do naszej bliższej znajomości, ale nic z tych planów nie wyszło. Gdy dziś przypominam sobie wysiłek wkładany w przygotowanie „ściągawek” – nie mogę oprzeć się wrażeniu, że był to wcale dobry sposób na utrwalanie nabytej wiedzy – choć był oczywiście „niezbyt chwalebny”.

Jeżeli dobrze pamiętam – maturę zdawaliśmy gdzieś w połowie czerwca w ogromnej kamienicy z szarej cegły, przy Alei Niepodległości. Ksiądz Potrzebski, którego nie widziałem przez cały czas tajnego nauczania – przywitał naszą wyjątkowo liczną grupę, w dużym salonie jakiegoś prywatnego mieszkania. Nawiązał do aktualnej sytuacji w kraju i na frontach wojny. Mówił o zagrożeniu, które wynika z prawdopodobnego upadku Francji. Usiłował nas przygotować na najgorsze i dodać ducha do dalszego oporu – już „z maturą w kieszeni”. To przywitanie dobrze zapamiętałem – natomiast sam egzamin zarówno pisemny, jak i ustny – mam w pamięci całkowicie zatarty. Wiem, że tak starannie przygotowywane „ściągki” nie były w ogóle wykorzystane. Poważny nastrój egzaminu, nadany świetnym wystąpieniem dyrektora i zachowaniem egzaminujących profesorów – wykluczało sięganie po nie – zresztą nie były potrzebne! Sądzę, że merytoryczny poziom naszej wojennej matury nie był gorszy od poziomu większości matur wcześniejszych.

Zniknięcie emocji maturalnych, nasiliło nasze zainteresowanie sytuacją wojenną, która wyraźnie się pogarszała. Po kapitulacji Francji – rozgorzała bitwa powietrzna o Wielką Brytanię. Garstka bohaterskich pilotów – w tym polskie załogi – nie dopuszczała do opanowania przestrzeni powietrznej nad Kanałem i południową Anglią. Tym sposobem zapobiegała inwazji niemieck-



Ksiądz Wiktor Potrzebski dyrektor naszego liceum w Grodnie i organizator kompletów tajnego nauczania w czasie wojny. Później w okresie Powstania kapelan („Corda”) IV Rejonu Obwodu Śródmieście w Warszawie (pierwszy z lewej)

kich wojsk lądowych, która musiałaby zakończyć się nieuchronną klęską Sprzymierzonych. Jeszcze w czasie trwania kampanii francuskiej (17.06.1940 r.) – po zorganizowaniu działań wywrotowych, prowadzonych przez partie komunistyczne Estonii, Łotwy i Litwy – Stalin zajął te kraje i włączył do ZSRR. Żyjący tam Niemcy mieli być ewakuowani i osiedleni na terenach Polski między innymi na Zamojszczyźnie, gdzie wkrótce miały się rozpocząć masowe wysiedlenia Polaków. Dziesięć dni później do „sowieckiej ojczyzny” została przyłączona również Bukowina i Besarabia, a „okrojona” Rumunia stała się wasalem Niemiec. Bandyckie totalitaryzmy – do których w maju dołączyły również Włochy – umacniały swą pozycję wciąż nowymi zdobyczami, a perspektywa pomyślnego zakończenia wojny wyraźnie się oddalała.

Mimo to – w Osieku nie wyczuwało się osłabienia ducha oporu. Pani Janina – konstatując przedłużanie się wojny i przewidując nasilanie niemieckich represji w stosunku do polskiej inteligencji i ziemiaństwa – zainicjowała akcję ukrycia przed niemieckim okupantem rzeczy, które mogłyby „paść jego łupem”. Ojciec kierował tą akcją, a my byliśmy główną siłą wykonawczą. Najpierw zakopaliśmy w ogrodzie – obok młodej jabłoni wskazanej przez panią Janinę – jej piękną, ulubioną strzelbę myśliwską. Żeby strzelbę zabezpieczyć, nawet na bardzo długie leżenie w ziemi, lufy napełniliśmy tzw. „towotem”^{*)} i całą strzelbę dosłownie „obłożyliśmy” tym smarem – a następnie owinęliśmy w worek z grubej folii, w której pakowano sztuczne nawozy dla rolnictwa. Druga akcja była najpoważniejsza. Pani Janina miała w Osieku komplet starodawnej srebrnej zastawy stołowej, na kilkadziesiąt osób – który przypadł jej w wyniku rodzinnych spadkowych podziałów. Komplet obejmował nie tylko srebrne sztucce i talerze o różnych rozmiarach, ale także srebrne wazy, półmiski, sosjery, puchary i kielichy zdobione herbowym znakiem właścicieli Walewic. Solidny drewniany kufer o pojemności, co najmniej metra sześciennego, był szczelny więc zabezpieczyliśmy go tylko folią – podobnie jak strzelbę. W pobliżu dworku, na skraju ogrodu – rozciągał się niewielki młody laszek buków i dębów, przecięty wewnętrzną, „polową” drogą. Po wielu naradach zapadła decyzja, aby kufer zakopać na tej drodze, gdyż umożliwi to najlepsze „zamaskowanie” śladów świeżo kopanej ziemi. Nocą, gdy nie było obawy, aby ktoś przechodził drogą przez laszek – wykopaliśmy głęboki dół i po zabezpieczeniu kufra „stropem” z grubych bali – już prawie przed świtem zakończyliśmy odtwarzanie „terenowych” kolein i maskowanie śladów „pochówku”. W trzeciej akcji, został zakopany motocykl pani Janiny – o niezbyt dużej pojemności. Po zdjęciu kół i błotników oraz dobraniu odpowiedniej skrzyni i „obfitym” przeciwrzeczynnym zabezpieczeniu – wykopaliśmy dół na świeżo zaoranym polu nad głębokim rowem

^{*)} Towot – powszechnie używana nazwa gęstego, mineralnego smaru stosowanego do maszyn i urządzeń rolniczych.

melioracyjnym. W tym przypadku zamaskowanie śladów – nie stanowiło żadnego problemu. O skuteczności przeprowadzonych akcji – powiem później.

Lato 1940 roku spędzone w Osieku – oprócz „ukrywania skarbów” – nie upamiętniło mi się niczym szczególnym. Rodzice byli w wieku, który już chronił ich przed wywózką na roboty do Niemiec. My – oficjalnie byliśmy pracownikami folwarku. Czas był wypełniony w niewielkim stopniu naszym udziałem w robotach żniwnych – głównie natomiast radiowym nasłuchem. Łapaliśmy wieści o wojnie toczącej się na morzach i oceanach między marynarką brytyjską i niemiecką oraz o zmaganiach w północnej Afryce brytyjskiej armii lądowej z włoską i w końcu również niemiecką. Determinacja, z jaką Wielka Brytania odpierała powietrzne ataki – dowodziła, że Alianci nie mają zamiaru kapitulować – a przerwanie przez Niemcy ich lotniczej ofensywy 15 września 1940 roku – przyniosło falę nowego optymizmu. W eterze huczało słynnym do dziś – powiedzeniem Churchilla w Izbie Gmin: *„Nigdy jeszcze na polu międzyludzkich konfliktów tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak niewiele”*. Wiedzieliśmy, że wśród tych „niewiele” znaczącą rolę odegrali również nasi lotnicy – i wszyscy byliśmy tym bardzo podniesieni na duchu.

W sumie pamiętam to lato 1940 roku jako pełne wojennych sensacji, ale też jako mocno „rozleniwione” – przyjemne lato spędzone w gościnnym domu pani Janiny. Jako wydarzenie „lokalne” – pamiętam starania Rodziców, zmierzające do „zadekowania” Zbyszka Koźlińskiego u państwa Przedpełskich. Oprócz działki wojskowej pod Kamionką (skąd otrzymaliśmy nasze osiołki) – państwo Przedpełscy mieli również folwark pod Bochnią – i tam miał być ulokowany Zbyszek, który w Warszawie *„tracił grunt pod nogami”*. Starania powiodły się. Swój pobyt w tym folwarku – Zbyszek opisał w opowieści „Dwór na bagnie”, którą później dał mi do przeczytania w maszynowym pierwopisie. Już wówczas Zbyszek wykazywał wyraźne „ciągoty” literackie. Ja natomiast owego lata znowu zacząłem dużo czytać. W Osieku było sporo książek Conrada, Londona, Curwooda, i nawet Karola Maya. W tym czasie ta literatura oraz książki historyczne – najbardziej mi odpowiadały. Jedną z książek historycznych szczególnie utkwiła mi w pamięci. Było to nieduże opowiadanie z okresu powstania styczniowego pod tytułem „Moja Ciocia Pułkownikowa” (autora nie pamiętam, a i tytuł mogłem przekręcić). Były w nim cytowane słowa pieśni z owych czasów: *„Wszystko rzucę, do dom wrócę – kulę wezmę w łeb ...”* – to te słowa tak mną wówczas poruszyły, że pamiętam je do dziś.

W jesieni – przez rejon Łowicza i Kutna – przetoczyła się fala napadów rabunkowych. Po rozegranej tu przed rokiem bitwie nad Bzurą – sporo broni dostało się również w ręce „społecznych mętów”. W jednym z nieodległych folwarków został zabity – znany obywatel – pan Bosko, który usiłował się

bronić przed napastnikami. W tej sytuacji pani Janina podjęła starania w niemieckiej administracji o prawo do posiadania broni. Dostała pozwolenie na posiadanie dubeltówki, z równoczesnym obowiązkiem odstrzeliwania bezdomnych psów zagrażających rozprzestrzenianiem się wścieklizny. Obowiązek ten nie był przyjemny – wyręczyliśmy więc w tym panią Janinę – ale legalnie posiadanie broni znacząco zwiększyło możliwości obrony.

Pamiętam jedną bardzo nerwową noc – chyba w połowie października – gdy przez wiele godzin psy podwórkowe Osieka ujadły zajadle, a wszyscy domownicy (z dubeltówką) oczekiwali napadu. O świcie – po otwarciu okiennic – okazało się, że przyczyną alarmu czynionego przez psy był włóczący się ogromny dog. Położył się na ganku wspartym na drewnianych kolumnkach i spokojnie tam leżał, ignorując ujadającą sforę. Po tym incydencie, w suficie ganku zrobiliśmy odmykany wziernik, przez który (po wejściu na strych) można było obserwować – przy zamkniętych okiennicach – co dzieje się przed domem. Pani Janina „zorganizowała” też dwa polskie granaty – zupełnie „nielegalne” – którymi można było „z góry poczęstować” ewentualnych bandziorów. Ale na Osiek żadnego napadu nie było.

Jakoś w tym czasie – dojrzała myśl, że nie możemy „wszyscy na kupie, siedzieć u pani Janiny”. Wprawdzie niemieckie okupacyjne bezprawie i gestapowski terror, obejmujący Generalną Gubernię coraz mocniejszym „uciskiem” – jakoś omijały Osiek – jednak nasz niepokój wzrastał. Było wiadomo, że policja coraz uważniej penetruje swój teren i może się zainteresować tym skupiskiem potencjalnie niebezpiecznego elementu. Zapadła więc decyzja „pójścia w rozsypkę”. Ojciec podjął pracę zarządcy w odległym o kilkanaście kilometrów majątku (nazwy nie pamiętam) – i przeniósł się tam z Mamą. Sławek podjął pracę gajowego w majątku Boczki (10 km od Osieka), należącym do państwa Chrzanowskich. Miał bronić – „uzbrojony” tylko w groźnego psa – niezbyt urodziwy lasek przed systematyczną wycinką drzew na opał, organizowaną przez miejscowych złodziei.

Ja zostałem w Osieku. Zacząłem jednak systematyczną pracę jako siła pomocnicza, głównie w gospodarce magazynowej folwarku. Osiek nie był duży. Jego areal uprawny wynosił chyba około 120 hektarów – ale ziemia była bardzo dobra, a plony duże. Moim najczęstszym zajęciem było czyszczenie zboża w spichrzu, za pomocą *wialni*, urządzenia dobrze mi znanego z Lacka. Zboże wymłócone i tylko wstępnie oczyszczone trzeba było na *wialni* pozbawić wszelkich zanieczyszczeń i ewentualnie rozdzielić za pomocą odpowiednich sit na ziarna większe i mniejsze. Praca polegała na zasypywaniu zboża do zbiornika wialni oraz na „kręceniu” dużą korbą, która napędzała wiatrak i wytwarzała odpowiedni nadmuch powietrza na sita. Ziarno oczyszczone i ewentualnie rozsortowane oraz tzw. „poślad” – trzeba było zapakować w worki, zważyć i odpowiednio rozlokować w spichrzu. Robota była wykonywana przeważnie przez dwójkę robotników, ale również przez

jednego, gdy brakowało obsady. Największą zaletą tej pracy była bardzo wszechstronna i urozmaicona gimnastyka wszystkich mięśni.

W miarę upływających tygodni i miesięcy tej – i tego rodzaju „gospodarskiej” pracy w Osieku – czułem, jak rozwijam się fizycznie i jak poprawia się moja kondycja. Wiosną 1941 roku, gdy nie miałem jeszcze ukończonych 18 lat – potrafiłem bez specjalnego wysiłku zdjąć z wagi worek zboża ważący 80 kg – prostą techniką, opierając go sobie o uda i brzuch – zarzucić na ramię i zanieść w spichrzu na miejsce składowania. Po ośmiogodzinnym dniu, przeważnie solidnej pracy – nie czułem się zmęczony. Prowadziłem nasłuch radiowy, pomagałem pani Janinie w jej najróżnorodniejszych zajęciach, jeździłem rowerem w odwiedziny do Rodziców i do Brata... Dużo czytałem... Codzienność mijiała szybko.

W tym czasie przez Osiek „przewijali” się niekiedy jacyś młodzi ludzie, których można było łatwo rozpoznać jako ukrywających się przed Niemcami lub ewentualnie jako członków formującego się podziemia. Zasady konspiracji – „ćwiczone” w okresie tajnego nauczania – kazały mi nie narzucać się ze swym zainteresowaniem. Rozumiałem też, że konspiracja zawsze rozwija się ścieżkami osobistych przyjaźni i znajomości. Jeżeli są to rzeczywiście ludzie formującego się podziemia, a Pani Janina mnie do tych działań nie wciąga, to oznacza, że jestem oceniany jako zbyt młody, albo – po prostu jako w danym czasie nieprzydatny.

Warto podkreślić, że wszystkie informacje o organizacji Polskiego Państwa Podziemnego i jego siłach zbrojnych w kraju były w czasie wojny bardzo skąpe. Z oczywistych względów konspiracji ani radiostacja BBC, ani krajowe pisma podziemne nie ujawniały tego rodzaju informacji. W epoce PRL informacje te były przemilczane lub przeinaczane i fałszowane. O tym na przykład, że Służba Zwycięstwu Polski (SZP) została powołana już 26/27 września 1939 roku – z inicjatywy generała Michała Karaszewicza-Tokarzewskiego, rozkazem ówczesnego Naczelnego Wodza, marszałka Śmigłego-Rydza – dowiedziałem się dopiero w roku 1990, gdy trafiła do moich rąk źródłowa praca Marka Ney-Krwawicza: „Komenda Główna Armii Krajowej”. Z niej dowiedziałem się, jak ta struktura wojskowo-polityczna w ciągu paru miesięcy po powołaniu została przekształcona przez Rząd RP i Naczelnego Wodza na uchodźstwie, generała Władysława Sikorskiego, w strukturę Związku Walki Zbrojnej (ZWZ) – dnia 8 i 13 listopada 1939 roku. Pierwszym Komendantem Głównym ZWZ – przebywającym w Paryżu – był Generał Kazimierz Sosnkowski. Jednak już 4 stycznia 1940 roku – *Instrukcją nr 1*, podpisaną przez obydwóch Generałów – faktyczne dowództwo ZWZ w Kraju zostało przekazane pułkownikowi (wkrótce generałowi) Stefanowi Roweckiemu dotychczasowemu Szefowi Sztabu i zastępcy Dowódcy Głównego SZP. Właśnie ta data jest przyjmowana za datę powołania ZWZ, jako struktury „czysto” wojskowej – przemianowanej w lutym 1942 roku na

Armię Krajową. AK „była w okupowanej Polsce wojskiem w konspiracji, stanowiącym część Sił Zbrojnych Państwa Polskiego, którego władze działały na obczyźnie z zachowaniem konstytucyjnej legalności i ciągłości jako reprezentacja narodu polskiego”¹²⁷).

Ta wiedza i te określenia są dziś powszechnie dostępne i znane. Jednak wówczas, gdy w Osieku obserwowałem pojawiających się niekiedy młodych ludzi o „podejrzanym” wyglądzie – tej wiedzy nie miałem, a moje ówczesne wyobrażenia o konspiracji były – tak to dziś oceniam – bardzo dalekie od rzeczywistości. Życie tak się potoczyło, że nigdy się nie dowiedziałem, kim byli rzeczywiście goście pojawiający się w Osieku i czy była już w tym czasie jakaś wyraźniejsza działalność konspiracyjna ZWZ na tamtym terenie.

Tymczasem wojna, która wciąż trwała na morzach i oceanach oraz w północnej Afryce – z udziałem polskich jednostek – objęła również Bałkany. Po nieudanych próbach zajęcia Grecji przez wojska Mussoliniego (w kwietniu 1941 r.), do działań wojennych włączyły się Niemcy. W efekcie Ateny i Kreta broniona przez Brytyjczyków zostały zajęte, a Jugosławia – po 11 dniach walki – rozpadła się całkowicie. Część jej terenów zajęły Węgry, Bułgaria i Włochy. Chorwacja ogłosiła niepodległość, a nacjonalistyczni „ustasze” przeprowadzali okrutne czystki etniczne serbskiej mniejszości. W Serbii rozgorzały walki między „czetnikami” a oddziałami komunistycznymi Broz Tity – popieranymi przez Związek Radziecki i walczącymi z Niemcami.

Jednak to co dla nas osobiście było najważniejsze – zaczęło się dziać dopiero w pierwszych dniach czerwca 1941 roku. Trasą Poznań – Warszawa zaczęły „płynąć” na wschód jednostki Wehrmachtu. Zmotoryzowane... pancerne... czasem zwykłe konne tabory. Jeździłem na rowerze do Łowicza na „podgląd” tego pochodu. Nawet przez Osiek, który leżał z dala od głównych szlaków wiodących na wschód – przechodziły najróżniejsze mniejsze oddziały. Pamiętam oddział na trzech ciężarówkach, który nocował w Osieku. Dowódca, młody przystojny porucznik – nie zajął (o dziwo!) dworku – ale nocował ze swymi żołnierzami w pustej w tym czasie stodole, na ułożonej warstwie słomy. Rano golił się przy studni goły do pasa. Uciał ze mną „pogawędkę o pogodzie” – jakby był na majówce. Przyznaję, że wydał mi się sympatyczny i ucieszyłem się, że idzie na wschód – choć jeszcze oficjalnie nie mówiło się o wojnie ze Związkiem Radzieckim.

Kontakty między Rodzicami i Sławkiem a Osiekiem – wyraźnie się nasiliły. Ojciec i pani Janina twierdzili zgodnie, że Niemcy uderzą na Sowieć i że ich rozbiją. Uważał, że spełnia się ten sam cud, który wydarzył się w 1914 roku: „dwaj nasi najwięksi wrogowie biorą się za lby”. Widział komplikacje związane z tym, że jeden z agresorów na Polskę w 1939 roku – znajduje się automatycznie w obozie naszych Sojuszników i ubolewał, że wówczas nie wypowiedzieliśmy Sowieć wojny. Uważał, że skomplikowałoby

to nasze stosunki z Francją i Anglią, ale w dalszej perspektywie ułatwiłoby Polsce „wyjście z opresji”. Dopiero w 1990 roku natrafiłem na szersze uzasadnienie tego poglądu, podane przez Jerzego Łojka⁹⁹). Były dyskusje i spory, ale nastroje wyraźnie się poprawiły. Zaczęliśmy myśleć o powrocie do domu – wprowadzie pod okupacją niemiecką, ale jednak do siebie.

Droga do domu

Atak Wehrmachtu rozpoczęty o świcie 22 czerwca 1941 roku ponad trzy-milionową armią (156 dywizji) przyniósł Niemcom – w tej fazie wojny – pełny sukces¹⁰⁰). Lotnictwo sowieckie zostało niemal w całości zniszczone na ziemi w ciągu paru dni. Całe armie wojsk lądowych zostały otoczone i wzięte do niewoli. Kolumny niemieckich czołgów – prawie nie napotykając na opór – posuwały się w tempie dotychczas nieosiąganym. W państwach bałtyckich i na naszych Kresach – a nie rzadko również na sowieckiej Białorusi i sowieckiej Ukrainie – witano Niemców jak wyzwolicieli. Dopiero w grudniu – rosyjska zima, syberyjskie dywizje wycofane z Dalekiego Wschodu i przede wszystkim wieść o barbarzyńskim traktowaniu przez Niemców – zarówno jeńców wojennych jak ludności cywilnej – bardzo szybko zmieniły sytuację. Rozpoczęła się wojna ojczyzniana: „za Rodinu za Stalina”!! To te okoliczności – i także wydłużanie się dróg zaopatrzenia doprowadziły do zatrzymania pochodu Niemców u bram Leningradu i na przedpolach Moskwy.

Nikt z nas nie miał wątpliwości, że chcemy wracać do domu – bez względu na to, co tam zastaniemy. Przez cały miniony czas informacje – docierające przez linię demarkacyjną o warunkach panujących pod sowiecką okupacją – były bardzo skąpe i niepewne. Wiedzieliśmy oczywiście o wywózkach – w istocie czystkach etnicznych – obejmujących w pierwszej kolejności polską inteligencję (ziemiaństwo, osadników wojskowych, urzędników, nauczycieli, policjantów, leśników) – ale także bogatszych chłopów, a niekiedy całe polskie zaścianki i wsie. Jednak skala wywózek i również skala zniszczeń w majątkach pozostających przez blisko 2 lata w systemie sowieckiej gospodarki – były wielką niewiadomą. Mieliśmy nadzieję, że teraz, po zajęciu przez Niemców całych Kresów – wiadomości zaczną napływać szerokim strumieniem – ale tak się nie stało. Na dawnej linii demarkacyjnej Niemcy przez długi czas utrzymywali zakaz jej przekraczania.

Rodzice i Sławek – po zlikwidowaniu swych spraw w dotychczasowych miejscach pracy – znów przenieśli się do Osieka. Pani Janina uruchomiła swe „chody” w niemieckich urzędach (oparte głównie na „łapówkach” w naturze) i pomagała nam wyrobić „zaświadczenia” ułatwiające powrót na Kresy. Trwało to dość długo. W końcu otrzymaliśmy urzędowe papiery stwierdzające, gdzie ostatnio mieszkaliśmy i – w nich – ogólnikową prośbę do „właściwych władz” o udzielenie nam pomocy w drodze do domu. Formalnych

przepustek przez dawną linię demarkacyjną – nie otrzymaliśmy. W praktyce, decyzja o przepuszczeniu nas na Nowogródczyznę, została pozostawiona straży granicznej. W tej sytuacji – gdzieś pod koniec lipca – zapadła decyzja: „*Jedziemy na granicę! Jeżeli nas nie puszczą, będziemy się znowu przedostawać „na zielono”*”. Teraz, gdy kończyliśmy „uciekinierkę” i wracaliśmy do domu – nasz „majątek” nadal mieścił się w nielicznych podróжных walizkach i „tobołkach”. Gdy decyzja zapadła, zwinęliśmy się szybko. Żegnając panią Janinę obiecywaliśmy sobie wzajemne odwiedziny w Osieku i Lacku, zaraz po wojnie – nie mając wiele nadziei na możliwość kontaktu jeszcze w czasie jej trwania. Okazało się jednak, że nie doceniliśmy skali nadchodzących przemian. Z panią Janiną Grabińską spotkałem się dopiero w połowie lat sześćdziesiątych – w Katowicach – w jakże zmienionych warunkach.

Jadąc ku granicy zatrzymaliśmy się w Warszawie, żeby odwiedzić rodzinę Żbikowskich i „na odjezdnym” podziękować im raz jeszcze za ogromną pomoc okazaną w najtrudniejszym okresie. Marysia i Stenia bardzo wydorosłały. Pan Żbikowski narzekał na stan swego zdrowia, a Pani – jak zawsze – była pochłonięta sprawami domu i córek. Podobnie jak w przypadku Pani Grabińskiej – obiecywane sobie powojenne odwiedziny – pozostały niespełnione. Powstanie Warszawskie – a po naszej stronie, narzucony przez historię „los Kresów” – tak wszystkim poplątały życiorysy, że nigdy już nasze rodziny nie nawiązały bliższego kontaktu.

Dość niespodziewanie, wówczas w Warszawie, zapadła decyzja, że zabieramy ze sobą do Lacka – Zosię Lisowską, która dotychczas mieszkała na Żoliborzu u rodziny swojej matki. O losach Stryja Wiktora i Stryjenki – wywiezionych do Kazachstanu nie było żadnych wiadomości. Oceniono wówczas, że Zosia będzie z nami bezpieczniejsza niż w Warszawie – gdzie trwały łapanki i wywózki na roboty do Niemiec. Obowiązek opieki nad już dorastającą panienką – został przez Mamę podjęty z pełną determinacją. Później, niejednokrotnie mówiła, że oprócz trzech synów zaczęła mieć również córkę.

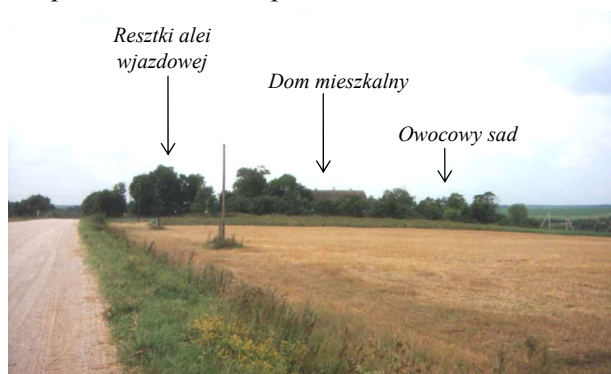
Do granicy w rejonie Małkini jechaliśmy dużą gromadą, bo dołączyli do nas: wuj Bolesław Skawiński z Ciocią Marynią i jeszcze parę osób – ich znajomych. Rozpoznanie przeprowadzone na stacji granicznej wykazało, że nasze „papiery” są niewystarczające do legalnego przekroczenia dawnej granicy stref okupacyjnych. U „miejscowych” dopytywaliśmy się o możliwość nielegalnego przekroczenia granicy. Nikt jednak nie podejmował się przeprowadzenia nas „na drugą stronę”. Godzono się jedynie podprowadzić nas do granicy i wskazać miejsce, w którym przejście jest dogodne. Po radzie zapadła decyzja podjęcia próby. Przeważył argument, że przecież grozi nam, co najwyżej, cofnięcie do Generalnej Gubernii – więc ryzyko nie jest wielkie. Nastroje były dobre – zupełnie inne niż wówczas, gdy wydostawaliśmy się spod okupacji sowieckiej. Tym razem, „zielona granica” nie była tak groźna. Przewodnik upewniał, że najlepszy czas do przejścia jest o świcie, bo nocne

patrole często wcześniej schodzą ze służby i wówczas granica jest otwarta. „Skradanie” się grupy ponad dziesięciu przeważnie starszych osób, z tobołkami i walizkami – przez jakieś krzaki – do leśnego duktu, za którym zaczynała się dawna strefa sowieckiej okupacji – wyglądało o porannym brzasku raczej groteskowo niż groźnie. Wszyscy byli zasapani, spoceni i jednak wystraszeni. W pewnym momencie przewodnik pokazał dukt i wycofał się, a my w ogromnym napięciu „przeskoczyliśmy” wskazaną granicę i znaleźliśmy się na „drugiej stronie”. Wkrótce natrafiliśmy na jakąś leśną drogę i już mocno uspokojeni oddalaliśmy się od Generalnej Gubernii.

Znów, jak przed blisko dwoma laty – natknęliśmy się na Niemców dopiero w dość znacznej odległości od granicy. Kontrolowali drogi, przez które uciekinierzy – nie znający terenu – musieli przechodzić. Dopiero teraz zaczęły się prawdziwe emocje. Na szczęście papiery, którymi dysponowaliśmy – choć nie były formalnymi przepustkami – zostały uznane za wiarygodne i znaczące. Znów pomogła znajomość języka niemieckiego. Przesłuchujący nas „pogranicznik” w końcu dał się przekonać i pozwolił całej grupie wędrować dalej. Doszliśmy więc do najbliższej stacji i kolejną – łapiąc któryś ze sporadycznie pojawiających się transportów towarowo-pasażerskich – dotarliśmy przez Białystok i Grodno do Różanki. Do Lacka mieliśmy jeszcze 17 km. Rodzice zdecydowali, że na dalszą drogę wynajmą furmankę – co się udało bez większych trudności.

Było wczesne popołudnie, jeden z pierwszych dni sierpnia 1941 roku. Jadąc gościńcem Szczuczyn – Lack, dotarliśmy w lesie do drogi prowadzącej do Woron i dalej (już szosą) do Grodna. Tą drogą – 18 września, przed blisko dwoma laty – opuszczaliśmy Lack. Teraz przecinając tę drogę zamknęliśmy „wielką pętlę” naszej uciekinierki: przez Grodno, Różany Stok, Warszawę i Osiek. Jazda wynajętą furmanką – z podróżnymi walizkami i tobołkami – nie sprzyjała wzruszeniom. Przez głowę przelatywały jednak te wszystkie wydarzenia – złe i dobre... dobre i złe – które wypełniły ten trudny czas. Przez natłok wspomnień przebijająca się jednak ciekawość – co zastaniemy w Lacku?

Gdy wyjechaliśmy z lasu zobaczyliśmy dom! Stał jak dawniej, w otulinie drzew! Więc jednak jest! Po zrównaniu się furmanki z ogrodem – Sławek



Widok na Lack od strony lasu na zdjęciu zrobionym w 1991 r., gdy po niemal pięćdziesięciu latach tu przyjechałem. Choć wówczas, gdy wracaliśmy z uciekinierki był jeszcze ogród ciągnący się wzdłuż polowej drożki aż do gościńca i aleja wjazdowa nie była tak „resztkowa” – widok na dom i na zarys dworu był właśnie taki. Wzruszenie też było podobne

i ja – zeskoczyliśmy z niej i „na skróty” pobiegliśmy przez ogród w kierunku domu. Po chwili – wyskoczyły z głośnym ujadaniem dobrze nam znane psy! Pierwszy poznał nas Bucefał – teraz duże psisko. Opuszczając Lack pozostawialiśmy półrocznego szczeniaka o nieproporcjonalnie wielkim łbie i jeszcze większych łapach (gdzieś w rodowodzie był dog). Mietek Cholewa twierdził, że jest podobny do Bucefała – konia Aleksandra Macedońskiego – i stąd wzięło się jego imię. Po chwili również inne psy nas rozpoznały. Były wyraźnie zawstydzone swoją wcześniejszą pomyłką, więc witały nas z tym większą radością i „przypadaniem” do nóg. Rodziców, którzy tymczasem podjechali pod dom – witały równie radośnie. Nie było wątpliwości – dotarliśmy do DOMU!

* * *

Dom był niezamieszkały, zaniedbany i pozbawiony większości mebli, ale niezdewastowany. „Za Sowietów”, mieścił się w nim „zarząd” kolchozu, a w kuchni mieszkała miejscowa kobieta, która obsługiwała „zarząd”. Fornale zatrudnieni w Lacku przed wojną – pracowali nadal na „statusie kolchozników” w niewiele zmienionym składzie. Okazało się, że nawet Walerek, pełniący w Lacku funkcję ekonoma (mieszkał w Karalowszczyźnie), nie został wywieziony, bo najpierw „kolektyw” go obronił, a później „zaszył” się w odległej miejscowości u krewnych. Gdy rozeszła się wieść, że „państwo wrócili” – starsi spośród służby przyszli z oznakami przychylności przywitać się. Mieliśmy odczucie, że nasz powrót jest „akceptowany” i nie ma w nich ani wrogości, ani skrywanej „tęsknoty” za minionym sowieckim porządkiem.

We mnie – radość z powrotu do DOMU i wrażenie przychylnego przyjęcia sumowały się w wyraźne uczucie odprężenia i uspokojenia. Jednak o szczęściu trudno było mówić, bo od razu potwierdziły się wcześniejsze przypuszczenia i zasłyszane przekazy. Babcia i ciocia Niusia zostały wywiezione. Ziściło się najgorsze. Był to więc powrót szczęśliwy i równocześnie bardzo smutny. W aspekcie realiów – zapoczątkował niewątpliwie zupełnie nowy rozdział w moim życiu.

4. NA KRESACH POD NIEMIECKĄ OKUPACJĄ – TRWANIE I KONSPIRACJA

Charakterystyka stosunków etnicznych na Nowogródczyźnie – pod koniec międzywojennego dwudziestolecia – była inna niż na Wołyniu i Podolu. Tu mniejszość narodowa białoruska, o ukształtowanej świadomości – inaczej niż mniejszość ukraińska na Kresach południowo-wschodnich – nie była w przewadze. Nie dominowała nawet tam, gdzie była „wzmocniona” mniejszością rosyjską – „nasiedloną” głównie po powstaniach listopadowym i styczniowym na ziemiach skonfiskowanych „*buntownikom*”. Świadomość rosyjska i w znacznym stopniu białoruska – wiązała się wyraźnie z wyznaniem prawosławnym. Moskiewski „nasiedleniec”, pop i carski „czynownik” (urzędnik) – to była awangarda rusyfikacji prowadzonej na Kresach w całym okresie ponad stuletniego zaboru – niestety w znacznym stopniu skutecznej.

Nawet w tak polskich powiatach, jak grodzieński, szczuczyński czy lidzki występowały niewielkie enklawy mniejszości białorusko-rosyjskiej. W odległości paru kilometrów od Lacka znajdowała się wieś Murawjówka – niewątpliwa pozostałość po pacyfikacji prowadzonej po powstaniu styczniowym przez Murawjowa – „Wieszatiela”. Jednak większość ludności wiejskiej była w tych powiatach zdecydowanie katolicka i polska. Drugą, co do liczebności – ale parokrotnie mniejszą – była grupa katolików o mniej zdecydowanej świadomości polskiej – określająca siebie przymiotnikiem „tutejszy” (twierdzili, że mówią „*po prostu*”). Byli to przeważnie ludzie starsi, mówiący miejscowym dialektem, który był chyba nieco spolszczonym, ale autentycznym językiem białoruskim, wolnym od powszechnie występujących skutków jego znacznej rusyfikacji w okresie zaborów. Ich dzieci, które uczęszczały do polskich szkół – zwłaszcza te, które odbyły służbę wojskową – w ogromnej większości uważały się za Polaków.

W powiatach leżących dalej na wschodzie, na przykład nowogródzkim, baranowickim czy stołpeckim – sytuacja była trudniejsza. Tam prawosławie i świadomość białoruska („skierowana” na wschód) – były bardziej rozpowszechnione. Ludność polska występowała w zdecydowanej przewadze, jedynie w mniejszych lub większych enklawach, podobnie jak ludność białoruska lub faktycznie rosyjska. Jednak i tam nie było ostrych konfliktów etnicznych. Polskość i jej ziemiańska reprezentacja nie były obiektem nienawiści. Rabunki i rzezie polskich dworów – dość powszechne w 1939 roku na Wołyniu i Podolu – na Kresach północno-wschodnich należały do rzadkości. Katarzyna Węglicka pisze o zamordowaniu przez białoruskich chłopów koło Baranowicz – w Hruszówce, dworze Tadeusza Rejtana (który zasłynął

protestem na sejmie rozbiorowym 1773 roku) – jego potomka Henryka Grabowskiego. Píše także o analogicznym mordzie dokonany w Mołodowie koło Pińska, na rodzeństwie Marii i Henryka Skirmuntów¹²²⁾.

Odrębną sprawą były liczne aresztowania, mordy i grabieże, których dopuszczała się „czerwona milicja” (złożona głównie z Białorusinów i Żydów) wobec wyróżniających się członków polskiej społeczności: osadników wojskowych, pracowników administracji państwowej... i także ziemian. W tym przypadku – była to jednak „operacja »oczyszczania terenu« z elementów uznanych za antysowieckie, przygotowywana i kierowana przez rosyjskie służby specjalne”²⁹⁾. Jej finałem było wymordowanie na terenach Białoruskiej SRR „przeszło 7000 Polaków, na mocy decyzji Stalina”²³⁾ i jego współników z Biura politycznego KPZR. Finałem było także oddzielenie szczelnym kordonem – od właściwego ZSSR – polskich ziem anektowanych w 1939 roku, i poddanie ich bezwzględnej czystce etnicznej i „klasowej”. W jej wyniku na „niehumanitarną ziemię” wywieziono 1,3 miliona Polaków: mężczyzn, kobiet i dzieci, z których tylko nieliczni wrócili – albo do siebie na Kresy, albo do Polski centralnej²⁹⁾ (bywa też podawana liczba 1,7 mln).

Wobec ujawnionego w latach 1939–1941 – tj. w okresie tzw. pierwszej sowieckiej okupacji – zdecydowanego dążenia stalinowskiego reżimu do wyniszczenia elity polskiego społeczeństwa na terenach włączonych do ZSSR – polska racja stanu wymagała takiego układania stosunków z władzami nowej niemieckiej okupacji, aby przejściowy czas ich funkcjonowania maksymalnie wykorzystać na wzmocnienie i przygotowanie polskiego społeczeństwa do przyszłej, nieuniknionej „konfrontacji” ze Związkiem Radzieckim – po pokonaniu Niemiec, z naszym możliwie największym wkładem. Realizacja tej racji stanu w praktyce wymagała od polskiego społeczeństwa dwóch uzupełniających się działań. Z jednej strony: silnej propolskiej samoorganizacji (co działo się głównie w ramach ZWZ-AK) – oraz z drugiej strony: wszechstronnego penetrowania i opanowywania lokalnych władz Ostlandu, aby możliwie najskuteczniej ograniczyć wpływy na niemieckie władze okupacyjne – ruchu białoruskich nacjonalistów – zorganizowanych w BNS; Białoruskaja Narodnaja Samopomocz. Była to organizacja nieliczna o wyraźnie sowieckim rodowodzie i agenturalnym powiązaniu ze służbami specjalnymi ZSSR. Polskie społeczeństwo na Kresach dobrze rozumiało tę historyczną konieczność – niestety dramatyczną – i starało się ją realizować, a Komenda Nowogródzkiego Okręgu Armii Krajowej („Nów”) te działania w pełni popierała¹¹¹⁾. Sądzę, że robiła to za zgodą Komendy Głównej ZWZ-AK.

Nikt przy zdrowych zmysłach – znając przebieg sowieckiej okupacji w latach 1939–1941 – nie może zaprzeczyć, że polskie społeczeństwo na Kresach, zwłaszcza jego najbardziej aktywna część zorganizowana w ZWZ-AK, miało w okresie niemieckiej okupacji dwóch wrogów: niemieckiego okupanta, współdziałającego z BNS oraz sowiecką partyzantkę, która

w kolejnych latach okupacji ulegała znamienym przekształceniom, ale zawsze była wroga polskości Kresów.

Niemiecki okupant był groźny z dwóch powodów. Istotą pierwszego było systematyczne zagęszczanie sieci niemieckich załóg, na które składały się: załogi Feld i Ortskomendantur, specjalne garnizony policyjno-wojskowe do walki z partyzantką, jednostki frontowe Wehrmachtu i SS przysyłane tu na wypoczynek (np. w Szczuczynie kwatrowały w pałacu Drucko-Lubeckich), jednostki Forstschutzu (straży leśnej), służby Organizacji Todta i ochrony linii kolejowych, załogi radiostacji Luftwaffe i inne formacje. Do tego trzeba dodać silne jednostki policji białoruskiej, rozbudowane o formację SS (13. Batalion SS). Chociaż do wielu jednostek policji białoruskiej, a w mniejszej skali również do jednostek Forstshutzu i Organizacji Todta – udawało się wprowadzać ludzi AK – formacje te stanowiły znaczącą składową okupacyjnego systemu zniewolenia społeczeństwa i terroru.

Istotą drugiego powodu była zmiana początkowo dość przychyłnej polityki władz okupacyjnych w stosunku do Polaków – na zdecydowanie wrogą i probiałorską. Już w 1942 roku ze wschodniej, sowieckiej Białorusi zaczęto sprowadzać na nowogródzczyznę postsowiecką kadrę i eliminować Polaków z cywilnej administracji. W urzędach obowiązywał jedynie język białoruski i niemiecki. „Białoruska Narodowa Samopomoc” (BNS) – zdecydowanie antypolska – zdobywała coraz większe wpływy.

Partyzantka sowiecka, w początkowym okresie niemieckiej okupacji naszych Kresów – praktycznie nie istniała. Tysiące żołnierzy z rozbitych jednostek Armii Czerwonej, którzy porzucili broń – znalazło schronienie w polskich i białoruskich wsiach. Nie pamiętając niedawnych krzywd wyrządzonych przez stalinowski reżim, zapewniono im pracę i dach nad głową. W lasach tkwiły tylko nieliczne uzbrojone grupy przetrwania. Dopiero wiosną 1942 roku – gdy władze niemieckie zarządziły rejestrację byłych żołnierzy sowieckich – ci masowo schronili się w lasach. Partyjni aktywiści oraz grupy operacyjne i dowództwo przerzucone drogą powietrzną z tzw. „wielkiej ziemi”, stopniowo formowało z nich regularne oddziały partyzanckie. „*W drugiej połowie 1942 roku na nowogródzczyźnie działały ogółem 32 sowieckie oddziały partyzanckie*”²¹⁾. Oprócz nich działało bardzo wiele zwykłych band komunistyczno-rabunkowych. Oddziały te i sowieckie bandy znacząco utrudniały i spowalniały rozwój polskiej konspiracji w powiatach wschodnich i południowych Nowogródzczyzny, a przenikając stopniowo do Puszczy Grodzieńskiej i Rudnickiej zaczęły stwarzać realne zagrożenie również w powiatach szczuczyńskim i lidzkim. Cały potencjał sowieckiej partyzantki – zwiększającej się aż do 1944 roku – był ukierunkowany nie tyle na walkę z Niemcami, co na przygotowanie powtórnego zajęcia i opanowania ziem Polski uznanych przez ZSSR za swoją własność. Przygotowanie to

polegało głównie na wyniszczaniu inteligencji i uczestników konspiracji AK jako najbardziej aktywnej części polskiego społeczeństwa.

Świadomość wskazanych okoliczności jest niezbędna do zrozumienia tego, co działo się na Nowogródczyźnie i całych północno-wschodnich Kresach w czasie niemieckiej okupacji. Brak tej świadomości – często obserwowany w Polsce centralnej i zachodniej – prowadzi do fatalnych nieporozumień i zafałszowań historii kresowych ziem. Ale do pełnego zrozumienia warunków, w których na Nowogródczyźnie rozwijała się działalność konspiracyjna, a później walka zbrojna Armii Krajowej o polskość Kresów – jest potrzebna świadomość jeszcze jednej okoliczności.

Otóż po okresie sowieckiej gospodarki i „zapędzania” wsi do kołchozów – wystąpiło wśród całej ludności wiejskiej zjawisko dość nieoczekiwane. Można mówić o znaczącym wzroście sympatii do „przedwojennych, polskich porządków”. Co istotne – wśród wielu Białorusinów – wyraźnie wzrosły propolskie sympatie. Powszechnie było wówczas znane powiedzenie białoruskiego działacza, który miał stwierdzić: *„Polska przedwojenna przez 20 lat usiłowała z nas zrobić Polaków, a sowieci zrobili to w ciągu kilkunastu miesięcy”*. To „hasłowe” stwierdzenie dobrze tłumaczy znane zjawisko licznego, ochotniczego udziału Białorusinów w polskiej konspiracji AK, a później również w jej oddziałach zbrojnych. Tłumaczy także swoistą akceptację powrotu tych Polaków, którzy w okresie owej pierwszej sowieckiej okupacji ukrywali się gdzieś poza miejscem wcześniejszego zamieszkania lub wyjechali do Generalnej Guberni.

Zagospodarowanie

Lack przejęty przez nas po blisko dwóch latach kołchozowej gospodarki – był w stanie opłakany. Wprawdzie podstawowe budynki gospodarcze nadawały się do użytku, stary sad przetrwał, a pola były w znacznej części obsiane i było trochę inwentarza – jednak do stanu, który by umożliwiał *„jako tako zadowalające gospodarowanie”* – było daleko. Ale Rodzice się nie zrażali. Pamiętali znacznie trudniejsze czasy po wojnie 1920 roku. Uważali, że *„trzeba się jakoś urządzać”*. I rzeczywiście sytuacja powoli się poprawiała. Trochę koni i krów zostało zwróconych przez gospodarzy, którzy w pierwszym okresie po wejściu Sowietów otrzymali je (lub wzięli) „w ramach nowych porządków”. Udało się też zgromadzić najniezbędniejszą uprzęż, narzędzia rolnicze i wozy umożliwiające prowadzenie zbliżających się żniw. Służba folwarczna chętnie podjęła pracę na warunkach, które zaproponował Ojciec, a Walerek wrócił do swych dawnych obowiązków ekonoma. Mama zorganizowała „przydomowe” gospodarstwo, więc dwór i dom zaczęły funkcjonować niemal normalnie. Mama z ogromną ulgą

i zadowoleniem zatrudniła też w Lacku panią Chmielewską, która przetrwała sowiecką okupację u krewnych w Nomejkach.

Wspominając ten trudny okres urządzania się w Lacku – po „uciekinierce” – odtwarzają mi się w pamięci przejawy wielkiej życzliwości i pomocy okazywanej Rodzicom. Okazywali ją nie tylko zaprzyjaźnieni gospodarze, z którymi Ojciec współpracował w Kasie Stefczyka, w spółdzielczej mleczarni czy w Akcji Katolickiej, lecz także – zdawało się – zupełnie „obcy ludzie”. Dobrze pamiętam, jak wielką radość sprawił Mamie pan Domuć – wiejski kowal z Nomejek – który na trzeci dzień po naszym powrocie przyniósł jej do kuchni siekierę zrobioną własnoręcznie z kawałka gąsienicy od traktora. Ta *siekiera pana Domucia* – choć „niezdar-na” – była używana przez cały czas naszego pobytu w Lacku. Później, gdy skończył się ten okres, Mama przekazała tę pamiątkę znajomej rodzinie. Już po wojnie – w wyniku repatriacji – rodzina ta znalazła się we Włocławku i tu siekiera wróciła do Mamy. Teraz mam ją w swoim niewielkim zasobie pamiątek z Lacka – jako szczególnie cenny dowód okazywanej nam wówczas sąsiedzkiej przychylności i pomocy. Było jej zadziwiająco dużo – co miało wówczas ogromne znaczenie, nie tylko materialne.



Siekiera pana Domucia

Sławek – gdy w Generalnej Guberni był zatrudniony w Boczkach jako gajowy – musiał z „urzędu” utrzymywać kontakty z niemiecką administracją lasów. Wykorzystując te doświadczenie zajął się legalizacją naszego pobytu w Lacku – w urzędach okupacyjnych. W tym czasie urzędy te dopiero się organizowały, ale niemiecka biurokracja już obowiązywała. Sam fakt przyjazdu trzeba było zarejestrować w szczuczyńskiej Ortskomendaturze, w białoruskiej policji (która właśnie zaczęła funkcjonować, z komendantem Polakiem) i w lokalnym „urzędzie gminnym”. Czynności te nie sprawiły większych trudności, natomiast legalizacja pobytu w Lacku – nie była tak prosta. Wiązała się z zatrudnieniem. W tym czasie Niemcy organizowali w Lidzie okręgowy zarząd wszystkich majątków ziemskich, które przejęli na własność III Rzeszy – tzw. Liegenschaft. Sławek dotarł do szefa organizowanego zarządu. Okazał się nim młody hitlerowiec, prawdopodobnie „wysoko ustosunkowany” i na tym stanowisku unikający służby frontowej. Był inteligentny i rzeczowy. Realizując politykę władz okupacyjnych – dobrze wiedział, że zarządców lepszych od byłych właścicieli majątków i folwarków – nie znajdzie. Ich z reguły bardzo zaangażowaną polskość – w aktualnej sytuacji wojennej – mógł lekceważyć.

Ogromna większość ziemian powracających wówczas „do siebie” mogła więc zajmować – i zajmowała – pozycję zarządców we własnych folwarkach i majątkach. Sławek załatwił dla Ojca status zarządcy Lacka i Szczuczynka, z tym, że Jego oficjalnym zastępcą (zarządcą wykonawczym) w Szczuczynku

zostałem ja. Sobie załatwił pracę kierownika ośrodka mechanizacyjnej obsługi rolnictwa, który pozostał po Sowietach w Leszczance. W ośrodku było



Dwór w Leszczance państwa Grabowskich (zdjęcie zrobiłem w 1994 r.). W czasie niemieckiej okupacji, Sławek tu „urzędował” jako szef „Ośrodka Mechanizacyjnego” pod zarządem Liegenschaftu

sporo traktorów średniej i dużej mocy oraz kombajny zbożowe, młocarnie, sprzęt do uprawy roli itd. Wszystko to było straszliwie zdewastowane (rozkradzione), ale była szansa wykorzystania przynajmniej części tego potencjału do obsługi sąsiednich majątków.

Tym sposobem już po paru tygodniach od powrotu do Lacka byliśmy dość dobrze zagospodaro-

wani i zaopatrzeni w mocne papiery, które umożliwiały dobry „start” do okupacyjnego trwania. Niemcy posuwali się szybko na całym froncie i nie nie zapowiadało zmiany sytuacji. Wprawdzie w tym czasie byliśmy pozbawieni własnego radiowego nasłuchu, a źródłem wiarygodnych informacji była głównie „poczta pantoflowa” – nie było jednak wątpliwości, że Niemcy szykują się do trwałej obecności na tych terenach. Granica „Bezirk Białystok” – podlegającego Gaulajterowi Prus Wschodnich – przebiegała przez Makasiowszczyznę, tuż za Jewłaszami. Spusza i Kulbaczyn znalazły się po tamtej stronie granicy, a Szczuczyn wraz z Lackiem i Szczuczynkiem – w Generalkomisarjacie Białorusi – tzw. Ostlandzie. Granica, dla miejscowych nie była – w tym czasie – trudna do przekroczenia, ale określała rozmiar niemieckich apetytów. W Szczuczynie, miejscowy Ortskommendant (Erdman, sklepikarz ze Szczecina) z pełnym zaangażowaniem zaczął urządzać sobie folwark na gruntach od razu odebranych żydowskim mieszkańcom, i częściowo również ich polskim sąsiadom – z jawnie głoszonym zamiarem stałego tu zamieszkiwania, również po wojnie.

Podobnie jak my – wracali do swych domów i gospodarstw zarówno ziemianie, jak i osadnicy wojskowi, nauczyciele, policjanci, leśnicy, „kułacy”... i ich rodziny... – ci wszyscy, którzy głównie w pierwszym półroczu 1940 roku byli objęci trzema potężnymi falami wywózek – ale szczęśliwie potrafili ich uniknąć. Uratowali się albo dzięki swej przezorności i ucieczce, albo pomocy sąsiadów, albo innych zupełnie nieprawdopodobnych zdarzeń,

które często były określane jako „cudowne”. Teraz wracali i starali się odbudować swą egzystencję w społeczeństwie, które w swej masie – po niespełna dwóch latach sowietyzacji – nie uległo większym zmianom w stosunku do stanu przedwojennego. Ta okoliczność bardzo uciekinierom ułatwiała ponowne urządzenie się w nowej rzeczywistości – niestety okupacyjnej. Było to niewątpliwie nadal społeczeństwo, w którym – mimo etnicznej mozaiki i innych historycznych uwarunkowań – występowało wyraźne poczucie solidarności skierowanej przeciw okupantowi. Społeczeństwo, w którym obowiązywała też zasada „wspierania się w biedzie”.

Spośród sąsiadów i przyjaciół Rodziców, których wspominałem jako gości na jubileuszu 65. urodzin księdza Szkopa (patrz foto na str. 86) – tylko nieliczni uniknęli wywózki i wrócili do siebie pod niemiecką okupację. Oprócz nas i Wujostwa Skawińskich, do Ródkiewicz wrócił pan Bodzio Połonski. Do Makasiowszczyzny wrócił Mietek Cholewa, a do sąsiednich Andruszowców Mietek Moraczewski z żoną – też wileński student prawa z nieco wcześniejszego rocznika niż Tadeusz. Ich Rodzice i Rodzeństwo zostali wywiezieni. Proboszcz lackowskiej parafii – ksiądz Alfons Borowski – ku wielkiej naszej radości wciąż tkwił „na posterunku”. Podobnie cieszyliśmy się z przetrwania sowieckiej okupacji przez Panią Olgę i jej rodzinę, która nadal mieszkała w czynnej już mleczarni.

Jakoś pod koniec lata dotarł do Lacka, z Wilna, nasz Tadeusz! Radość była ogromna, nie widzieliśmy się od rozstania owej tragicznej nocy, 18 września 1939 roku pod Bieniakoniami. Rodzice żegnali się z nim jeszcze wcześniej. Dowiedzieliśmy się, że wraz z wojskiem – bez przygód – przeszedł wówczas granicę litewską i przez parę tygodni był internowany. Po ucieczce z obozu, jakiś czas ukrywał się w majątku Korewów na Kowieńszczyźnie, a później wrócił do Wilna. Miał tam wielu przyjaciół i znajomych – z czasów szkolnych i akademickich – co ułatwiała znajdowanie różnych dorywczych prac – przeważnie fizycznych. Takie prace miały tę zaletę, że umożliwiały zdobywanie środków na utrzymanie i równocześnie nie wymagały niebezpiecznego wchodzenia w „pole obserwacji” sowieckich władz Litwy. W pewnym okresie pracował w przedsiębiorstwie budowy dróg i jak opowiadał – tłukł przy drodze ciężkim młotem kamienie na tzw. „szuter” używany do utwardzania nawierzchni szos.

Podejmowane próby przedostania się przez Szwecję do Wielkiej Brytanii – nie były skuteczne. Zaowocowały jednak kontaktami ze Związkiem Walki Zbrojnej (ZWZ), który rozwijał się w Wilnie, w ścisłej łączności z Komendą Główną ZWZ w Warszawie. O swoim udziale w działaniach ZWZ wspominał „skapo”, trzymając się zasad konspiracji. O szczegółach jednej z akcji, w której brał udział – dowiedziałem się dopiero po wielu latach, z „Kroniki Wileńskiej 1939–1941” Longina Tomaszewskiego¹¹⁹⁾. Autor podał, że Tadeusz był w składzie patrolu, który wykonał wyrok Sądu Specjalnego przy

Komendzie Wileńskiego Okręgu ZWZ na konfidentie NKWD – byłym oficerze Wojska Polskiego, wydalonym z wojska za nadużycia popełniane podczas służby w kwatermistrzostwie. Była to akcja tym głośniejsza, że główny realizator: Danek Kostrowicki – wkrótce po jej wykonaniu – został aresztowany pod zarzutem zabójstwa tajnego agenta NKWD i osadzony w areszcie w „Gmachu Sądów” przy ul. Ofiarnej. Tam, w czasie przesłuchania *„rzucił się na oficera śledczego i udusił go”*. Zabrał z biurka akta swojej sprawy, wyskoczył oknem z pierwszego piętra i zbiegł. Obława, którą NKWD objęło niemal całe Wilno – została przeprowadzona na Zielonym Moście przez milicyjny „łazik” w momencie, gdy most już przekroczył Danek Kostrowicki. Z twarzą na wszelki wypadek obandażowaną – prowadził go Tadeusz ze swą przyszlą żoną Janką Radziunówną – i to Ona opowiadała mi o tym finale owych zdarzeń, które poruszyły konspiracyjne Wilno.

Okupacyjne trwanie

W miarę upływu kolejnych tygodni i miesięcy – dewastacyjne skutki sowieckiej gospodarki w Lacku albo zostały jakoś usunięte, albo przestały być dokuczliwe. Żyliśmy prawie normalnie i jak na czas wojny – całkiem dobrze. Żywym „reliktem” czasów sowieckich był jedynie traktorzysta, Ukrainiec, który nie zdążył, albo nie chciał ewakuować się ze swoimi i pracował w Lacku; kilku *Sowietów* pracowało również w Leszczance. Rzeczywistość okupacyjna zmieniała się stopniowo w rutynę codziennego bytowania. Rodzice starali się wprowadzać możliwie najwięcej normalności w funkcjonowanie domu i gospodarki. Zosia usiłowała pomagać Mamie w zajęciach domowych, ale jej głównym zadaniem było samodzielne przerabianie kursu gimnazjum, do którego powinna była w tym czasie uczęszczać. Pojawiło się jakieś życie towarzyskie – odwiedziny księdza Borowskiego... wyjazdy do Kulbaczyzna... do Ródkiewicz... do Szczuczyna.

Ja coraz więcej czasu spędzałem w Szczuczynku. Na moje szczęście podjął tam pracę pan Hulewicz, starszy już człowiek, który całe życie spędził na zarządzaniu folwarkami. Już przed wojną opuścił swe małe gospodarstwo w szlacheckim zaścianku i najemną pracą zarabiał na życie. Zamieszkał z rodziną w szczuczynkowskim dworcu – w jego lewej części – gdzie był stołowy pokój, kuchnia oraz pokoje, w których poprzednio mieszkała Ciocia Niusia. Ja zajmowałem narożny pokój – za salonikiem – ten sam, w którym mieszkaliśmy ze Sławkiem, uczęszczając przed czterema laty do szczuczynskiego gimnazjum. Pani Hulewiczowa, która karmiła rodzinę i również mnie – była kobieciną drobną i niepozorną. Urodziła osiemnastoro dzieci. Dwoje najmłodszych: Wilhelm, 17 lat i Halinka, 15 lat – mieszkało z rodzicami w Szczuczynku – reszta była „w świecie”.

Pan Hulewicz na bieżąco organizował roboty w polu i folwarku. Mnie obciążały tylko te zadania, z którymi nie mógł sobie poradzić. Takim zadaniem było na przykład przeprowadzenie jesiennej orki – przy niedostatku koni, pługów i ludzi. Udało mi się wówczas sprowadzić z Leszczanki gąsienicowy traktor „Staliniec”, z pięcioskibowym pługiem – co w ciągu paru dni załatwiło ten problem. Szybko się okazało, że zadaniem, które powinienem podjąć możliwie niezwłocznie – jest wybudowanie budynku mieszkalnego dla stałych pracowników folwarku. Budynek przedwojenny dla sześciu rodzin został czemuś – po wejściu Sowieci – całkowicie rozebrany. Fornale aktualnie zatrudnieni, mieszkali „kątem” w sąsiednich wsiach – co stwarzało oczywiście ogromne trudności. Ojciec zgodził się, żeby był to budynek mieszczący cztery mieszkania, ale nie jednoizbowe (jak w tradycyjnych „czworakach”), a dwupokojowe z odrębną sienią i spiżarnią. Zgodził się także, aby nowy budynek postawić nie na poprzednim miejscu, a przy drodze Janczuki – Turja, poza obrębem zabudowań folwarku tak, aby każde mieszkanie miało przydomowy ogródek.

Wykonawstwa – na podstawie tylko odręcznych szkiców i ustnych uzgodnień – podjął się pan Wyszomirski mieszkający w sąsiednich Janczukach – kombatant Ojca z wojny 1919–1920 roku. Była to znana w okolicy „złota rączka” – doświadczony cieśla i murarz, który sposobem gospodarczym postawił już niejedną chałupę. Uzyskanie decyzji budowlanej w Lidzie nie sprawiło większych trudności. Było istotne, bo otwierało drogę do zdobycia niezbędnych materiałów budowlanych (cegła, wapno, szkło okienne...) – dostępnych tylko w trybie przydziału „z wroną” (tak był określany hitlerowski orzeł na urzędowych pieczętkach). Dom miał być drewniany, kryty dranicą, a drzewo miało być pozyskane we własnym, szczuczynkowskim lesie.

Tadeusz, który zalegalizował swoją obecność w Lacku na etacie kierownika naszego młyna w Jewłaszach – utrzymywał stały kontakt z Andruszowcami, gdzie zaczęło być „ciekawie”. Zaczęli się tam pojawiać z Wilna (należącego do Generalkomisariatu Litwy) koledzy Tadeusza i Mietka Moraczewskiego. Został też uruchomiony, dobrze ukryty, nasłuch radiowy. Po pewnym czasie w folwarku Nowosady (sąsiadującym z naszą Karalowszczyzną) zainstalował się na stałe wileński adwokat Stach Januszewicz, korporacyjny kolega Mietka Moraczewskiego z Polonii. W Lacku Dolnym Bałtuciów – zamieszkał Ziutek Zwinogrodzki, student prawa i kolega Tadeusza z korporacji Polesia. Wkrótce po zagospodarowaniu się w Lacku Dolnym – Ziutek zatrudnił na



Stanisław Januszewicz. Fotografia z legitymacji „Krzyża Waleczności” nadanego mu w byłej „Ochotniczej, Sprzymierzonej Armii Generała Stanisława Bułak-Bałachowicza”

etacie księgowego, naszego przedwojennego dyrektora gimnazjum w Szczuczynie, Kazimierza Oniljanowicza (obydwaj pochodzili z Suwalszczyzny).



Józef Zwinogrodzki; zdjęcie z okresu studiów w Wilnie

Głównym miejscem spotkań były jednak Andruszowce.

Dom prowadzony przez Marysię, żonę Mietka był bardzo gościnny – nie tylko przy okazji świąt i uroczystości rodzinnych – lecz także zwykłych spotkań. Czasami barwności tym spotkaniom dodawały tradycje funkcjonujące w przedwojennych korporacjach akademickich. Tradycji tych w ogóle nie znałem. Nie bez znaczenia były również nalewki i „krupniki” robione na spirytusie przydzielanym przez Liegenschaft do napędu traktorów.

Spotkania te dobrze pamiętam, bo chętnie i wielokrotnie brałem w nich udział. Ich atrakcyjność wynikała nie tylko z walorów towarzyskich, ale głównie z bezpośredniego dostępu do wiadomości o wydarzeniach wojennych i politycznych pochodzących z radiowego nasłuchu. Dyskusje, wywołane ich konfrontacją z otaczającą nas rzeczywistością Generalkomisariatu Białorusi – bywały długie i gorące.

Ciekawe i znamienne dla tych dyskusji było unikanie tematu konspiracji i działalności ZWZ. Tak jak Tadeusz, również jego wileńscy koledzy mieli za sobą jakąś działalność w antysowieckim podziemiu i jak sądziłem – również teraz nie mieli zamiaru „siedzieć bezczynnie”. Ale ten temat – na spotkaniach, które wspominam – nigdy nie był ani podejmowany, ani rozwijany. Dla mnie spotkania w Andruszowcach były swoistym „kanałem”, którym do okupacyjnej codzienności – jak powietrze do dusznego, obozowego baraku – docierało trochę rozrywki, dużo wieści ze świata i docierała też nadzieja.

A wieści, które w tym czasie płynęły z Londynu były optymistyczne. 12 lipca 1941 roku – trzy tygodnie po ataku Niemiec hitlerowskich na Związek Radziecki – został podpisany traktat angielsko-radziecki o wzajemnej pomocy. W ślad za tym (jeszcze w lipcu) został również zawarty traktat między ZSSR a Polską reprezentowaną przez Rząd generała Sikorskiego w Londynie. Na mocy tego traktatu miliony Polaków trzymanyh w sowieckich więzieniach i łagrach – miały podlegać „amnestii”. Na terenie ZSSR miało być formowane polskie wojsko. Ta wiadomość, gdy do nas dotarła – wydawała się zbyt pomyślna, żeby mogła być prawdziwa. Była jednak wciąż potwierdzana. Mama zaczęła wierzyć w powrót Babci i Cioci Niusi.

Także informacja o podpisaniu 11 sierpnia 1941 roku przez Churchilla i Roosevelta Karty Atlantycznej z jej ośmiu zasadami międzynarodowego współżycia – była przez większość z nas przyjęta jako bardzo optymistyczna. Była to bowiem zapowiedź dążenia zachodnich demokracji do uczciwego zakończenia toczącej się wojny – w której Polska, jako pierwsza, przeciw-

stawiała się reżimom Hitlera i Stalina. Bardzo istotne było to, że Karta Atlantycka – ten swoisty „*sztandar wolności, demokracji i sprawiedliwości*”¹⁰⁾ – został rozwinięty w czasie, gdy satrapia Stalina znajdowała się już po stronie Demokracji. Sceptycy – w tym nasz Ojciec – wierzyli w dobre intencje twórców Karty, ale mieli wątpliwości, czy Zachód potrafi zawarte w niej cele zrealizować. Dopiero, gdy po ataku Japonii na flotę Pacyfiku USA w Pearl Harbor – Hitler wypowiedział 11 grudnia 1941 roku wojnę Stanom Zjednoczonym – nawet najwięksi sceptycy „nabrali ducha”. Umocniła się wiara, że nasi sojusznicy: Wielka Brytania i Francja (pokonana chwilowo, tak jak my) – wsparci potęgą Stanów Zjednoczonych – osiągną zwycięstwo i potrafią przeciwstawić się zaborczym dążeniom sowieckiej Rosji.

Tak więc w końcu 1941 roku – w Lacku i całym kręgu naszych przyjaciół wystąpił wyraźny wzrost optymizmu. Pesymistów niepokoił rozmach z jakim Stany Zjednoczone – w ramach uchwalonej przez Kongres „*Lend-Lease Act*” – zaczęły wspomagać Związek Radziecki wojennym zaopatrzeniem (najpierw przez Persję, a później głównie przez Atlantyk) – bali się bowiem, że ten „sojusznik z przypadku” wyjdzie z wojny zbyt silny. Jednak w tym czasie wszelkie niepokoje były oddalane. Dominowało przeświadczenie, że „*wszystko dobrze się skończy*”

Święta Bożego Narodzenia 1941 roku upłynęły w Lacku w atmosferze „odprężenia”. Front był daleko, gdzieś pod Moskwą i Leningradem, a zmagania wojenne na Atlantyku i w Afryce też wydawały się bardzo odległe. To były trzecie wojenne Święta i pierwszy raz Tadeusz był z nami. Choinkę ustawiliśmy w salonie, jak dawniej. Zabawki na choinkę były „improwowane”, ale nikt się tym nie przejmował. Ze wszystkich wojennych Świąt były to Święta chyba najbardziej optymistyczne i pogodne. Upamiętniło mi się świąteczne spotkanie w Andruszowcach, gdyż poznałem wówczas Jankę Radziunównę, sympatię Tadeusza z Wilna i jej młodszą siostrę Halę, która wkrótce wyszła za mąż za Stacha Januszewicza i zamieszkała w Nowosadach. Pamiętam też wzruszające przyjęcie, które urządziła mi rodzina Hulewiczów w Szczuczynku.

Dalsze miesiące zimy i wiosna 1942 roku były wypełnione codzienną krzątaniną okupacyjnego trwania. W pamięci prawie nic nie pozostało. Jakieś „dreptanie” za materiałami na szczuczynkowską budowę, która postępowała wcale sprawnie... kłopoty związane z uruchomieniem (nigdy przedtem nieprowadzonej) formalnej rachunkowości wymaganej przez ludzki *Liegschaft*... kupowanie (za zboże) koni do prac polowych w Szczuczynku... Były oczywiście częste wyjazdy do Rodziców do Lacka oraz rzadsze wypadki do Andruszowców „po wieści” i po wspaniałym nastrój, który panował tam zawsze na towarzyskich spotkaniach. Ale to były tylko „przerywniki”, a codzienność była szara i przygnębiająca – coraz dalsza od optymizmu, z którym spędziliśmy święta Bożego Narodzenia. Informacja o „Pakcie Waszyngtońskim”

zawartym 1 stycznia 1942 roku – w którym 26 państw zaangażowanych w wojnę z „Osią” niemiecko-włosko-japońską zobowiązało się nie zawierać odrębnego traktatu pokojowego – została niemal niezauważona. Dopiero po dziesięcioleciach, gdy Organizacja Narodów Zjednoczonych (która „wyrosła” na tym fundamencie)¹⁰⁾ – zaczęła odgrywać znaczącą rolę w procesie wielkich przemian współczesnego świata – znaczenie tego „Paktu...” dotarło do mojej świadomości.

Gdy dziś wspominam pierwsze półrocze 1942 roku i oceniam zaangażowanie, z jakim realizowałem wówczas budowę nowego domu dla pracowników Szczuczynka – mam pokusę uznania, że była to „wielka naiwność”. Ale Sławek i Tadeusz – bardzo podobnie – angażowali się w rozbudowę młyna w Jewłaszach, gdzie nie było już pana Chony, zapędzonego przez Niemców do szczuczyńskiego getta, a zapotrzebowanie na przemiał zboża było bardzo duże. Do napędu wodnego postanowili dodać napęd silnikiem spalinowym – ustawić mianowicie, w niewielkiej przybudówce, silnik od traktora „Staliniec” i pasem transmisyjnym połączyć go z urządzeniami przemysłowymi. W realizację tego projektu wkładali dużo wysiłku, pomysłów i czasu. Podobnie Ojciec, starał się odbudowywać dawną – świetną – gospodarkę mleczną Lacka. Chronił mleczne krowy przed przekazaniem na obowiązujący kontyngent mięsny, powiększał stado cieląt itd. Wszyscy mieliśmy przeświadczenie, że tym sposobem działamy na rzecz nieodzownej odbudowy, która czeka nas po wojnie – oczywiście wojnie, która zakończy się pomyślnie. Inny wariant nie był wówczas dopuszczany do świadomości i do dyskusji.

Jednak mimo tej pokusy – wyrażam przekonanie, że ani ówczesne przeświadczenie, ani podejmowane działania nie były „naiwnością”. Były potrzebą – bo ułatwiały trwanie w okupacyjnej rzeczywistości. W warunkach niepewności i zagrożenia, które zwiększało się wraz z upływem czasu – nasze działania ukierunkowane na „inwestycje w przyszłość” przydawały okupacyjnemu trwaniu szerszą perspektywę i więcej nadziei.

Nurty konspiracji – zaprzysiężenie

Aby lepiej rozumieć tamte czasy i okoliczności zdarzeń, potrzebna jest świadomość, że w czasie drugiej wojny światowej niepodległościowa działalność konspiracyjna – w obydwóch strefach okupacyjnych – rozwijała się w Polsce dwoma głównymi nurtami. Nurt lokalny był uruchamiany indywidualnymi inicjatywami patriotów – odważnych i zdecydowanych – wyróżniających się osobniczymi cechami przywódcy. Efektem tych inicjatyw pojawiających się – we wszystkich środowiskach: uczniowskich, wojskowych, nauczycielskich, robotniczych... – było powstanie ogromnej liczby grup, grup i także lokalnych „organizacji” (przyjmujących różne nazwy), które

łączyły ludzi niegodzących się z okupacją i zniewoleniem. Ten nurt – niemal powszechny – owocował wielką liczbą „wpadek”, prowokacji organizowanych przez Gestapo lub NKWD i oczywiście, ogromnych tragedii. Przeważnie nie był skuteczny ze względu na dysproporcje między tworzoną potencją konspiracyjnego oporu a policyjno-wywiadowczym i represyjnym potencjałem okupanta. Stanowił jednak podłoże dogodne do rozwoju nurtu centralnego, znanego jako SZP-ZWZ-AK.

Ten nurt, organizowany przez Rząd w Londynie i Komendę Główną w Warszawie – od góry w dół „piramidy”, aż do najniższych struktur terenowych – był dość powolny, ale bardziej skuteczny. Przy tym ratował, bo wchłaniał „plankton” nurtu lokalnego. W miarę upływu kolejnych lat okupacji nasilenie i znaczenie nurtu lokalnego słabło. Struktury ZWZ-AK były już na tyle „powszechnie obecne”, że indywidualne inicjatywy nie miały „pustego pola” do rozwoju. Struktury organizacyjne tworzone przez polskich komunistów pod protektorem sowieckiej agentury – wprawdzie zyskiwały na znaczeniu wraz ze wzrostem wpływów ZSSR – jednak w budowaniu narodowego oporu miały znaczenie marginalne.

Ubocznym efektem zderzenia działalności obydwóch nurtów z aparatem terroru okupanta – była duża liczba ludzi „spalonych”, którzy musieli zmieniać miejsce zamieszkania, ukrywać się na melinach, albo w końcu „iść do lasu”. Ci ludzie zasilali pierwsze oddziały podejmujące partyzancką walkę z okupantem zarówno sowieckim, jak i niemieckim.

Na Nowogródczyźnie – opór polskiego społeczeństwa przeciw sowietyzacji Kresów – był rozpaczliwy. Przyłączenie północno-wschodnich województw (tzw. Białorusi Zachodniej) do ZSSR (dekret Rady Najwyższej z 2.11.1939 r.), bezprawne nadanie obywatelstwa sowieckiego wszystkim obywatelom polskim znajdującym się na anektowanym obszarze, związany z tym pobór obywateli polskich w 1940 roku do Armii Czerwonej oraz pięć kolejnych fal aresztowań i wywózek przetaczających się przez zagarnięte ziemie od września i października 1939 roku do czerwca 1941 roku – wszystko to tworzyło rzeczywistość – z jednej strony: zastraszenia i terroru, ale z drugiej strony: sprzeciwu i oporu. W tych warunkach rozwijał się zarówno lokalny nurt działalności konspiracyjnej (np. ludzka organizacja POW), jak i nurt SZP-ZWZ oraz związane z nimi wystąpienia zbrojne i partyzanckie. Na naszym terenie w nurcie ZWZ działał oddział por. Jana Skorba, który później kontynuował walkę również pod okupacją niemiecką. Dużą skalę oporu potwierdzają



Por./rotm. Jan Skorb, „Puszkarrow”, „Puszczyk”, dowódca oddziału partyzanckiego w okresie sowieckiej i niemieckiej okupacji Nowogródczyzny; od czerwca 1943 r. adiutant Komendanta Okręgu „Nów” a w końcu 1944 r. ostatni Komendant tego Okręgu. Absolwent Seminarium Nauczycielskiego w Szczuczynie



Płk Janusz Prawdzic-Szlaski, „Borsuk”, komendant Okręgu Nowogródek A.K. („Nów”), od jesieni 1942 do 1 lipca 1944 r.



Wach.pch./rotm. Józef Świada, „Justyn”, „Lech”, w roku 1940 hubalczyk; od jesieni 1941 r. do kwietnia 1942 r. na placówce dalekiego wywiadu AK w Mińsku; po skierowaniu na Nowogródczyznę w lipcu 1943 r. sformował, z oddziałów oddanych pod Jego komendę, Batalion Zaniemeński AK, którym dowodził do marca 1944 r.

raporty NKWD z owego okresu – o rezultatach likwidacji „kontrrewolucyjnych, nacjonalistycznych i powstańczych organizacji w zachodnich obwodach Białorusi”²⁹⁾.

Pierwszy rok okupacji niemieckiej na Nowogródczyźnie między czerwcem 1941 roku a majem 1942 roku – był okresem względnego spokoju i „zabliźniania ran” po straszliwych ciosach zadanych polskiemu społeczeństwu przez reżim stalinowski. Niemcy dopiero organizowali rozbudowę swojego wojskowo-policyjnego i logistycznego zaplecza frontu wschodniego. Na naszych Kresach – był to czas stopniowej odbudowy i budowy konspiracyjnej siatki na gru-

zach wcześniejszych struktur. Dziś wiem – z licznych opracowań źródłowych²⁹⁾ i także publikowanych wspomnień¹¹¹⁾ – że Komenda Główna ZWZ-AK czas ten wyko-

rzysztowała zarówno na penetrację bezpośredniego zaplecza frontu wschodniego (gdzie działał „Wachlarz”¹²⁰⁾), jak i na budowę „siatki” na naszych Kresach. Na teren Nowogródczyzny, już w jesieni 1941 roku został skierowany major, później podpułkownik Janusz Szlaski („Prawdzic”), który następnej jesieni został Komendantem Okręgu Nowogródek („Nów”). W ślad za nim byli kierowani również inni wybitni oficerowie. Do wspomnianych już nazwisk Macieja Kalenkiewicza („Kotwicz”) i Józefa Świady („Lecha”) – dodam dwóch dalszych, o których się „otarłem” – cichociemnych: kapitana Stanisława Sędziaka („Wartę”) szefa sztabu Okręgu „Nów” oraz Jana Piwnika („Ponurego”) dowódcę VII Batalionu 77 pp AK.



Mjr/ppłk dypl. cc Maciej Kalenkiewicz „Kotwicz”, od marca do lipca 1944 r. dowódca Zgrupowania Nadnemieńskiego, a po aresztowaniu „Wilka” przez NKWD, Komendant okręgu „Nów”. Poległ 21.VIII.1944 r. pod Surkontami w walce z NKWD



Kpt. dypl. cc Stanisław Sędziak, „Warta”; od grudnia 1942 do listopada 1944 r., Szef Sztabu Okręgu AK „Nów”; od września do listopada 1944 r. p.o. Komendanta tego Okręgu

W owym czasie informacje, które do mnie docierały o personaliach i organizacji ZWZ-AK – były wyrywkowe i bardzo skąpe. Szczegółowe informacje o oddziale dywersyjnym „Puszkarowa” (Jana Skorba, „Puszczyka”) działającym od wiosny 1942 roku na naszym terenie w sowieckich mundurach – były prawie „żadne”. Podobnie – bardzo mało wiedziałem o działających już w tym czasie: oddziale Kedywu Ośrodka „Łąka” (dowodzonego przez ppr. „Waltera” – Stanisława Berdowskiego, a później ppr. „Żala” – Leszka Ratajskiego) oraz grupie dyspozycyjnej tego Ośrodka (kpr. „Niekrasowa”) powoływanej pod broń na czas wykonywania powierzonych zadań. Wiedziałem, że konspiracyjna działalność jest prowadzona – ale wciąż przestrzegałem zasadę „ćwiczona” jeszcze w Generalnej Gubernii – aby „wiedzieć możliwe najmniej o nie moich sprawach”. Wydawało mi się – a niekiedy miałem pewność, że Tadeusz i jego wileńscy koledzy utrzymują swoje dawne konspiracyjne kontakty i należą do „siatki” – zachowywałem się jednak tak, jakbym był „ślepy i głuchy”. Przypuszczałem, że również Sławek, z którym w tym czasie widywałem się dość rzadko jest już w „siatce”, ale nie dążyłem do wyjaśnienia tej sprawy. Im mniej wiedziałem – tym mniej mogłem powiedzieć, gdybym w wyniku „wyspy” załamał się w śledztwie.



Mjr cc Jan Piwnik „Ponury”; w Górach Świętokrzyskich dowódca zgrupowania partyzanckich oddziałów; na Nowogródczyźnie dowódca VII batalionu 77 p.p. AK oraz zgrupowania „Zachód”. Zginął 16.VI.1944 r. pod Jewłaszami

Jednak, gdzieś w połowie maja 1942 roku, Mietek Moraczewski zainteresował się budową, którą prowadziłem w Szczuczynku i zapowiedział swoją wizytę. Bardzo się ucieszyłem. Gdy jednak doszło do spotkania – okazało się, że przyczyna wizyty jest całkiem inna. Zaproponował mi złożenie przysięgi i podjęcie pracy konspiracyjnej. Propozycją nie byłem ani zaskoczony, ani zdziwiony i oczywiście wyraziłem zgodę. Kazał mi przynieść krzyż – zdjąłem go ze ściany w szczuczynkowskim przedpokoju. Odczytał z kartki słowa przysięgi, a ja je powtarzałem. Wydaje mi się, że była krótsza i mniej uroczysta od powszechnie dziś znanej przysięgi Armii Krajowej:

„W obliczu Boga Wszechmogącego i Najświętszej Marii Panny Królowej Korony Polskiej, kładę swe ręce na ten Święty Krzyż, znak męki i zbawienia, i przysięgam być wiernym Ojczyźnie mej, Rzeczypospolitej Polskiej, stać nieugięte na straży Jej honoru i o wyzwolenie Jej walczyć ze wszystkich sił – aż do ofiary mego życia. Prezydentowi Rzeczypospolitej Polskiej i rozkazom Naczelnego Wodza oraz wyznaczonemu przezeń Dowódcy Armii Krajowej będę bezwzględnie posłuszny, a tajemnicy niezłomnie dochowam, cokolwiek by mnie spotkać miało”.

Złożenie przysięgi przeżyłem nadspodziewanie mocno. Miałem 18 lat i chyba dość „romantyczny” odbiór rzeczywistości. Przyjęte zobowiązania

bardzo mną poruszyły. Nie wiem czemu przyjąłem pseudonim „Wilczek” (tak wabił się nasz ukochany półpies półwilk hodowany w dzieciństwie, str. 34–35). Po prostu, nic sensowniejszego nie przyszło mi wówczas do głowy. Mietek („Pempcio”) – wchodząc w rolę „szefa” – zorientował mnie bardzo ogólnie w organizacyjnej strukturze „siatki” (tym określeniem była wówczas zastępowana oficjalna nazwa ZWZ i później AK): okręg odpowiada w przybliżeniu przedwojnemu województwu; obwód – to powiat; kompania – gmina; placówka i melina to najmniejsze organizacyjne komórki „siatki”. Zapowiedział też, że będę wykorzystywany przede wszystkim do zadań kwatermistrzowskich w szczuczyńskim obwodzie „Łąka”, a jakich – to dowiem się „w swoim czasie”. Skala „wtajemniczenia” była więc bardzo mała, a wiedzę, która była mi potrzebna – rzeczywiście uzyskiwałem stopniowo wraz z podejmowanymi działaniami.

Zadania, które zacząłem od czasu do czasu otrzymywać były niewielkie. Polegały najczęściej na finalizowaniu zakupów dla planowanego rozwoju grup dywersyjnych i oddziałów partyzanckich. Komórki terenowe „siatki” *namierzały* najróżniejsze możliwości nabycia potrzebnego wyposażenia, na przykład: polskiego munduru przechowywanego dotychczas gdzieś w chłopskiej „komorze”, pistoletu lub automatu, który miał do zbycia Ukraińiec w służbie Wehrmachtu, skrzynki amunicji pozostałej gdzieś po działaniach wojennych itp. Moja rola polegała głównie na dotarciu do wskazanego punktu kontaktowego, zapewnieniu środków na przeprowadzenie transakcji i skierowaniu „zdobyczy” na wyznaczoną „melinę”. Ponieważ miałem „mocne papiery” – poruszanie się w terenie, rowerem czy wozem, nie sprawiało mi trudności, a system konspiracyjnych haseł i łączników (lub łączniczek) zapewniał sprawne poruszanie się między punktami kontaktowymi terenowych komórek siatki. Otrzymywane zadania, bez trudności „wpisywałem” zarówno w tok moich zajęć w Szczuczynku, jak i „kalendarz” kontynuowanych kontaktów zarówno rodzinnych, jak i towarzyskich.

Jakoś latem lub wczesną jesienią 1942 roku – jedno z zadań kwatermistrzowskich wymagało kontaktu z konspiracyjną kompanią Wasiliską. Jechałem rowerem ze Szczuczynka do Wasiliszek. W lesie, parę kilometrów przed miasteczkiem, zobaczyłem rower porzucony przy drodze a w rowie leżącego człowieka. Zatrzymałem się, ale gdy stwierdziłem, że to człowiek zabity, w niemłym popłochu wskoczyłem na rower i popędziłem dalej. W miasteczku, w mieszkaniu uzgodnionym na spotkanie – po wymianie hasła – znalazłem się przed mężczyzną wysokim, szczupłym, lekko pochylonym o wyraźnie długich nogach. Miał wydatny nos, wyraziste oczy, mocno przystrzyżony wąs i policzki ciemniejsze od ogorzałej twarzy – co wskazywało na silny zarost. Włosy cesał gładko, z przedziałkiem, choć było widać, że nie są posłuszne grzebieniowi. Cała postać budziła zaufanie.

Spotkanie dobrze pamiętam, bo to wówczas poznałem porucznika (później rotmistrza) Janusza Borewicza („Antoniego”), który po upływie kilkunastu miesięcy – dowodził V kompanią, II batalionu 77 pułku piechoty Armii Krajowej – a ja zostałem jego adiutantem. Był to jeden z wyróżniających się organizatorów konspiracji, a później dowódców Armii Krajowej na Nowogródczyźnie. Pochodził z Sejneńszczyzny z majątku Klejwy, pozostającego w rodzinie Borewiczów od 1746 roku. Kampanię wrześniową przeszedł w drugim pułku Ułanów Suwalskich, a zakończył ją w obozie internowania po przekroczeniu ze swym oddziałem granicy ówczesnej Litwy. Wkrótce uciekł z obozu ze wspomnianym już Dankiem Kostrowickim. Obaj podjęli działalność w podziemiu. Z sowieckiego więzienia w Mińsku, został uwolniony po wejściu Niemców na Białoruś. Na posadzie kierownika spółdzielni w Wasiliszkach urządził go Bolesław Sztrom (por. „Las”), który znał ten teren już przed wojną i był „zamelinowany” w miasteczku na stanowisku nadleśniczego¹¹⁷⁾.



Por./rotm. Janusz, Jan Borewicz „Antoni”; od lipca 1943 r. komendant konspiracyjnej kompanii wasiliskiej „Pastwisko”; później dowódca kompanii partyzanckiej, w której byłem Jego adiutantem

Gdy w toku rozmowy opowiedziałem „Antonieniu” o człowieku zabitym w lesie – jakby się uśmiechnął, ale nie podtrzymał tematu i sprawę zbagatelizował. Później dowiedziałem się, że wasiliska siatka zlikwidowała paru niemieckich konfidentów, o czym nie mógł nie wiedzieć. Palił dużo, głęboko się zaciągając. Gospodarz w starszym wieku, który mnie wpuścił do mieszkania, przyniósł kawę i ogłosił: „kawa reda” (gotowa). „Antoni” przedstawił go jako marynarza wielu światowych flot i nie taił sympatii, którą go darzył. Hasłem „kawa reda”, później posługiwał się również „Antoni”, gdy siadał do posiłku w partyzanckiej kwaterze i czasami nawet po wojnie, gdy zapraszał gości do stołu.

Rosnący terror – śmierć Ojca

Lato i jesień 1942 roku – wypełnione „normalną” krzątaniną *okupacyjnego trwania* – pozostawiły w pamięci nieliczne, mocno zatarte wspomnienia z realizacji wciąż nowych zadań kwatermistrzowskich oraz związanych z tym kontaktów organizacyjnych w „siatce” (m.in.) z komendantem obwodu podporucznikiem Kazimierzem Krzywickim („Wiesławem”). Wyraźnie upamiętniły się natomiast inne wydarzenia, które znaczyły (od wiosny 1942) rosnący terror i burzyły codzienność.

W czerwcu 1942 roku nastąpiło wymordowanie mieszkańców szczuczyńskiego getta. Gdy usłyszałem relację mieszkańca Szczuczyna – sama zbrodnia i jej sposób przeprowadzenia przez litewskie (łotewskie?) komando – pod rozkazami miejscowej żandarmerii i „Landrata” – nie chciały się „zmieścić w głowie”. Ludność żydowską – ponad 2000 mężczyzn, kobiet i dzieci – zgromadzono na rynku miasteczka i odczytano im wyrok śmierci, z rozkazu Hitlera. Następnie uformowano pochód z rabinami na czele i poprowadzono za miasteczko, pod las, gdzie był już wykopany ogromny dół. Ludzie wpędzani do dołu byli mordowani seriami karabinów maszynowych i automatów – i tak „warstwa za warstwą, byli układani w dole”. Wszystkich, którzy ukryli się w zakamarkach getta wyszukiwano i zabijano na miejscu. W tej masakrze zginęli wówczas: „Habere”, moja gimnazjalna nauczycielka łaciny, pan Chona, dzierżawca młyna w Jewłaszczach i prawdopodobnie cała piątka moich jednoklasowych koleżanek i kolegów ze szczuczyńskiego gimnazjum. Ani Ojciec, ani Mama, którzy pamiętali okropności obydwóch wojen i także zbrodni bolszewickiej rewolucji – wprost nie chcieli uwierzyć, że coś tak bestialskiego mogło się wydarzyć.

Równocześnie z akcją eksterminacji żydów była, przez Niemców, prowadzona tzw. „Polenaktion”, jako „krok na drodze” do rozwiązania „kwestii polskiej” na terenach Ostlandu. *„W dniach 26–30 czerwca 1942 r. żandarmeria niemiecka i policja białoruska aresztowała na podstawie gotowych list – sporządzonych przez BNS – około 1000 przedstawicieli polskiej inteligencji, nauczycieli, lekarzy, urzędników, prawników, gimnazjalistów, księży”²⁹⁾*. Akcja ta została przeprowadzona niezależnie od „normalnych” represji związanych z dekonspiracją struktur AK czy odwetem za dywersję przeprowadzaną na torach kolejowych przez nasze „patrole saperów” lub partyzantkę sowiecką. *„Chodziło tu wyłącznie o fizyczne zniszczenie polskich warstw oświeconych, mogących w przyszłości odegrać rolę kierowniczą i organizacyjną społeczeństwa polskiego”²⁹⁾*.

Ogromne poruszenie wywołało aresztowanie naszego proboszcza z Lacka, księdza Borowskiego i niemal równocześnie proboszczów z Bielicy, Niecieczy, Trab, Lipniszek i Juraciszek; także trzech księży z Lidy oraz wielu świeckich przedstawicieli polskiej inteligencji. Tą falą aresztowań został ogarnięty również Ojciec – którego jednak po kilku dniach, głównie dzięki zorganizowanej przez Sławka interwencji Liegenschaftu, udało się „wyciągnąć” z więzienia w Lidzie. Ksiądz Borowski i ośmiu innych księży uwięzionych w tej represyjnej akcji – zostało rozstrzelanych 10 marca 1943 roku w Lidzie, w lasku za strzelnicą koszar¹⁰⁴⁾.

Wiadomości o bliskich i także dalekich aresztowaniach i rozstrzeliwaniach – dochodziły coraz częściej z Baranowicz, Nowogródka, Stołpców... Rodzice zaczęli się bać zarówno niemieckiego terroru (zwłaszcza „reżyserowanego” przez białoruskich nacjonalistów z BSA), jak i sowieckich band,

które coraz częściej zaczęły się pojawiać również w naszych stronach. Ojciec jako obywatel znany ze swej działalności społecznej – a wcześniej jako organizator Samoobrony Szczuczyńskiej – miał pełne powody, aby czuć zagrożenie. Rodzice wynajęli więc mieszkanie w Szczuczynie i zaczęli dzielić swój czas między Lack i tę „zakonspirowaną kwaterę”. Uważali, że tym sposobem zwiększa się szansa uniknięcia niezapowiedzianej wizyty, „nieproszonych gości”. Brali też pod uwagę tę korzyść, że Zosia mieszkając w Szczuczynie będzie mogła korzystać z fachowej pomocy jakiegoś nauczyciela, którego „na pewno uda się znaleźć w miasteczku”. Ja – oraz podobnie Tadeusz i Sławek – bardzo poparliśmy to rozwiązanie, ale sami (jako nieporównanie mniej zagrożeni) pozostaliśmy przy swoim dotychczasowym trybie życia. Zbliżające się święta Bożego Narodzenia – Rodzice postanowili urządzić już w Szczuczynie, a nie w Lacku.

Te Święta – drugie pod okupacją niemiecką na Kresach – były bardzo smutne. Zamiast wspaniałej choinki ustawionej w lackowskim salonie, ubraliśmy niewielki – symboliczny świerzek. Mama wprawdzie przygotowała tradycyjne potrawy kresowej wigilii – rybę w galarecie, śledzia zapiekanego w cieście, „śliziki”, „kutię”... ale z trudem mogliśmy doliczyć się dwunastu potraw. Byliśmy razem i próbowaliśmy śpiewać kolędy – jednak nie było nastroju nadziei i optymizmu, który towarzyszył nam w roku ubiegłym. Przygnębiająca była nie tylko sytuacja w bezpośrednim otoczeniu – zwłaszcza aresztowanie księdza Borowskiego – lecz także sytuacja polityczna i wojenna.

Evakuację wojsk generała Andersa z ZSSR, przez morze Kaspijskie do Persji – przeprowadzoną od marca do sierpnia 1942 roku – Ojciec interpretował jako zapowiedź utwardzania polityki Stalina wobec Polski i Rządu Londyńskiego. „*Pozbył się kłopotliwego balastu i będzie sprawę polską rozgrywał po swojemu*”. Kontrofensywa Armii Czerwonej pod Stalingradem i perspektywa zniszczenia tam ogromnej armii Paulusa – oraz niewielka skala działań alianckich – wskazywały, że Sowietci mogą wyjść z wojny znacznie silniejsi niżby to było w naszym interesie. Otwarcie w 1942 roku cerkwi przez Stalina – i jego powrót do hasła „obrony świętej Rusi” (tak jak to kiedyś zrobił Lenin) – było zapowiedzią złowróżbnego wzmocnienia ZSSR. Na determinację aliantów wskazywało wygranie w październiku drugiej bitwy pod El Alamein oraz lądowanie w listopadzie wojsk brytyjskich i amerykańskich w Maroku i Algierze. Także rozpoczęcie masowych nalotów na terytorium Niemiec – zapoczątkowane majowym nalotem tysiąca bombowców na Kolonię – oraz kontynuacja zaciętych zmagających na Atlantyku z flotą niemieckich łodzi podwodnych. Jednak, aby interes Polski – zwłaszcza w kwestii utrzymania jej Kresów Wschodnich – mógł być obroniony przed zaborczością ZSSR, była potrzebna wyraźna przewaga potencjału i wysiłku

wojennego po stronie zachodnich aliantów, a tej niestety, wciąż nie było wi-
dać na frontach toczącej się wojny.

Po Świętach Ojciec pojechał do Lacka i pozostał tam dwa dni. Do Szczuczyna wracał w sylwestrowe popołudnie – przed wieczorem. Na drodze, prawdopodobnie koło wsi Domuciwce został zamordowany strzałem z pistoletu w tył głowy. Sanie z ciałem Ojca zostały znalezione następnego dnia w lesie – niedaleko tej wsi... Koń był przywiązany do drzewa...

Mama zniosła ten cios z hartem godnym podziwu. Zdecydowała, że ciało będzie czekać na pogrzeb w Lacku i ma spocząć w rodzinnym grobie na lackowskim cmentarzu, w podziemnej krypcie, gdzie były już trumny Jego rodziców. Noc, którą spędziliśmy w przeddzień pogrzebu przy trumnie Ojca była niewątpliwie najsmutniejsza spośród wszystkich, które przeżyłem w dotychczasowym życiu. Równocześnie była to noc grozy, od której nie mogłem się uwolnić. Przenikała mnie całego i czała się w ciemnościach zimowej nocy wokół domu i dworu. Płomienie drewna palącego się w kominku – nie przynosiły uspokojenia. Trwaliśmy razem – przeważnie milcząc. Dręczące pytania: – Kto? Dlaczego? – pozostawały bez odpowiedzi.

Pogrzeb pamiętam jak przez mgłę – jakbym tam nie był, a przecież byłem. Zachowały się w pamięci tylko dwa fragmenty. Fatalny „zgrzyt”, jakim był przyjazd na cmentarz niemieckiego urzędnika z Lidy jako przedstawiciela Liegenschaftu, w którym Ojciec był formalnie zatrudniony. I drugi: wystąpienie pana Ruka (nie znałem go, bo nie był w Lacku) – który żegnał Ojca w imieniu obywateli powiatu i wspominał o zajęciu przez Ojca miasta Borysów, w styczniu 1918 roku, gdy formował się tam I Polski Korpus. Z przekazu rodzinnego czemuś nie pamiętałem tej akcji i chyba dlatego wystąpienie pana Ruka utkwilo mi w pamięci*).

Okoliczności śmierci Ojca nigdy nie zostały wyjaśnione. Ani wówczas, ani później nie było żadnych możliwości na przeprowadzenie śledztwa.

Mama była przekonana, że został zamordowany przez jakiegoś miejscowego chłopca – bolszewika. Po wojnie – w 1945 roku – w liście do pana Henryka Sikorskiego (brata Bronisława – str. 57)– pisała, że „został zamordowany przez tych, dla których całe życie pracował”¹⁴⁴⁾. Już po śmierci Mamy (w 1998 roku) – wersję, której się trzymała – potwierdził pan Bolesław Szocik, mieszkaniec Lacka Kościelnego, który od 1991 roku na lackowskim cmentarzu utrzymywał porządek na kwaterze Skawińskich i Lisowskich. W czasie rozmowy prowadzonej na cmentarzu, powiedział wówczas, że

^{*)} We „wniosku na odznaczenie orderem »Virtuti Militari«, w myśl Uchwały Kapituły Tymczasowej z dnia 23.I.1920 r.” czyn wspomniany przez pana Ruka – uzasadniający wniosek – został zapisany następująco: „Podporucznika jazdy Bolesława Lisowskiego (odznaczyć) za zajęcie m. Borysowa i rozbrojenie oddziału Kaukaskiego Korpusu, na czele nielicznego oddziału składającego się z 22-ch żołnierzy”. Wniosek Kapituły Tymczasowej został przez Komisję dla Formacji Wschodnich – zakwalifikowany do „Krzyża Walecznych”¹⁵⁹⁾.

sprawcą jest niedawno zmarły, „znany bandyta z Domuciówców, który zabił paru ludzi”. Dopiero teraz nie bał się podać jego nazwiska. Jednak ja nie wierzę w tę wersję. Jestem nadal przekonany, że to była zaplanowana akcja oprawców z NKWD, którzy już we wrześniu 1939 roku mieli Go „na liście” jako zastępcę rotm./ppłk Jerzego Dąmbrowskiego („Łupaszki” – str. 96). Wówczas im się wymknął, więc dopadli Go teraz – tak jak nieco wcześniej dopadli „Łupaszkę” na Litwie^{*)}. Tadeusz i Sławek myśleli podobnie, ale brali też pod uwagę możliwy związek tej śmierci z aktualnym udziałem Ojca w działalności konspiracyjnego podziemia. Zbyszek Koźliński pisze o „*patrolach*” pod dowództwem Jana Skorba („Puszkarowa”, „Puszczyka”) wysyłanych przez Ojca („Starego”) do Katynia celem zdobycia dowodów na popełnienie przez Sowietów dokonanej tam zbrodni²⁷⁾. Ja jednak nie wiedziałem wówczas – i nadal nie wiem – nic pewnego o konspiracyjnej działalności Ojca, pozostaję więc przy swojej wersji.

Pierwsze – najtrudniejsze miesiące 1943 roku – wypełniła okupacyjna codzienność. Mama stale mieszkała w Szczuczynie. Do Lacka, gdzie gospodarzyła pani Chmielewska – zaglądała rzadko. Zosia mieszkała z Mamą i korzystała w tym czasie z pomocy dydaktycznej pana Marcinkiewicza, wówczas szczuczyńskiego nauczyciela. Tadeusz dzielił swój czas między Lack i Andruszowce, gdzie nadal funkcjonował nasłuch radiowy; gdzie spotykało się też wileńskie towarzystwo. Sławek objął po Ojcu funkcję „zarządcy” Lacka, ale zatrzymał też swe obowiązki w Leszczance. Ja po staremu tkwiłem w Szczuczynku. Pan Hulewicz coraz lepiej radził sobie z bieżącym zarządzaniem folwarkiem, mogłem więc spokojnie zajmować się organizacją prac wykończeniowych budynku dla służby. Był już niemal gotowy. Zacząłem też – więcej czasu niż dotychczas – poświęcać obowiązkom kwatermistrza Obwodu „Łąka”.

Jakoś w tym czasie (początek 1943 roku) zostałem wyznaczony do pełnienia tej funkcji. Sądzę, że wiązało się to z reorganizacją Nowogródzkiego Okręgu AK („Nów”) i przygotowywaniem go do nowych, „osłonowych” zadań, które według planów generała Stefana Roweckiego („Grotą” – aresztowanego przez Niemców 30.06.1943 r.) miał spełniać ten Okręg w stosunku do Okręgów centralnych przewidzianych do działań „*powszechnego powstania*”¹⁰⁸⁾.

W strukturze Okręgu – obwody zostały przemianowane na „Ośrodki dywersyjno-partyzanckie” – przeważnie z zachowaniem dotychczasowych kryptonimów¹⁴⁾. W pracy kwatermistrzowskiej zmniejszył się nacisk na drobne akcje zaopatrzeniowe (mundury, buty, broń...), które w coraz większym stopniu umiały załatwiać ogniwa terenowe „siatki” oraz własne służby kwatermistrzowskie formujących się dużych oddziałów partyzanckich. Niektóre z nich potrafiły organizować również szycie mundurów dla swych żołnierzy, „mobilizując” do tych zadań wiejskich krawców. Broń była zdobywana

^{*)} Szczegóły podaje Tomasz Strzembosz w świetnej monografii: „Saga o »Łupaszce«...”, Warszawa 1996.

w akcjach „rozbrojeniowych” i bezpośrednio w walce. Małe patrole powoływane przez konspiracyjne kompanie poszczególnych obwodów – do realizacji doraźnych zadań sabotażowych (takich, np. jak niszczenie dokumentacji w niemieckich urzędach organizujących wysyłkę siły roboczej do Raichu) – nie wymagały oczywiście odrębnej obsługi kwatermistrzowskiej – choć liczba takich akcji zwiększała się w miarę rozwoju i usprawniania terenowych komórek ZWZ-AK. Głównym zadaniem kwatermistrza obwodu (ośrodka) stało się w tej sytuacji poprawianie zaopatrzenia „melin”, na których przechowywało się coraz więcej ludzi „spalonych” i ich rodzin; także przygotowanie zapasów zboża na potrzeby przewidywanej dużej liczebności oddziałów w polu. Z problemem tym borykałem się przez trzy miesiące, zanim znalazłem skuteczne rozwiązanie, które zresztą okazało się całkiem proste.

Dostawy zboża miały pochodzić z majątków Liegenschaftu, obsadzonych naszymi ludźmi, a takich nie brakowało. Trudność polegała na wywiezieniu zboża z majątku w sposób legalny. Tę trudność można by usunąć, gdyby miejscem jego składowania był niemiecki magazyn zlokalizowany w Szczuczynie, do którego były dostarczane obowiązkowe kontyngenty nakładane na gospodarstwa chłopskie i na majątki. Ten najtrudniejszy problem – „przepuszczania” naszego zboża przez niemiecki magazyn – udało się rozwiązać, pozyskując dla tej sprawy głównego magazyniera, pana Jungnickla. Jego ojciec (stryj?) był kombatantem „Szczuczyńskiej Samoobrony”¹⁵⁹). Jako znak rozpoznawczy dostawy przeznaczonej dla „siatki” przyjęliśmy kółka olimpijskie dyskretnie narysowane na odwrocie dokumentu towarzyszącego dostawie. Dokument ten musiał podpisać odpowiedzialny dostawca – a tym był „nasz” odpowiednio „dogadany” zarządca majątku. On nanosił umówiony znak, natomiast woźnica transponujący zboże do magazynu w ogóle nie był wtajemniczany w istotę operacji. Odbiór zboża z magazynu był prostszy, bo z reguły dokonywała go osoba zaprzysiężona, z naszych „melin”. Pierwsze dostawy – testujące funkcjonowanie przygotowanego systemu – zrealizowałem ze Szczuczynka, Lacka Wysokiego i Lacka Dolnego. W końcu kwietnia system gromadzenia i rozprowadzania zboża był gotowy.

Wkrótce po załatwieniu „testowej” dostawy zboża z Lacka Dolnego Ziutek Zwinogrodzki urządził tam „proszoną kolację” na której ogłosił, że „znika”. Żeby nie ściągać podejrzeń na nasze środowisko – załatwił w Lidzkim Liegenschaftie formalne zwolnienie z pracy, uzasadnione jakąś zmyśloną, bardzo trudną sytuacją rodzinną. Nikt z obecnych nie pytał czemu i gdzie „znika”, choć wszyscy domyśleliśmy się, że wiąże się to z nowymi zadaniami w konspiracji. Dopiero po latach dowiedziałem się, że Ziutek od dawna brał udział w dywersyjnych akcjach grupy porucznika Jana Skorba („Puszkarowa”, „Puszczyka”) pod pseudonimem „Kozłów”. Przyczyną „zniknięcia” było skierowanie do konspiracyjnej kompanii Dziecioł – Nowojelnia („Stawy – Mydło”). Jeszcze w 1943 roku – już jako „Turkuć” – został powołany na

dowódcę tej kompanii, a w lutym 1944 roku wyprowadził ją w pole do działań partyzanckich (kompania „Bogdanka”). W lipcu 1944 roku – w czasie operacji „Burza” – objął dowództwo VIII batalionu 77 pp AK. To wszystko miało dopiero nastąpić, ale na suto zakrapianej kolacji – przyszłością nikt się zbytnio nie przejmował. Pożegnanie wcale nie było smutne.

W zimie i także wiosną 1943 roku – w Szczuczynku, który leżał na uboczu – z możliwością dojścia do miasteczka bocznymi drogami – zaczął bywać „Antoni”. Spotykał się tu z komendantem Obwodu (Ośrodką) i innymi nieznanymi mi ludźmi, którzy przez olszynę, ogród i werandę niepostrzeżenie pojawiali się w starym szczuczynkowskim dworku. Czasem gdzieś przepadał i znowu wracał... Po latach dowiedziałem się, że razem z Ziutkiem Zwinogrodzkim brał udział w dywersyjnych akcjach oddziału porucznika Skorba („Puszczyka”). Lubił przy posiłkach żartować z Panią Hulewiczową, która nas karmiła i przekomarzał się z Halinką. Pana Hulewicza czasem zagadywał o sprawy gospodarstwa, ale on, choć do gości odnosił się z wielką estymą – trzymał się od nich raczej z daleka. Swój stosunek do ich spraw precyzował białoruskim przysłowiem: *„Nie jesz czosnyku to śmierdieć nie budziesz”* – co miało oznaczać, że lepiej wiedzieć mniej niż za dużo. Tę zasadę stosowaliśmy zresztą wszyscy, chyba aż nazbyt skrupulatnie.

3 maja 1943 roku nastąpiło wydarzenie, które wstrząsnęło naszym środowiskiem. Nałożyło się na niedawne wiadomości o odkryciu przez Niemców grobów polskich jeńców wojennych zamordowanych przez Sowietów w Katyniu w 1940 roku (nie będę opisywał z jakimi uczuciami przyjęliśmy tę wiadomość, która potwierdziła nasze wcześniejsze przypuszczenia). Otóż z inicjatywy sowieckiej partyzantki miały być przeprowadzone rozmowy z „polską organizacją” w sprawie ewentualnej współpracy. Nie wiem przez kogo do rozmów zostali wyznaczeni: wspomniany już Stanisław Januszewicz (por AK „Janusz”, a w czasie I wojny światowej ppr.b. Ochotniczej Armii generała Bułak Bałachowicza), por. Kazimierz Klukowski („Bąk”), właściciel folwarka Dobromil, gdzie miały odbywać się rozmowy, i jego sąsiad pan Józef Burzyński (obydwaj członkowie „Szczuczyńskiej Samoobrony” w 1918/1919 r.)¹⁵⁹. W Dobromilu, w tym dniu (z racji konspiracyjnie obchodzonego święta), miała być siostra pana Klukowskiego, która pracowała w szczuczyńskim szpitalu jako przełożona pielęgniarek i akuszerka.

Hala, żona Stacha Januszewicza, znajdująca się w bardzo zaawansowanej ciąży – była z nią wcześniej umówiona na „dogadanie” spraw porodu – więc „naparła się”, że razem z mężem pojedzie do Dobromila. Janka Radziunówna – w tym czasie już narzeczoną Tadeusza – postanowiła towarzyszyć siostrze. Mimo protestów Tadeusza, który twierdził, że na rozmowy z Sowietami *„trzeba jechać z bronią i z obstawą, a nie z babami”*, cała trójka znalazła się w Dobromilu. Dalszy przebieg wypadków podaję na podstawie relacji Janki, która wielokrotnie wracała do tych dramatycznych przeżyć.

Obciążała siebie winą za to, że dopuściła do wyjazdu siostry ze Stachem: „*Gdybym się uparła, to przecież by nie pojechała, a wówczas może Stach zabralby na to spotkanie broń i obstawę – tak jak radził Tadeusz*”.

Ze strony sowieckiej do rozmów zgłosiło się trzech uzbrojonych cywiliów. Dowódca wyglądał na Gruzina, a jeden z trójki na „tutejszego”. W pierwszej fazie, rozmowy były przyjacielskie. Podany obiad jedzono w swobodnej atmosferze. Sowieci nie gardzili samogonem, a „kamandir” szeroko rozwodził się nad klęską hitlerowców pod Stalingradem i wzięciem do niewoli Paulusa (2.02.1943 r.). Broń była odstawiona w kącie, pod ścianę – wszyscy mieli do niej dostęp i nic nie wskazywało na jakieś zagrożenie. Po obiedzie – już przed wieczorem – padło hasło „*K dzielam*”. Obie „delegacje” przeszły do pokoju w przeciwnej stronie domu, przy czym Sowieci zabrali swoją broń. Po około dwóch godzinach w pokoju, gdzie prowadzono rozmowy, padły strzały. Po chwili do przerażonych kobiet czekających w stołowym pokoju – weszli Sowieci – prowadząc śmiertelnie bladego Stacha Januszewicza. Kazali kobietom pozostać w pokoju i nie wychodzić z domu pod groźbą zastrzelenia. Oświadczyli, że jeżeli „*wasz oficer*” wskaże miejsce, w którym jest ukryta broń – na pewno do nich wróci. Stach prosił żonę, żeby się nie denerwowała: „*wszystko będzie dobrze*”.

Kobiety dłuższy czas nie wychodziły z pokoju, ale w końcu pani Klukowska poszła tam, gdzie padły strzały. Znalazła zabitych, brata i pana Burzyńskiego. Janka, bojąc się o zdrowie siostry położyła ją na kanapie i nie pozwoliła wychodzić ze stołowego pokoju. Dopiero nad ranem, gdy zaczęło świtać, odważyła się wyjść przez okno do ogrodu i okrążając dom sprawdzić, czy ktoś go pilnuje. Nikogo nie było. Przed zamkniętą stajnią zobaczyła konia zaprzęzonego do wozu. Gdy podeszła – zobaczyła na wozie zabitego Stacha. Pani Klukowska kazała nic nie mówić Hali i zaraz prowadzić ją do Nowosad, żeby, będąc na miejscu, nie dowiedziała się prawdy. Siostry szczęśliwie dotarły do Andruszowców, odległych od Dobromila o 7 kilometrów. Mietek Moraczewski odesłał je bryczką do Nowosad i od razu zawiadomił Tadeusza. Ja akurat byłem w Lacku. Uradziliśmy, że my dwaj niezwłocznie przetransportujemy ciało Stacha do szpitala w Szczuczynie – gdzie mieliśmy swoich lekarzy. Uznaliśmy, że to ułatwi załatwienie formalności związanych ze zgonem i umożliwi zorganizowanie pogrzebu na tamtejszym cmentarzu.

Nie było czasu na zabieranie broni z miejsc „*melinowania*” (na co dzień, nikt z nas jej nie nosił) – ani na organizowanie „*obstawy*”. Pamiętam napięcie, które towarzyszyło naszemu marszowi przez lasy ciągnące się między Andruszowcami a Dobromilem. Straszliwy był widok głowy Stacha, w której cały tył czaszki i lewa skroń były całkowicie zniesione bliskim strzałem z karabinu. Ciałem – aż do naszego przybycia już w godzinach przedpołudniowych – nikt nie odważył się zająć. Powieźliśmy je tym wozem, na którym pozostawili je mordercy i tym koniem, który stał cierpliwie przed

wrotami zamkniętej stajni. W drodze do Szczuczyna nie dało się uniknąć najsmutniejszych skojarzeń z niedawną śmiercią Ojca. Tyle było różnicy, że był porzucony na saniach, a nie na wozie i zginął od kuli pistoletu, a nie karabinu. Metoda mordowania była ta sama – dziś dobrze znana z Katynia.

Nie pamiętam, jak i kiedy Hala dowiedziała się o śmierci męża. Okazała się dzielną kobietą. Wzięła udział w pogrzebie – a syna, który wkrótce przyszedł na świat, sama wychowała i wykształciła.

Stan „przedzawałowy” – przejście do partyzantki

Podporucznik Bojimir Tworzyński („Ostoja”), który pierwszego czerwca 1943 roku objął komendę Szczuczyńskiego Obwodu (Ośrodek) – postanowił wydawać własne podziemne pismo, aby lepiej orientować miejscowe społeczeństwo w sytuacji na frontach wojny i w obwodzie. Zadanie redagowania pisma i powielania go – powierzył szefowi BIP (Biura Informacji i Propagandy) obwodu, Jerzemu Kostrowickiemu z Kościeniewa (w czasie gdy brał udział w działaniach grupy „Puszczyka” – Dymitrow”; później „Dymitr”). Pismo nosiło tytuł „Sprawy Polskie” – taki sam, jak wydawane w powiecie koneckim, skąd „Ostoja” został skierowany na teren Nowogródzczyzny¹²¹⁾.

Gdy „Dymitr”, zmieniając „miejsca postoju”, przyjeżdżał do Szczuczyna ze swoim redakcyjnym drewnianym kuferkiem – „mieszczącym radio, maszynę do pisania, powielacz i inne akcesoria wydawnicze oraz pistolet i 2 granaty”²⁵⁾ – to „wydawnicze biuro” umieszczałem w swoim pokoju. Miałem tam pod podłogą obszerny schowek, w którym w tym czasie trzymałem też własne radio. Koledzy z kwatermistrzostwa „zdobyli” je dla mnie u jakiegoś „folksdojczy”. „Dymitr” znał Tadeusza i jego wileńskie środowisko – co ułatwiło nawiązanie przyjacielskiego kontaktu. Był dowcipny i towarzyski. Jego wizyty w Szczuczynku wypełniały gorące dyskusje polityczne – prowadzone oczywiście na „osnowie” wiadomości londyńskiego BBC.

Ostatnie miesiące – znamienne tragicznymi wydarzeniami – odsunęły na dalszy plan moje zainteresowania wojenną sytuacją. W dyskusjach z „Dymitrem” uzupełniałem informacyjne zaległości i poznawałem poglądy „fachowca”. Przed wojną był studentem Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie, a po wojnie profesorem w Instytucie Geografii PAN, jednak w owym czasie – tkwiąc „nieprzerwanie” w nasłuchu radiowym – imponował mi znajomością politycznej i wojennej sytuacji nie tylko w Polsce i Europie, lecz także w całym



Ppor./por. Bojimir Tworzyński, „Ostoja”, od I do VI.1943 r. komendant konspiracyjnej kompanii Wasiliszki („Pastwiszko”), później komendant Obwodu Szczuczyn („Łąka”) a od 16.VI. do VII.1944 r. dowódca VII Batalionu 77 pp AK

świecie. Był „umiarkowanym optymistą”. Niedawne wycofanie przez Niemców ich „Afrika Korps” z Tunisu (maj 1943 r.) oraz inwazję alianckich wojsk na Sycylię (10.07.1943 r.) wskazywał jako dowód wzrostu ich militarnych możliwości. Jednak marsz do Niemiec przez cały Półwysep Apeniński zapowiadał – Jego zdaniem – przedłużanie się działań wojennych. Klęskę Wehrmachtu pod Kurskiem, w największej bitwie wojsk pancernych stoczonej wówczas na froncie wschodnim (lipiec 1943 r.), określał jako klęskę strategiczną i pewny dowód, że Niemcy wojnę przegrywają. Równocześnie przewidywał, że ich opór będzie desperacki. Zwracał uwagę na znaczenie zmagania wojennych na Dalekim Wschodzie między Stanami Zjednoczonymi a Japonią. Dopóki w tamtym „teatrze wojennym” Stany Zjednoczone nie zdobędą decydującej przewagi – ich zaangażowanie w Europie nie będzie na tyle duże, aby mogło zaowocować decydującą inwazją na terytorium Niemiec. Będą trwały bombardowania – i nic więcej. Naszą sytuację na Kresach widział „czarno”. Zarówno sukcesy militarne Sowietów, jak i ogromna pomoc udzielana im mimo toczącej się „bitwy o Atlantyk” – wskazywały, że Stalin może wymusić na naszych Sojusznikach usankcjonowanie swoich zaborczych apetytów. Te obawy „Dymitra” psuły nastrój, ale pesymizm – w odruchu samoobrony – był wówczas maksymalnie eliminowany z mojej świadomości, tak zresztą, jak ze świadomości większości osób naszego środowiska.

„Antoni”, który po „Ostoi” objął komendę Kompanii Wasiliskiej („Państwisko”) i blisko z nim współpracował – zaczął częściej bywać w Szczuczynku. Znał też dobrze „Dymitra” i przyjaźnił się z nim. Gdy ich pobyty w szczuczynkowskim dworcu przypadły na ten sam czas – dyskusje były jeszcze gorętsze. Moje nalewki robione według wskazówek Mamy miały też większe powodzenie, a pani Hulewiczowa dwoiła się i troiła, żeby gości przyjmować „godnie”.

Na przełomie czerwca i lipca znów nastąpiły tragiczne wydarzenia, które dotknęły między innymi Mietka Cholewę – znanego mi od lat szkolnych – przyjaciela Tadeusza i mego. „*W wyniku niezachowania zasad konspiracji*”²⁹⁾ w kompanii „Moczary” w Ostrynie (na terenie Becirk Białystok) – w ręce żandarmerii dostały się listy członków AK. Nastąpiły masowe aresztowania „*przy czym zdarzało się, że akowców i ich rodziny rozstrzelano na miejscu*”²⁹⁾. Mietka (w grupie „Puszkarowa” miał pseudonim „Oczkow”, później „Oczko”) usiłowano aresztować w Makasiowszczyźnie. Uratował się, wyskakując z pistoletem w rękę przez okno do ogrodu, natomiast jego żona i paroletnia córeczka Krusia – zostały aresztowane i zamordowane w Kamionce. W tej samej represyjnej akcji został aresztowany wuj Bolesław Skawiński z Kulbaczyna, wraz z Ciocią Marynią – ale w „*ostatniej chwili przed rozstrzelaniem*” uratował ich znajomy żandarm z Ostryny. Liczba osób rozstrzelanych i powieszonych w wyniku tej „wsypy” sięgnęła kilkudziesięciu. Dalszych kilkudziesięciu oficerów (wśród nich był komendant

kompanii „Moczary”, ppr. Kazimierz Dogiel, „Sawko”) i żołnierzy AK schroniło się do Ostlandu i zasililo głównie oddział partyzancki nr 301, wkrótce oddany pod komendę „Lecha”. Ich rodziny i liczne inne osoby zagrożone, także schroniły się w Ostlandzie – co nałożyło nowe, niemałe obowiązki zaopatrzeniowe na „meliny” i kwatermistrzowskie komórki obwodu „Łąka”.

Z okresu lata i już początków jesieni 1943 roku najmocniej wryły mi się w pamięć dwa wydarzenia. Pierwsze nastąpiło w upalny lipcowy dzień, w którym właśnie zaczęły się żniwa. W Szczuczynku był „Antoni” i ktoś z obwodu. Raptem do narożnego pokoju, w którym siedzieliśmy wpadła Halinka Hulewiczówna z okrzykiem: *Niemcy!* „Antoni” zakomenderował natychmiast: „*radio*”! Przeciągnęliśmy dywan i stół, zakrywając włącz do kryjówek. Po tym powiedział spokojnie: „*Ty idź do nich, a my przez ogród*”. Swymi długimi krokami wypadł do sąsiedniego pokoju z wyjściem na werandę i już za chwilę biegli ścieżką, która między dwoma wielkimi krzakami jaśminu prowadziła w głąb sadu do olbrzymiego dębu i dalej świerkową aleją, w gęstą olszynę nad bagnistym dopływem Turii.

Ja posunąłem w przeciwnym kierunku, do tzw. „saloniku”, sąsiadującego z przedpokojem. Gdy tam wchodziłem, kątem oka zobaczyłem przez okno – białoruskich policjantów, którzy z karabinami w ręku okrążali dom. Błyskawicznie oceniłem odległości i odetchnąłem: nim ci wyjdą za róg domu – tamci będą już niewidoczni za krzakami jaśminu. Ale to okrażenie domu wywołało inną myśl: „Czyżby wsypa”? Były już sygnały, że Niemcy dysponują jakimiś donosami i zaczynają patrzeć na Szczuczynkę podejrzliwie – ale czyżby już zdecydowali się na akcję?

Na szczęście nie było czasu na strach. Do „saloniku”, waląc buciorami, wwalilo się paru żandarmów z Meistrem Rose – znanym zbieg, który w Szczuczynie miał już na sumieniu paru zabitych chłopów (za uchylanie się od obowiązkowych dostaw), a w niespełna rok później 29.IV.1944 roku dostrzeliwał na polu rannych chłopów od „Ponurego”, po ich nieudanym ataku na Szczuczyn. Mój demonstracyjnie przyjazny uśmiech i powitalna gościnność wywarła pożądany skutek. Żandarmskie gęby, jakby zelżały. Zacząłem zapraszać i organizować poczęstunek; atmosfera się poprawiła. W toku rozmowy okazało się, że był to objazd okolic Szczuczyna zorganizowany przez Landrata (starostę), aby „zachęcić” wsie i majątki do sprawnego przeprowadzenia żniw. Przyjechali chyba 40 furmankami: kilku prowadzących żandarmów, kilkunastu żołnierzy Wehrmachtu i ze 30 białoruskich policjantów. Patrol otaczający dom należał do rutyny. Odetchnąłem dopiero wówczas, gdy Meister Rose, nie szczędząc mi nakazów i ostrzeżeń – zarządził dalszą jazdę.

Drugie pamiętne wydarzenie nastąpiło chyba w połowie sierpnia, gdy żęte zboża były już zwiezione do stodół lub złożone w stogach. Otóż w tym

czasie „Antoni” zorganizował na terenie swojej kompanii i częściowo kompanii sąsiednich – „noc palenia stogów zboża” w majątkach Liegenschaftu. Akcja miała z jednej strony wymiernie zmniejszyć ilość zboża pozyskiwanego przez Niemców z tych majątków, z drugiej zaś ułatwić AK-owskim administratorom kierowanie zboża – rzekomo spalonego – na inne cele (w tym również organizacyjne). Patrole realizujące podpalanie stogów nie dotarły do Lacka i Szczuczynka, ale łuny pożarów pojawiające się na nocnym horyzoncie – robiły wówczas duże wrażenie^{*)}.

Po tych incydentach – w czasie jednej z kolejnych wizyt – Antoni powiedział mi, że uzgadnia z „Ostoją” i komendą Okręgu zamiar wyprowadzenia swej kompanii „w pole”. Sytuację w Wasiliszkach oceniał jako „przedzawałową”. *„Niemcy – bazując na własnym i białoruskim wywiadzie – mają już zbyt dużo podejrzeń w stosunku do zbyt wielu ludzi z siatki. Mogą zdecydować się na akcję ich zastraszania lub na aresztowania i likwidację”*. Pożegnał się normalnie – „zdawkowo” – ale więcej się w Szczuczynku nie pokazał. Ja również – mimo „rozlatania” w sprawach, z którymi pan Hulewicz sobie nie radził i głównie w związku z zadaniami kwatermistrzowskimi – oraz mimo prób bagatelizowania zagrożenia – czułem intuicyjnie że grunt coraz wyraźniej „pali mi się pod nogami”. Zacząłem poważnie przemyśliwać o przejściu do oddziału. Okazało się, że również Sławek i Tadeusz – podobnie oceniają swoją sytuację jako „przedzawałową”. Co najważniejsze również komenda Obwodu widziała dla nas konieczność „zniknięcia”.

Zaczęło się likwidowanie spraw. Moje obowiązki kwatermistrza obwodu – zgodnie z decyzją Komendy Okręgu^{29, 156)} – przejął Kazik Żyliński („Zyga”). Przekazywanie informacji o organizacji kwatermistrzostwa oraz miejscach i stanie zapasów odbywało się w „dworku” pani Minczewskiej w Szczuczynie, gdzie „Zyga” otrzymał konspiracyjne mieszkanie. Ze względu na minimalną liczbę zapisów (przy tym szyfrowanych „własnym przemysłem”) – i w tym czasie już dość spore, rozproszone zapasy – nie było to łatwe. Większość informacji trzeba było przekazywać wprost z mojej do jego pamięci. Gdy uporaliśmy się z tym zadaniem – sukces został solidnie „oblaany” – ku oburzeniu pani Minczewskiej. To „oblewanie” wspominamy z „Zygą” do dziś, gdy spotykamy się na kombatanckim „opłatku” lub „jajeczku”.

Gdzieś na przełomie września i października – przenieśliśmy Mamę i Zosię ze Szczuczyna do Lidy – oczywiście na kwaterę konspiracyjną. Był to domek na peryferiach miasta, należący do bardzo miłej kolejarskiej rodziny. Żeby zabezpieczyć przekwaterowanym paniom warunki samodzielnego utrzymania na możliwie długi okres – zawiozłem ze Szczuczynka do Lidy kilka stukilowych worków mąki, która była wówczas poszukiwaną „walutą”. Przygotowanie wysyłki i jej transport parokonnym drabiniastym wozem

^{*)} Również partyzantka sowiecka paliła zbiory zbóż, ale przeważnie wraz ze stodołami majątków.

realizowałem sam – bez pomocy służby – co wykluczało możliwość dekonspiracji lokalu. Tym sposobem Mama zaczynała z Zosią długą tułaczkę po różnych „melinach” i kwaterach przydzielanych przez „siatkę” lub wynajmowanych – w czasie, gdy my byliśmy w partyzance lub z innych powodów nie mogliśmy się nią opiekować. We wspomnianym już liście (str. 138) wysłanym 20.11.1945 roku do pana Henryka Sikorskiego – napisała „Włocławek jest moim 19-tym miejscem postoju”¹⁴⁴⁾.



Pożegnalna wizyta w Lidzie na konspiracyjnej kwaterze Mamy – przed naszym przejściem do partyzantki. Od lewej stoją Tadeusz, Zosia, Mama, córka gospodarzy (ze wspaniałymi rudymi warkoczami), ja i Sławek

Gdy ostatecznie opuszczałem Szczuczynek – wciąż była nierozwiązana sprawa rodziny Hulewiczów. Z Liegenschaftem „rozstawałem” się bez uzgodnienia – tak zresztą jak Tadeusz i Sławek. Obawiałem się, że gdybym zaczął załatwiać formalne zwolnienie z pracy, mogłoby się to skończyć natychmiastowym aresztowaniem. Obawiałem się też, że moje „zniknięcie” może ściągnąć represje na pana Hulewicza i radziłem rodzinie, żeby równocześnie ze mną opuściła Szczuczynek. Jednak Oni nie podzielali moich obaw. Uważali, że Niemcy ich „nie ruszą”. Ja wciąż uważałem, że robią źle i jeszcze w czasie pożegnania, które było bardzo serdeczne – namawiałem, żeby zmienili decyzję. Okazało się, że mieli rację. Niemcy zostawili ich w spokoju – ale w następnym roku, gdy zbliżał się front, banda rabunkowo-komunistyczna napadła na nich nocą i wszystkich zamordowała. Ocalał tylko Wilhelm, który był akurat w Janczukach u swojej dziewczyny. Opowiadał mi o tym, gdy we wrześniu 1945 roku spotkałem go na Mazurach, gdzie się osiedlił po wojnie.

* * *

Zgodnie z przydziałem – 13 października (może 14?) – we wskazanej przez Obwód miejscowości, między Szczuczynem a Wasiliszkami (nazwy nie pamiętam) – zameldowaliśmy się u „Lecha”. Byliśmy umundurowani

– już dużo wcześniej zorganizowaliśmy sobie wojskowe mundury i płaszcze. Dołączając do oddziału nie wiedzieliśmy, że w tym czasie „Lech” był już dowódcą Batalionu Zaniemeńskiego, w sile 442 partyzantów²⁹⁾. Dwie kompanie batalionu właśnie w tym czasie przechodziły koło Szczuczyna i Wasiliszek – z rejonu Bielicy, Niecieczy, Żałudka i Orli w rejon Puszczy Nackiej (północno-wschodni skraj Puszczy Grodzieńskiej) z zamiarem założenia tam bazy na okres zimy 1943/1944. Kompania „Krysi” jako trzecia wchodząca w skład Batalionu – była na miejscu w rejonie Radunia. W chłopskiej chacie – bez formalności i jakiegoś ceremoniału – „Lech” (wcześniej uprzedzony przez Komendę Okręgu) skierował nas do („szczuczyńskiej”) pierwszej kompanii swego batalionu – dowodzonej teraz przez „Zycha”.

5. W PARTYZANCKICH ODDZIAŁACH ARMII KRAJOWEJ

W kwietniu 1943 roku, Stalin zerwał stosunki dyplomatyczne z Rządem Polskim w Londynie. Jako pretekst wykorzystał wystąpienie naszego Rządu do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża o pomoc w wyjaśnieniu sprawy polskich grobów w Katyniu – ujawnionych przez Niemców 15.04.1943 roku. Równocześnie, za pełnoprawną reprezentację interesów Polski uznał, powołany przez siebie, Związek Patriotów Polskich. To wówczas Stalin „uruchomił” **kłamstwo katyńskie**, w które nikt z nas nie wierzył. Kłamstwo to dodało do potwornej zbrodni na jeńcach wojennych tysiące dalszych ofiar.

W lipcu 1943 roku zginął w Gibraltarze generał Sikorki, polski premier i Naczelnny Wódz Sił Zbrojnych – co wyraźnie osłabiło pozycję Polski wśród naszych Zachodnich Sojuszników. Co gorsze – stosunek sił między nimi a stalinowską satrapią wciąż nie był dla nas korzystny. W tych okolicznościach – szanse, aby w ramach „Wielkiego Przymierza” nasze narodowe interesy na Kresach Wschodnich zostały obronione przed zaborczością Stalina – wyraźnie zmalały. On domagał się przywrócenia granicy określonej paktem Ribbentrop – Mołotow, którą teraz (chyba, aby nie urazić rozmówcy) godzono się nazywać Linia Curzona. Nasi Sojusznicy natomiast – zwłaszcza Stany Zjednoczone – nie mieli dość woli i determinacji, aby skutecznie przeciwstawić się tym żądaniom. Na spotkaniu Wielkiej Trójki w Teheranie – od 28 listopada do 1 grudnia 1943 roku: „Przywódcy zachodni zgodzili się co do tego, że terytorium Polski należy w sensie fizycznym przesunąć na zachód, kosztem Niemiec...”¹⁰⁾ – co oznaczało zgodę na zaspokojenie żądań Stalina.

Nasi Sojusznicy nie poinformowali Polski o tych ustępstwach. Nie wiedziały o nich również rządy i parlamenty W. Brytanii i USA, aż do lutego 1944 roku, kiedy to Churchill w Izbie Gmin „uchylił rąbka tajemnicy”¹⁶⁾. W Polskim Rządzie i Komendzie Głównej Armii Krajowej – działania były więc nadal planowane w taki sposób, aby maksymalnie zwiększyć szanse utrzymania Kresów w granicach Rzeczypospolitej. W koncepcji generała Grota-Roweckiego z przełomu lat 1942/1943 (o której wspominałem) – dla wschodnich Okręgów AK były przewidziane zadania osłonowe „powszechnego powstania”, którym miała kończyć się konspiracyjna walka Polskiego Państwa Podziemnego. W rozkazie generała „Bora” z listopada 1943 roku, ten ogólny zamysł został skonkretyzowany w koncepcję akcji „Burza” – przy czym zadania dywersyjne przewidywane wcześniej dla okręgów wschodnich – w tym dla Okręgu Nowogródzkiego – zostały podtrzymane. Polegały na niszczeniu szlaków komunikacyjnych na zapleczu cofającego się Wehrmachtu

– i to właśnie miało „osłonić” powstanie organizowane w głębi kraju, przed szybkim napływem wojsk frontowych.

W planie akcji „Burza” został jednak wprowadzony nowy element: *„nakaz zmobilizowania sił konspiracyjnych AK, które miały atakować wycofujące się oddziały niemieckie, zaś wobec wkraczających wojsk sowieckich wystąpić, po stoczonych walkach z Niemcami, w roli gospodarza terenu”*²⁹⁾. Niemal w ostatniej chwili (12.06.1944 r.), przed ruszeniem sowieckiej ofensywy na 3. Froncie Białoruskim – Komenda Główna AK zatwierdziła plan akcji „Ostra Brama” – opracowany przez ppłk. „Kotwicza” w porozumieniu z ppłk. „Wilkiem” (Aleksander Krzyżanowski, 28.IX.1944 r. mianowany pułkownikiem) – ówczesnym komendantem Wileńskiego Okręgu AK. Plan ten przewidywał połączenie Okręgów Wileńskiego i Nowogródzkiego pod dowództwem ppłk. „Wilka” (który otrzymał pozwolenie na występowanie wobec Sowietów w randze generała) i przeprowadzenie połączonymi siłami tych Okręgów ataku na Wilno. Po wypędzeniu Niemców, Armia Krajowa (tak jak w całym kraju) – miała wystąpić wobec Armii Czerwonej, *„sojusznika naszych Aliantów”* – w roli *„prawowitego gospodarza terenu”*.

Ponieważ jednak Związek Radziecki oficjalnie uznawał nasze Kresy za swoje terytorium, a mieszkańców tych ziem za obywateli Związku Radzieckiego – powstała sytuacja bardzo trudna i pojawiło się nieuniknione pytanie: jak mają postępować oddziały AK w sytuacji, gdyby Armia Czerwona zaczęła je rozbrajać. Także drugie pytanie: czy zdekonspirowani przedstawiciele Polskiego Państwa Podziemnego nie będą poddani represjom i wywózkom znanym z okresu pierwszej okupacji (1939–1941)?

W pierwszej połowie 1943 roku odpowiedź Komendy Głównej AK na te pytania była jednoznaczna. *„Z powodu dość dużej ilości walk prowadzonych z bolszewikami w obronie ludności... gen „Groń” w porozumieniu z komendantem Obszaru Białostockiego płk „Izabelką” wydał rozkaz na piśmie, że oddziały nowogródzkie z chwilą zbliżania się frontu bolszewickiego – wszyscy zagrożeni – mają odejść na zachód...”*²⁹⁾. Ale w planach akcji „Ostra Brama”, już tej jasności nie było. Obowiązywała ogólna zasada rozszerzona w listopadzie 1943 roku dla całego kraju: *„W żadnym wypadku nie może dojść do działań zbrojnych przeciw Rosjanom wkraczającym na ziemie nasze w ślad ustępujących pod ich naporem Niemców, poza koniecznością samoobrony, co jest naturalnym prawem każdego człowieka”*. Autorzy akcji „Ostra Brama” – wierzyli, że do rozbrajania oddziałów AK nie dojdzie. Byli przekonani, że zdołają osiągnąć porozumienie z Armią Czerwoną wkraczającą na Kresy i nie dawali jednoznacznej odpowiedzi na wciąż aktualne pytania. Nie wiedząc o decyzjach Wielkiej Trójki podjętych w Teheranie – wciąż mieli nadzieję, że wyraźna demonstracja polskości Wileńszczyzny i Nowogródzkiej może zaważyć na losach tych ziem po zakończeniu wojny.

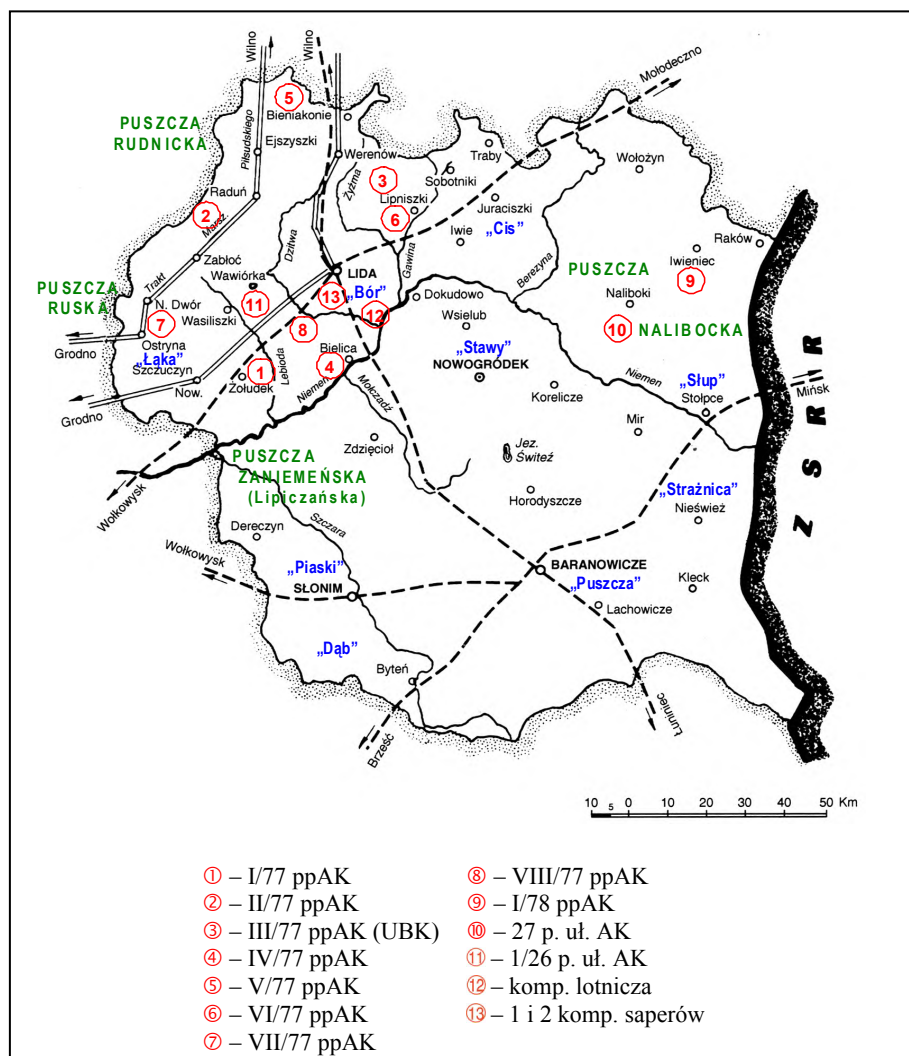
Kadra dowódcza obydwóch Okręgów AK – ich terenowej „siatki” i także oddziałów partyzanckich – nie zawsze podzielała optymizm autorów akcji „Ostra Brama”. Wielu z nich miało fatalne doświadczenia z kontaktów z Sowietami. Znany był powszechnie rozkaz gen. Ponomarenki z listopada 1943 roku, do sowieckiej partyzantki w Puszczy Nalibockiej – wydany na podstawie decyzji Kremla – nakazujący „rozbrajanie i rozstrzeliwanie na miejscu opornych legionistów”. Nikt z żołnierzy nie ufał Sowietom. Nie było wątpliwości kto odpowiada za Katyń. Był to jednak żołnierz ochotniczy, niełatwo poddający się nastrojom przegranej walki i świadomie posłuszny rozkazom. Mimo wskazanych komplikacji – Armia Krajowa obydwóch Okręgów stanowiła niewątpliwie duży potencjał organizacyjny i wojskowy, który w drugiej połowie 1943 roku wkraczał na scenę historii Kresów. Wkraczał z wątpliwościami, ale też nadzieją, że nie jest na straconej pozycji.

W rzeczywistości los Kresów był przesądzony niezależnie od podejmowanych działań – podobnie, jak los bohaterów występujących w starożytnej, greckiej tragedii. Jedynie losy poszczególnych dowódców i ich żołnierzy nie były rozstrzygnięte. Walka o granicę podjęta 17 września 1939 roku przez garstkę naszych żołnierzy z Korpusu Ochrony Pogranicza (KOP) i prowadzona na tamtych ziemiach nieprzerwanie – najpierw pod okupacją sowiecką, a później niemiecką – wchodziła w końcową fazę. Partyzanckie jednostki – od czerwca 1943 roku szybko rozbudowywane (m.in. w związku z prowadzoną przez władze okupacyjne przymusową wywózką na roboty do Niemiec i poborem do służby w kolaboranckich formacjach białoruskich ludności w wieku od 15 do 45 roku życia) – miały przed sobą jeszcze wielomiesięczny okres walk. Dopiero w lipcu 1944 roku dowódcy i żołnierze Armii Krajowej stanęli przed wyborem między demobilizacją, wcieleniem do formacji Berlinga, wywózką do sowieckiego łagru lub trwaniem w walce z NKWD – co często oznaczało wybór między życiem i śmiercią.

Przedstawiając wyżej, z konieczności w ogromnym skrócie – „historyczne ramy i tło” wydarzeń, w których brałem udział po przejściu do partyzantki – starałem się przybliżyć realia owego okresu, charakterystyczne dla całych Kresów i także dla Nowogródzczyzny. Temu celowi służy również mapka Okręgu AK „Nów”¹⁶⁾ (na następnej stronie) – na której naniosłem:

- lokalizację i kryptonimy obwodów (ośrodków) działających w konspiracji,
- orientacyjną lokalizację terenów na których formowały się poszczególne jednostki partyzanckiego wojska Armii Krajowej,
- obszar czterech puszczy, z którymi wiązały się działania zarówno naszej, jak i sowieckiej partyzantki.

Nazwy nadawane poszczególnym batalionom i jednostkom Armii Krajowej – nawiązywały do nazw przedwojennych pułków stacjonujących na Nowogródzczyźnie. Najliczniej został odtworzony 77. Pułk Piechoty, który do 1939 roku stacjonował w Lidzie.



Nowogródzki Okręg Armii Krajowej, z zaznaczeniem lokalizacji obwodów i głównych jednostek partyzanckiego wojska

U „Lecha” – pod Dubiczami

Efektom służbowego „zameldowania się u „Lecha” były jego decyzje w sprawie naszego organizacyjnego „przydziału”. Tadeusz – zachował swój pseudonim – „Rawicz”, przyjęty w konspiracji – i jako wachmistrz podchorąży został dowódcą 3. Plutonu 1. Kompanii Batalionu Nadniemeńskiego. Pierwsza

kompania („szczuczyńska”) – sformowana na „bazie” dawnego oddziału „Puszczyka” („Puszkarowa”), a później oddziału 301 – miała kadrowy trzon o najdłuższym „bojowym stażu”, głównie w pierwszym i częściowo drugim plutonie. Trzeci pluton był dopiero niedawno sformowany z napływających ochotników. Wymagał dużej pracy szkoleniowej, ale był już dobrze umundurowany i uzbrojony. Tadeusz był zadowolony z nominacji. Od razu objął nową funkcję i przeniósł się na kwaterę do swojego plutonu. Jako dowódca plutonu otrzymał pistolet automatyczny PPD. Dotychczasowy dowódca 3. plutonu, przejętego przez Tadeusza – podchorąży „Dubów” (Jerzy Dąbrowski) – pozostał w dyspozycji „Lecha” jako oficer do zadań specjalnych.

Sławek i ja (obydwaj w randze kaprała) – zostaliśmy skierowani do drużyny „Słowika” (Jerzego Hajdukiewicza, „Sołowiowa”), w pierwszym plutonie „Bartka” (sierż. ppor. Józefa Klukiewicza, który przeszedł do oddziału 301 po „wsypie” w konspiracyjnej kompanii „Mocząry”). Sławek – podobnie jak Tadeusz – został przy swoim pseudonimie z konspiracji, a więc nadal był „Sławkiem”. Ja, pseudonim zmieniłem na „Dzik”. W domu najczęściej wołano na mnie Andzik i stąd – po opuszczeniu pierwszych dwóch liter – wziął się nowy pseudonim. Uznałem, że zdrobniła forma poprzedniego – nie pasuje do mojej aktualnej „postury” prawie ukończonego dwudziestolatka. W drużynie z radością przywitaliśmy się ze Zbyszką Koźlińskim – który (jak wspomniałem) był naszym jednoklasowym kolegą ze szczuczyńskiego gimnazjum. Później spotkaliśmy się w Generalnej Guberni, a przed niespełną pół rokiem odwiedziłem go w Jego rodzinnej Czarnowszczyźnie jako kwatermistrz obwodu.

Żołnierze w drużynie byli w większości absolwentami lub uczniami kresowych gimnazjów. „Słowik”, „Klon” i paru innych – mieli też staż partyzancki w grupie „Puszczyka” i w oddziale dyspozycyjnym obwodu (ośrodka) „Łąka” dowodzonym przez kaprała Bolesława Misiuro („Niekrasowa”, „Świerka”). O przeszłości i personaliach swoich



*Zbyszek Koźliński („Klon”).
Fotografia z czasów
partyzanckich²⁷⁾*



Dworek w Czarnowszczyźnie – rodzinnym folwarku Zbyszka Koźlińskiego – gdzie oddział „Świerka” „Niekrasowa” miał swoją „melinę”

dowódców i kolegów z kompanii, plutonu czy drużyny – dowiadywałem się później, gdy poznaliśmy się bliżej – lub dopiero po wojnie z publikowanych źródeł czy wspomnień. Tak na przykład dopiero po latach dowiedziałem się, że „Zych I”, mój dowódca kompanii – to był por. Żygałło (objął kompanię po przejściu „Puszczyka” na funkcję adiutanta komendanta Okręgu i po śmierci ppr. Brykczyńskiego „Kubusia”). Jednak ogromna większość towarzyszy „partyzanckiej doli i niedoli” pozostała anonimowa. Zналиśmy osobę i pseudonim – i to wystarczało. Dziś – bardzo często zapomnieniu uległ również pseudonim – a w pamięci pozostała tylko „sylwetka” – mniej lub bardziej wyraźna.

Drużyna, do której obaj ze Sławkiem dostaliśmy przydział, była określana jako „szturmowa” nie tylko ze względu na przeważający udział młodzieży gimnazjalnej – z przedwojennym przeszkoleniem na zajęciach przysposobienia wojskowego (PW) – lecz także ze względu na bojowe nastawienie i staż. Była to również drużyna o wyjątkowo dużej sile ognia. Mielliśmy ręczny karabin maszynowy (rkm – sowiecki, „talerzowy diegtiariewa”), a reszta drużyny – niemal bez wyjątku – była wyposażona w sowieckie karabiny automatyczne, tzw. „dziesiątki” oraz granaty. Także „Sławek” i ja – ku wielkiemu zadowoleniu – otrzymaliśmy te bardzo dobrze oceniane, szybkostrzelne karabiny.

Zamiana wygodnego łóżka na spanie w stodole lub na podłodze czy klepisku wiejskiej chałupy – z cienką warstwą słomy zamiast materaca – nie sprawiała mi żadnej trudności. Właśnie zaczęły się nocne przymrozki, więc stodoła mogła być używana coraz rzadziej. Trudniej było przyzwyczaić się do spania nie pod domową kołdrą, a pod przykryciem swojej kurtki od munduru i płaszcza (koc przekazywany na wóz taborowy często nie był dostępny). Jednak i tej zmiany nie odbierałem jako bardzo uciążliwej. W owym czasie oddziały partyzanckie z reguły poruszały się nocą, a spały w dzień, który był przy tym „urozmaicany” służbą wartowniczą i patrolową. Stała gotowość i łatwość przejścia od spania do „bycia na nogach” była w pewnym sensie wygodna. Nasza kompania dysponowała w tym czasie kuchnią polową (co w oddziałach partyzanckich nie było częste), więc posiłki były autentycznie „wojskowe” – choć przypadające w najdziwniejszych porach. W sumie – pierwsze dni adaptacji do zupełnie nowych warunków partyzanckiego życia – przeszedłem bezboleśnie. Czułem się dobrze wśród kolegów w drużynie. Wszystko było nowe i emocjonujące.

Kilkudniowy przemarsz do Puszczy Ruskiej (Grodzieńskiej) nie utrwalił mi się w pamięci żadnym wyraźniejszym epizodem. Dobrze pamiętam dopiero dzień, w którym osiągnęliśmy Dubicze (dzisiejsza Litwa) – miejsce wyznaczone na koncentrację batalionu. Nazwę tej miejscowości wszyscy zналиśmy jeszcze z nauki szkolnej. W pobliżu Dubicz, na tzw. „Świętym Błocie”, zginął w 1863 roku Ludwik Narbutt – Wódz Powstania Styczniowego

na Litwie. Gdy po nocy spędzonej w tej wsi batalion stanął na zbiórce przed kościołem i pomnikiem „*Za naszą wolność i waszą*” – wzniesionym w 1933 roku ku czci Narbuta – nastrój był nadzwyczaj podniosły. „Lech” – ze sztabem batalionu – przyjmował meldunki dowódców o stanie kompanii. „Ragner” był już w tym czasie sławny, ze względu na częste walki toczone z Sowietami. „Krysia”, który przyprowadził na „koncentrację” tylko część swej kompani, także miał już niemały „dorobek” w partyzanckich działaniach. To byli dowódcy, o których słyszałem wielokrotnie, ale nigdy ich nie widziałem. Msza odprawiona przez miejscowego proboszcza i patriotyczne kazanie – dopełniały utrwalony w pamięci nastrój tego postoju w historycznych Dubiczach. Dopiero tutaj, gdy na zbiórce batalionu kilkuset dobrze uzbrojonych i umundurowanych żołnierzy śpiewało po mszy, pełnym głosem – „Boże coś Polskę...” – poczułem, że te partyzanckie oddziały to prawdziwe wojsko.



Pomnik Ludwika Narbutta wzniesiony obok kościoła w Dubiczach

Później był parogodzinny marsz przez puszcę – czasem piękny, wysokopienny las, czasem liche młodziaki i bagienne zarośla. Stanęliśmy w małej osadzie Pasieki Gudzieniszki – położonej blisko skraju puszczy od strony miasteczka Zabłóć (terytorium dzisiejszej Białorusi). Dotarłem do tej osady w 2004 roku – po raz pierwszy od 1943 roku. Z trzech gospodarstw, które były wówczas w osadzie – pozostało tylko jedno. Po prawej stronie drogi ledwie widocznej na zdjęciu – nie dochodząc do domu, który trwa do dziś – było gospodarstwo, w którym stanął nasz pluton. Za ocalałym domem było jeszcze jedno gospodarstwo i dom – też zajęty przez naszą kompanię. Oddziały „Ragnera” i „Krysi” stanęły gdzieś w innych puszczańskich osadach – zwanych tu „pasiekami”.



Tak w roku 2004 wyglądała osada Pasieki Gudzieniszki. Idąc prosto przez osadę dochodziło się z do bagien rozciągających się w dorzeczu Pelesy

Następnego dnia – 23.10.1943 r. – pamiętam poranną krzątanie w wygodnej chałupie, którą zajmowaliśmy. Nasza drużyna objęła

„służbę wartowniczą” – więc wszyscy mieliśmy broń przy sobie i byliśmy w pełni „dyspozycyjni”. Po pewnym czasie – niespodziewanie – zostałem wywołany z chałupy zajmowanej przez naszą drużynę – do stodoły na przeciwnym krańcu osady. Okazało się, że jest tam Tadeusz i – ku memu zaskoczeniu – również Mietek Moraczewski, którego jakieś konspiracyjne obowiązki przygnały do „Lecha”. Dawno go nie widziałem – było więc o czym gadać – leżąc wygodnie na snopkach zalegających klepisko stodoły. Po pewnym czasie przyszedł „Słowik” i zabrał mnie na „zmianę czujki”, którą nasza drużyna wystawiała na skraju osady. Po drodze komentowaliśmy smakowite zapachy dochodzące z mijanej polowej kuchni ustawionej w centrum osady. Gdy podeszliśmy na wysokość chałupy zajmowanej przez naszą drużynę „Słowik” wskazał mi stodołę stojącą po przeciwnej stronie drogi w odległości około stu metrów, a sam wszedł do środka.

Zaczęłam iść we wskazanym kierunku przez dość rzadki, młody sosnowy las – „przytykający” bezpośrednio do „opłotków” otaczających osadę. Zobaczyłem „Ściopę” (Stefana Wołk-Laniewskiego), którego miałem zmienić na warcie koło stodoły. Gdy zrobiłem jeszcze parę kroków zobaczyłem jak „Ściopa” pochylił się, kierując karabin w głąb lasu, i krzyknął jak na gimnazjalnych ćwiczeniach PW – regulaminowe: „*Stój, kto idzie*”!!? Jeszcze nie przebrzmiał ten okrzyk, a już z lasu szły serie karabinu maszynowego oraz palba automatów i zwykłych karabinów. „Ściopa” upadł, a wokół mnie kule groźnie zagwizdały. Momentalnie uskoczyłem w bok za parę sosnowych pni ułożonych koło drogi od strony lasu i leżąc za nimi zacząłem ze swojej „dziesiątki” krótkimi seriami ostrzeliwać las, z którego szedł ogień na zabudowania zajmowane przez kompanię. Staralem się nie strzelać na oślep, ale oprócz sylwetek niemieckich żołnierzy, które czasem migały między drzewami i krzakami jałowca – niewiele widziałem. Równocześnie wołałem do tyłu w kierunku chaty: „*Niemcy*”!!! Jeszcze moment i z chałupy – przez drzwi i okna wyskakiwali koledzy z mojej drużyny – z okrzykiem „*hurra*”!!! Jak szaleni – strzelając w biegu – gnali w kierunku, z którego szedł ostrzał. Do dziś mam w oczach sylwetkę „Klona”, który ogromnymi susami wyminął mnie, „prując” w biegu ze swej dziesiątki. Podobnie „zajadle” pędził „Mucha”, nasz erkaemista – puszczając „z biodra” serie ze swego „Diegtiara”. Ja tymczasem zacząłem wyciągać z chlebaka zapasową amunicję, bo trzy magazynki: noszony w karabinie i dwa na pasie – były już puste. Nim się z tym uporałem drużyna była już głęboko w lesie, a z zabudowań „Bartek” wyprowadzał dalsze drużyny plutonu, które nie miały „służby” i potrzebowały więcej czasu na ruszenie do akcji.

Nasze kontruderzenie było tak gwałtowne, że atakujący Pasieki niemiecki oddział – nie zdążył „odskoczyć”. W lesie zostało trzech Niemców z prowadzącym podoficerem (oficerem?). Okazało się, że była to specjalnie szkolona jednostka „Waldjegerów” – sprowadzona z Jugosławii – zaprawiona tam

w zwalczaniu partyzantki. Nosili na czapkach „szarotkę”, która stała się pożądaną zdobyczą kolegów. Co jednak ważniejsze – w mapniku zabitego podoficera znaleziono szkic sytuacyjny oblawy, którą Niemcy zamierzali ogarnąć Batalion Nadniemeński. Szkic trafił do „Lecha”, co ułatwiło mu kierowanie dalszymi działaniami Batalionu.

Ja tymczasem pędziłem do swojej drużyny. Ta osiągnęła już – w odległości około 300 m od zabudowań osady – skraj dość szerokiej polany – uprawnego pola, za którym znowu ciągnął się las. Na jego skraju było parę głębokich, okrągłych dołów, w których mieszkańcy Pasiek – jak wszędzie w kresowych wsiach – przechowywali w zimie ziemniaki. W tamtych dołach i w lesie odległym od nas o paręset metrów – była ulokowana jednostka, do której prawdopodobnie należał pododdział wcześniej nas atakujący. Zaczęła się regularna strzelanina. Stojąc za drzewami lub leżąc usiłowaliśmy dosięgnąć słabo widocznego nieprzyjaciela, który też nie żałował amunicji⁴⁾. Z prawego skrzydła – wykorzystując niewielkie wzniesienie na polanie – zaczął ją forsować „Klon” oraz „Mucha” ze swym erkaemem i amunicyjnym. Spodziewali się, że zza tej terenowej osłony – trochę z flanki – łatwiej będą mogli „wykurzać szkopów”.

Równocześnie z lewego skrzydła „Lech” wysłał do forsowania polany pluton „Rawicza”. Ze swych stanowisk na lizjerze lasu widzieliśmy jak „Rawicz” trzy razy usiłował poderwać swój pluton okrzykiem „*Chłopcy za mną*” i wybiegał z lasu na ostrzeliwane pole. Wracał – zawstydzony i rugał swoich „żółtodziobów” i znowu wybiegał – ale żaden z nich się nie ruszył. Kurz podrywany pociskami wokół dowódcy wybiegającego na pole – nie zachęcał do opuszczenia lasu. „Lech” – widząc to – zmienił rozkaz i kazał „Bartkowi” pogonić Niemców. „Bartek” okrzykiem „*Chłopcy do mnie*” zgromadził koło siebie chyba około 15–20 żołnierzy z różnych drużyn – tych, którzy byli najbliżej i usłyszeli jego okrzyk – i od razu poprowadził na pole. Biegliśmy „rojem”^{*)}, nie otwierając ognia, w dość dużym rozproszeniu. W pewnym momencie – „Sławkowi”, który biegł przede mną – seria z karabinu maszynowego poderwała tuż pod nogami „fontannę” piasku. Sławek gwałtownie przysiadł – odwrócił głowę w moim kierunku i miał wyraźnie dość „okrągłe oczy”. Spytałem: „*dostałeś?*” – ale zaprzeczył ruchem głowy i już biegł dalej. Niemcy – widząc zdecydowany atak – przerwali ogień i wycofali się w głąb lasu. W „kartoflanych” dołach został tylko jeden – prawdopodobnie ranny Niemiec i ten prowadził słaby ostrzał.

Weszliśmy w głąb lasu nie napotykając oporu. Gdy byliśmy już dość daleko – dobiegło wołanie – rozkaz odwrotu. „Lech” uznał, że Niemcy „dostali nauczki” i czas rozpocząć wyprowadzanie wojska z oblawy. „Bartek” był już na skraju lasu. Niósł na plecach „Gałązkę”, który zginął już wówczas,

^{*)} Szyk ataku „rojem” – polegał na poruszaniu się nie „tyralierą” (jednym szeregiem), a w rozproszeniu wszczep i w głąb w odniesieniu do kierunku ataku.

gdy forsowaliśmy polanę. My – biegnący na przedzie – tego nie widzieliśmy. Odchodząc kazał „Słowikowi” wrzucić granat do dołu, z którego wciąż groził ostrzałem. Dopiero teraz okazało się, że – granaty pozostały w kwaterze – a jedyny, który się znalazł to polski granat zaczepny z 1939 roku. „Słowik” kazał nam ostrzałem trzymać Niemca w jego dole – podbiegł całkiem blisko i wrzucił granat do dołu. Dzielny Niemiec – ku naszemu przerażeniu wyrzucił go z dołu... ale granat nie wybuchnął. „Słowik” mocno zdeprymowany – zdecydował o pozostawieniu Niemca, który zresztą już więcej nie strzelał (prawdopodobnie zabrakło mu amunicji).

Akcja „uciszania” Niemca zajęła nam sporo czasu. Gdy doszliśmy do zabudowań – w Pasiekach nie było już kompanii. Odeszła drogą przez osadę na przeciwległy skraj lasu, za którym rozciągały się bagniste łąki i mokradła. Gdy w 2004 roku byłem w Gudzieniskach najstarsza ich mieszkanka pani Tania Andruszkiewicz mówiła, że „*pamięta walkę*”, że partyzanci kazali jej „*chować się za piec, bo kule przebijały ściany domu*”, i że to jej starszy brat „*prowadził partyzantów przez bagna*”. My mieliśmy iść śladem kompanii i zabrać ze sobą „Klona”, który leżał przed stodołą na kocu, w ciężkim szoku – bardzo blady. Okazało się, że w tym czasie, gdy „Bartek” ze swą grupą forsował polanę na lewym skrzydle – „Klon” i „Mucha”, leżący na prawym skrzydle na polu – zostali niespodziewanie ostrzelani „od tyłu”. Prawdopodobnie był to ten pododdział, który w pierwszej fazie walki zaatakował nas na kwaterach. Naszym kontratakiem został odrzucony, ale później znów włączył się do walki. W wyniku tego fatalnego ostrzału „Klon” miał zranioną rękę i dosłownie zdruzgotane udo. Podobnie „Mucha” – z pewnością pociskiem rozpryskowym – miał zdruzgotaną nogę w kostce. Zostali zniesieni z pola i prowizorycznie opatrzeni przez „Magdałenę” – sanitariuszkę kompanii. Wycofujący się pluton zabrał „Muchę”, a „Klon” czekał na nas.

Było nas chyba siedmiu – może ośmiu. Pamiętam „Słowika”, „Sławka” i „Rogalę” (Olgierda Lewickiego). Nie mieliśmy noszy. Gdy nas czterech brało koc za rogi mogliśmy – choć z trudem – utrzymać potężnego „Klona” nad ziemią i nieść po twardym gruncie. Ten skończył się jednak, gdy po kilkuset metrach osiągnęliśmy skraj lasu. Dalej zaczęliśmy posuwać się brzegiem łąki. Las był zbyt gęsty i krzaczasty, aby zespół niosący „Klona” mógł się w nim poruszać. Łąka była autentycznym bagniskiem, na którym tylko duże kępy trawy dawały względnie stabilne podparcie. Koło kępy noga grzęzła w błocie, przeważnie do pół łydki lub do kolana. W tych warunkach, aby transportować „Klona” – potrzebny był zespół sześciu, a nie czterech niosących. Niestety nie mieliśmy dwóch zespołów, które mogłyby się co jakiś czas wymieniać. Od koca odstępował ten, który całkiem opadł z sił.

Zaczął się piekielny pochód, który do dziś mam w pamięci jako najtrudniejszy z trudnych. Ześlizgiwanie się nóg z kępy traw i wyciąganie butów z bagna. Ogromny wysiłek, żeby utrzymać potężnego „Klona” nad kępami

i bagnem; żeby go nieść – a nie wlec – uderzając o kępy i nurzając w błocie! Już po pierwszym kilometrze tej męki, wydawało mi się, że padnę! Plecak, który zabrałem z wozu taborowego i gdy ruszaliśmy miałem go na plecach – zostawiłem i zdeptałem w bagnie – żeby nie zostawić Niemcom. Spodziewaliśmy się, że gdy „oprzytomnieją” po naszym kontrataku – ruszą za nami – a, że nie mieliśmy „straży tylnej”, stanowiło to niewątpliwie dodatkowe źródło stresu. Swoje wygodne „saperki” z poszerzoną cholewą, które przed przejściem do oddziału zrobił mi „na miarę” bardzo dobry, miejscowy szewc – też zostawiłem w błocie. Ich – następujące co chwilę wyciąganie z błota – za bardzo opóźniało pochód. Zwykle sznurowane buty kolegów – lub obcisłe cholewy – okazały się znacznie praktyczniejsze.

Najtragiczniejszy był moment, gdy w czasie któregoś krótkiego odpoczynku dla „złapania tchu” – jeden z kolegów powiedział: „*Teraz trzeba go zostawić i przyjść później większą grupą*”. Wrażenie było ogromne. „Klon”, który znosił ten straszliwy transport po bohatersku – prawie bez jęku – jakby tego nie usłyszał. Nadal – od czasu zniesienia z pola – trzymał w zaciśniętej garści ramię od swego nagana. Chwilę trwało milczenie i... naraz wszyscy znów chwyciliśmy za koc, żeby brnąć dalej... metr za metrem... godzina za godziną. Zdenerwowanie wywołane tym incydem wzmoгло pojawienie się ogromnego słupa dymu nad lasem, wzdłuż którego oddalaliśmy się od Pasiek Gudzieniszki. Myśleliśmy wówczas, że to Niemcy doszli do naszych Pasiek i je pacyfikują po swojemu. Dziś wiem, że te obawy były chybione. Niemcy rzeczywiście spacyfikowali, jednak nie nasze Pasieki a Pasieki Dworczańskie, gdzie stał jeden z plutonów „Ragnera”, który zresztą wycofał się bez walki i niczym nie sprostował Niemców do tego odwetu.

Pod wieczór – gdy mieliśmy za sobą chyba ponad dwa kilometry prawdziwej „golgoty” – w odległości paruset metrów od lasu pojawiła się kępa zarośli z paru drzewami. Tam wiodły ślady przechodzącej kompanii. Dotarliśmy do małego wyniesienia, na którym kompania „przycupnęła” czekając na nas i na nadejście nocy – kryjącej dalszy marsz. Gdy opiekę nad „Klonem” przejęła sanitariuszka i nowy zespół transportowy – czułem się tak jakby „uszło ze mnie całe powietrze” – ale równocześnie dusiła mnie wściekłość. Do „Lecha”, który nadszedł, odezwałem się – bardzo nieregulaminowo – z gwałtownym pytaniem: „*Czemu ranny został pozostawiony jako straż tylna – bez*



Pomnik stojący na mogile mieszkańców Pasiek Dworczańskich, zamordowanych w wyniku pacyfikacji dokonanej 23.10.1943 r. Zdjęcie zrobiłem w 2004 r.

potrzebnej liczby niosących”?! Widząc, w jakim jesteśmy stanie – przyjął to z kamienną twarzą – nie odezwał się i nigdy nie doznałem z Jego strony jakiegoś „rewanżu”.

Parę godzin odpoczynku na suchej kępie, dobrze nam zrobiło. Wykorzystałem ten czas żeby z „*onuc*” darowanych przez kolegów – przy użyciu sznurków – zrobić sobie coś w rodzaju butów. Nasza „szturmowa” drużyna – ze stratą jednego zabitego i dwóch ciężko rannych – znów była razem. Z nadejściem zmierzchu „*Lech*” podniósł kompanię do dalszego wychodzenia z obławy. Nadal brnęliśmy przez bagnistą łąkę, a potem pokonywaliśmy „w bród” mulistą Pieleś (w dalszym biegu za Dubiczami – Kotrę). Mimo nakazanego pośpiechu – rozebrałem się do naga – tak zresztą jak większość kolegów. Lodowata woda sięgała na środku rzeki prawie do brody, ale udało się przenieść nad głowę względnie suche ubranie (wciąż wilgotne od potu), płaszcz i broń. Za rzeką teren był mniej grząski, aż w końcu osiągnęliśmy przeciwległy las. Pluton „*Bartka*” i nasza drużyna wyszła na „szpicę”. Zaczął się marsz bardzo ostrożny i powolny – z wysyłaniem do przodu rozpoznawczych patroli – zwłaszcza przy dochodzeniu do mijanych osad. Długie oczekiwanie na wynik rozpoznania i na hasło dalszego marszu – było chyba bardziej uciążliwe niż sam marsz. Już nad ranem zbliżyliśmy się do jednego z zaścianków rozsianych na „Świętych Błotach”. Byłem w patrolu, który miał sprawdzić, czy nie ma tam niemieckiej zasadzki i nawiązać kontakt z miejscową placówką. „*Lech*” chciał jej przekazać rannych. Ich stan – mimo zasadniczej poprawy warunków transportu – był bardzo ciężki. Ja chciałem dostać jakieś buty – bo marsz w ich szmacianej imitacji był prawie tożsamy z marszem „na bosaka”. Okazało się, że placówka jest w stanie przejąć rannych i przekazać ich dalej pod opiekę lekarską. Dziś wiem, że ze względu na niemieckie patrole, dopiero po dwóch dniach „*Klon*” i „*Mucha*” zostali przetransportowani na placówkę w zaścianku Bieńkowicze, gdzie lekarze przywiezieni z Lidy – niemal w „ostatniej chwili”, przeprowadzając dwie amputacje – uratowali im życie⁴.

Kompania po przekazaniu rannych wycofała się głębiej w las i z dala od dróg – zaległa w niewielkim „młodniaku” na resztę nocy i cały następny dzień. Miałem powody do zadowolenia – bo miałem już buty – wprawdzie niezbyt wygodne, ale nie byłem boso. Mimo to – całodzienne trwanie w olszynowym, trochę podmokłym zagajniku – wspominam jako przeżycie prawie tak fatalne, jak ów transport „*Klona*” przez bagna. Obowiązywał zakaz palenia ognisk i papierosów oraz nakaz kompletnej ciszy. Nasz wóz taborowy i kuchnia polowa zostały w Pasiekach. Byliśmy głodni. Jednak najgorsze było piekielne zimno. Bielizna i mundur – wciąż wilgotne od potu – nie dawały ciepła. Prawdopodobnie miałem gorączkę, bo co jakiś czas napadały mnie „paroksyzmy drżączki”. Nad ranem w końcu zasnąłem, leżąc na ziemi ściętej przymrozkiem. Gdy się obudziłem – moje prawe ramię, na którym

spalem, było „drewniane”. Nie czułem go i z trudem mogłem ruszać ręką. To wówczas wlaź mi w to ramię reumatyzm, który odezwał się po latach, i z którym walczyłem w Rumunii na błotach Eforii. Do dziś, przy zmianach pogody wiem, że „mam prawe ramię”. Ta noc i dzień – były oczywiście ciężkim przeżyciem nie tylko dla mnie. „Sławek” zachorował na „ropną” anginę. Na następnej mijanej placówce musieliśmy go zostawić na długie leczenie, po którym już nie wrócił do naszej drużyny.

Terenowe placówki rozpoznawały w ciągu mijającego dnia – ruchy niemieckich oddziałów na kierunku przewidzianym przez „Lecha” do wyjścia z oblawy. Według K. Krajewskiego – oprócz walczącej z nami jednostki Jagdkomando – w oblawie wzięły udział „dwa bataliony żandarmerii i policji”. Okazało się jednak, że po tej stronie bagien, na którą wyszliśmy, opuszczając Pasieki Gudzieniszki – Niemców jest mało. Wszystkie kompanie Batalionu Zaniemeńskiego – maszerując nocą, bocznymi drogami – wyszły z okrążenia bez dalszych walk. W całej operacji „*Ze strony niemieckiej padło 18 zabitych i 19 rannych. Straty polskie wynosiły 4 zabitych i 6 rannych*”²⁹⁾. Gdy w 2004 roku pytałem panią Tanię Andruszkiewicz o grób kolegów – poszła ze mną do lasu i pokazała koło drogi ledwie widoczną mogiłę. Patrząc na nią nie mogłem pozbyć się myśli, że gdyby wówczas „Słowik” przyprowadził mnie na zmianę czujki parę minut wcześniej – to nie „Sciopa”, a ja bym tu leżał. Czym kierował się los, który o tym zdecydował?!



Pani Tania Andruszkiewicz pokazując laską płaski pagórek powiedziała: „Tu była mogiła, ale zarosła. Niemcy swoich zabitych zabrali”

Nad i za Niemnem

Dalsze wspomnienia przemarszu z obrzeży Puszczy Grodzieńskiej nad Niemen – są mniej wyraźne od tych, które pozostały z mego pierwszego udziału w partyzanckiej walce. Gwizd kul lecących tuż obok i zauważone później postrzałowe dziury w pole płaszcza – wysiłek i zmęczenie dosłownie „walące z nóg” i wreszcie całodziennie trwanie w „cholernej zimnicy” z żółdkiem pustym od ponad trzydziestu godzin – to były przeżycia, które przysłoniły wiele następnych. Na szczęście nie naruszyły mego dotychczasowego sposobu widzenia rzeczywistości. Przekonałem się, że na ostrzał reaguję „przytomnie”, pod wpływem niebezpieczeństwa nie wpadam w panikę

i nadal nie mam żadnych wątpliwości, że chcę być w partyzantce. Byłem zadowolony, że „chrzest bojowy” przeszedłem „obronną ręką”.

Z wielodniowego przemarszu nad Niemen i z późniejszych działań kompanii – w pamięci przechowały się tylko niektóre epizody. Cała reszta scalila się we wspomnienie o partyzanckim bytowaniu raczej „szarym i zgrzebnym”. Ale czy mogło być inaczej na naszej kresowej ziemi, nigdy nie bogatej, a teraz przyciśniętej terrorem okupanta i sowieckich band rabujących i tępiących polską ludność? W końcowych miesiącach 1943 roku, większe oddziały partyzanckie nie stały długo w zajmowanych wsiach czy pojedynczych gospodarstwach. Tym sposobem zmniejszały ryzyko niemieckich akcji odwetowych, zagrażających głównie ludności „przyjmującej” partyzantów. Organizacja wyżywienia oddziałów była różna. Czasem były używane kuchnie polowe, ale przeważnie wyżywienie żołnierzy obciążało wiejskie rodziny. Żeby zmniejszyć to obciążenie, kwatermistrzowska służba oddziałów organizowała – w miarę aktualnych możliwości w danym miejscu i czasie – na przykład kupno w zajmowanej wsi wieprzaka lub cielaka... czasem dostawę krowy lub zboża pochodzącego z majątków Liegenschaftu... czasem uruchamiała posiadane Ostmarki (niemiecka waluta obowiązująca w Ostlandzie).

Odrębne obciążenie wiejskich kobiet na zajmowanych kwaterach stanowiło pranie naszej bielizny. Jeżeli postój trwał dwa lub więcej dni, wówczas wystarczało czasu na jej wypranie i wysuszenie. Jeden dzień nie wystarczał. Jeżeli więc ktoś rezygnował z posiadania zapasowej bielizny (często niedosuszonej), wówczas wymieniał na kwaterach swoją brudną na czystą. Wszystkie te kombinacje nie zawsze zapobiegały pojawieniu się wszy. Dobrze pamiętam – jak podczas wypadu za Niemen – jedynym sposobem na pozbawienie się tej uciążliwości – było tzw. „czytanie gazety”. Prawie wszyscy partyzanci wychodzili z chałup na podwórze i przeglądając szwy i zakamarki swych koszul wyrzucali bezlitośnie „lokatorów” w śnieg. Był to równocześnie dobry czas na pogawędkę i „rechotanie” z opowiadanych dowcipów.

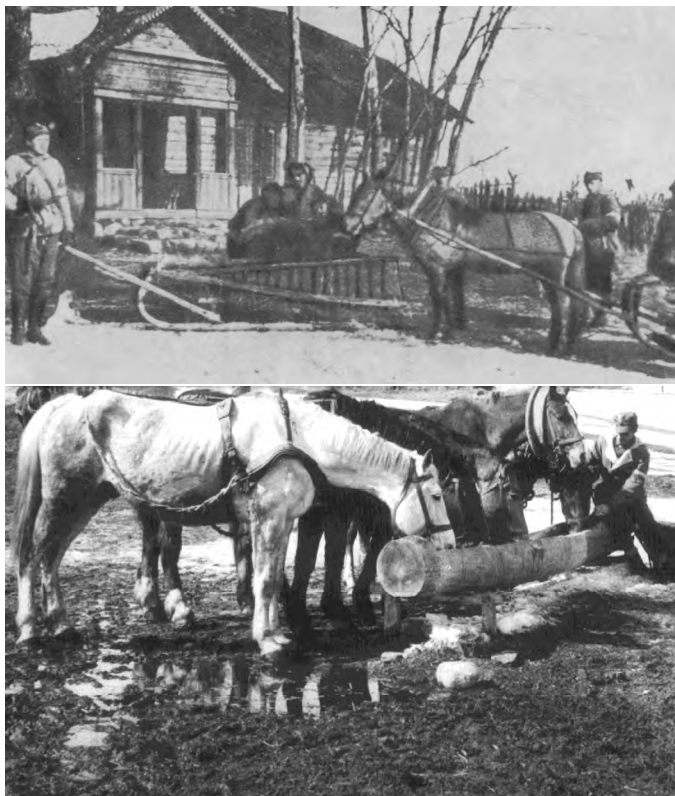
Ludność w ogromnej większości odnosiła się do AK-owskiej partyzantki przychylnie zarówno ludność polska, jak i białoruska. Widzieliśmy często jak dzieliła się z nami dosłownie „ostatnim kawałkiem chleba” i swym ciasnym kątem do spania. Ta przychylność bardzo poprawiała nasze samopoczucie w partyzanckim życiu. Dnie i tygodnie – niby wciąż inne, ale jednak do siebie podobne – mijały szybko i zlewały we wskazaną „szarość i zgrzebność” bytowania – z nielicznymi wyraźniejszymi epizodami.

Epizod 1. Po całonocnym marszu z owego lasku, gdzie tak straszliwie zmarzłem, dotarliśmy do jakiejś wsi. Teraz nie było mi zimno. W marszu przeważnie się nie marzło. Ale moje nogi tkwiące przez kilkanaście godzin w byle jakich butach – „nie moich” – były w fatalnym stanie. Koledzy lokowali się w kwaterach, a ja siadłem przy studni na drewnianym korycie – przebiłem

lód na wodzie, która w nim stała i w tej lodowatej wodzie moczyłem nogi. Trwało to dość długo i przyniosło ogromną ulgę. Nogi szybko się wygoiły, a jeszcze jedna wymiana butów – zlikwidowała problem.

Epizod 2 – fatalny.

Kolejnej nocy – nad ranem – ciemność powoli rzedła. Szliśmy w szpicy – normalnie, w dwóch rzędach wzdłuż polnej drogi – i już zbliżaliśmy się do wiejskiego gospodarstwa, w którym mieliśmy kwaterować. Dziś wiem, że było to jedno z gospodarstw skolonizowanej wsi Kościeniewo pod Wasiliszkami – nieopodal majątku Kościeniewo. Stąd przed paru miesiącami – przyjeżdżał do Szczuczynka „Dymitr”, ze swoim wydawniczym kuferkiem. Jakies 100 (może 150) metrów przed naszą drużyną jechał na koniu „Bulba” (Jan Raubo) z kompanijnego zwiadu – dzielny chłopak, przez wszystkich lubiany. Gdy „Bulba” był w odległości zaledwie kilkudziesięciu metrów od zagrody – zza płotu poszła długa seria z automatu. „Bulba” od razu spadł z konia, a ten rzucił się w bok i pobiegł w pole... Drużyna przypadła wzdłuż drogi, ale już za chwilę „Bartek” rozwinął nas



Te zdjęcia zrobione przez „Lorda” – kpr. Witolda Kuryłowicza ze zwiadu konnego – dobrze ilustrują „koloryt” ówczesnego partyzanckiego bytowania na Kresach. Przy takiej studni moczyłem nogi



Dwór w Kościeniewie. Niedaleko stąd zginął „Bulba” i tu „Dymitr” przygotowywał większość numerów pisma „Sprawy Polskie”. Zdjęcie zrobiłem w 1994 r. W budynku była szkoła – stąd jego dobry stan

w tyralierę skierowaną na gospodarstwo. Myśleliśmy, że to sowiecka banda zajęła naszą „melinę” – i lada chwila spodziewaliśmy się komendy otwarcia ognia. Na szczęście: „Bartek” usłyszał w gospodarstwie polskie głosy... i przytomnie nie wydał rozkazu.

Okazało się, że w gospodarstwie kwaterowała pierwsza kompania UBK (Uderzeniowych Batalionów Kadrowych), która 22.10.1943 roku przeszła na nasze tereny z Białostoczczyzny. Kompania ta – dowodzona przez ppr. „Szczęsnego” (Stanisława Karolkiewicza)^{*)} – została rozkazem Komendy Głównej AK skierowana na Nowogródzczyznę. Miała za sobą wypad odwetowy do Prus Wschodnich i wiele ciężkich walk na Podlasiu. Tym tłumaczyliśmy sobie nerwową reakcję wartownika tej kompanii, który nie był poinformowany o możliwości pojawienia się tu polskiego oddziału. Gdy zobaczył bardzo blisko nadjeżdżającego kawalerzystę (prawdopodobnie obudzony z drzemki) – „skosił” serią naszego „Bulbę”. Gdy sytuacja się wyjaśniła i nieśliśmy go na rękach do zabudowań gospodarstwa – „leciał przez ręce”. Zmarł zanim zdążyliśmy położyć go na łóżku.

Przez jakiś czas nasza kompania miała do UBK duże pretensje za tę niepotrzebną śmierć naszego kolegi. Gdy jednak w czasie dalszych wspólnych akcji poznaliśmy bliżej tych świetnych żołnierzy – ostrzelanych od roku w wielu potyczkach – pretensje poszły w niepamięć. Docenialiśmy to, że kompania była sformowana z ideowej, ochotniczej młodzieży, która przysłała na Kresy walczyć o ich polskość – głównie z Warszawy i Podlasia. Organizatorem i komendantem UBK, jako „zbrojnego ramienia Konfederacji Narodu” – był ppr. Bolesław Piasecki („Sablewski”) – przedwojenny działacz narodowo radykalnej Falangi. Gdy kompanie UBK zostały przekształcone w III Batalion 77 pp AK w jego szeregach znalazła się bardzo licznie również młodzież z Kresów – jednak popularność zawdzięczał głównie swej kadrze „zaczątkowej”²⁸⁾.

Epizod 3. Był już początek listopada – jasna noc. W rejonie Bielicy przeprawialiśmy się przez Niemen na jego lewy brzeg z zadaniem spenetrowania terenów sąsiadujących z Puszcą Zaniemeńską – od dawna opanowaną przez sowiecką partyzantkę. Wiedzieliśmy, że penetracja miała na celu rozstrzygnięcie kwestii ewentualnego ulokowania tam zimowej bazy Batalionu. Zgodnie z planami Komendy Głównej AK i rozkazami Okręgu – Batalion miał nadal zwiększać swą liczebność i przekształcać się w zgrupowanie kilku batalionów, a to – gdyby odbywało się na „własnych” gęsto zasiedlonych terenach – mogło zagrażać ludności cywilnej represjami niemieckiego okupanta. Po drugiej stronie Niemna przeprawę ubezpieczała ta część kompanii „Ragnera”, która miała realizować wypad za Niemen – razem z naszą kompanią „szczuczyńską” i kompanią UBK. „Krysia” został na swoich terenach

^{*)} W latach 1995–2005, Prezes Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej.

w rejonie Naczy i Radunia. Podobnie – znaczna część „Ragnerowców” zostawała po prawej stronie Niemna, aby zabezpieczać tutejszą ludność od Mostów przez Orle i Bielice aż po Moryń – przed rabunkowymi wyprawami Sowietów (kompania „Ragnera” liczyła już około 300 żołnierzy). W tym czasie, prawa strona Niemna^{*)} była całkowicie opanowana przez oddziały AK i „oczyszczona zarówno z jaczejek (komórek komunistycznych organizacji), jak i informatorów sowieckiego wywiadu”²⁹⁾. Nawet Niemcy niechętnie tu zaglądali – ale wciąż trzeba było jej strzec przed ponawianymi atakami band i sowieckiej partyzantki. Mimo, że Batalion nie był kompletny – było nas ponad trzystu – stanowiliśmy więc poważną siłę. Dla „Ragnerowców” przeprawy przez Niemen „na sowiecką stronę” nie były „nowiną” – ale dla nas i tym bardziej dla UBK – była to wyprawa ekscytująca.

Łodzi było mało, więc przeprawa trwała parę godzin. Czas oczekiwania urozmaicały rozmowy z rybakami „śledzącymi los” swych łodzi. Ich opowieści o ogromnych sumach łapanych w Niemnie potwierdzały zasłyszana kiedyś informację – że potrafiły osiągać wagę trzech pudów... „i więcej”. Gdy w końcu znalazłem się w łodzi i płynęliśmy na drugi brzeg, byłem autentycznie poruszony. Napływały wspomnienia z wyprawy naszej klasy licealnej – barką z Grodna do Bohatyrowicz... skojarzenia z przeprawą przez Bug do Generalnej Guberni... nawet wspomnienie o „spływie gigancie” zaczętym przez Tadeusza w niedalekich Mostach. Czar wspomnień prysnął dopiero, gdy znaleźliśmy się na „sowieckim brzegu”.

Następne dni tej wyprawy za Niemen upamiętniły mi się długimi marszami – przeważnie w dzień – przez tereny lesiste i rzadko zaludnione. Uderzające było to, że znaczna część napotykanych osiedli (nazywanych tu chutorami) – i także całych wsi – była opuszczona przez mężczyzn. Pozostały starsze kobiety i dzieci, a i część z nich chyba kryła się gdzieś w gospodarstwie lub lesie. Nie umieliśmy dojść, czy



Pchor./ppr. Czesław Zajączkowski „Ragner”, już w jesieni 1943 r. był tak sławym dowódcą, że Jego żołnierzy nazywaliśmy „Ragnerowcami”. Na zdjęciu poniżej – w mundurze¹⁴⁰⁾



Ur. 20.07.1917 r. w Orszy. Ukończył Szkołę Podchorążych Łączności Rezerwy. Absolwent Wyższej Szkoły Technicznej Wawelberga w Warszawie. Przed wojną pracował w Lidzie¹⁴⁰⁾

^{*)} Uwaga: Niemen na odcinku Moryń–Mosty, płynie na południowy zachód, a nie północny zachód – jak niemal na całej swej długości.

ta ucieczka i ukrywanie się przed nami było samorzutne, czy wymuszane przez Sowietów. Na mnie – te wyludnione i „przestraszone” wsie – robiły bardzo przygnębiające wrażenie. Niestety nasze zachowanie rzeczywiście mogło budzić strach. Ponieważ na tych terenach nie mieliśmy sprawnej „siatki” i wywiadu – więc gdy było podejrzenie, że wioska lub osada może być miejscem zasadzki – zbliżaliśmy się do niej bardzo ostrożnie. Czasami byliśmy rozwijani w tyralierę i oskrzydłaliśmy wioskę, żeby ewentualnie „przyłapać” w niej Sowietów.

Upamiętnił mi się tego rodzaju bieg tyralierą do jakiejś wioski. Drużyna „Słowika” biegła, mając akurat na lewym skrzydle kompanię UBK. Wówczas, pierwszy raz, widziałem z bliska „Uderzeniowców” (tak ich nazywaliśmy) – w akcji. Co prawda nie było ostrzału, ale ze szczerym uznaniem patrzyłem jak „Grodniak” (Zbigniew Łakiński z pocztu Komendanta UBK), trzymając w jednej ręce „pepesz” – drugą podparł się o żerdkę dość wysokiego ogrodzenia, które przecinało nam drogę i leciutko je przeskoczył. On i cała tyraliera UBK świetnie się prezentowała, co było z uznaniem komentowane w naszej drużynie. Ta scena zachowała się w pamięci chyba dlatego, że „Grodniak” był naszym kolegą z Grodna i że po kilku miesiącach (1.07.1944 r.), już jako dowódca plutonu, został ciężko ranny w ataku na Traby pod Wilnem i stracił nogę.

W czasie całego – prawie dwutygodniowego – wypadu za Niemen żadna z kompanii Batalionu nie stoczyła z Sowietami większej bitwy. Po kilku dniach kompanie zaczęły działać samodzielnie. „Ragnerowcy” zapuścili się daleko aż pod Zdzięcioł i główny kompleks Puszczy Zaniemeńskiej, rozciągający się między Szczarą a Niemnem. Tam stoczyli walkę – jednak z policją niemiecką, a nie z Sowietami. Z nimi doszło tylko do „kilku nocnych »pierestrielek«²⁹⁾”, – prawdopodobnie przypadkowych. Kompania UBK poszła w kierunku Nahodorowicz i Nowogródka, a kompania „szczuczyńska” poruszała się środkiem, między nimi. Wszędzie Sowietów unikali starcia. Święto 11 listopada, nasza kompania spędziła we wsi prawosławnej. Kościoła nie było, więc „Lech”, który ze swym sztabem i konnym zwiadem najczęściej kwaterował w pobliżu naszej kompanii – poprosił miejscowego popa żeby odprawił mszę w cerkwi. Wysłuchaliśmy tej mszy i... choć się tego nie spodziewałem... nasze Święto Narodowe wypadło w tej sprawie, całkiem uroczystie.

Następnie, po dwóch dniach, kompanie spotkały się w Giezgałach nad Mołczadzią i z powrotem przepawiły na prawy brzeg Niemna. Myśl zimowania po jego lewej stronie została zarzucona, co większość z nas przyjęła z ulgą. Tereny zaniemeńskie ocenialiśmy jako nieprzyjazne – „nie do życia”.

Epizod 4. Dziewiętnastego listopada – już od paru dni kwaterowaliśmy we wsi Mociewiczze – pilnując uczęszczanej promowej przeprawy przez Niemen, i okresowo przeprawy „w bród”. Oprócz kompanii „szczuczyńskiej” i sztabu „Lecha” we wsi stała również kompania UBK. Wszyscy kwaterowa-

liśmy wygodnie, bo wieś była bardzo długa – rozciągnięta wzdłuż Niemna. W pewnym momencie koło południa, usłyszeliśmy strzelaninę w środku wsi. Momentalnie został ogłoszony alarm bojowy, a wraz z nim przysłała wiadomość, że jarem biegnącym od pól do Niemna – a więc z kierunku, z którego nikt się Sowietów nie spodziewał – wjechał do wsi ich konny zwiad. Natknął się na „Uderzeniowców”, zranił zaskoczonego oficera idącego koło kwatery, ale został ze wsi wyparty i rozbity. Gdy „Bartek” wyprowadził nasz pluton za zabudowania – zajęliśmy stanowiska na wysokiej skarpie, na skraju pól, mając za plecami wieś i dolinę Niemna. Ledwieśmy się rozłożyli – zobaczyliśmy w odległości niecałego kilometra – tyralierę Sowietów, wychodzącą zza wyniesienia terenu, rozciągniętą na całą długość horyzontu – słabo widoczną w padającym śniegu.

Z naszej strony odezwał się batalionowy ciężki karabin maszynowy (ckm) i co najmniej 10 erkaemów, ale tyraliera – nie szukając osłon terenowych i prowadząc słaby ogień – posuwała się w naszym kierunku. Wkrótce za nią ukazała się następna tyraliera i jeszcze jedna. Sowietci wyraźnie parli na przeprawę przez Niemen, nie zważając na straty. Gdy odległość stanowisk uległa zmniejszeniu – również my dostaliśmy rozkaz otwarcia ognia. Sowietci „zalegli”, ale też ich ogień stał się znacznie gwałtowniejszy. Jednak ta wzmożona wymiana ognia trwała krótko. „Lech”, widząc olbrzymią liczebną przewagę nacierających Sowietów i ich determinację dojścia do przeprawy – zarządził opuszczenie stanowisk i wycofanie w górę Niemna. Jedynie do plutonu „Sosny” (sierż. Stanisława Podzielińskiego) z naszej kompanii, który zajmował pozycję na cmentarzu, na południowym krańcu wsi – czemuś ten rozkaz nie dotarł. Pluton nadal starał się powstrzymać natarcie. Dopiero, gdy amunicja już się kończyła – niemal w ostatniej chwili – wycofał się w dół Niemna, ze stratą trzech żołnierzy i jednego wziętego do niewoli, który zresztą, zaraz po przesłuchaniu, został przez Sowietów rozstrzelany.

W pozostałych plutonach kompanii „szczuczyńskiej” i w UBK nie było strat. W moich wspomnieniach starcie w Mociewiczach pozostało jako niewiele znacząca strzelanina – ledwie pamiętana. Tymczasem była to największa bitwa stoczona z Sowietami przez Batalion Zaniemeński (funkcjonował od lipca do połowy grudnia 1943 r.). Kazimierz Krajewski podał, że Mociewiczze zostały wówczas zaatakowane przez *„Białostockie Zgrupowanie Partyzanckie gen. F. Kapusty liczące około 1500 ludzi, powracające z nieudanego rajdu na Bezirk Białystok (do Puszczy Grodzieńskiej). Ciągnęło ze sobą dziesiątki, czy nawet setki wozów taborowych i masę zebranych po drodze członków »grup przetrwania« (...) Przechodząc przez polskie wioski (...) gruntownie je rabowali, dopuszczając się przy tym morderstw na ludziach podejrzewanych o sprzyjanie Armii Krajowej»²⁹⁾*. Gdy nasza kompania i w tym czasie jeszcze niezbyt liczna kompania UBK – ze względu na groźbę okrążenia i „przyparcia” do Niemna – zostały przez „Lecha” wycofane z Mociewicz – do

akcji weszła silna kompania „Ragnera”, kwaterująca w Bojarach Smoleckich. Idąc na łuny gospodarstw podpalonych przez Sowietów – po zlikwidowaniu ubezpieczenia wystawionego na skraju wsi – „Ragnerowcy” uderzyli na oddziały oczekujące na przeprawę. Wybuchła panika „*Thumy bolszewików rzuciły się ku przeprawie, na której kłębili się ludzie, konie, wozy taborowe (...) Dowództwo Zgrupowania (...) przyznało się (w swych raportach) do kilkunastu zabitych i rannych oraz 36 zaginionych. Wydaje się, że nie zostały tu uwzględnione straty poniesione przez grupy przetrwania i »siemiejne atraidy«^{*)} włączone do Zgrupowania (...) Strona polska oceniała je w swoich raportach na blisko 200 zabitych, potopionych i rannych²⁹⁾*. K. Krajewski przypuszcza, że są to liczby zawyżone i pewnie ma rację. Nie zmienia to jednak faktu, że była to duża bitwa, o którą ja się tylko „otarłem”.

Epizod 5. Jakoś na początku grudnia zostałem włączony do patrolu, który w sile około 20 ludzi miał przyprowadzić dodatkowe konie dla powiększanego batalionowego zwiadu. Mówiło się, że dowódcą zwiadu ma zostać nasz „Bartek”, prowadzący ten patrol. Konie mieliśmy wziąć z jakiegoś majątku (nazwy nie pamiętam) – „za torami” linii kolejowej Mosty – Lida.



*Typowa partyzancka kolumna w marszu²³⁾.
Nasz marsz z „Bartkiem” wyglądał podobnie
– chociaż była zima*

Niemcy gromadzili tam konie rekwirowane dla Wehrmachtu – wysyłane następnie na front wschodni. W tym czasie ten szlak kolejowy, prowadzący przez Brześć n. Bugiem i Mołodeczno, dalej na północ – był silnie strzeżony. Wartownie i bunkry były rozmieszczone co kilka kilometrów – przeważnie przy drogach przecinających tory – i były pilnowane przez ruchome patrole poruszające się na motorowych drezynach.

W tamtą stronę – jako oddział pieszy – „przeskoczyliśmy” tory nocą, dość łatwo – niezauważeni przez strażników. Jednak w powrotnej drodze przejście przez tory z taborem i końmi przywiązanych do wozów – nie było tak łatwe. „Bartek” wybrał do przejścia boczną drogę, o której wiedział, że nie jest strzeżona. Gdy zbliżyliśmy się do torów, zatrzymał tabor prowadzący konie. Do torów podprowadził dwunastoosobową grupę pieszą, którą – po upewnieniu się, że

przejazd jest wolny – rozdzielił na trzy czujki. Dwie – wyposażone w rkm-y – posłał wzdłuż torów w lewo i prawo od przejazdu, na odległość około 100 m.

^{*)} Lokalne bandy.

Miały tam zająć stanowiska i zabezpieczać przeprawę przed ewentualnym niespodziewanym nadjechaniem dreżyny. Trzecia miała spenetrować drogę za przejazdem – na kierunku dalszego marszu. Wszystko odbywało się w całkowitej ciszy. Ledwie czujki zajęły na torach swe stanowiska, tabor wozów i koni ruszył na przejazd. Tory przekroczyliśmy spokojnie, bez żadnych przeszkód. Również dalszą drogę na kwatery swojej kompanii w Mociewczukach przebyliśmy bez przygód. Konie zostały przekazane do batalionowego zwiadu, a „Bartek” rzeczywiście został później jego dowódcą.

Cały ten wypad – choć był prowadzony bezpośrednio przez dowódcę plutonu, a grupa została przez niego sformowana z trzech drużyn (co nie zdarzało się często) – był podobny do wielu innych, stanowiących codzienność partyzanckiej rzeczywistości. Może nieco się wyróżnił emocjami wynikającymi z przekraczania torów oraz sprawnością, z jaką prowadził go „Bartek” – ale faktycznie był już niemal zapomniany. Wydobyłem go z zapomnienia dopiero w 1997 roku, gdy na okładce książki K. Krajewskiego²⁹⁾ zobaczyłem zdjęcie „Szczęsnego” „Sawki” i „Dubowa” – z listopada 1943 roku – w otoczeniu drużyny „Słowika” – mojej drużyny! „Zachodziłem w głowę” – czemu nie pamiętam takiego spotkania? Przecież gdybym był na miejscu – nie mógłbym o nim nie wiedzieć!

Zdjęcie musiało być wykonane w czasie opisanego wypadu. Jest to jedyne znane mi zdjęcie, na którym jest „Słowik” i „Rogala” – towarzysze trudnego odwrotu z rannym „Klonem”. Z lewej strony widać niepełną sylwetkę stojącego żołnierza. Jak podaje K. Krajewski jest to „Zośka” (kpr. Jerzy Kenig) – też z naszej drużyny. 31 grudnia 1943 roku – „Zośka” i „Słowik” realizowali w Lidzie zadanie wykonania wyroku na Jerzym Ripperze – absolwencie lidzkiego gimnazjum, „niezwykle groźnym agencie Gestapo i na jego współpracowniku Janie



*Od lewej stoją „Słowik”, „Sawka”, „Szczęsny”, „Dubow”, „Rogala”.
Leżą: „Zbój”, „Śledź”, „Żbik”. Listopad 1943 r., Mociewczuki²⁹⁾*



Kpr. Jerzy Kenig („Zośka”), przed wojną uczeń szkoły kadetów

Masiu”. W wyniku tej akcji Maś został zlikwidowany. Ranny Ripper uszedł karze, ale w walce z policją zginęli i „Słowik” i „Zośka”; „Zośka”, ciężko ranny, zastrzelił się²⁹).

Przejsie od „Lecha” do „Krysi”

W grudniu codzienność wypełniały głównie przemarsze nocne – i już także dzienne – na coraz to nowe miejsca postoju; patrolowanie nadniemeńskich terenów i „polowanie” na sowieckie bandy, które choć przepędzane – wciąż ciągnęły na rabunek polskich wsi. Szkolenie prowadzono głównie w nowo formowanych pododdziałach, ale niekiedy obejmowało również „starych” partyzantów. Czas wypełniała także zwykła nuda, którą urozmaicaliśmy – potrzebnym niestety coraz częściej – „czytaniem gazety” (zima i noclegi w ciasnych chatach, w praktyce uniemożliwiały życie bez cierpliwie tępionych „lokatorów”).

Najbardziej znamieny dla tego okresu był wzmożony napływ ochotników do naszych oddziałów. Nasilająca się inwigilacja, wciąż rozbudowywanych środowisk Armii Krajowej i także inwigilacja skierowana przeciwko sprzyjającej nam ludności zarówno ze strony niemieckiego okupanta (wraz z polakożerczą organizacją BNS), jak i sowieckiego wywiadu – wprowadzała nieuchronnie coraz większą liczbę młodych ludzi w stan zagrożenia. Niektóre terenowe placówki AK posyłały do partyzanckich oddziałów całe grupy „ludzi spalonych”, a te nie mogły odmawiać im ochrony. Wyrażnemu przyspieszeniu uległo przewidywane przez Komendę Okręgu – stopniowe przekształcanie poszczególnych kompanii Batalionu Zaniemeńskiego w „*Odrębne jednostki batalionowe 77 pp AK*”²⁹.

Jednak wraz ze wzrostem liczebności partyzanckiego wojska – komplikowały się jego możliwości przetrwania zimy. Jak pisał K. Krajewski: „*Około 600 partyzantów to była siła zbyt duża, by można przyczać się z nią w chutorach przez okres zimowy, a zbyt mała, by obronić teren przed wielką operacją przeciwpartyzancką i pacyfikacyjną. Ppr »Ragner« mając w oddziale nadmiar żołnierzy, zdecydował się na przeprowadzenie częściowej demobilizacji, kierując na urlopy do domów lub na »meliny« część partyzantów*”. W naszej kompanii, którą na początku grudnia objął por. Władysław Żogło („Zych II”), zaczęło się urlopowanie żołnierzy na święta Bożego Narodzenia. Oczywiście nie rozwiązywało to problemu przetrwania zimy – ale przynosiło chwilową „ulgę”.

Około dwudziestego grudnia Tadeusz sfinalizował rozmowy przeprowadzone z „Zychem II” i „Lechem”. Uzyskał urlop dla siebie i dla mnie na cały okres świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku. Do oddziału mieliśmy wrócić dopiero na „Trzech Króli” (6.01.1944 r.). Byłem tym całkowicie zaskoczony, gdyż Tadeusz nie informował mnie wcześniej o swoich planach – żeby nie

było rozczerowania w przypadku odmowy. Same Święta chcieliśmy spędzić w Lidzie, u Mamy. Kompania kwaterowała wówczas w odległości około 40 km od Lidy – postanowiliśmy więc pokonać tę trasę pieszo w ciągu jednej nocy. Pamiętam, że to był „solidny marsz”. Gdy już o świcie – idąc bocznymi drogami – wchodziliśmy na przedmieścia Lidy – czuliśmy ten marsz w nogach! Ale samopoczucie było dobre – wręcz radosne. W tym czasie mieliśmy już w nocnych marszach dość dobrą „zaprawę”, a kondycji nam nie brakowało. Mama witała nas – dosłownie – ze łzami w oczach, a Zosia skakała z radości „jak fryga”.

Rodzina kolejarska, u której ulokowaliśmy Mamę w Lidzie, okazała się nadzwyczaj przyjazna i uczynna. Gospodarz był „starym kolejarzem” – dumnym ze swego zawodu. Od wielu lat pracował jako maszynista manewrowy lidzkiego węzła kolejowego i ze swymi współpracownikami, podczas kompletowania składu pociągów, porozumiewał się za pomocą gwizdka parowej lokomotywy. Opowiadał nam o swej pracy i z dumą twierdził, że już od dwudziestu lat „*falszywego świstka nie puścił*”. Nasze panie miały niewątpliwie nie tylko dobre warunki mieszkaniowe, ale też miłe stosunki towarzyskie. Okazało się, że Sławek – gdy miał już za sobą ciężko przebytą anginę – zjawił się u Mamy. Właśnie ta rodzina ułatwiła mu znalezienie konspiracyjnej kwatery, i teraz Mama utrzymywała z nim kontakt. Ciągłe nie był do końca wyleczony. Rekonwalescencja wlekła się, ale został już przejęty przez lidzką „siatkę” AK i zaczął być aktywny.

Rodzinnie maszynisty kolejowego nie mogło zabraknąć choinki. Również my dostaliśmy całkiem zgrabny, niewielki świerczek i przybraliśmy go czym się dało – głównie małymi czerwonymi jabłuszkami. Wigilia była bardzo skromna – rzeczywiście wojenna – i smutna... Pierwsza Wigilia po śmierci Męża i Ojca... a dla Zosi wciąż bez obojga Rodziców i siostry... jednak z nadzieją, że może „są u Andersa”. Było bardzo serdecznie i wzruszająco. Znowu dzieliliśmy się opłatkiem ze świadomością, że się nam jednak – w tej wojennej pożodze – nie wiedzie najgorzej. Byliśmy razem... A do końca wojny było już „*blżej niż dalej*”.

Sławek i Lilka Kłyszejkówna – przyjaciółka Zosi (po wojnie profesor stomatologii), która pomagała jej w samodzielnym brnięciu przez program gimnazjalnego nauczania – mieli dostęp do radiowego nasłuchu i podziemnej prasy. W sytuacji wojennej orientowali się znacznie lepiej niż my – przebywający „w lesie”. Niestety i oni nie mieli optymistycznych wieści. Alianci w ślimaczym tempie „wspinali się po włoskim bucie”. Na Atlantyku trwała wciąż nierozstrzygnięta wojna między konwojami statków transportujących amerykańską pomoc dla W. Brytanii i Sowietów, a wciąż potężną flotą niemieckich U-bootów. Na Dalekim Wschodzie – Stany Zjednoczone z trudem przeciwstawiały się japońskiej ekspansji. Wprawdzie nasilały się naloty na niemiecki przemysł – ale to nie przesądzało o „mocnej pozycji” zachodnich

aliantów w wielkim Trójpzymierzu. Nie wróżyło też dobrze – okrytym tajemnicą – wynikiom rozmów zakończonych niedawno w Teheranie. Na zbliżający się koniec wojny najwyraźniej wskazywał systematyczny, coraz silniejszy „napór” Armii Czerwonej. Jej sukcesy miały niestety też złowróżbny wymiar, o którym staraliśmy się nie myśleć.

W czasie Świąt – dzięki kontaktom z kolejarzami – Tadeusz dowiedział się, że istnieje możliwość dostania się do Wilna, gdzie była jego ukochana Janka Radziunówna. Postanowił pojechać do niej na Sylwestra i Nowy Rok. Zgodził się też zabrać mnie – co przyjąłem z ogromną radością. Miałem w pamięci przemiałą przedwojenną wizytę w Wilnie (związaną z leczeniem zęba i zapalenia okostnej). Byłem wówczas uczniem gimnazjum, a Tadeusz podejmował mnie przez ponad tydzień jako student prawa. Bardzo zależało mi na odświeżeniu tych wspomnień. Mama – choć z oporami – zgodziła się na tę eskapadę. Starła się tylko tak nas ubrać w przechowywaną w Lidzie naszą garderobę – aby strój nie zdradzał naszego „leśnego statusu”.

W przeddzień Sylwestra, wczesnym rankiem, umówiony kolejarz zaprowadził nas na dworzec towarowy i omijając wartowników przekazał maszyniście pociągu jadącego do Wilna. Ten „zadekował” pasażerów pod płachtą przykrywającą węgiel wieziony na lokomotywie... i wkrótce ruszyliśmy. Prawie nie zatrzymując się na stacjach – nie niepokojeni kontrolą graniczną – dotarliśmy do Wilna w niecałe trzy godziny. Zostaliśmy wysadzeni przed wjazdem na pilnowany teren kolejowego dworca i bez przeszkód dotarliśmy do mieszkania państwa Radziunów, którzy mieszkali zresztą niedaleko dworca. W domu zastaliśmy panią Radziunową (wówczas ją poznałem) i małego Huberta, syna Hali, która po tragicznej śmierci męża w Dobromilu (patrz str. 142) powróciła do Wilna. Jana, do której gnał Tadeusz – i także jej Ojciec i siostra – byli w pracy. Przyjęcie było nadzwyczaj serdeczne, ale my – tłumacząc się „gęsto” poszliśmy od razu do Jany, która pracowała jako kelnerka w znanej Tadeuszowi restauracji.

Wrażenia, które były naszym udziałem, gdy znaleźliśmy się w śródmieściu – trudno opisać. Ta parogodzinna podróż „na lokomotywie”, przeniosła nas – jak zaczarowaną różdżką ze świata partyzantki i ludzkiej, podmiejskiej „kwatery” – w świat niemal normalnego wielkomiejskiego życia. Mimo okupacyjnych ograniczeń i terroru – Wilno – może jeszcze bardziej niż okupacyjna Warszawa – tętniło życiem. Na ulicach był ruch. Było dużo otwartych restauracji i kawiarni. Wiedzieliśmy, że bywały tam występy wileńskich artystów i ponadto, znane aktorki pracowały jako kelnerki. Ten nastrój „innego świata” wzmogło wspaniałe, serdeczne przywitanie Tadeusza przez Janę. Gdy go zobaczyła o mało nie upuściła niesionej tacy z talerzami – ale przytomnie, prawie rzuciła ją na najbliższym stoliku i już „zawisła” na szyi narzeczonego. Lubilem Janę i cieszyłem się z tego spotkania. Wiedziałem, że ono było celem naszej wileńskiej eskapady i w dużym stopniu – całej urlopowej wyprawy.

Sylwestrowy wieczór spędziliśmy w rodzinie państwa Radziunów – w ich mieszkaniu – i tu witaliśmy „Nowy 1944 Rok”. Wszystkie „znaki na niebie i na ziemi” wskazywały, że dla naszych Kresów będzie to rok decydujący o ich dalszym losie. Nastrój był autentycznie świąteczny i wyjątkowy. Życzenia, które sobie składaliśmy były oczywiście „prywatne”, ale też nieuchronnie nawiązywały do aktualnej i nadchodzącej sytuacji wojennej. Pan Józef – ojciec Jany i Hali, pracownik dykcji wileńskiego węzła kolejowego – ogłosił uroczyście, że życzy nam wszystkim żeby „*bolszewików diabli wzięli*”. Wówczas nie wiedział, że gdyby to życzenie się spełniło, to nie byłby w 1945 roku najpierw maltretowany w więzieniu, a później wywieziony do łagrow na dalekiej północy, gdzie spędził prawie 10 lat. Przeżył – bo był „złotą rączką” i reperował „naczalstwu” urządzenia elektryczne. Gdy spuchnięty z głodu – jak wielu łagierników – wrócił i jako repatriant znalazł się w Łodzi, wysyłał do Moskwy stanowcze pisma i domagał się zwrotu zegarka, który – jak twierdził – został mu ukradziony w wileńskim więzieniu. Miał pokwitowanie, więc gnębił nim Moskwę przez parę lat i o dziwo otrzymywał urzędowe odpowiedzi z licznymi „tłumaczeniami”. Choć życzenie pana Józefa się nie spełniło (zegarka też nie odzyskał) – okazało się po latach, że wiele naszych ówczesnych życzeń miało jednak „więcej szczęścia”.

W pierwszym dniu Nowego Roku, przyjechała do Jany – Marysia Moraczewska, która już przed paru miesiącami opuściła Andruszowce i mieszkała u rodziców w majątku Prunżany, niedaleko Wilna. Nasza obecność w Wilnie była dla niej prawdziwą niespodzianką! Radość była obopólna, więc po wymianie uścisków i życzeń oraz wzajemnym przekazaniu „rodzinnych nowin” – zaczęło się szukanie odpowiedzi na pytanie nieuniknione w takich sytuacjach: „*Co zrobić z tak pięknie zaczętym wieczorem?*”. U państwa Stabrowskich w Prunżanach „przechowywał” się, na „etacie pastucha”, pan Ludwik Sempoliński – znany wileński aktor. Musiał się ukrywać przed niemiecką policją, gdyż nie mogła mu darować prezentacji – przed wojną – świetnego satyrycznego skeczu poświęconego samemu „Führerowi”: „*Ten wąsik, ach ten wąsik, ten wzrok, ten łok, ten płąsik...*”^{*)} Z tej racji Marysia miała sporo znajomości w wileńskim artystycznym środowisku. Także Jana знаła parę „kelnerujących” aktorek. Poszła więc w ruch „pantoflowa poczta” w poszukiwaniu odpowiedzi na owo pytanie.



Jana była wówczas dziewczyną wyjątkowo urodziwą i przy tym bardzo sympatyczną. To zdjęcie z tamtych czasów

^{*)} Cytat z pamięci – może nie być ścisły.

W efekcie – pierwszy wieczór Nowego Roku świętowaliśmy w jednej z AK-owskich, wileńskich kawiarni (nazwy nie pamiętam) – na jej zapleczu w sporej sali. Było kilkanaście osób, przy kilku stołach i stolikach – z tym, że ich osobowa obsada ulegała szybkim zmianom. „Na przekór wszystkiemu”, panie były eleganckie, a niektórzy panowie – wytworni. Czułem się w tym towarzystwie trochę „złapany” – ale nastrój był swobodny, więc „nadrabiałem miną”. Rozmawiałem z paru – jak się okazało – partyzantami z wileńskich brygad – także urlopowanymi na święta. Jana, Hala i Tadeusz czuli się w tym towarzystwie „jak ryba w wodzie”. Było dużo toastów – niektóre były świetne i świetnie wygłoszone. Szczegóły zatarły się w pamięci, ale wiem, że odczułem wówczas wzmocnienie więzi z tą kresową inteligencją, i że to spotkanie mnie jakby „dowartościowało”.

Do Lidy wróciliśmy po dwóch dniach sposobem, który sprawdził się w drodze do Wilna. Przy kolejańskich znajomościach pana Józefa – okazało się to niezbyt trudne. Znów mieliśmy szczęście – dojechaliśmy bez komplikacji. Mama i Zosia miały pretensję, że za długo siedzieliśmy w Wilnie – więc staraliśmy się usprawiedliwić relacjami o noworocznych przygodach i rehabilitować serdecznością.

Tadeusz zgłosił się na punkt kontaktowy – podany, gdy odchodziliśmy z oddziału – żeby dowiedzieć się, gdzie kwateruje nasza kompania, i gdzie mamy zameldować się po zakończeniu urlopu. Zamiast tej informacji zastał wezwanie do „Warty”, wówczas Szefa Sztabu Nowogródzkiego Okręgu AK. Zdumionemu Tadeuszowi „Warta” przekazał jednoznaczny rozkaz. Nie wracamy do oddziału. „Rawicz” ma objąć funkcję komendanta placówki w Hermaniszkach koło Werenowa, między Lidą a Wilnem. „Dzik” ma się udać na wskazaną „melinę” w rejonie Radunia i oczekiwać tam na rozpoczęcie kursu podchorążówki, organizowanego przez Komendę Okręgu. Było trochę zdziwienia, ale rozkaz był zrozumiały. W kompanii „szczuczyńskiej” nie brakowało kadry, a Tadeusz – „niespalony” na terenie Werenowa mógł być tam bardziej potrzebny. Ja jako kapral z naturalnym cenzusem byłem naturalnym kandydatem na kurs podchorążówki, o którym w Batalionie Nadniemeńskim mówiło się od dawna.

Później dowiedzieliśmy się, że decyzje podjęte przez Komendę Okręgu miały swe „drugie dno”. Ich główną przyczyną był konflikt, który wystąpił w tym czasie między „Lechem” i „Borsukiem” oraz jego Sztabem. Podłożem konfliktu była nadzwyczaj trudna sytuacja, w jakiej znalazł się w tym czasie Batalion Zaniemeński – przekształcany właśnie w Zgrupowanie Batalionów 77 pp AK. „Zimowanie” na bezleśnym, prawobrzeżu Niemna – gęsto zasiedlonym polską ludnością – groziło tej ludności pacyfikacją (podobną do tej, która w lipcu 1943 roku spotkała Naliboki). Polskim oddziałom AK natomiast groziło „wepchnięcie w objęcia” partyzantki sowieckiej – pięciotysięcznej w Puszczy Zaniemeńskiej lub dziesięciotysięcznej w Puszczy Nalibockiej.

„Lech”, w dotychczasowych walkach z Sowietami, stracił na południowym skraju Puszczy Rudnickiej swego najbliższego przyjaciela i zastępcę – „Kubusia” (ppr. Tadeusza Brykczyńskiego), z którym został przez Komendę AK skierowany na Nowogródczyznę. Wiedział też o wiarołomnym (po zaproszeniu dowódców na „przyjacielskie rozmowy”) zlikwidowaniu Batalionu Stołpeckiego (1.12.1943 r.) – zgodnie ze znanym rozkazem gen. Ponomarenki w sprawie bezwzględnego rozbijania oddziałów AK.

W takich okolicznościach „merytorycznych i emocjonalnych” – w połowie grudnia, za pośrednictwem sołtysa z Niecieczy – „Lech” otrzymał od Niemców propozycję zawieszenia broni i wsparcia w walce z bolszewikami, dostawami broni oraz amunicji. „Lech” tę propozycję przyjął i – jak napisał w swym „Oświadczeniu” – postanowił „(...) podjąć tę grę, traktując ją jako podstęp wojenny (...) Kiedy będziemy mieli broń od nas tylko zależy, przeciw komu ją użyjemy”¹⁶⁾. O swym zamiarze poinformował „Borsuka”, w czasie świąt Bożego Narodzenia, które „Borsuk” spędzał w Zgrupowaniu. Dalszy bieg wypadków jest przedstawiany inaczej przez „Borsuka”¹¹⁶⁾ i „Wartę”¹¹¹⁾ w ich relacjach – a inaczej we wspomnianym „Oświadczeniu” „Lecha”, opublikowanym przez Jana Erdmana¹⁶⁾. Jest jednak pewne, że w tym czasie Komenda Okręgu do zamiarów „Lecha” miała, co najmniej poważne zastrzeżenia. Jest więc bardzo prawdopodobne, że przyczyną decyzji Komendy Okręgu w sprawie wycofania Tadeusza i mnie z kompanii „szczuczynskiej” było ujawnienie przez „Lecha” swoich zamiarów w czasie świąt Bożego Narodzenia. Warto podkreślić, że zastrzeżenia do działań „Lecha” były wyśuwane przez Komendę Okręgu mimo, że wcześniej w podobnej sytuacji „nadzwyczajnej konieczności” – było już za jej wiedzą zawarte (9.12.1943 r.) podobne porozumienie przez Batalion Stołpecki. Batalion ten był wówczas odbudowywany przez por. cc Adolfa Pilcha („Górę”), po uprzedniej likwidacji dokonanej przez Sowietów.

„Lech” swój zamiar zrealizował i porozumienie zawarł, przy bliskiej współpracy „Ragnera”. Najbardziej obiektywne naświetlenie tych działań – na podstawie analizy dokumentów nie tylko strony polskiej, lecz także niemieckiej – podał K. Krajewski. „Z obu dokumentów widać, że nie ma tam mowy o żadnej »współpracy« czy »kolaboracji« z Niemcami (...) Nie ma też mowy o wspólnych operacjach przeciw bolszewikom, czy podporządkowaniu w jakikolwiek sposób oddziałów polskich stronie niemieckiej (...) Zawarty rozjem umożliwił oddziałom polskim nad Niemnem przetrwanie zimy 1943/1944 r. oraz ich znaczną rozbudowę, zaś ludność cywilną ochronił od niemieckich represji. Na pozostałych terenach Nowogródzkiego Okręgu AK (w północnej części Ośrodka Lida, w Ośrodkach: Szczuczyn, Iwje-Juracziszki oraz w Inspektoracie Baranowickim) toczyła się nadal walka z Niemcami prowadzona przez oddziały AK”²⁹⁾.

Mój pogląd na działania podjęte przez „Lecha” i „Ragnera” – a wcześniej przez „Górę” w rejonie Nalibok – jest zdecydowanie aprobujący. Jeżeli się walczy równocześnie z dwoma wrogami – wówczas, w sytuacji krytycznej – zawarcie okresowego, lokalnego rozejmu i także uzyskanie pomocy od jednego z nich – jest objawem rozsądku, a nie zdradą polskich interesów. Tym bardziej, że rozejm został zawarty z wrogiem, który nie zagrażał trwałą aneksją Kresów – a był wykorzystywany głównie przeciw temu wrogowi, który stanowił to zagrożenie. Uważam, że wyrok sądu polowego powołanego przez Komendę Okręgu Nowogródzkiego – przed którym 10/12.03.1943 r. został postawiony „Lech” – „*kara śmierci za niesubordynację i niewykonanie rozkazu*” – był błędny i niesprawiedliwy. Na szczęście „Kotwicz”, który w lutym 1944 roku został przez Komendę Główną skierowany do Nowogródzkiego Okręgu z zadaniem rozpatrzenia tej sprawy – „*wykonanie wyroku odroczył do zakończenia wojny, z prawem („Lecha”) do rehabilitacji na polu walki, na innym terenie*”.

Lokalne porozumienia i zawieszenia broni między walczącymi stronami były zawierane „od zawsze” – również w czasie I i II wojny światowej. Na Nowogródczyźnie przybierały często postać handlu zamiennego. „*D-ca V batalionu major Truszkowski („Sztremer”) wymienił z Hauptmanem z Ejszyszek – masło i kielbasę na dwie skrzynki amunicji*”¹¹²⁾. Podobnie: „*Por. „Krysia” d-ca II batalionu 77 pp wymienił w Bartoszunach 20 jeńców niemieckich na dwa wozy amunicji, dwa rkmy i dwie skrzynki granatów*”¹⁰⁷⁾. Wiem, że dwa ostatnie przykłady różnią się istotnie od porozumienia zawartego przez „Lecha”, bo ono – swą dużą skalą – mogło grozić konsekwencjami politycznymi. Uważam jednak, że również Jego układ był swoistym porozumieniem „handlowym” – niemającym nic wspólnego z kolaboracją czy zdradą. Sama tylko „*niesubordynacja i niewykonanie rozkazu*” wydane przez komendanta Okręgu – w ówczesnych okolicznościach – nie kwalifikowały się do karania wyrokiem śmierci. Po wyroku „Lech” zgłosił się w Komendzie Głównej AK w Warszawie i pod pseudonimem „Kmicic” wykonał na jej zlecenie szereg trudnych bojowych zadań. Gdy już po wojnie, jako Świda, zgłosił się w Ankonie do gen. Andersa i stanął do raportu w sprawie wyroku śmierci i rehabilitacji – „*ten (jak relacjonuje Jan Erdman) objął go i lekceważąco machnął ręką. O czym ty mówisz, synku (...) to dziś sprawy bez znaczenia (...)*”¹⁶⁾. Istotne natomiast jest to, że podchorąży, później rotmistrz Józef Świda – urodzony na Polesiu w majątku Malecz – był wielkim patriotą; był ranny w kampanii wrześniowej 1939 roku, a po wyleczeniu dalej walczył u Hubala; później w szeregach AK: działał w wywiadzie i walczył w nowogródzkiej partyzantce, jako jej wybitny organizator i dowódca; był dwukrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych! Zmarł na obczyźnie.

Tadeusz od razu – po otrzymaniu rozkazu – udał się na placówkę w Hermaniskach. Po pewnym czasie – gdy się tam dobrze zainstalował

– ściągnął do siebie Mamę i Zosię. Ulokował je na konspiracyjnej kwaterze w zaścianku Dowgiałły. Były pod jego opieką do kwietnia 1944 roku, kiedy w ramach przygotowań do akcji „Burza” został zmobilizowany do 1. szwadronu 26. p.uł. AK i został w nim z-cą dowódcy ppor. „Ślepowrona” (Tadeusza Dietricha). Od czerwca 1944 roku dowodził w tym szwadronie drugim plutonem, nadal pełniąc funkcję z-cy „Ślepowrona”. Głównym zadaniem szwadronu, który w okresie akcji „Burza” liczył około 100 kawalerzystów, było osłanianie sztabu „Borsuka” oraz służba rozpoznawcza i patrolowa²⁹).

Ja natomiast – na wskazanej „melinie”, przez cały miesiąc czekałem na uruchomienie kursu podchorążówki. Nudziłem się straszliwie, bo wymogi konspiracji ograniczały swobodę poruszania się. Na szczęście „na melinie” był nasłuch radiowy. Wydarzeniem, które w tym czasie najbardziej przeżywałem, było przekroczenie przez Armię Czerwoną przedwojennej granicy między Polską a ZSSR – czwartego stycznia 1944 roku, w rejonie Sarn na Wołyniu. W związku z tym Rząd Polski w Londynie wystąpił z deklaracją w sprawie dalszego prowadzenia działań wojennych przez Polskie Siły Zbrojne, za granicą i w Kraju. Równocześnie wyraził gotowość podjęcia rozmów w tej sprawie z Rządem Związku Radzieckiego. Jednak Stalin odmówił przystąpienia do rozmów i odrzucił pośrednictwo Mocarstw Sojuszniczych. Argumentował cynicznie, że wojska sowieckie granicy z Polską jeszcze nie przekroczyły, gdyż zgodnie z konstytucją ZSSR „Zachodnia Ukraina” i „Zachodnia Białoruś” wchodzi w skład Związku Radzieckiego. Oburzenia i wściekłości wywołanej takim stanowiskiem i tą argumentacją – nie umiem opowiedzieć – ale jeszcze groźniejsza była „bezradność” naszych aliantów. Przyszłość zaczęła się rysować w kolorze czarniejszym niż dotychczas. Na szczęście te fatalne wiadomości – w moim odbiorze – przekładały się na tym niecierpliwie oczekiwanie na uruchomienie zajęć podchorążówki.

Jakoś na początku lutego okazało się jednak, że zapowiadany kurs w ogóle się nie odbędzie – prawdopodobnie w związku z sytuacją, która zaistniała w Zgrupowaniu Nadniemeńskim. Ja natomiast mam się zgłosić w 5. kompanii II Batalionu 77 pp AK – we wskazanym miejscu jej postoju.

U „Antoniego” – początki

Gdy zameldowałem się u dowódcy wskazanej kompanii – okazało się, że jest nim „Antoni”, z którym niespełna przed pół rokiem zegnałem się w Szczuczynku. Gdy do „Krysi” dotarł rozkaz z Komendy Okręgu, aby przejął mnie do swego batalionu – i gdy o tym dowiedział się „Antoni” – „zapotrzebował” mnie do swojej kompanii. Zaproponował mi funkcję swego adiutanta. Oczywiście propozycję przyjąłem z radością. Perspektywa znalezienia się w nowej drużynie – wśród nieznanych kolegów – była niewątpliwie mniej atrakcyjna.

Tak więc poprzednia, raczej dorywcza znajomość z „Antonim” zmieniła się w bliskie, partyzanckie współbytovanie, a z czasem również w szczerą przyjaźń. Nie mogły w niej oczywiście nie odgrywać roli różnice wieku, szarży i służbowego podporządkowania. Rocznik 1906 i 1923; rotmistrz i konspiracyjny kapral z cenzusem; komendant i adiutant. Ale niewątpliwie była to przyjaźń, a z mojej strony pełne szacunku uznanie dla walorów tego dowódcy i człowieka.

„Antoni” nie budował swego autorytetu, krzykiem i „opeerem”. Dowodził „cicho”! Spokój i opanowanie, które obserwowałem w kontaktach konspiracyjnych, tu w partyzanckiej kompanii były jeszcze wyrazistsze. Było też zawsze wszechstronne rozpatrzenie sytuacji, namysł oraz wynikająca stąd stanowczość i zdecydowanie, które utrzymywały dyscyplinę żołnierzy i dowódców niższego szczebla o wiele skuteczniej niż popularne (niestety) „opieprzanie” i „koszarowa łacina”.

Wymaganie ładu i porządku umacniał z-ca „Antoniego” por. „Las” (Bolesław Sztrom), który zawsze był tam, gdzie powinien być, żeby kompania partyzancka była wojskiem. Warunki po temu już były, bo gdy przyszedłem, kompania miała za sobą kilka akcji. Broni było pod dostatkiem. Kompania była w pełni umundurowana. Była *biedka* na ciężki karabin maszynowy i amunicję (dwukołowy konny wózek), kuchnia polowa i „wóz żywnościowy”. Był nawet oficer oświatowy, por. „Luśnia” (NN), który w moich wspomnieniach wiąże się zawsze z powiedzonkiem: „Dobrym wszędzie dobrze będzie, a złym zawsze kwas”. To było „porządne” wojsko!



Ppor. Jan Borysewicz („Krysia”), dowódca oddziału 312; później dowódca II Batalionu 77 pp AK i „Zgrupowania Północ”

Szybko poczułem się w tym wojsku bardzo dobrze. Miałem „szmajsera” i zgrabny pistolet „Waltera”. Niemal dobrowolnie wyciągnął tę broń z walizki w swojej sypialni i wręczył mi ciężko przestraszony „Troihänder” – Niemiec – zarządca majątku, którego nazwy nie pamiętam. Wybrał się tam „Antoni” ze mną i oczywiście z obstawą. Wiedzieliśmy, że jest to „porządny Niemiec”, ale trzeba go było „wykurzyć”, żeby nie zawadzał w terenie, który systematycznie był przez nasze oddziały oczyszczany. Po rozmowie z „Antonim” wyniósł się w wyznaczonym terminie.

„Antoni” nie nakładał na swego adiutanta dokuczliwych obowiązków. W marszach i wyjazdach musiałem mu towarzyszyć, ale na postojach, dość często, mogłem się „urywać” na towarzyskie wizyty w zaprzyjaźnionych drużynach, gdzie z rówieśnikami, na słomie w stodole, czy na zydłu w chałupie – można było obgadywać bieżące i przyszłe sprawy. Może dlatego, że

miałem już wcześniejszy staż u „Lecha” – ob-
racałem się w trybach partyzanckiego byto-
wania bez żadnych trudności. Warunki tego
bytowania na terenach zajmowanych przez II
batalion „Krysi” były zresztą znacznie łatwiej-
sze niż na terenach nadniemeńskich – a i Niem-
cy wiosną 1944 roku byli już znacznie mniej
pewni siebie i wyraźnie słabsi.

„Antoni” – tak jak większość oddziałów
„Krysi” – nie uznawał długich, wielotygo-
dniowych postojów, co było już w tym czasie
charakterystyczne dla niektórych batalionów.
Piąta kompania była „lotna”. Marsze nocne
– później, coraz częściej również dzienne
i krótkie spanie na kwaterach – to była co-
dziennność. Jakieś odprawy i powszednia krzą-
tanina; bieg do któregoś z dowódców na dru-
gim końcu wsi czy kolumny marszowej; no
i posiłki, które w towarzystwie „Antoniego”
były miłym przerwaniem. Umiał być ujm-
jący, czasem kpiący, czasem dowcipkujący i wesoły. Chętnie też przy kolacji
„strzelał kielicha” chłopskim samogonem, zwłaszcza gdy po temu była oka-
zja; jakieś wydarzenia na frontach dalekiej jeszcze wojny lub w bliskiej nam
partyzanckiej wojaczce.

W sumie jednak, codzienny partyzancki żywot pędzony u „Antoniego”
zlewa mi się w pamięci w film, jakby prześwietlony. Jeszcze mniej szczegó-
łów, dat czy nazw, o które można zaczepić pamięć niż z okresu, w którym
„debiutowałem” u „Lecha”. Tylko w niektórych odcinkach tego filmu, gdy
wypadki burzyły normalność – epizody i kadry filmu są wyraźniejsze lub
wcale wyraźne. Choć są to niestety epizody wyrywkowe – próbuję przywołać
je i przybliżyć okres służby u „Antoniego” – przynajmniej momenty szcze-
gólne i sytuacje wyjątkowe.

Epizod 1. Wkrótce po moim dołączeniu do Kompanii „Antoniego”
otrzymaliśmy do wykonania – wspólnie z UBK – zadanie zlikwidowania
bazy wypadowej założonej przez Sowietów w prawosławnej wsi Brzozowce,
niedaleko Ostryny (15.02.1944 r.). Znałem tę wieś, bo sąsiadowała z Kulba-
czynem. Już przed wojną wuj Skawiński mówił, że jest skomunizowana, i że
„siedzi tam bolszewicka jaczejka”. We wsi zastaliśmy pododdział Brygady
im. Lenińskiego Komsomołu, który podjął walkę. Zdecydowany atak na-
szych dwóch kompanii – dysponujących znaczną przewagą w liczbie żołnie-
rzy i sile ognia – dość szybko zmusił Sowietów do ucieczki. Zginął wówczas
dowódca Brygady, który akurat kwaterował w Brzozowcach – i także jego



„Puszczyk”¹³³⁾ i „Antoni” na ganku party-
zanckiej kwatery



Tyraliera kompanii UBK w akcji na Brzozowce



Henryk Wilkojć jako uczeń przedwojennego gimnazjum w Wilnie

adiutant. Jaczejka, wcześniej rozpracowana przez nasz wywiad, została zlikwidowana.

Epizod 2. Był chyba koniec marca. „Antoni” i jego „siatka” w Wasiliszkach potrzebowali pieniędzy na regulowanie należności za pobieraną żywność, na pomoc rodzinom „spalonym”, przechowywanym, „na melinach”, czasem na wykupywanie od Niemców swoich ludzi zagrożonych wywózką na

roboty itd. Ludzie, którzy nie poszli z nim w pole – przygotowali „pobranie” pieniędzy z banku zlokalizowanego w Wasiliszkach, w rynku, w sąsiedztwie siedziby żandarmerii i innych chronionych urzędów. W banku nie było posterunku. We wskazanym przez „siatkę” dniu, ktoś z oddziału miał wejść, sterroryzować personel i klientów banku, wziąć kasę i wycofać się z miasteczka.

Naparłem się, że ja to załatwię – byłem od niedawna w oddziale i chciałem się trochę „pokazać”. Argumentowałem, że w Wasiliszkach mnie nie znają, a sprawa jest prosta. „Antoni”, jak zawsze rozważał okoliczności, tłumaczył, że sprawa wcale taka prosta nie jest, bo może zjawić się przypadkowy żandarm czy białoruski policjant; ktoś niewtajemniczony z personelu może zaalarmować Niemców; mogą oni w czasie odskoku zorganizować pościg, a przecież dysponują samochodami i motocyklami itd. Ale w końcu ustąpił. Przy pożegnaniu miał twarz wyjątkowo poważną. Ten wyraz twarzy obserwowałem później u „Antoniego” wiele razy, gdy ryzykował życiem swoich żołnierzy. Pewnie każdy dowódca przeżywa te sytuacje, ale „Antoni” – tak sędzę – nigdy nie przyzwyczaił się do nich i autentycznie był nimi przejęty.

W pamięci pozostała mi wielogodzinna droga chłopską furmanką do Wasiliszek w towarzystwie obstawy: „Sokolicza” (kpr./plut. Henryka Wilkojcia) i dwóch żołnierzy z jego drużyny. Z „Sokoliczem” byłem już w tym czasie zaprzyjaźniony bardziej niż z innymi rówieśnikami. Zanim został przeniesiony do „Antoniego” był u „Ragnera” a jeszcze wcześniej – w wileńskim więzieniu i to na liście AK-owców skazanych na rozstrzelanie. Został uprzedzony w przeddzień egzekucji – przez pracownika kancelarii, też więźnia, że jest na liście – więc nie mając nic do stracenia uciekł „w biały dzień”, gdy z grupą więźniów został wyprowadzony do wykonywania jakiegoś zadania za mury więzienia. O tym, że kancelista nie kłamał dowiedział się w 1996 roku, gdy pani Halina Pasierbska-Wójtowicz¹⁰⁶⁾ – na podstawie źródeł niemieckich – opublikowała

listę Polaków rozstrzelanych w Wilnie na Ponarach dnia 12.05.1942 roku. Na tej liście znalazł siebie. Prawdopodobnie więzienni strażnicy woleli nie przyznać się do ucieczki więźnia i pozostawili go na liście rozstrzelanych.

Po przyjeździe do Wasiliszek pamiętam dotarcie do punktu kontaktowego... rozpoznanie wnętrza banku i drogi odskoku... i na końcu informację, że nie dowieźli pieniędzy z Lidy. Pieniądzy jest tak mało, że „skok” nie jest celowy. Znowuż wielogodzinny nocny powrót do Oddziału, i wyraźnie ucieszona naszym powrotem twarz „Antoniego”, gdy składałem meldunek o nieudanym wypadzie. Brak pieniędzy zbagatelizował, a sprawę finansowych potrzeb rozwiązał inaczej.

Epizod 3. Któryś z naszych patroli, gdzieś w końcu kwietnia, zatrzymał poszukiwanego od dawna konfidenta, znanego pod przezwiskiem „Cygan”. Rzeczywiście był Cyganem; człowiek po pięćdziesiątce, krępy i silny. W jesieni 1943 roku, gdy Niemcy na terenach Wasiliszki-Sobakińce prowadzili aresztowania polskiej inteligencji zaangażowanej w konspiracji – „Cygan” wskazywał poszukiwanych. „Antoni” zarządził przesłuchanie w celu uzyskania nazwisk innych niemieckich konfidentów, z którymi „Cygan” współpracował. Prowadzenie przesłuchania zlecił „Gilowi” (ppr. Edwardowi Jodko), szefowi kompanii, człowiekowi sympatycznemu i pogodnemu, lubianemu przez wszystkich żołnierzy. Prawie całą rodzinę „Gila” Niemcy rozstrzelali, a on, gdy uciekał, widział „Cygana” wśród żandarmów.

Szpicel nie chciał podać żadnego nazwiska. Przesłuchanie było „twarde”. „Antoni” kazał mi pilnować okna, a sam z kamienną twarzą siedział przy drzwiach. Nigdy ani przedtem, ani potem nie widziałem go w takim stanie zawziętości. W pewnym momencie podszedłem do „Antoniego” i cicho powiedziałem: „Trzeba z tym skończyć”. Odpowiedział: „Musimy zlikwidować współników”.

Nie umiem powiedzieć jak długo trwało to przesłuchanie. W końcu, szef kompanii, z pobladłą twarzą uznał: „On nic nie powie”. „Antoni” kazał wywieźć szpicla poza wieś i zlikwidować. Jak się później dowiedziałem – chłopcy, których rodziny były ofiarami „Cygana” – sami zdecydowali, że trzeba go zakopać na drodze, żeby wszelki ślad po nim zagał. W rozmowach z „Antonim” zastanawialiśmy się, co mogło tego człowieka skłaniać do tak niebywałego uporu. „Antoni” powiedział: „*nadzieja, że gdy się nie przyzna ujdzie z życiem*”. Ten domysł był chyba trafny.

Epizod 4. Akcję na miasteczko Raduń w nocy z 21 na 22 maja 1944 roku opisał dość szczegółowo por. „Las”¹¹⁷⁾ i Mieczysław Pujdak („Krzak”)¹⁰⁵⁾. Opuszczę więc relację o ogólnej sytuacji i planie akcji, przechodząc od razu do wrażeń, które zachowały się w pamięci. Otóż, gdy staliśmy na starym cmentarzu, za typowym kamiennym ogrodzeniem, gdzie „Antoni” wyznaczył swój punkt dowodzenia – najbardziej dało się wszystkim we znaki wielogodzinne oczekiwanie. Wybuch ładunku, który o 22⁰⁰ miał wysadzić wieżę

obserwacyjną „Luftwaffe” z gniazdem karabinów maszynowych i miał być sygnałem do ataku na żandarmerię – nie następował. „Antoni” klął jak „szewc”, co mu się rzadko zdarzało i czekał – ale nerwowość wzrastała.

Już dobrze nad ranem, rezygnując z przewidzianego sygnału, „Antoni” ruszył pluton chorążego „Chmury” (sierż. Franciszka Madońskiego) i pozostałe plutony. Zaczął się jazgot broni maszynowej i stęknienia granatów, a na nas sypały się gałęzie z cmentarnych drzew, ścinane seriami karabinów maszynowych ustawionych na wieży „Luftwaffe”. Po krótkim czasie przeniesiono chorążego „Chmurę” z biodrem i nogami przestrzelonymi w drugiej fazie ataku. Leżąc na noszach raportował „Antoniemu”, że *„chłopcy szli tyralierą jak na pokazie”*, że *„bunkry jeszcze się bronią, ale nie wytrzymają”*! Starszy już człowiek imponował zapalem i bitewnym animuszem. „Antoni” zwolnił mnie na rozpoznanie sytuacji. Przeskoczyłem cmentarne ogrodzenie i biegłem w dół – w mrok i mgiełkę prześwieconą już zbliżającym się wschodem słońca i w trwającą jeszcze strzelaninę. Właściwie walka już dogasała. Jeszcze kilka serii rkm-ów i kilka wybuchów granatów. Potem wołanie „nicht schiessen”^{*)} i z obunkrowanych budynków zaczęli wychodzić z podniesionymi rękami żandarmi i białoruska policja – zresztą częściowo współdziałająca z AK. „Antoni”, który wcale nie czekał na mój powrót i meldunek z rozpoznania – wkrótce był już na miejscu. Kazał mi wziąć paru ludzi i spalić most na Radunce, od strony Ejszyszek. Złapałem jakąś podwodę, wrzuciliśmy na nią beczkę benzyny z żandarmskiego garażu i galopem zawieźliśmy na most. Sprawę załatwiło otwarcie zakrętki, kilkakrotne przetoczenie beczki po drewnianym moście i strzał z raketnicy, która stanowiła wyposażenie adiutanta.

Gdy wróciłem, płonął budynek żandarmerii i trwało sprawne ładowanie łupów na kilkadziesiąt furmanek zorganizowanych przez „siatkę”. Kompania miała pięciu rannych, ale Niemcy mieli pięciu zabitych i trzech ciężko rannych. Przy tym: *„Zdobycz była obfita: radiostacja, 5 ciężkich karabinów maszynowych, 11 rkm-ów, około 500 granatów, przeszło 60 karabinów i ponad 30 tysięcy sztuk amunicji karabinowej (...) pistolety, mundury (...)”*¹⁰⁵⁾. „Antoni” spokojnie przechadzał się po placu, na którym stało w szeregu kilkunastu Niemców. Wysoki – w oficerskim mundurze, w pasie z koalicijką i pistoletem przy boku – wyglądał okazale. „Jastrząb” (Witold Fiedosiewicz – jeżeli dobrze pamiętam dowódca 3 plutonu) – przed frontem ustawionych Niemców, coś krzyczał z pistoletem w ręku do „szwarzpolicaja”^{**)} wyższej szarży. Ten miotał się i coś tłumaczył – aż raptem „Jastrząb” strzelił do niego raz i drugi, zabijając na miejscu. Zdumiony spojrzałem na „Antoniego”, który ze stężałą twarzą tylko kiwnął głową.

^{*)} Nie strzelać.

^{**)} Białoruska policja w czarnych mundurach.

Wśród śmiertelnie pobladłych Niemców odezwały się głosy: „Nein, nein”^{*)} – widocznie myśleli, że czeka ich to samo.

Ale oni w kilka dni później zostali wymienieni na kilkudziesięciu naszych ludzi z więzienia w Lidzie, wskazanych przez Komendę Okręgu, a wyrok wykonany publicznie na renegacie, który wysługiwał się okupantowi, miał być przestrożą dla innych. „Czarni policjanci”, którzy pomogli w rozbiciu niemieckiej załogi Radunia i byli „spaleni”, dołączyli do oddziału. Wymiana 22 żandarmów i lotników na więźniów z Lidy – była wydarzeniem, które długo było tematem komentarzy i opowiadań¹⁰⁵⁾.

Epizod 5. Po akcji na Raduń, „Antoni” jakby nabrał „apetytu” i jeszcze większej wiary w swoją kompanię. Istotną przyczyną wzmożonego optymizmu – nie tylko naszego dowódcy, lecz także szeregowych żołnierzy – były informacje czerpane z nasłuchu – przekazywane nam w tym czasie przez „siatkę”. Nareszcie nastąpiła tak długo oczekiwana inwazja aliantów we Francji. Lądowanie, rozpoczęte 6 czerwca 1944 roku, wojsk brytyjskich, kanadyjskich, polskich i amerykańskich na plażach Normandii – wyrwało z piersi całego partyzanckiego wojska autentyczne „westchnienie ulgi”. Wcześniejsze wiadomości o walkach Armii Andersa w Apeninach o otwarcie drogi na Rzym – i nawet informacja o zdobyciu przez Polaków klasztoru na Monte Cassino (18.05.1944 r.) – nie wywołały ani ułamka tych emocji, które wzbudziła inwazja w Normandii. Amplituda wiary w naszych aliantów znów poszybowała w górę. „Antoni” właśnie w tym czasie zaplanował rozbrojenie dużego garnizonu w Bieniakoniach – liczącego około 300 „Szaulisów” – formacji litewskiej w służbie niemieckiej. Zamierzenie było odważne, ale nie było bez szans, bo przypadki rozbrajania „Szaulisów” były już znane, zwłaszcza w okręgu wileńskim – nawet oddziałów liczących 100 i więcej żołnierzy. W nocy podeszliśmy z kilku stron pod obunkrowane koszary i zajęliśmy pozycje ogniowe. Nie pamiętam czy w akcji brały udział inne kompanie „Krysi”, ale chyba były na ubezpieczeniu.

Plan „Antoniego” był pokerowy. Polegał na uprzedzeniu garnizonu, że jest okrążony i postawieniu ultimatum: *„Jeżeli do godz. 24⁰⁰ złożycie broń – pójdziecie wolni do domu; jeżeli nie – atakuję”*. Dobrze przed północą chłop występujący w charakterze emisariusza zaniósł ultimatum dowódcy „Szaulisów” ... a my rozłożeni na stanowiskach zaczęliśmy niecierpliwe oczekiwanie. „Antoni” był wyraźnie podniecony, ale podnieceniem „beztroskim”, właśnie pokerowym.

Patrzyliśmy z niecierpliwością na zegarki, w zupełnej ciszy. I właśnie tę ciszę, punktualnie o 24⁰⁰, rozdarł piekielny huk broni maszynowej. Nigdy ani przedtem, ani potem, nie słyszałem takiej palby. „Szaulisi” walili ze wszystkiego co mieli, a mieli kilkanaście ciężkich i kilkadziesiąt lekkich karabinów

^{*)} Nie, nie!

maszynowych, automaty i broń zwykłą. Światłne pociski szły nad głowami jakby falami, a przykoszarowe bunkry i pozycje ogniowe dosłownie świeciły. Demonstrowali swą siłę dobrych parę minut. „Antoni” nie odpowiedział ogniem i nie podjął ataku. Był rozzaczarowany, ale skwitował całą sprawę spokojnie: „*Nie udało się*”. Wycofaliśmy się cicho, bez żadnych strat.



Pogrzeb por. „Ponurego” w Wawiórcie 17.06.1944 r. Od lewej idą: por. „Kwaśny”, por. „Ostoja”, pplk „Borsuk”, kpt. „Warta”

Epizod 6. Gdy 16 czerwca szliśmy na „Stützpunkt” Krakszle – na obrzeżach Puszczy Ruskiej – wiedzieliśmy, że inne kompanie „Krysi” będą „robić” sąsiednie punkty graniczne, ale o tym, że bardziej na południu „otwiera granicę” również VII Batalion „Ponurego” – nie wiedzieliśmy. To wówczas – w tym

samym dniu – zginął „Ponury” w akcji na „Stützpunkt” Jewłasze. W istocie punkt ten był zlokalizowany dość daleko od tej wsi – tuż koło folwarku Makasiowszczyzna (przypominam: należącym do rodziny Cholewów, str. 42, 48). Kapral „Oczko” (Mietek Cholewa) twierdził, że „Ponury” pewnie by nie zginął, gdyby uderzenie zostało poprowadzone od strony folwarku Makasiowszczyzna, a nie od Jewłasz i Nomejek – ale los chciał inaczej.

Wówczas, w ataku 5. kompanii na Krakszle – „Antoni” pozwolił mi dołączyć do drużyny „Sokolicza”. Moja przyjaźń z nim już w tym czasie mocno okrzepła. Twierdził nawet, że uratowałem mu życie, bo gdy przed paru tygodniami szliśmy tyralierą przez las w akcji przejęcia dwóch sowieckich spadochroniarzy „namierzonych” przez naszą „siatkę” – pierwszy ich zauważyłem na skraju lasu i krzyknąłem „padnij”. Serie z sowieckich automatów rzeczywiście przeszły tuż nad naszymi głowami, a „Sokolicz” twierdził, że „*było by po mnie gdybym ciebie nie posłuchał*”. Pewnie przesadzał, ale twierdził to również po blisko pięćdziesięciu latach, gdy ponownie spotkaliśmy się w 1991 roku.

Uderzenie na Krakszle szło koncentrycznie na zabudowania położone na niewielkim wzniesieniu nad rzeką. Drużyna „Sokolicza” wraz z całym plutonem obchodziła miejscowość z prawej strony niewielkim parowem. Gdy wyszliśmy na odległość około 150–200 m od stodół i zabudowań – rozwinęliśmy się w tyralierę i biegliśmy przez pole lekko pod górę. Z lewej strony na sąsiednim odcinku, już od pewnego czasu jazgotała strzelanina. W każdej chwili spodziewaliśmy się ognia, a stanowiliśmy idealny cel. Pamiętam, że

biegnąc w tyralierze wysapałem do przyjaciela: „*tu mogą nam dać w d...*”. Ale ognia nie było. Niemcy naciskani na drugim skrzydle zorientowali się, że mają jeszcze wolny odwrót przez most na drugą stronę rzeki. Wbiegliśmy na ich opuszczone stanowiska pod starymi drzewami, na skraju zabudowań – „*jeszcze ciepło*”. Ostrzelaliśmy na wszelki wypadek podwórka i drogę... i było po emocjach.

Odszukałem „Antoniego” – był wściekły. Taczanka z ckm-em miała wcześniej, w innym miejscu, przejść rzeką i „zaryglować” most z drugiej strony, żeby – jak się wściekał „Antoni” – „*żywa noga nie uszła*”. Ale „Karski” (Roman Roznatowski), dowódca drużyny ckm – zziębnięty i przejęty zjawiał się na moście dobre pół godziny po akcji. „Antoni” nie chciał słuchać żadnego tłumaczenia, wyjaśnień o zabłądzeniu w puszczy itd. „*Żeby tak spać robotę*” – nie mógł przeboleć – choć osiągnięto cel uderzenia i spalony „Stützpunkt” przestał istnieć. Na długości blisko 100 km – wzdłuż Puszczy Ruskiej – hitlerowska granica dzieląca ziemie polskie między „Raich” i „Ostland” została otwarta dla przewidywanej akcji „Burza”.



Kpr. Roman Roznatowski („Karski” – z ręką na temblaku); obok Witold Gajewski („Witek”) – 1/26 p.uł. AK

Ponowne wejście Armii Czerwonej na Kresy

Wszystkie obrazy następnych tygodni są w mej pamięci bardziej zatarte i mniej w nich „ostrych klatek” niż w wielu wcześniejszych.

Epizod 7. W końcu czerwca wzmagало się napięcie wywołane informacjami o bliskiej (lub już rozpoczętej) ofensywie Sowietów na froncie północnym i na Białorusi. Duże wrażenie zrobiła wiadomość o odwołaniu „Borsuka” z funkcji Komendanta Okręgu Nowogródzkiego. „Antoni” przyjął tę wiadomość źle. Znał „Borsuka” jeszcze z okresu konspiracji w Wasiliszkach – miał zaufanie do jego doświadczenia i znajomości terenu. Zaczął mniej czasu spędzać w swojej kompanii. Często bywał w tym czasie w sztabie batalionu i także w sztabie „Borsuka”, który był już w „polu”, przeważnie w pobliżu II batalionu „Krysi” lub VII batalionu teraz (po śmierci „Ponurego”) dowodzonego przez „Ostoję”.

Tematem rozmów i sporów – nie tylko na poziomie dowództwa – była ogólna sytuacja oddziałów AK w warunkach zbliżającego się frontu i plany



Od lewej: ppłk „Borsuk”, ppłk „Poleszuk” (w głębi) ppłk „Wilk”, na przeglądzie V batalionu w Rokliszkach. Przegląd dokonywany w naszym II batalionie – wyglądał podobnie

dalszego działania. Wszyscy byliśmy niepewni i czuliśmy się niedoinformowani.

Ale gdy 2 lipca, po długim marszu, batalion „Krysi” był w Żemojczyskach, pod Werenowem wizytowany przez „Wilka” w obecności poprzedniego i nowego Komendanta Okręgu – wszyscy byliśmy bardzo przejęci. Wojsko ustawione w długim dwuszeregu, na rozległej leśnej polanie – prezentowało się dobrze. Wiadomość, że nowy komendant „Poleszuk” (ppłk Adam Szydłowski) był cichociemnym, zrzutkiem z Wielkiej Brytanii – trochę poprawiła nastrój nie tylko „Antoniego”.

Epizod 8. Idziemy na Wilno! Mamy je zdobyć, zanim zrobią to Sowieci. Być może „Antoni” wiedział o tym już wcześniej, ale decyzja ta została

przekazana do oddziałów dopiero po wizytacji batalionu przez „Wilka”. Nocne marsze zaczęły być trudniejsze i dłuższe, bo z powiększonymi taboarami. Idąc wprost na północ trzeba było przeciskać się między niemieckimi jednostkami „odpływającymi” na zachód. Łatwiej można było przejść przez Puszcę Rudnicką – ale to wymagało pertraktacji z sowiecką partyzantką. Pamiętam gorączkowe narady, na które jeździł „Antoni” do „Krysi” i do „Sztremera”, dowódcy V batalionu, który utrzymywał kontakty z sowiecką partyzantką w tej puszczy. Potem, konno – z obstawą batalionowego zwiadu – pojechał na spotkanie z jej dowództwem. Spotkanie odbyło się w jednej z puszczańskich leśniczówek. Byłem zaskoczony prostotą „rozgrywki” przeprowadzanej przez „Antoniego”: „Idziemy pomagać waszej armii w zdobywaniu Wilna. Chcemy przejść przez puszcę, żeby w drodze nie tracić czasu

na walki z Niemcami. Czy pozwolicie nam na swobodny przemarsz?” Ku ogólnemu zdumieniu – uzyskał zgodę. Przeszliśmy bez przeszkód.

8 lipca, II batalion wyszedł z Puszczy Rudnickiej na jej północny skraj i byliśmy od celu naszego marszu zaledwie o niecałe 20 km. Okazało się jednak, że atak na Wilno – został przez „Wilka” przyspieszony i już się zakończył poprzedniego dnia. Niestety, nie zakończył się sukcesem. Okazało się też, że jesteśmy ogarnięci przez sowieckie armie prące na zachód (Lida była już wzięta), ale jesteśmy „lokalnie dogadani” z dowództwem I Moskiewskiej Dywizji Gwardii. Zawracamy! Idąc na skrzydle tej dywizji zaczęliśmy posuwać się z powrotem na Puszczę Grodzieńską, gdzie przed trzema tygodniami likwidowaliśmy niemieckie punkty graniczne. Nastrój się poprawił. W batalionie był łącznik dowódcy Dywizji Gwardii. Ruch naszych i sowieckich oddziałów był skoordynowany; czasami szliśmy obok siebie. Mówiło się, że będziemy razem z Dywizją Moskiewską zdobywać Ejszyski.

Pamiętam upalny dzień; marsz wzdłuż doliny z jakimś strumieniem i rozległymi łąkami. Szliśmy na skraju pól pokrytych jeszcze nieżętym zbożem. Nad nami na niskim pułapie przelatywały czasem niemieckie samoloty zwiadowcze, ostrzeliwując z karabinów maszynowych maszerujące kolumny. Te, nie przerywając marszu, „odgryzały” się także z karabinów maszynowych i nawet zwykłych. Idący w pobliżu „starszyna” klął: „*apazdajut dwiżenje, mierzawcy*”^{*)}, ale i on i jego pluton – czy może uszczuplona w walkach kompania – niewiele sobie robili z ostrzału. Nasze maszerujące pododdziały udawały, że ostrzał też nie robi na nich wrażenia, ale dla nas była to nowość i żołnierz chętnie przykuczał na skraju zboża. „Antoni” z uznaniem komentował postawę Sowietów i ich uzbrojenie – porównując z dziadostwem, które pamiętaliśmy z 1939 roku.

Epizod 9. Ejszynek nie zdobywaliśmy, bo dowództwo Dywizji otrzymało rozkaz – podobno z Kremla – aby polskich partyzantów „*przesunąć do drugiej linii*”. Po paru dniach, chyba 12 lipca dogonił nas rozkaz „Wilka” wzywający wszystkie wileńskie i nowogródzkie oddziały AK na koncentrację w rejonie Rudomin-Turgiele-Wołkorabiszki. W komentarzach mówiło się, że „Wilk” dogadał się z Sowietami na wyższym szczeblu. Mamy dostać broń i będziemy się organizować w niezależny polski korpus. „Antoni” znowuż sposepniał. Przypomniwał znany już los Wołyńskiej 27 Dywizji AK rozbrojonej 7 lipca i „przyjacielskie rozmowy” w Dobromilu (str. 142). Wojsko było zmęczone i „skołowane”.

17 lipca osiągamy wskazany rejon. To, co nastąpiło późnym popołudniem tego dnia, nie da się porównać z niczym, co przeżyliśmy w owych latach na ziemiach kresowych. Wiadomość o podstępnym aresztowaniu sztabu „Wilka” – a w Boguszach kilkudziesięciu dowódców wyższego i średniego

^{*)} Opóźniają pochód, szubrawcy.

szczebla wielu brygad wileńskich i niektórych batalionów nowogródzkich – uderzyła z siłą obucha spadającego na odsłoniętą głowę. Choć „pesymiści” uprzedzali, że tak się stanie – ich głosy jakby nie docierały! W odruchu samoobrony, po prostu nie były dopuszczane do świadomości większości partyzanckiego wojska. Teraz nie było już żadnych wątpliwości.

Dowództwo Okręgu Nowogródzkiego i batalionu „Krysi” spóźniło się na zdradziecką odprawę wyznaczoną przez generała Armii Czerwonej Czerniachowskiego, a może świadomie „zaczekało” na wyjaśnienie sytuacji. Alarm zarządzony przez ocalałych dowódców, podniósł wypoczywające zmordowane kompanie. Już nocą, z 17 na 18 lipca karnie i cicho, partyzanckie kolumny zaczęły „odpływać” w kierunku Puszczy Rudnickiej, z której nasz batalion wyszedł dosłownie przed kilkunastu godzinami.

Epizod 10. Kompania „Antoniego” szła w szpicie. Przy naszej kompanii, też w szpicie, był „Krysia”. Objeżdżał konno całą kolumnę i znowuż wracał na jej czoło do naszej kompanii. W pewnym momencie, już po wschodzie słońca, z prawej strony od czoła, zaczął się zbliżać oddział sowieckich „awtomatczikow”. „Bajcy” szli gęsiego wzdłuż ściany lasu otaczającego polanę, przylegającą do drogi, którą maszerowaliśmy. Około 30 ludzi w zielonych pelerynach pokrytych rosą – z automatami gotowymi do strzału.

„Krysia” kazał zatrzymać kolumnę marszową i tak się złożyło, że sowiecki oddział wyszedł wprost na biedki naszych ciężkich karabinów maszynowych. „Krysia” nie zsiadł z konia. Sowiecki dowódca żądał zawrócenia kolumny i marszu do miejscowości Gudelki, gdzie zbierają się „polskie partyzany”, „Krysia” twierdził, że nic o tym nie wie i ma od swego dowódcy rozkaz marszu do Puszczy Rudnickiej. Spór trwał. „Antoni” podał wzdłuż kolumny rozkaz: „*pogotowie bojowe*”, który podniósł żołnierzy zmordowanych całonocnym marszem, kładącym się przy drodze, gdzie popadło – ale teraz czujnych i „stwardniałych”.

W końcu „Krysia”, szarpiąc nerwowo uzdę konia, prawie krzyknął, czerwieniejąc z emocji: „*Если chatitie budiem dratsa*”! Mnie przeleciała przez głowę idiotyczna myśl, że „dratsa” to słowo „tutejsze”, kresowe, a nie rosyjskie i Sowiet pewnie go nie rozumie; pomyślałem też, że tych trzydziestu „awtomatczikow” *wykosiłoby nas zdrowo*, zanim ruszylibyśmy nasze ckm-y. Ale w tym czasie Sowiet chyba jeszcze nie mieli rozkazu atakowania naszych oddziałów. A może zniechęciła ich zdeterminowana postawa „Krysi” i „Antoniego”? Sowiecki dowódca przestał nalegać i oddział oddalił się tą samą lizjerą lasu, którą nadszedł. Ruszyliśmy dalej.

Epizod 11. Maszerowaliśmy powoli cały dzień (18 lipca), obserwowani przez zwiadowcze „Kukuruźniki”. Latały tuż nad lasem, zrzucając czasem na kolumnę ulotki wzywające do zawrócenia i złożenia broni. Przed wieczorem dotarliśmy do wielkiej polany, na której zastaliśmy, biwakujące tam inne

oddziały. Do puszczy chroniły się nie tylko bataliony nowogródzkie, lecz także brygady wileńskie. Operacyjne dowództwo nad oddziałami wycofującymi się z rejonu koncentracji pod Turgielami – podobno sprawował legendarny dziś „Kotwicz”, ale wówczas o tym nie wiedzieliśmy. Rozpoznanie sytuacji było w oddziałach gorsze niż kiedykolwiek. Panowało ogólne przygnębienie; wojsko było skrajnie zdrożone i przeważnie głodne.

Nadeszła noc – najgorsza ze wszystkich. W nastroju tamtej nocy skumulował się cały ostatni okres lipcowych dni, chaotycznych i coraz bardziej posępnych. Podniecenie wywołane odchodzeniem na zachód niemieckich wojsk i złowróżbne zbliżanie się Sowietów; znużenie długimi marszami; wreszcie wiarołomne uwięzienie „Wilka”, jego sztabu i tysiący kolegów, którzy nie zdołali wyrwać się z matni. Wszystko to – tych partyzanckich żołnierzy, rozłożonych przy ogniskach, przy taborowych wozach..., gdzie popadło – przygniotło brzemieniem zdawało się nie do udźwignięcia.

„Antoni” znowu był gdzieś na rozmowach; trwały one chyba długo w godzinach nocnych, w sztabie naszego batalionu „Krysi”, w sztabie Okręgu Nowogródzkiego, który nie dał się ogarnąć i w innych grupach dowódców. „Borsuk” choć nie był już Komendantem Okręgu przyciągał uwagę tych co go znali – w tym również „Antoniego”. Ja – pozostawiony sobie – przylgnąłem do zaprzyjaźnionej drużyny „Sokolicza”, z pytaniem: „co robimy”? Czuliśmy, że to już koniec. Nastroje większości partyzanckiego wojska były jednoznaczne: *„Nie damy się rozbroić, nie damy się wywieźć”*!! To był element kresowy; oni poznali już Sowietów w latach 1939–1941 i wiedzieli czym grozi wpadnięcie w ich ręce. Gdzieś w podświadomości był też Katyń.

Epizod 12. Dramatyczny finał – rozformowanie batalionu – to w mej pamięci jakaś mglista plama. Pamiętam, jak staliśmy w dwuszeregu. Była albo jasna noc, albo przedświt 19 lipca 1944 roku – bo przed frontem batalionu jakbym widział „Krysię”, „Antoniego” i innych dowódców kompanii naszego batalionu. Pamiętam zwroty: *„Nie mamy innego wyboru. Macie wolną rękę! Kto nie jest zagrożony w swym rodzinnym domu, niech wraca! Broń ukryć”*! Ale cała reszta została w mej pamięci całkowicie zatarta. Nie pamiętam nawet momentu pożegnania z „Antonim” i jego najbliższym otoczeniem – a przecież musiało nastąpić. „Film” po prostu się urwał!

* * *

„Antoni” nie dał się rozbroić, ale wkrótce został uwięziony i zesłany. Skierowano Go nie na północ, w rejon Workuty, gdzie znalazła się większość rozbrojonych żołnierzy wileńskich i nowogródzkich oddziałów AK – a do kopalń Kutaisi na Kaukazie.

Z „Antonim” spotkałem się ponownie dopiero w czasie świąt Bożego Narodzenia, chyba w 1948 roku w Półku pod Warszawą. Pracował tam po powrocie z zesłania jako kierownik młyna u pana Witolda Trzeciakowskiego,

wówczas – jeśli dobrze pamiętam – studenta SGPiS, ja natomiast spędzałem święta u brata Tadeusza w sąsiednich Chyliczkach.

„Antoniego” pamiętam z tego okresu jako człowieka, który nie różnił się wyraźniej od znanego mi z wcześniejszych lat uczestnika konspiracji i partyzanta Armii Krajowej. Śladów krwawej dyzenterii, którą przeżył na zesłaniu – prawie nie było widać. Zawsze był *prawie chudy*. Na ówczesną rzeczywistość patrzył trzeźwo. Nie miał złudzeń; uznawał, że powojenna sytuacja utrzymała się na dziesięciolecia. Starał się normalnie żyć, jakoś urządzić, normalnie pracować. Lubił towarzystwo, świąteczne wizyty, spotkania „przy jajeczku”... Pamiętam też jak kiedyś w czasie wakacji zaprosił mnie na wyścigi konne na Służewcu i doradził, na którego konia postawić. Wygrałem – i to sporo! Cieszył się bardzo! Poszliśmy na dobry obiad, było wesoło, ale choć byłem wygrany – studentowi nie pozwolił płacić.

Później widywałem się z „Antonim” coraz rzadziej. W czasie paru spotkań, które miały miejsce między rokiem 1950 i 1965 – raczej przypadkowo w Warszawie, czy przejazdem w Mszanie, gdzie później pracował w jednym z przedsiębiorstw PAX-u – mówiliśmy o naszej sytuacji i nieodmiennie o sytuacji w Kraju. Ale rozmowa zawsze wracała do tematu pracy, do trudności, z którymi musieliśmy się borykać, do dalszych planów i czasem do aktualnie odnoszonych sukcesów. Wynosiłem z tych rozmów przekonanie, że „Antoni” czuł się już znowu gospodarzem. Pewnie nie takim jak przed wojną w swoich rodzinnych Klejwach – ale jednak gospodarzem. Czas wojny oddalił się, a teraźniejszość i przyszłość – jak wówczas – znowu były najważniejsze. Zmarł 27 listopada 1965 roku na zawał serca. Został pochowany na Powązkach, w tej samej alei, przy której jest grób Rydza-Śmigłego (IV brama).

6. W WILNIE, PO ANEKSJI KRESÓW I NA PODLASIU W ANTYKOMUNISTYCZNYM PODZIEMIU

Między nocą z 18 na 19 lipca 1944 roku, kiedy wraz z batalionem „Krysi” została rozformowana kompania „Antoniego”, a czerwcem 1945 roku, kiedy wyszedłem z antykomunistycznego podziemia na Podlasiu – miał minąć niemal cały rok. Był to rok bardzo trudny – nieporównanie gorszy od poprzedniego, który był rokiem partyzantki (od października do lipca).

Sądzę, że nie byłem wyjątkiem – ale w moim odbiorze czas spędzony w partyzanckich oddziałach Armii Krajowej był okresem swoistej „beztroski”. Byłem młody i silny! W partyzantce – mimo wszelkich niewygód, żołnierskiej dyscypliny i (nierzadko) wielkiego znużenia – czułem się swobodny. Ktoś za mnie myślał i decydował. Ja musiałem jedynie sprawnie obracać się w „maszynerii oddziału” i utrzymywać psychikę w ryzach – żeby „nadmiernie” nie martwić się „na zapas”. Oddział niewątpliwie ułatwiał utrzymanie takiego nastawienia i skutecznie „ograniczał horyzont” myślenia o przyszłości.

Rozformowanie oddziału i wyjście z żołnierskiej gromady brutalnie przerwało to poczucie swoistej beztroski. Raptem znalazłem się sam – jakby w zupełnie innej rzeczywistości. Wprawdzie w pierwszym okresie miałem oparcie w przyjacielu, a później w rodzinie i szerszym gronie znajomych, ale skala samodzielności w myśleniu i decydowaniu o przyszłości – wzrosła niepominiernie.

Równocześnie na to „myślenie i decydowanie” ogromny wpływ miało poczucie więzi i solidarności z losem swojej kompanii i szerzej – z losem całej AK-owskiej zbiorowości, która w pewnej części została zdemobilizowana owej pamiętnej nocy na polanie w Rudnickiej Puszczy – ale przecież nadal istniała. Decyzje, które wówczas podjęliśmy z „Sokoliczem” – po wspólnych naradach – oderwały nas od tej zbiorowości. Jednak poczucie więzi pozostało, a zainteresowanie jej losem było ogromne. Przez cały okres jesieni i częściowo zimy 1944 roku, gdy mieszkałem w Wilnie, wiadomości dochodzące z Nowogródzkiego Okręgu AK były oczekiwane z niepokojem i najwyższym zainteresowaniem. Choć były z reguły skąpe i wrywkowe – nakładały się na wileńską codzienność i burzyły ją niezwykle emocjami.

Z tego względu, sięgając do wspomnień z okresu „wileńskiego trwania” w drugiej połowie 1944 roku i do wspomnień z następnego półrocza – postanowiłem wydzielić z nich i ująć odrębnie to wszystko, co tylko „w strzępach”

wiedzieliśmy o operacji „Ostra Brama” (mimo, że brałem w niej udział) i o tym, co po jej załamaniu działo się na anektowanych Kresach. Postanowiłem równocześnie tę warstwę wspomnień uzupełnić i uporządkować na podstawie dostępnych dziś źródeł^{127, 142)}. Najważniejszym z nich była niewątpliwie – fundamentalna monografia Kazimierza Krajewskiego, którą przywoływałem już niejednokrotnie, jako najpoważniejsze, historyczne opracowanie dziejów Armii Krajowej na Nowogródczyźnie²⁹⁾.

Tym sposobem, własne wspomnienia o tym dramatycznym okresie ukształtowały się w obraz nie tylko pełniejszy, ale również bliższy historycznej prawdy. To, co było tylko ogólnym wspomnieniem niektórych faktów i sytuacji – zostało wzbogacone o szerszą panoramę wydarzeń, o daty i liczby ze źródłowych opracowań. Dzięki temu zabiegowi heroizm tamtego czasu, w którym dogorywały walki o polskość Kresów oraz determinacja tamtych żołnierzy i społeczeństwa – stały się lepiej widoczne.

Operacja „Ostra Brama” i sytuacja na Kresach po jej załamaniu

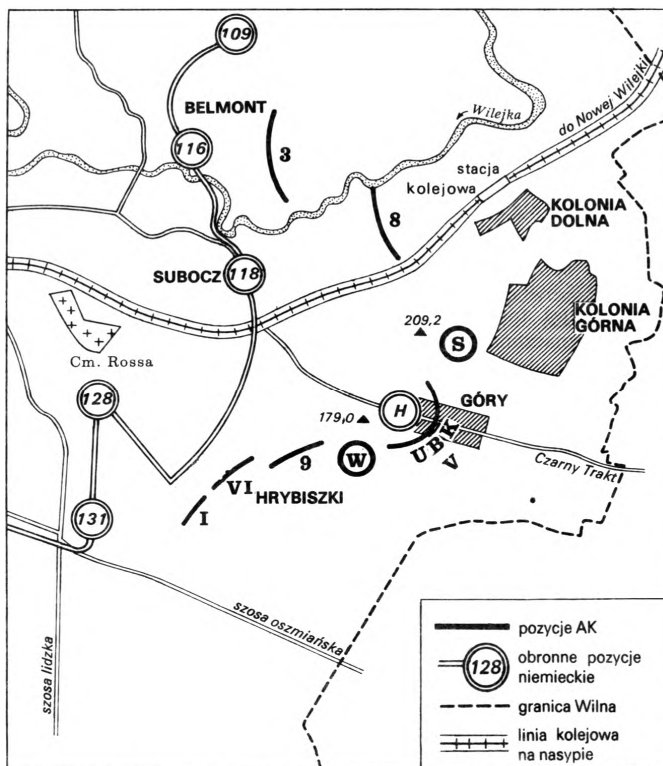
Zderzenie ofiarnego i „marzycielskiego” patriotyzmu twórców koncepcji operacji „Ostra Brama” i także zderzenie realiów, w których ta koncepcja była realizowana, z potęgą i przebiegłością „stalinowskiej satrapii” musiało skończyć się klęską. Twórcy koncepcji – głównie „Kotwicz” i w późniejszym etapie „Wilk” – niewątpliwie wierzyli w możliwość zdobycia Wilna. Wierzyli też, że wystąpienie w Wilnie Armii Krajowej wobec Sowietów – „sojusznika naszych aliantów” – w roli „prawowitego gospodarza terenu”, może wpłynąć na polityczne rozstrzygnięcia, których spodziewali się dopiero po zakończeniu wojny. Jednak realia akcji „Ostra Brama” okazały się znacznie trudniejsze od zakładanych. Przede wszystkim czas na jej przygotowanie – wobec bardzo szybkiego postępu wojsk sowieckich – okazał się zbyt krótki. Zabrakło przynajmniej trzech dni na „podciągnięcie” na pozycje wyjściowe do ataku na miasto – wszystkich oddziałów Okręgów Wileńskiego²⁾ i Nowogródzkiego.

„W efekcie do ataku na miasto, nocą z 06/07.07 1944 przystąpiły jedynie dwa Zgrupowania liczące niespełna 4000 żołnierzy – wspierane przez dwa oddziały konspiracji miejskiej (...) liczące łącznie około 700 ludzi”²⁹⁾. Z Okręgu „Nów” w ataku wzięły udział cztery bataliony 77 pp AK: III UBK, I „Zycha I”, VI „Pala” i V „Kaliny” oraz parę mniejszych jednostek – łącznie około 1800 żołnierzy (47% całych sił). Oddziały AK biorące udział w ataku dysponowały dwoma działkami ppanc., z niewielką ilością amunicji, kilkoma granatnikami i moździerzami oraz bronią maszynową i ręczną. Oddziały niemieckie stanowiące obsadę Wilna „składały się z 28 batalionów liczących łącznie 17500 żołnierzy (...) dysponujących 270 działami, 60 czołgami

i działami pancernymi, 50 opancerzonymi wozami zwiadowczymi oraz 48 moździerzami (...) (i także) kilku kluczami samolotów bojowych. Na przedpolach miasta Niemcy zdążyli wybudować kilkanaście umocnionych węzłów obronnych²⁹⁾.

Dysproporcja sił nie wymaga komentarza. W początkach lipca 1944 roku obydwie Okręgi dysponowały oddziałami liczącymi około 18 tysięcy żołnierzy. Gdyby nawet w ataku prowadzonym głównie z zewnątrz na ufortyfikowane miasto – wzięły udział wszystkie te jednostki – wynik ataku byłby niewątpliwie podobny. Gdy nastał dzień i zaczęło działać niemieckie lotnictwo – nasze skrwawione oddziały po wielogodzinnych uporczywych atakach na niemieckie umocnienia musiały się wycofać. Najcięższe straty spośród oddziałów nowogródzkich poniósł batalion UBK (III/77 pp) – 40 zabitych – a bataliony I i VI miały po kilkunastu poległych. Rannych było oczywiście znacznie więcej niż zabitych. Niemcy opuścili Wilno i oddali je wojskom sowieckim dopiero pod groźbą okrążenia. Tak więc nie ziściło się marzenie „Kotwicza”, który w marszu pod Wilno został w końcu czerwca ciężko ranny i miał amputowaną rękę. Armia Krajowa nie wystąpiła wobec Sowietów w roli zwycięskiego „prawowitego gospodarza terenu” – choć ujawniła się w mieście, była licznie obecna wokół niego i prowadziła walki z Niemcami obok oddziałów Armii Radzieckiej.

Po załamaniu ataku – „Wilk” podjął rozmowy z reprezentantem gen. Iwana Czerniachowskiego – dowódcy Frontu – i próbował tym sposobem ratować sytuację. Ale w tym czasie bieg wypadków był już „reżyserowany” przez Kreml. „Wilk” – oszukany perspektywą utworzenia pod jego dowódz-



Schemat natarcia grupy wschodniej AK w nocy 6/7 lipca 1944 roku. Od lewej: I i VI/77 pp, 9 Brygada „Małego”, W – stanowisko gen. „Wilka”, III/77 pp UBK, V/77 pp, S – punkt obserwacyjny mjra „Sława”, 8. Brygada „Tura”, 3. Brygada Szczerbca²³⁾



Kwaterna 57 żołnierzy – głównie UBK – poległych w ataku na Wilno w operacji „Ostra Brama”. Cmentarz przy kościele na tzw. Kolonii Wileńskiej. Zdjęcie zrobiłem w 2007 roku, po złożeniu kwiatów przez „pielgrzymkę” kombatanów Okręgu Nowogródzkiego AK



Witek Gajewski – fotografia którą mi podarował po powrocie z łagru (warto porównać z foto. na str. 185)

twem polskiego korpusu, niezależnego od armii gen. Berlinga – zarządził ponowną koncentrację jednostek Armii Krajowej pod Wilnem w rejonie Wołkórabiszek. Dnia 17.07.1944 roku w wyznaczonym rejonie zgromadziło się około 13 000 żołnierzy, w tym ponad 5500 z Okręgu „Nów”. Ułatwiło to Sowiecom realizację decyzji Kremla o podstępnym aresztowaniu „Wilka” i jego Sztabu oraz „Poleszuka” i dowódców średniego szczebla wezwanych do miejscowości Bogusze na spotkanie z reprezentacją Armii Ra-

dzieckiej. Dowódcy niektórych batalionów nowogródzkich nie dali się wciągnąć w pułapkę, ale bataliony te – tak jak wileńskie brygady – znalazły się w sytuacji bez wyjścia. Wobec, wydanego przez Komendę Główną AK, zakazu podejmowania walki z Armią Radziecką – aby uniknąć masowego rozbrajania i internowania – pozostawała tylko możliwość wycofania się do Puszczy Rudnickiej i demobilizacji oddziałów. Dowódcy zwalniali swych pod-komendnych z przysięgi i pozostawiali im – po rozformowaniu jednostek – swobodę w wyborze dalszego postępowania. Niestety, ten wybór był tragicznie trudny.

Wielu uważało, że nie mają innego wyjścia jak od razu oddać się w ręce Sowietów i tam, w żołnierskim „tłumie”, szukać legalnego statusu przetrwania. Wielu – pojedynczo lub w większych i mniejszych grupach – decydowało się iść bądź na „swoje tereny”, bądź przedzierać na zachód. Ci byli często okrażani przez NKWD i rozbrajani siłą. W sumie, z obydwóch Okręgów w obozie w Miednikach internowano około 6000 partyzantów. Z tej liczby niewielu zdecydowało się na wstąpienie do armii Berlinga. „Większość została wywieziona do Kaługi, gdzie usiłowano ich wcielić do zapasowych jednostek Armii Radzieckiej. Wobec zdecydowanej postawy żołnierzy AK zamiar ten nie został zrealizowany. Partyzanci zostali wywiezieni do obozów w lasach

zamoskiewskich, gdzie pracowali przy wyrębach. Do Polski wieziono ich w transportach, w latach 1946–1948. Wielu, zwłaszcza spośród kadry, zostało wyselekcjonowanych przez NKWD oraz Kontrwywiad »Śmiersz«, postawionych przed sądami sowieckimi i skazanych na wieloletnie wyroki pozbawienia wolności w łagrach. Ci, którzy przeżyli obozy Norylska, Workuty i Kołymy powracali do Polski w 1956 roku i później²⁹⁾. Do nielicznych, którym udało się uciec z łagru należał dowódca 2. kompanii UBK ppr. Ryszard Reiff („Jacek”), aresztowany w Białymstoku w październiku 1944 roku. Osadzony w Riazaniu zdołał z dwoma przyjaciółmi zbiec z konwoju więźniów prowadzonych na wyręb lasu. Dzięki niebywałemu szczęściu i sprytowi wrócił do Warszawy już w 1947 roku¹⁰⁹⁾.

Tylko jedna jednostka Armii Krajowej Okręgu Nowogródzkiego zdołała uniknąć losu pozostałych. Było to Zgrupowanie Stałpeckie por. cc „Góry” (Adolfa Pilcha), złożone z pierwszego batalionu 78. pp (I/78 ppAK) i 27. pułku ułanów (27. p.uł. AK) – w sile około 800 ludzi. Zgrupowanie to, nie mając rozkazów z Komendy Okręgu – gdy zostało zagrożone zbliżającym się frontem – zabrało część „spalonych” rodzin i wycofało się (zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami) do baranowickiego Inspektoratu Południe. Następnie – nadal nie mogąc nawiązać łączności z Komendą Okręgu – zdecydowało się kontynuować marsz na zachód. W końcu lipca dotarło do Puszczy Kam-



Grupa Nowogródzkich i Wileńskich Akowców w łagrze Charłampiejewo k/Moskwy, na wyrębie lasu. Od lewej: Czesław Moszko, Stanisław Ławrenjtis, Michał Lisicki¹⁴⁰⁾



Zgrupowanie ppr. „Góry – Doliny” w przemarszu z Puszczy Nalibockiej do Kampinoskiej, lipiec (1944 r.)

pinoskiej i wzięło udział w Powstaniu Warszawskim, gdzie w ataku na Dworzec Gdański poległo ponad 200 nalibockich partyzantów. *„Od końca lipca 1944 do 17.01.1945 (tj. do demobilizacji na Kielecczyźnie ostatniego oddziału 27. p.uł.) oddziały por. „Góry” stoczyły 65 większych walk z Niemcami, podczas których straciły 498 zabitych”²⁹⁾.*



Dowódca wileńskiej V Brygady rtm./mjr „Łupaszko”, Zygmunta Szendzielarz

Podobnie uniknęła również losu większości oddziałów biorących udział w operacji „Ostra Brama” – wileńska V brygada, wspomnianego już rtm./mjra „Łupaszki” (Zygmunta Szendzielarza, str. 96). Jeszcze przed rozpoczęciem operacji, otrzymał on od Komendanta „Wilka” pozwolenie na wycofanie się na zachód i z tego pozwolenia skorzystał²³⁾. We wrześniu 1944 roku do mocno już uszczuplonej V Brygady – dołączył w Puszczy Białowieskiej Leon Lech Beynar (Paweł Jasienica). W lipcu 1945 roku został zastępcą „Łupaszki” i pełnił tę funkcję do 8 sierpnia, kiedy został ranny. Po wyleczeniu do oddziału już nie wrócił²⁰⁾. „Łupaszko” walczył dalej i niewątpliwie należał do tych, którzy w powojennej Polsce – najdłużej z bronią w ręku przeciwstawiali się komunistycznemu zniewoleniu. Kara śmierci orzeczona wyrokiem sądu PRL – została na Zygmuncie Szendzielarzu wykonana 8 lutego 1951 roku.

Na szczególną uwagę zasługuje los tych dowódców i ich żołnierzy, którzy nie złożyli broni i unikając internowania – postanowili

trwać w zbrojnych oddziałach z nadzieją, że kontynuacja oporu i zbliżający się koniec wojny przyniosą rozstrzygnięcia korzystne dla Polski. Także z przekonaniem, że polska ludność Kresów powinna mieć jakąś szansę obrony przed sowieckim bezprawiem i terrorem. Jego najgroźniejszym objawem był przymusowy pobór do Armii Czerwonej – mężczyzn do 55 lat, zdolnych do noszenia broni. W czasie łapanek Polaków, którzy masowo uciekali do zawczasu przygotowanych kryjówek, dochodziło do „doraźnych pacyfikacji i egzekucji (...) strzelania do uciekających, znęcania się nad rodzinami ukrywających się, gwałtów i rabunków. Jednocześnie NKWD prowadziło masowe aresztowania żołnierzy AK, ich rodzin oraz osób podejrzanych o (...) nastawienie antysowieckie”²⁹⁾.

Decyzje trwania w zbrojnych oddziałach – które były w istocie oddziałami samoobrony – nie należały do rzadkości. Najczęściej były inspirowane bądź heroiczną wolą dowódców – „trwania na posterunku” – bądź sytuacją skrajnego przymusu, gdy zbrojny oddział stawał się jedynym możliwym

schronieniem przed pościgiem NKWD. Oddziały działały w warunkach olbrzymiego nasycenia terenu sowieckim wojskiem i załogami wojsk wewnętrznych NKWD, które dysponowały dodatkowo „*istriebitielnymi*”^{*)} *batalionami*” – złożonymi z byłych sowieckich partyzantów i miejscowych komunistów. Do likwidacji „*polskich grup zbrojnych*” na Nowogródzczyźnie i Wileńszczyźnie – już w lipcu 1944 roku skierowano 10 pułków Wojsk Wewnętrznych NKWD, a później liczbę tę zwiększono o dalszych 10 pułków strzeleckich i zmechanizowanych. O warunkach, w których trwali – świadczą dane ze źródeł sowieckich: „*w sierpniu 1944 r. zabito 268 i wzięto do niewoli 57 osób należących do oddziałów »bielo polskich« (...) Do walki z nimi zorganizowano sieć agenturalną złożoną z 724 agentów, 141 rezydentów i 3517 konfidentów*”²⁹⁾.

Aby lepiej naświetlić ten skrajnie trudny czas, który w 1944 roku wystąpił na Kresach po ich ponownym zajęciu przez Sowietów, wskażę na niektóre szczegóły rozwoju ówczesnej organizacyjnej sytuacji Armii Krajowej. Przypomnę też los najbardziej znanych dowódców Nowogródzkiej AK, którzy zdecydowali się trwać w zbrojnych oddziałach – „*do końca*”.

Ppłk „Kotwicz” – po rozformowaniu oddziałów – pozostał w Puszczy Rudnickiej z grupą kilkuset żołnierzy i oficerów – głównie z jego sztabu. W końcu lipca – z oddziałem, który został zmniejszony do około 100 ludzi – przesunął się na północny skraj Puszczy Ruskiej (Grodzieńskiej). Na początku sierpnia, „Warta”, który jako szef sztabu Okręgu „Nów”, pełnił również (po aresztowaniu „Poleszuka”) obowiązki komendanta Okręgu – przekazał te obowiązki „Kotwiczowi” wyznaczonemu na tę funkcję przez Komendę Główną AK. Przez parę następnych tygodni były kontynuowane prace nad odtworzeniem struktur organizacyjnych Okręgu, który otrzymał nowy kryptonim – „Grzyb”. Ośrodek Lida („Bór”) został podzielony na dwa Zgrupowania: „Północ”, pod dowództwem „Krysi” i „Południe” dowodzone przez „Ragnera”. Prace organizacyjne prowadzone przez „Kotwicza” zostały przerwane 21.08.1944 roku – atakiem wojsk NKWD na oddział, którym dowodził. W bohaterskiej walce stoczonej pod wsią Surkonty – zginął „Kotwicz” oraz 35 towarzyszących mu oficerów i żołnierzy. Ranni byli dobijani na miejscu. Kpt. „Bustromiak” (Bolesław Wasilewski) zdołał wyprowadzić z pola walki około 20 żołnierzy²⁹⁾. Dopiero w 2007 roku, z Pamiętnika Pawła Jasienicy dowiedziałem się, że był On w tej grupie²⁰⁾.

Na informację o śmierci „Kotwicza” – przekazaną przez „Wartę” do Komendy Głównej AK – Generał „Bór” zareagował następującą depeszą nadaną 29.08.1944 roku (w czasie trwania Powstania Warszawskiego): „*Grzyb – Warta. Oddajemy cześć ppłk. Kotwiczowi i jego poległym towarzyszom. Wyznaczam Was na p.o. Komendanta Okręgu. Przygotujcie możliwość*

^{*)} Określenie wywodzące się z rosyjskiego określenia samolotów myśliwskich.

wycofania najbardziej zagrożonych ludzi do centrum kraju. Walki z Sowietami nie prowadzić, wejść głęboko w podziemie. Znicz”. W końcu listopada – całkowicie zdekonspirowany „Warta” – musiał ewakuować się na teren Białostockiego Okręgu AK, gdzie nadal działał w konspiracji; po aresztowaniu spędził 10,5 roku w więzieniu PRL, w tym 6 lat w izolatce. Funkcję p.o. Komendanta Okręgu przejął Jan Skorb (w tym czasie „Boryna”). Pełnił tę funkcję do kwietnia 1945 roku, koncentrując wysiłek głównie na „rozładowywaniu lasów” i organizowaniu ewakuacji kadry AK za linię Curzona. Po nim tę akcję prowadził jeszcze ppr. Ludwik Nienartowicz („Mazepa”) – do października 1945 roku.

O tym – jak i w jakich warunkach późną jesienią i zimą 1944 roku działały wciąż czynne oddziały i struktury AK – świadczą raporty Berii, składane Stalinowi. W raporcie z 1.12.1944 roku informował, że „w zachodnich obwodach Białorusi działa 80 polskich grup bandyckich Armii Krajowej a w Litewskiej RSS – 84 litewskie i polskie grupy bandyckie. Mają miejsce liczne napady na sowieckich aktywistów, a także antysowiecka agitacja”²⁹⁾. W kolejnym raporcie – donosił: „Do dn. 1.01.1945 na terenie (...) ZSRR, (...) zabito 753 bandytów (partyzantów), aresztowano 2644 bandytów, aresztowano 13288 dezertów z Armii Czerwonej i 22688 osób uchylających się przed poborem do Armii Czerwonej”²⁹⁾.

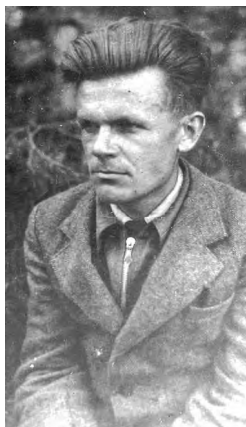
Aktywność „polskich band” do 1.01.1945 roku była według źródeł radzieckich oceniana na „222 akty terrorystyczne, 11 akcji dywersyjnych, 65 napadów na sowieckie urzędy oraz 573 inne akty czynnego bandytyzmu”. W ich wyniku zginęło „26 funkcjonariuszy MGB^{*)}, 68 żołnierzy (w tym 17 oficerów głównie NKWD), 41 pracowników »aktywu« administracyjnego i partyjnego, 76 osób cywilnych (...) agentów i donosicieli”. Niezależnie od tego „...podczas operacji prowadzonych przez NKWD przeciw »bandom« – straciliśmy 106 zabitych, 16 zaginionych i 47 rannych”²⁹⁾. W pierwszym półroczu 1945 straty poniesione przez Sowietów były większe – i według tych samych radzieckich źródeł – wyniosły 554 funkcjonariuszy MGB i NKWD.

Trzeba podkreślić, że cała aktywność oddziałów AK – określana w źródłach radzieckich jako „akty terrorystyczne”, „napady” czy „akty czystego bandytyzmu” – były działaniami samoobrony!! Były to głównie akcje odbijania aresztowanych, rozpędzania oddziałów łapiących rekrutów do Armii Czerwonej, niszczenia w „sielsawietach” dokumentacji służącej aresztowaniom, akcje likwidowania agentów NKWD⁶⁾ itp. Prawdopodobnie jako „akcje dywersyjne” zostały w źródłach radzieckich zakwalifikowane głównie akcje odwetowe za bestialskie pacyfikacje polskich wsi i rozstrzeliwanie cywilnej ludności. Znamienne były zwłaszcza dwie ostrzegawcze akcje odwetowe.

^{*)} Ministerstwo Gąsuderstwieńnoy Biezaspaśności.

Dnia 3.09.1944 roku „Ragner” wystosował do „Komendanta Garnizonu Okupacyjnych Wojsk w mieście Lida, Naczelnika NKWD m. Lida i Przewodniczącego Miejskiego Komitetu Wykonawczego m. Lida” – ultimatum, w którym ostrzegał: „W odpowiedzi na nieprzerwane aresztowania bezbronnej ludności cywilnej i zwierzące zabijanie żołnierzy AK, zawiadamiam Was, że oddziały AK będą odpowiadały siłą. Od 4.IX.44 do 7.IX.44 zatrzymamy ruch na kolei. Jeżeli okupacyjne władze sowieckie nadal będą stosować terror wobec bezbronnej ludności, oddziały AK przystąpią do działań odwetowych i każdy sowiecki aktywista i żołnierz uważany będzie za bandytę”. Podpisany: Komendant Zgrupowania Batalionów Nadniemeńskich „Ragner”³⁰⁾.

Dnia 17.09.1944 roku została zorganizowana, przez Szefa Saperów Okręgu Nowogródzkiego kpt. „Sybiraka” (Józefa Łubikowskiego) akcja odwetowa oznaczona kryptonimem „Rocznica”, jako znak protestu przeciwko okupacji ziem polskich przez Armię Czerwoną. We wrześniu 1944 roku, oddziały Zgrupowania „Południe” „przeprowadziły 12 akcji dywersyjnych, wykolejając 2 pociągi, wysadzając 2 mosty i uszkadzając w 8 miejscach tory kolejowe”²⁹⁾. W Zgrupowaniu „Północ” „na terenie gminy Ejszyski patrole AK, dnia 17 września spaliły 9 mostów, z których jeden (według źródeł radzieckich) był »ogólnopaństwowego znaczenia«”²⁹⁾.



Ppor. „Pion”
(Józef Jagielski)

Jednak w miarę upływu czasu pętla militarnej przewagi i zorganizowanej agentury zacięła się coraz mocniej. Ginęli dowódcy oddziałów i wykruszała się w walkach najlepsza kadra. W Zgrupowaniu „Ragnera” – 3.11.1944 roku – zginął w walce ppor. „Rycze” (Bartosz Piotr). Kilka dni później – w wyniku zdrady – NKWD zaskoczyło w czasie snu i aresztowało kolejnego dowódcę – ppor. „Pazurkiewicza” (Jerzego Bakłażca), który po okrutnym śledztwie został w Lidzie powieszony w publicznej egzekucji. Ppor. „Pion” (Józef Jagielski) – dowódca oddziałów „Ragnera” działających nad Niemnem – otoczony przez NKWD (też w listopadzie) – ostatnią kulę przeznaczył dla siebie. W końcu... 3.12.1944 roku – samego „Ragnera” i jego przyboczny oddział doścignęła grupa operacyjna NKWD, koło chutoru Jeremicze. „Ragner” zginął w walce, a wraz z nim jego młodszy brat „Drzewica” (Leon Zajączkowski), plut. „Ojciec” (Stanisław Tobota, jeden z najstarszych „Ragnerowców”) i 4 szeregowych partyzantów^{30, 140)}.



Ppor. „Pazurkiewicz”
(Jerzy Bakłażec)
– czerwiec 1944 r.



Kpr./plut. „Ojciec” (Stanisław Tobota) przy swoim gospodarstwie – kombatan wojny 1920 r.¹⁴⁰⁾

W Zgrupowaniu „Krysi”, które bardzo aktywnie prowadziło działania samoobrony – w oparciu o puszcę Rudnicką i Ruską – straty ponoszone w końcu 1944 roku były stosunkowo mniejsze niż w zgrupowaniu „Ragnera”. Ale 21.01.1945 roku – „w wyniku »przedsięwzięć agenturalno operacyjnych« raduńskiego NKWD” – w zasadzce zginął „Krysi”. Jego zwłoki „były tryumfalnie obwożone przez grupę operacyjną NKWD po wioskach północnej części powiatu lidzkiego”²⁹⁾. Po śmierci „Krysi” działały jeszcze w jego Zgrupowaniu – oddziały „Lalusia” (Władysława Janczewskiego), „Hajduka” (Józefa Sakowicza), „Komara” (Czesława Stankiewicza), „Myśliwego” (Michała Tietianieca) i kilku innych – ale ich działalność była stopniowo likwidowana przez wciąż wzmacniane siły NKWD. Miejsca pochówku „Ragnera” i „Krysi” dotychczas nie zostały odnalezione.

Rozkaz gen. Okulickiego „Niedźwiadka” z 19.01.1945 roku o rozwiązaniu Armii Krajowej nie wywarł większego wpływu na walkę Kresów o swą polskość. Struktury organizacyjne „byłej” Armii Krajowej – oraz związane z nimi oddziały zbrojne, niszczone i wciąż odtwarzane – trwały w powiatach Szczuczyn i Lida do 13 maja 1949 roku, kiedy w bunkrze pod Raczkowszczyzną – otoczony przez NKWD – zginął ppr. „Olech”¹⁵⁾, ostatni komendant Obwodu 49/67. Ale również w latach następnych 1950–1953 pojawiali się na Nowogródczyźnie „pojedynczy partyzanci, byli żołnierze AK, ścigani przez NKWD”. Po szczegóły muszę z konieczności odesłać do monografii K. Krajewskiego,²⁹⁾ który kończy swą relację następującą uwagą: „Szwarobowicz, Jurgiel, Szydłowski, Mietliccy, Puchalski czy też Hryncewicz nie byli jedynymi ostatnimi kombatanami tej niewypowiedzianej wojny, toczącej się na terenach byłego województwa nowogródzkiego. Ludzi takich jak oni było wielu, pojawiali się w każdym powiecie. Brak jest jednak bliższych danych o ich działalności. Dlatego też nie wiemy, kto i kiedy oddał ostatnie strzały w tej walce”.

Podana przez K. Krajewskiego „lista (niepełna) poległych i zamordowanych żołnierzy Nowogródzkiego Okręgu AK” (z uwzględnieniem osób cywilnych zamordowanych w związku z podejrzeniem o sprzyjanie AK) – obejmująca



Ppor. „Olech” (Anatol Radziwoniuk), dowódca oddziału, który na Nowogródczyźnie walczył z NKWD jeszcze w 1949 roku

okres okupacji niemieckiej i walki z sowietyzacją Kresów – zawiera 1695 nazwisk. Lista ofiar, których nazwiska nie zostały zidentyfikowane – a jedynie miejsce, data i liczba zabitych – obejmuje 2425 osób. Łącznie 4120 ofiar. Wciąż jednak brakuje oceny, choćby przybliżonej, liczby osób, które za udział w działalności AK zginęły w wyniku wywiezienia na roboty do Niemiec i zsyłki do sowieckich łagrów, w wyniku wcielenia do niemieckich formacji paramilitarnych, do Armii Czerwonej itp. Wciąż nie jest też znana całkowita liczba ofiar, którymi Kresy zapłaciły za swą polskość – zwłaszcza ofiar czystek etnicznych w Mińszczyźnie, realizowanych strzałem w tył głowy w Kuropatach w latach 1933–1935 oraz wywózkami z Kresów II Rzeczypospolitej na „*nieludzką ziemię*” w latach 1940–1955.

Idziemy na zachód!

Na „filmie”, który w mojej pamięci urwał się przed świtem 19 lipca 1944 roku – odnalazłem siebie i „Sokolicza”, bardzo wczesnym rankiem, już w drodze na skraj Puszczy Rudnickiej. Szliśmy z zamiarem przedostania się za linię Curzona. Już dawno byliśmy „*dogadani*” co do tego, że gdy przyjdzie ten najgorszy moment – idziemy na zachód! Mimo, że wyobrażenia o tym co będziemy tam robić – nie były sprecyzowane – kierunek nie podlegał wątpliwościom. Nie rozumieliśmy kolegów zgłaszających się do „Wiesława”, który miał odprowadzić do Miednik żołnierzy z batalionu „Krysi”, decydujących się na internowanie. Uważaliśmy, że wybierają wariant najgorszy z możliwych. Dobrze natomiast rozumieliśmy większość, która decydowała się wracać do swego domu albo przynajmniej na „swoją teren”. Tylko, że ani „Sokolicz”, ani ja – nie widzieliśmy dla siebie takiej możliwości. Nie było też owej tragicznej nocy, gdy „Krysia” demobilizował swój batalion – żadnej inicjatywy organizowania oddziału, który by przejście na zachód realizował z bronią w ręku. Takie inicjatywy – jak to relacjonuje Jerzy Kostrowicki w swych wspomnieniach²⁴⁾ – były podejmowane w sztabie „Borsuka” i niektórych batalionach (np. UBK–III/77), ale my wówczas o tym nie wiedzieliśmy. Tak więc realizowaliśmy swój plan tylko we dwójkę.

„Sokolicz” szedł z czeskim rkm-em, ze swojej drużyny. Ja miałem swego „szmaisera” i pistolet „Waltera”. Z puszczy postanowiliśmy wychodzić nie na jej południowo-zachodni skraj – skąd można było lasami przejść do Puszczy Ruskiej i dalej do Augustowskiej – tylko na jej skraj wschodni. Zakładaliśmy, że tam „blokada” puszczy będzie mniej szczelna. Przy tym obaj pamiętaliśmy pod Bieniakoniami leśniczówkę, która wydawała się nam pewną „meliną” i do niej chcieliśmy trafić (nazwy nie pamiętam).

Orientacyjną mapę Puszczy Rudnickiej miałem „w głowie”, od tego czasu, gdy przed paru tygodniami towarzyszyłem „Antoniemu” w pertraktacjach z sowiecką partyzantką w sprawie przemarszu batalionu „Krysi” pod Wilno.

Szliśmy więc „na kierunek” – leśnymi duktami i drogami prawie nieuczęszczanymi. Zawsze miałem dobrą orientację w terenie, ale w tym olbrzymim leśnym kompleksie czułem się niepewnie. O dziwo – przed wieczorem – wyszliśmy niemal idealnie na poszukiwaną leśniczówkę, nigdzie nie natrafiając na Sowietów. Także do tej leśniczówki Sowietci dotychczas nie dotarli – choć gospodarze mówili, że „już kręcą się w okolicy”.

Zostaliśmy przyjęci bardzo przychylnie. Prosiłiśmy o ukrycie broni i jakiś cywilny „przyodzievek”. Uważaliśmy, że nasze szanse przejścia z bronią w rękę – za frontem lub przez front – aż za linię Curzona, na tereny nieanektowane przez Sowietów – są znikome. Szanse przechodzenia „w cywilu” – wśród miejscowej ludności i licznych uciekinierów – ocenialiśmy wówczas jako nieporównanie większe. Gospodarze starali się nam pomóc, zwłaszcza gdy pani Bołtuciowa z Lacka Dolnego (str. 86) – przebywająca w leśniczówce – poznała mnie i przywitała serdecznie jako syna swoich sąsiadów. Nigdy później nie dowiedziałem się skąd i jakim sposobem pani Bołtuciowa znalazła się tam pod Bieniakoniami – a wówczas o takie wyjaśnienia nikt nie prosił. Po wojnie słyszałem, że jej córka – starsza ode mnie o 10 lat – była wywieziona w 1940 roku do Kazachstanu, a po ewakuacji z wojskiem Andersa – wędrowała dalej do Indii jako opiekunka polskich osieroconych dzieci. Słyszałem też, że Tolcik – jej syn a nasz kolega z gimnazjum w Szczuczynie (tzw. *Abisyńczyk*, str. 69) – po wojnie znalazł się we Włoszech i ożenił się z Włoszką, a później mieszkał w Argentynie. To były dość „normalne” wojenne losy – ale skąd wówczas w leśniczówce na skraju puszczy Rudnickiej wzięła się Pani Bołtuciowa i jakie były jej dalsze losy? – jest dla mnie do dziś niewyjaśnioną tajemnicą.

Broń została ukryta w skrytce wydłubanej w kształcie koryta w jednej z grubych belek, na których był ułożony strop *świeronka*^{*)}. Skrytkę otwierało się na strychu po odgarnięciu ocieplającej warstwy trocin. Deski sufitu nad wydłubaną skrytką były odpowiednio przycięte i zastąpione unoszoną klapą, dobrze „zamaskowaną”. To była świetna kryjówka! Ubrania dostaliśmy „mniej świetne” – ale byliśmy już zwykłymi cywilami z dokumentami, niestety jeszcze „gorszymi” niż ubrania. Nadzieja była w tym, że w owym czasie mieszkańcy tzw. Ostlandu mieli najczęściej niemieckie dokumenty tożsamości, w których Sowietci słabo się orientowali. Postanowiliśmy iść do Lidy z zamiarem skorzystania z dawnej konspiracyjnej kwatery Mamy. Dalej – zależnie od sytuacji na froncie – chcieliśmy iść na Grodno, także korzystając ze znanych „punktów zaczepienia”. Byliśmy zdecydowani poruszać się w dzień, korzystając z ruchliwych dróg – i możliwie najbardziej wykorzystywać szanse „krycia się” w tłumie zwyczajnych „tutejszych ludzi”.

^{*)} *Świeronek* był w małych gospodarstwach odpowiednikiem *spichrza* w folwarkach.

Następnego dnia dotarliśmy do Lidy bez przygód. Nasza „teoria” poruszania się „oficjalnie”, żeby nie wzbudzić podejrzeń sprawdziła się. Jednostki frontowe, które spotykaliśmy, na ludność cywilną prawie nie zwracały uwagi, a specjalne jednostki NKWD były prawdopodobnie zaangażowane głównie w innych bardziej „podejrzanych” rejonach. Znajoma kolejarska rodzina witała nas serdecznie. Zatrzymaliśmy się u niej chyba 2 lub 3 dni – zasięgając języka, gdzie jest front i jak się posuwa. Polscy kolejarze, włączeni przez Sowieców do transportowej obsługi frontu, mieli dość precyzyjne informacje: *„front utknął na linii Wałkowysk – Skidel – Ostryna, ale wkrótce powinien ruszyć, bo poszło tam dużo wojska”*. Była to dobra wiadomość. Uważaliśmy, że największe szanse bezpiecznego poruszania się za frontem, albo nawet przeniknięcia przez front, są wówczas, gdy jest on w ruchu. Gdy się zatrzymuje – nadciągają tyłowe jednostki Wewnętrznych Wojsk NKWD, tropiące własnych maruderów i dezertersów oraz oczywiście „rozbitków” Armii Krajowej. Próby nawiązania kontaktu z komórką legalizacyjną Komendy Okręgu „Nów” (żeby uzyskać lepsze dokumenty) – nie dały rezultatu. Organizacyjna łączność była w całkowitej „rozsypce”.

Z Lidy ruszyliśmy „bezczelnie” – szosą na Szczuczyn i Grodno. Korzystając z garderoby pozostawionej przez Mamę, gdy przeprowadzała się do Dowgiała na teren placówki Hermaniszki – trochę poprawiliśmy nasz kamuflaż na „tutejszych” chłopów lub *bieżeńców*. Jednak na tej trasie nie szło nam dobrze. Dwa razy zostaliśmy zatrzymani przez jakieś wojskowe patrole. Hasło *„Wasze dokumenty”* było bardzo groźne – na szczęście, patrole nie były zbyt dociekliwe. Udawaliśmy miejscowych i *wyłgaliśmy się* jakąś wymyśloną historią. Postanowiliśmy jednak zejść z szosy i zwykłymi drogami posuwać się w stronę Wasiliszek. Z czasów służby kwatermistrzowskiej pamiętałem pod Wawiórką „obiecujący” zaścianek i „melinę”, w której można by „przycupnąć”. Znów nie zawiodła mnie pamięć i orientacja w terenie. Okazało się, że „melina” nie była „spalona”, ale rodzina gospodarzy była w ogromnym stresie. Dzień wcześniej wrócił ich syn z rozformowanego oddziału w V batalionie „Sztremera”. Wszyscy czuli się bardzo zagrożeni. Mimo to przyjęli nas serdecznie i nawet rozpatrywali możliwość wysłania syna z nami za linię Curzona. Z nasłuchu radiowego sowieckiej stacji, która dość drobiazgowo relacjonowała postępy ofensywy – dowiedzieliśmy się, że południowy odcinek Frontu Białoruskiego posuwa się szybko i zbliża do Warszawy, natomiast odcinek nam najbliższy – otwierający drogę od południa do niemieckich Prus Wschodnich – jest przez Niemców broniący z ogromną determinacją.

Przez dwa kolejne dni oczekiwaliśmy na ruszenie frontu i rozpatrywaliśmy nasze położenie. Byliśmy w ogromnej rozterce. Kontrola dokumentów, którą przeżyliśmy – choć skończyła się szczęśliwie – bardzo nas przestraszyła. Zaczęła docierać świadomość, że dwaj młodzi ludzie w strefie przyfrontowej

– nawet, gdy idą z grabiami czy widłami, ale praktycznie są bez dokumentów – narażają się na ogromne niebezpieczeństwo posądzenia o dezercję, o szpiegostwo i o inne „niegodziwości” – w pełni uzasadniające aresztowanie w celu przeprowadzenia dalszych „dąprosów” (przesłuchań). Dopóki poruszaliśmy się na znanych terenach sytuacja była łatwiejsza, ale na terenach nieznanach – gdybyśmy zdecydowali się ruszyć na Brześć i tamtędy przechodzić za linię Curzona – przeprawa mogłaby skończyć się łagrem albo czymś gorszym. Zaczęliśmy rozpatrywać wariant cofnięcia się i dotarcia do Wilna, aby tam wyrobić lepsze dokumenty i dopiero z nimi przedostawać się na zachód. „Sokolicz” liczył, że w dotarciu do komórki legalizacyjnej Wileńskiego Okręgu AK może mu pomóc rodzina i dawni koledzy, a ja liczyłem na Tadeusza, którego spodziewałem się zastać w Wilnie. Myśl, którą rozpatrywał syn naszych gospodarzy, aby ewentualnie dołączyć do oddziału, który „*prawie* powstanie na tym terenie” – odrzucaliśmy jako pozbawioną szans i perspektyw – ale decyzji wciąż nie umieliśmy podjąć. Dopiero po trzech dniach, gdy wciąż ustabilizowany front uniemożliwiał przechodzenie na nasze Podlasie przez znane mi tereny, na trasie Seidel – Grodno – Sokółka, a „Sokolicz” coraz bardziej optymistycznie oceniał „możliwości wileńskie” – podjęliśmy decyzję! Wracamy do Lidy i próbujemy pociągiem dotrzeć do Wilna.

Był już chyba 27 lipca, gdy wczesnym rankiem ruszyliśmy do Lidy. Gospodarzy zostawiliśmy przy pracy nad podziemnym schronem dla syna i z dramatycznym pytaniem: „*Czy po tak dużym zaangażowaniu w działalność AK nie należy z całą rodziną uchodzić na inny teren?*”? Niestety nigdy nie dowiedziałem się, jaki los spotkał tych dzielnych ludzi! Tym razem nie szliśmy szosą. Udawanie chłopów, którzy idą lub wracają z robót w polu – było niewątpliwie łatwiejsze na bocznych drogach. Sowietci ani razu nas nie legitymowali. Dotarliśmy do Lidy późnym wieczorem – mocno zmordowani – raczej psychicznie niż fizycznie. Byłem bardziej od Heńka („Sokolicza”) zdeprymowany załamaniem planu. Chociaż wiedziałem, że nie jestem nadmiernie „strachliwy” – nie mogłem pozbyć się dręczącego pytania: „*zwyciężył rozsądek czy strach?*”.

Gdy jednak następnego dnia zaczęliśmy organizować przejazd koleją do Wilna – nie było już czasu i warunków do „rozczulania się” nad sobą. Okazało się, że pomysł dotarcia do Wilna koleją nie był głupi. Transporty na Wilno szły bez przerwy, a na tej trasie nasi kolejarze z kolejarzami sowieckimi – za wódkę – potrafili już załatwić wszystko. Pół litra „od łebka” wystarczyło, aby niemal w przyjaźni z sowieckimi kolejarzami – dotrzeć pociągiem towarowym do Wilna. Porównanie Sowietów, których poznałem w 1939 roku w czasie pamiętnej wędrówki przez Grodno, Różany Stok i wieś Ołtarze – z Sowietami teraz obserwowanymi na kolei – wypadło zdecydowanie na korzyść tych ostatnich.

Moim punktem zaczepienia w Wilnie był dom państwa Radziunów. Miałem nadzieję, że nic złego ich nie spotkało i że kogoś z rodziny zastanę w domu. Heniek miał rodzinę pod Wilnem, koło Podbrodzie – blisko Zułowa. Folwark Wiłkajciów – Burbliszki – znajdował się niedaleko folwarku rodziny Piłsudskich, ale – jak mówił Heniek „*nasze rodziny nie utrzymywały sąsiedzkich stosunków*”, a jego Ojciec krytycznie oceniał gospodarność Piłsudskich w ich folwarku. Od dawna nie miał wiadomości o losach rodziny i chciał to wyjaśnić jak najszybciej. W związku z tym, że nasz transport kolejowy zmierzał dalej na północ, właśnie przez Podbrodzie – uzgodniliśmy sposób ponownego nawiązania kontaktu i z żalem pożegnaliśmy się na wileńskim dworcu towarowym. Te dni spędzone na wspólnych usiłowaniach przejścia za linię Curzona – dni podejmowania samodzielnych decyzji, już poza rozformowaną kompanią – zbliżyły nas bardziej niż cały półroczny okres spędzony u „Antoniego”. Porażka, którą ponieśliśmy była dokuczliwa, ale nie pozbawiła nas determinacji i nadziei.

„Łądowanie” w Wilnie

Do mieszkania państwa Radziunów w Wilnie – dotarłem 29 lipca 1944 roku. Pamiętam tę datę, bo następnego dnia zjawił się w nim również Tadeusz, który uciekł z obozu internowanych AK-owców w Miednikach. Dwa dni później pan Józef Radziun przyniósł wieczorem wiadomość, że w Warszawie wybuchło Powstanie. To była wiadomość z londyńskiego radia – więc uważaliśmy ją za pewną. Była tak poruszająca, że prawie zepchnęła na dalszy plan radość powitań z dawno niewidzianymi – po burzliwym okresie zamiany niemieckiej okupacji Kresów na ich sowiecką aneksję.

A było czym się cieszyć. Zarówno rodzina państwa Radziunów, jak i nasza – przetrwały ten niebezpieczny okres bez strat. Pan Józef nadal pracował w technicznym zarządzie kolei, ale ani Jana ani Hala na razie nie miały pracy. W domu był jeszcze Czesław ich 16-letni brat i mały Hubert syn Hali („pogrobowiec” Stacha Januszewicza) – więc utrzymanie rodziny zaczynało być problemem. Tadeusz – odchodząc w kwietniu do szwadronu „Ślepowrona” – przeniósł Mamę z Dowgiał do wsi (nazwy nie pamiętam) położonej przy tzw. „Czarnym Trakcie” – oddalonej od Wilna o około 25 km, w kierunku Oszmiany. Mieszkała tam względnie bezpiecznie jako pani Żbikowska, która z córką (Zosią) uciekła z Warszawy przed Niemcami. Tadeusz, ze swym szwadronem, w czasie akcji „Ostra Brama” realizował zadania osłonowe sztabu „Borsuka”²⁴). Podczas wycofywania się spod Wołkorabiszek, jako straż tylna – został z częścią swych żołnierzy – zaskoczony przez zmotoryzowany oddział Wojsk Wewnętrznych NKWD. Nie miał szans na wyjście z okrążenia. Został rozbrojony i wraz z żołnierzami osadzony w Miednikach. Pozostawał w obozie – w tym czasie słabo strzeżonym – dopóki prawie wszyscy jego żołnierze nie



Sławek na patrolu – po akcji rozbrojenia białoruskiego policjanta

ciężarówek, którymi następnie z kolegami z plutonu łączności – w niemieckich mundurach – podwiózł w „biały dzień” atakujące plutony „Jacka” pod samą bramę dobrze strzeżonego Stützpunktu. UBK zdobyło wówczas dużo uzbrojenia oraz ciężarówkę i 2 samochody terenowe, z których korzystało dowództwo batalionu. Po tej akcji, „Sławek” został zastępcą dowódcy konnego zwiadu UBK i już jako plutonowy brał udział w ataku na Wilno. Nie było jednak wiadomo, jakie były jego dalsze losy.

Ostatni raz z rodziną państwa Radziunów widziałem się przed ponad pół rokiem, w czasie naszej – z Tadzikiem – pamiętnej wyprawy do Wilna na lokomotywie (dosłownie).

znaleźli się na wolności. Na końcu również on wy dostał się za druty – niemal w przeddzień zaostreżenia rygorów internowania i rozpoczęcia wywózki więźniów do Kaługi. Po wyjściu z obozu poszedł do Mamy i Zosi, a gdy stwierdził, że są bezpieczne – „na skrzydłach miłości” przyleciał do Wilna.

Gdy i ja znalazłem się w Wilnie – z naszej rodziny brakowało jedynie Sławka. Tadeusz wiedział, że w kwietniu 1944 roku w Lidzie w czasie akcji rozbrajania białoruskiego policjanta i związanej z tym strzelaniny, został ranny w palec lewej ręki. Rana nie była groźna. Już 3 maja brał udział w akcji na państwowy bank w Lidzie, w której zdobyto ogromną sumę niemieckich marek^{*)}. W połowie czerwca brał udział w zdobyciu przez drugą kompanię ppor. „Jacka” (III, 77. pp UBK) – Stützpunktu w majątku Dworzyszczce, z 40-osobową obsadą⁹⁷⁾. W tej akcji odznaczył się zdobyciem dla jej potrzeb, dwóch



Sławek z kolegami z plutonu łączności III/77 pp UBK – przy jednej z dwóch ciężarówek szczęśliwie „zarekwirowanych” niemieckiej służbie leśnej, na potrzeby akcji zdobycia strażnicy Dworzyszczce

^{*)} Akcję prowadził „Stefan” (Stefan Teodorowicz), dowódca plutonu łączności, III/77 pp (UBK), a „Sławek” był jego zastępcą¹¹⁸⁾.

W międzyczasie widziałem się z Tadeuszem tylko raz, gdy był jeszcze na placówce w Hermaniszkach, a kompania „Antoniego” kwaterowała gdzieś blisko jego „meliny”. Do relacjonowania i dzielenia się wrażeniami było więc ogromne „pole”. Ale wszystkie „opowieści” o przeszłości – nieuchronnie kończyły się pytaniami o teraźniejszość i o plany na przyszłość. Tu było niestety dużo niejasności i brakowało optymistycznych perspektyw. Szybko okazało się, że ani Radziunowie, ani Tadeusz nie mieli „dostępu” do ludzi z Komendy Wileńskiego Okręgu AK organizujących przerzuty za linię Curzona. Wkrótce okazało się, że również Heniek („Sokolicz”) nie ma takich możliwości. Struktura organizacyjna Okręgu leżała w gruzach – rozbita ujawnieniem wielu jej ogniw w czasie operacji „Ostra Brama” oraz licznymi aresztowaniami po 17 lipca 1944 roku, gdy NKWD i inne sowieckie służby zupełnie otwarcie zaczęły prowadzić akcję wylapywania ludzi polskiego podziemia. Były owszem szanse jakiejś legalizacji pobytu na terenie Wilna, ale szans na wyjazd do centralnej Polski nie było – przynajmniej na razie.

Tymczasem wiadomości, które w pierwszych dniach i tygodniach sierpnia przynosił pan Józef z nasłuchu radiowego wskazywały, że w Warszawie powstanie trwa i ma sukcesy. Znaczna część Warszawy została już wyzwolona, a w Śródmieściu i na Starym Mieście powiewały biało-czerwone flagi. Wprawdzie Armia Czerwona wstrzymała ofensywę i zatrzymała się na przedpolach Pragi, ale w owym czasie nie byliśmy tym zaniepokojeni. Ważne dla nas było to, że stolica Polski jest wyzwolana wysiłkiem Armii Krajowej, a nie samych tylko Sowietów. Tego samego wszyscy chcieliśmy również dla Wilna, więc sukcesy Warszawy pogłębiały gorzkość nieudanej operacji „Ostra Brama”. Gorzkość była tym większa, że przyczynę klęski upatrywaliśmy nie tyle w niefortunnej realizacji, co w wadliwości samej koncepcji.

Zarówno Tadeusz, jak i ja – a także rodzina Rodziunów biorąca udział w dyskusjach – byliśmy zgodni, że istniała inna, całkiem realna możliwość wyzwolenia Wilna przez Armię Krajową. Tę możliwość dawało konspiracyjne wprowadzenie do miasta doborowych oddziałów spośród Wileńskich Brygad i Nowogródzkich Batalionów... i zdobywanie miasta od środka, a nie z zewnątrz – idąc na bunkry bez armat, czołgów i lotnictwa – udając regularną armię! Ten wariant był możliwy, bo miasto było zdecydowanie polskie (w 1939 roku w Wilnie liczącym 130 000 mieszkańców – Litwinów było 1260)!! Wymagał oczywiście przygotowania konspiracyjnych „kanałów” i sposobów umożliwiających wprowadzenie grup uderzeniowych do centrum miasta. Także przygotowanie konspiracyjnych miejsc ich rozlokowania i „przechowania” do godziny ataku – dawało ogromne szanse powodzenia – podczas gdy atak z zewnątrz był z góry skazany na klęskę. Uważaliśmy, że Wilno miało lepsze warunki do powstania niż Warszawa. Oni – nie mając w otoczeniu Warszawy czynnej partyzantki – zaczynali wszystko niemal od „zera”, tak w zakresie uzbrojenia, jak i bojowego doświadczenia. My

natomiast mogliśmy wprowadzić do walki nawet 10 000 dobrze uzbrojonych i „ostrzelanych” żołnierzy – dosłownie „za plecy” Wehrmachtu rozlokowanego w umocnieniach na peryferiach miasta.

Zastanawialiśmy się czy ten wariant operacji „Ostra Brama” był rozpatrywany przez „Kotwicza” i „Wilka” – oraz ich sztaby, które przecież musiały dyskutować wszystkie możliwości? Czy był brany pod uwagę, ale został odrzucony jako wadliwy lub nierealny? A może w ogóle nie „przyszedł do głowy” oficerom wywodzącym się z regularnej armii i prześlakniętym tradycją walki oddziałów frontowych? Do tych myśli i dyskusji wracaliśmy przez cały sierpień i wrzesień, śledząc najpierw wiadomości o sukcesach, a później o klęskach i w końcu o dogorywaniu powstania – podczas gdy Armia Czerwona stała na Pradze – realizując „stalinowski plan” zagłady miasta rękami Niemców^{*)}. Znowu ocenialiśmy hipotetyczną sytuację Wilna jako lepszą niż Warszawy – bo przecież tu Sowietci nie mogliby zatrzymać frontu. Musieliby uznać polskość Wilna – ale czy zmieniło by to jego los? Bieg wypadków pozostawiał coraz mniej wiary w możliwości oraz wolę naszych aliantów i coraz więcej przekonania o przewadze stalinowskiej satrapii nad Zachodem.

Już pierwszy okres pobytu u państwa Radziunów – wskazywał, że trzeba się nastawić na dłuższe trwanie pod władzą Sowietów. Dwa razy chodziłem do Mamy i rozpatrywałem możliwość „zamelinowania” się na wsi. Mama – szczęśliwa, że z partyzantki wróciłem „cały i zdrowy” – w pierwszej chwili z radością przyjęła perspektywę wspólnego mieszkania. Jednak po dyskusji i przemyśleniu sytuacji – zmieniła zdanie. Wieś była zbyt mała. Nie było w niej szans na znalezienie jakiegoś zatrudnienia. Miała przy tym złą opinię u Sowietów, że względu na znane AK-owskie powiązania. Stało się na tym, że powinienem znaleźć pracę w Wilnie i tam – razem z Tadzikiem – szukać możliwości wyjazdu na zachód – i dla siebie i dla niej z Zosią.

Wileńskie trwanie

Dzięki kontaktom pana Józefa, po chyba trzech tygodniach dostałem litewski dokument tożsamości i jako Andrzej Tomaszewicz zacząłem pracować w szpitalu na etacie „pomocniczego sanitariusza”. Jeżeli mnie pamięć nie zawodzi – był to szpital kolejowy na „Wilczej Łapie”. Z pewnością był nad Wilią. Moim głównym zajęciem było wykonywanie prac porządkowych i odbieranie chorych dowożonych do szpitala; przenoszenie ich na noszach do izby przyjęć, a gdy winda nie działała, również do sal na kilku piętrach budynku. Gdy brakowało prądu – co w tym czasie zdarzało się nagminnie – byłem też wzywany na salę operacyjną i ogromną lampą naftową oświetlałem lekarzowi

^{*)} Dziś sędzę, że plan Stalina (realizowany nawoływaniem do powstania) można było udaremnić poddając miasto po paru tygodniach walk – jednak wówczas było to „nie do pomyślenia”!

miejsce operowane. Dobrze pamiętam incydent, który zdarzył się w czasie operacji prowadzonej przez dr. Kiturakisa – wówczas młodego, ale już znanego chirurga (po wojnie był profesorem Akademii Medycznej w Gdańsku). Operował rany postrzałowe brzucha młodej, przystojnej żydówki, którą podobno tak urządził jakiś pijany Sowiec po wspólnej libacji zakończonej awanturą. Była pod narkozą, a dr Kiturakis po rozległym otwarciu jamy brzusznej przeglądał jej jelita. Gdy znalazł otwór, szybko go „cerował” i dalej szukał następnego. Wyglądało to okropnie! Trzymałem lampę w wyciągniętych rękach i po pewnym czasie zaczęło mi być „niedobrze”. Zanim zdążyłem powiedzieć o tym stojącej obok instrumentariuszce... zemdlałem. Na szczęście ktoś złapał lampę i nic złego się nie stało, ale przestałem być zatrudniany do trzymania lampy.

Praca w szpitalu miała dużo dobrych stron. Przede wszystkim – ponieważ leczyli się w nim również sowieccy cywile – NKWD patrzyło na personel z pewną dozą „tolerancji”. Zaświadczenie o pracy w szpitalu – ze znakiem czerwonego krzyża – stanowiło dobrą ochronę przed patrolami wyłapującymi młodych ludzi ukrywających

się przed poborem do Armii Czerwonej. W szpitalu dostawało się obiad. Ponadto, ze szpitalnej „rupieciarni” – trochę oficjalnie i trochę „po znajomości” za flaszkę wódki – mogłem dostać rozkładane łóżeczko z niezłym materacem oraz szpitalną szafkę nocną i jeszcze parę innych „gratów” – co w sumie umożliwiło mi urządzenie własnej „meliny do spania”. W rzeczywistości był to chyba garaż albo jakiś garażopodobny warsztat – teraz nieużywany – na jednym z podwórz niedaleko od Bernardyńskiego Zaułka. W ostatnim roku akademickim przed wojną, Tadeusz przez wiele miesięcy mieszkał na tej małej uliczce, w oficynie jednej z kamienic. Znał teren i znał ludzi i to On „wypatrzył” mi to lokum. Było pozbawione pieca, ale była w nim tzw. „koza”, opalana drewnem lub węglem i były gniazdzka umożliwiające korzystanie z prądu. Zresztą, gdy urządziłem się w tym lokalu był koniec sierpnia i nikt nie myślał o jesiennych czy zimowych chłodach. Chciałem mieć jedynie możliwość robienia sobie śniadań i kolacji oraz mieć wieczorami możliwość



Na tym lub podobnym zaułku na Wileńskiej Starówce miałem swoją „melinę do spania”

czytania. Te wymagania były zaspokojone – byłem więc zachwycony swoją „meliną”. Mogłem wreszcie uwolnić państwa Radziunów od swojej obecności. Choć byli nadzwyczaj gościnni, a mieszkanie było duże – wielopokojowe – był już najwyższy czas, żebym zmniejszył w nim „zagęszczenie” lokatorów.

Szpital miał też jeszcze jedną zaletę. Pracując w nim miało się dostęp do informacji, które wraz z pacjentami i rodzinami przychodzącymi w odwiedziny – spływały z miasta i jego okolic – niekiedy bardzo odległych. Dzięki dobrze funkcjonującej „poczcie pantoflowej”, niezależnie od tego, na jakim oddziale pojawiała się informacja – bardzo szybko znał ją cały „wtajemniczony” personel. W tym czasie w szpitalu nie było już rannych żołnierzy frontowych – zostali zabrani do szpitali wojskowych – ale rannych spośród ludności cywilnej było wielu. Były to przeważnie ofiary sowieckich akcji poboru żołnierzy do Armii Czerwonej oraz działań prowadzonych przeciwko konspiracyjnym strukturom i wciąż czynnym oddziałom Armii Krajowej. Lekarze i personel pielęgniarstwa – solidarnie i z wielkim poświęceniem starali się kryć zagrożonych aresztowaniem i leczyć ich jako rannych w wypadkach drogowych lub robotach rolnych czy leśnych. Nie zawsze było to możliwe, więc zdarzało się, że ranni musieli „uciekać” ze szpitala jeszcze przed całkowitym wyleczeniem – żeby uniknąć spodziewanego aresztowania. Zdarzało się też, że ranni byli „tylnym” wejściem, bez żadnej rejestracji, wnoszeni do szpitala i na salę operacyjną – a po zabiegu, jeszcze nie całkiem wybudzeni z narkozy – tą samą drogą opuszczali szpital.

Na informacje o „sytuacji w terenie”, które docierały do mnie w szpitalu – z niecierpliwością oczekiwali lokatorzy mieszkania państwa Radziunów. Ja natomiast oczekiwałem na wiadomości „ze świata”, które – zawsze świeże – miał pan Józef. Ogromne poruszenie wywołała wiadomość, którą im przekazałem, gdzieś w początkach września – o śmierci „Kotwicz” i masakrze jego oddziału. Wrażenie było spotęgowane zbiegiem dat. Ich śmierć (21 sierpnia) nastąpiła w przeddzień wyzwolenia Paryża (25 sierpnia) i „defilady zwycięstwa”, którą na Polach Elizejskich prowadził generał de Gaulle. Rzym został wyzwolony jeszcze przed inwazją w Normandii, a Bruksela niedawno, 3 września 1944 roku. Tymczasem Powstanie Warszawskie dogorywało! Nie mogło doczekać się skutecznej pomocy, bo Stalin nie tylko wstrzymał ofensywę na przedpolach Warszawy, lecz także nie godził się na lądowanie samolotów alianckich – w tym polskich – na naszym własnym terytorium już oczyszczonym pod Warszawą z wojsk niemieckich.

Gdy konfrontowaliśmy wiadomości napływające z terenów niedawno „wyzwolonych” i teraz pacyfikowanych przez Sowieców – z wiadomościami o rzeczywistym wyzwoleniu niesionym przez aliantów z zachodu – i równocześnie widzieliśmy „małość” tych aliantów w stosunku do Polski, ich „najtwardszego”, sojusznika – wściekłość i beznadziejność chwyciły za gardło! Zgoda uzyskana na parę „maskujących” lądowań alianckich samolotów, gdy

już nie mogły w niczym zmienić losu zdruzgotanej Warszawy – tylko pogłębiała wrogość do Sowietów i rozczarowanie „małością” aliantów.

Mimo tego rodzaju stresujących przeżyć – spotkania u państwa Radziunów wspominam jako bardzo przyjemne. Były jeszcze inne wizyty i spotkania organizowane przez Tadeusza, na których bywałem z Janą u jego licznych i bardzo ciekawych – znajomych i przyjaciół ze studiów i organizacji akademickich. Mimo panującego terroru i „polowania” na polską inteligencję (w ogromnej większości związaną z AK) – życie towarzyskie było w Wilnie podtrzymywane. Spotkań w tym „nurcie” było niestety niewiele, ale one też przynosiły nieocenione chwile wytchnienia od szpitalnych okropności i szpitalnej szarżyzny. Codzienny kontakt z ludzkim bólem i nieszczęściem – ze śmiercią i nagminną bezsilnością lekarzy – był przygnębiający. Obiecywałem sobie, że nigdy nie pójdę na medycynę! Wieczorami, gdy nie miałem nocnych dyżurów – ratowałem się czytaniem książek. Znow – jak w Grodnie, w pierwszej klasie liceum i później w Osieku – miałem okres pasji czytania. Pochłaniałem wszystko, co wpadło mi w rękę, co udało się gdzieś wypożyczyć. I znow mogę stwierdzić, że – tak jak wówczas – bardzo mi to pomagało.

Sławek pojawił się w Wilnie i nawiązał z nami kontakt dopiero na początku października – już po upadku Powstania Warszawskiego, które skapitulowało 2.10.1944 roku. Wcześniej (po rozformowaniu batalionu UBK w Puszczy Rudnickiej), znaczna część „Uderzeniowców” – z ich Komendantem „Sablewskim”, „Szczęsnym”, „Jackiem” i liczną kadrą dowódczą, wywodzącą się z Warszawy lub Podlasia – postanowiła przedostawać się za linię Curzona w zbrojnych grupach. Sławek dołączył do jednej z nich. Kierowała się na Puszcę Nacką i Grodzieńską, z zamiarem przejścia do Puszczy Augustowskiej lub Knyszyńskiej. Kilkakrotnie starli się z oddziałami sowieckimi i w końcu jego grupa została rozproszona. Wówczas Sławek postanowił wrócić do Lidy. Tam – korzystając z dawnych konspiracyjnych kontaktów – aż do października, usiłował „złapać możliwość” przerzutu do Polski centralnej. W końcu doszedł do wniosku, że szanse na ten przerzut są znikome i zdecydował się na marsz do Wilna. Gdy w drodze, pod Werenowem, minął most i młyn wodny na niewielkiej rzece – wyszedł z niego jeden z paru sowieckich żołnierzy (czy milicjantów?), którzy przywieźli tam zboże do przemiału. Zobaczył Sławka, gdy ten był już dość daleko od młyna, ale dogonił go i zażądał rutynowo: „*wasze dokumenty*”. Sławek sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki, ale zamiast dokumentów – których nie miał – wyjął pistolet i strzelił mu w pierś^{*)}. Zabrał leżącemu pepeszę i po udanej ucieczce dotarł do Wilna. Ciężko przeżywał ten strzał oddany z bardzo bliska, choć wiedział, że gdyby dał się aresztować byłby najpewniej zastrzelony jako AK-owiec – bandyta ujęty z bronią. Zawsze unikał powrotu do tego

^{*)} Zmarł i został pochowany w Werenowie na rynku, jako ofiara „białopolskich” band.

wspomnienia. Zamieszkał na Wileńskiej Starówce u „Dobrej Pani” Tak ją nazywaliśmy, bo to była rzeczywiście przemiła starsza pani, która nadzwyczaj ofiarnie pomagała ukrywającym się AK-owcom.

Przybycie Sławka do Wilna zamieniło dotychczasowy rodzinny „trójkąt” w „czworobok”: Mama, Tadeusz, Sławek i ja. Choć mieliśmy różne adresy i zachowywaliśmy wszelkie reguły konspiracji – odwiedzaliśmy się i przekazywaliśmy sobie informacje o całej czwórce – zawsze gotowi do wzajemnej pomocy. W tym czasie zaczęło się w Wilnie mówić o układzie zawartym 22 września 1944 roku między Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego a Rządem Litewskiej Socjalistycznej Republiki Rad – w sprawie ewakuacji Polaków z Wileńszczyzny do Polski Ludowej. Komitet i Polska Ludowa zostały proklamowane – „*Manifestem z 22 lipca 1944 roku*” – na Lubelszczyźnie, zajętej już wówczas przez Sowietów. Ta proklamacja nastąpiła jednak w czasie, który dla nas był czasem walki o utrzymanie się na „powierzchni życia”. Polska Ludowa była więc pojęciem „obcym” – nie budzącym zaufania. Także te pierwsze „nowiny” o możliwości legalnego wyjazdu za linię Curzona – oraz o związanej z tym możliwości wyjechania do Kraju poprzez zaciągnięcie się do Polskiej Armii (już nie do Berlinga) – wydawały się całej naszej czwórce podejrzane i niepewne.

Tymczasem warunki życiowe w rodzinie państwa Radziunów wyraźnie się skomplikowały i pogorszyły. Pan Józef czuł się w swojej pracy coraz bardziej zagrożony aresztowaniem, a Jana i Hala znajdowały jedynie dorywcze zajęcia w stołówkach organizowanych przez urzędy i zakłady pracy. Tadeusz w tym czasie miał względnie stałą pracę w ponemieckich magazynach, z których Sowietci wszystko wywozili – ale tempo opróżniania magazynów wskazywało na rychły koniec tej pracy. Sytuację pogarszała nadchodząca

zima – trzeba więc było myśleć o poprawie żywnościowego zaopatrzenia.

Dwa razy robiliśmy wyprawy do Trok do cioci Tadeusza – młodszej siostry jego Ojca. Wraz z rodziną mieszkała w Czesławce, małym folwarku i dworku położonym ślicznie na niewielkim wzgórzu między trockimi jeziorami. Za każdym



Troki. Gdzieś między tymi jeziorami była Czesławka (przedwojenna pocztówka)

razem byliśmy przyjmowani nadzwyczaj gościnnie i obdarowywani ogromną ilością warzyw i innych wiejskich „wiktuałów”. Z radością wieźliśmy je do Wilna. Z tych wypraw – oprócz przemiłej cioci Tadeusza i pięknej Czesławki – zapamiętałem krasnoarmiejców chodzących nad brzegiem jeziora (koło którego przechodziliśmy) i pływających dzikie kaczki – po to żeby do nich strzelać z pepesz. Zastanawialiśmy się czy wylawiają z wody upolowane kaczki, czy „rozstrzelują” je dla czystej przyjemności.

Gdzieś w połowie października „zorganizowałem” sobie tydzień wolny od pracy w szpitalu i poszedłem Czarnym Traktem do Mamy na „kopanie kartofli”^{*)}. Jeden z bogatszych gospodarzy w sąsiedniej wsi – umiejący zbywać je w Wilnie – miał do wykopania chyba około 10 hektarów tej uprawy. Ekipa, którą zorganizował, składała się z kilku dziewcząt z okolicy, a ja byłem w niej jedynym „chłopem”. Ponieważ Sowieci zabrali gospodarzowi wszystkie konie – kartofle mieliśmy kopać motyką – nawet bez ich wyorywania pługiem. Za przepracowaną dniówkę mieliśmy otrzymać pełne wyżywienie i worek kartofli (około 80–90 kg). W Lacku kartofle były zbierane za pomocą koparki ciągniętej parą koni. Koparka wydobywała je z ziemi i rozrzucała po polu. Wiedziałem, że zbieranie do kosza kartofli za koparką i zsypywanie ich w tzw. kopce – było ciężką pracą – ale o kopaniu motyką nie miałem pojęcia.

A zasada była prosta: każdy członek ekipy dostawał dwie bruzdy i miał nadążać za resztą. Jeżeli zostawał w tyle – musiał dłużej pracować i „swoje bruzdy” wykopać. Tempo było dla tych dziewcząt – „normalne” – ale dla mnie „mordercze”. Dostałem wówczas dobrą lekcję pokory i szacunku dla pracy na roli – tej najprostszej – ubogich chłopów. Ambicja nie pozwalała mi pozostawać w tyle, więc „trzymałem się szeregu”. Jednak wieczorem nie mogłem się ani zgiąć, ani wyprostować bez bólu. Myślałem, że następnego dnia nie wstanę z siana, na którym spaliśmy w stodole – ale się przemożem i ten dzień był już lepszy. Gdy „zarabiałem” już piąty worek kartofli na nadchodzące zimowe miesiące – dla Mamy i Zosi oraz dla rodziny państwa Radziunów – byłem obolały ale nie na tyle, żeby można było to po mnie poznać. Potrafiłem z dziewczętami żartować i nawet pozytywnie reagować na ich zaloty. Tym „wykopkowym” wyczynem zarobiłem na uznanie całej naszej „paczki” i byłem z siebie zadowolony.

Przez kolejne tygodnie wszyscy oswajaliśmy się z myślą, że na „przerzut” organizowany przez poAK-owskie struktury nie ma co liczyć. Wcześniejsze kontakty rokujące jakieś możliwości wyjazdowe, zostały pourywane z najróżniejszych przyczyn – ale z jedną podstawową *praprzyczyną*. Była nią zaciskająca się „pętla” agentury i terroru. Kontakt z Heńkiem „Sokoliczem” w ogóle się urwał. Dopiero w 1991 roku dowiedziałem się, że do centralnej

^{*)} Na północno-wschodnich Kresach mówiło się kartofle – nie ziemniaki.

Polski dotarł transportem repatriacyjnym, zamieszkał w Gdańsku, ale w „odpryskowym” procesie „Łupaszk” był sądzony i w PRL-owskim więzieniu przesiedział 6 lat. Równocześnie, stopniowo konkretyzowała się perspektywa naszego wyjazdu przez Państwowy Urząd Repatriacyjny (PUR), który zaczął funkcjonować przy wileńskim magistracie. Ewentualnie poprzez uruchomiony punkt werbunkowy ochotników do wojska organizowanego w Polsce Ludowej. Zaczęliśmy zbierać informacje o tych możliwościach i całkiem poważnie myśleć o zakończeniu okresu „wileńskiego trwania”.

Za linię Curzona

Na początku listopada „wybuchła bomba”. Pan Józef nie wrócił z pracy. Został aresztowany, podobno pod zarzutem „*wrogich działań przeciwko Litewskiej Republice Rad*”. To był groźny cios, który przyspieszył decyzję. Postanowiliśmy korzystać z oficjalnych „kanałów” i możliwie najszybciej wyjeżdżać do centralnej Polski (mówiliśmy wówczas o „ekspatriacji”). Tadeusz wyznaczył w Białymstoku adres państwa Wolterów jako punkt kontaktowy dla całego naszego „czworoboku”. Tam mieliśmy się kierować i szukać o sobie wiadomości, bo terminy wyjazdów mogły być różne i wciąż nie były znane. Mama z Zosią złożyły podanie i dokumenty potrzebne do wyjazdu repatriacyjnego. Zostały przyjęte i kazano czekać na wyznaczenie terminu oraz numeru transportu. Tadeusz i ja – po spenetrowaniu punktu werbunkowego – nabraliśmy przekonania, że wyjazd poprzez zaciągnięcie się do wojska jest najbezpieczniejszy. Na miejscu w Wilnie „ochotników” nie poddawano żadnemu śledztwu. Podejrzewaliśmy, że może nastąpić już w „jednostce”, po tamtej stronie granicy, ale tego nie braliśmy pod uwagę, bo żaden z nas nie miał zamiaru rzeczywiście pozostać w Ludowym Wojsku. Także Sławek decydował się skorzystać z „kanału wojskowego”, już w najbliższym terminie. Rodzina państwa Radziunów była zdecydowana na tak zwaną „repatriację”, ale postanowiła czekać – z nadzieją na „wyciągnięcie” pana Józefa z więzienia. Janka i Czesław mieli ruszyć w „pierwszym rzucie”.

Gorączkowy okres ostatnich przedwyjazdowych tygodni – po tragedii, która spotkała rodzinę Radziunów – mam mocno zatarty w pamięci. Zupełnie nie pamiętam, jak spędzaliśmy Święta Bożego Narodzenia i Sylwestra – jakby ich w ogóle nie było. Pamiętam natomiast, że jeździłem do leśniczówki pod Bieniakoniami, żeby zabrać przechowywany tam pistolet. Decydowałem się zabrać go ze sobą – czemu Tadeusz był przeciwny. Uparłem się jednak! Leśniczówka – o dziwo – nie była przez Sowietów spacyfikowana. Poszliśmy z gospodarzem na strych *świeronka* – i wyjęliśmy pistolet ze schowka, jakbyśmy go tam wczoraj włożyli. Mój pistolet maszynowy i rkm Heńka – gospodarz pozostawił w schowku. Na moje pytanie, czy się nie boi – odpowiedział:

„*To jest dobra skrytka*”. Nigdy się nie dowiedziałem, co stało się z tym ofiarnym AK-owcem.

Dobrze pamiętam również przeżycie, które miałem już w transporcie kolejowym, w wagonie towarowym przystosowanym do przewozu „ochotników”. Otóż w pewnym momencie, gdy coś wyciągałem z mego podróżnego worka (niby plecaka) raptem wypadł na podłogę mój pistolet. Udając, że nic się nie stało – włożyłem go z powrotem do worka, jednak z niepokojem spojrzałem na sąsiada, który to zauważył. Ale on – również udawał, że nic się nie stało. Pomyślałem, że może on także przewozi jakąś broń ukrytą w swych rzeczach – i niepokój minął. Ponieważ w poszczególnych wagonach nie było wojskowych konwojentów – cała sprawa skończyła się na strachu.

Datę opuszczenia Kresów i znalezienia się w Polsce Ludowej mam całkowicie zatartą w pamięci. Najprawdopodobniej były to pierwsze dni stycznia 1945 roku. Natomiast sam moment przekroczenia ówczesnej granicy – pamiętam bardzo dobrze. Już wówczas granicę określał pas ziemi niczyjej – starannie zaorany i zabronowany. W 2007 roku – a więc po 62 latach – zrobiłem na granicy z Białorusią Łukaszenki zamieszczone obok zdjęcie. Ówczesna granica tak właśnie wyglądała! Staliśmy z Tadeuszem w otwartych drzwiach towarowego wagonu – w tłoku między innymi „ochotnikami” – i czekaliśmy na moment jej przekroczenia. Gdy to nastąpiło – odetchnęliśmy z ulgą. Wiedzieliśmy, że tam – za tym zabronowanym pasem – zostawiamy nasze dzieciństwo, wspaniałe czasy szkolne, rodzinne strony i duży kawał życia. Jednak dominowała radość, że wyrwamy się spod władztwa Sowietów! Także nadzieja i przeświadczenie, że po naszej stronie będzie inaczej.

Po paru godzinach – jakoś koło południa – dojechaliśmy do Białegostoku. Gdy pociąg stanął przed stacją „na semaforze” – byliśmy gotowi, przy otwartych drzwiach wagonu z naszymi podróżnymi workami. Gdy ruszył i powoli toczył się przez zwrotnice między towarowymi pociągami stojącymi na stacji – wyskoczyliśmy równocześnie. Skok okazał się całkiem „łagodny”, więc „pozbieraliśmy się” bez trudu i już „nurkowaliśmy” za stojące obok wagony. Kątem oka widziałem parę sylwetek wyskakujących z innych wagonów – ale nie było żadnych oznak alarmu. Nasz pociąg toczył się dalej, a my idąc w przeciwnym kierunku – wkrótce zeszliśmy z torowisk między podmiejskie opłotki i jakieś zabudowania. Patrzyliśmy na siebie uradowani i zdumieni, że wszystko poszło tak nadspodziewanie łatwo. W pierwszym



Tak wyglądała również w 1945 roku granica z Sowietami – biegnąca wzdłuż linii Curzona

zetknięciu, Polska Ludowa – z Białostockim dworcem, jakby w ogóle niestrzeżonym, w porównaniu choćby z dworcem w Wilnie czy Lidzie – przedstawiła się nam bardzo optymistycznie. Szliśmy na poszukiwanie rodziny Wolterów w wyśmienitych nastrojach. Wiedziałem już, że w tej rodzinie – jest Mama i trzy bardzo miłe siostry. Najstarsza, Wanda była koleżanką Tadeusza z Wileńskiego Uniwersytetu, z wydziału medycyny – po latach znany profesor okulistyki w Warszawie. Niewątpliwie również ta świadomość poprawiła ów niezapomniany nastrój „szczęśliwego lądowania” za linią Curzona.

Do domu państwa Wolterów w centrum Białegostoku dotarliśmy, pytając „tubylców” o drogę, ale bez przygód. Tadeusz był witany jako dawno niewidziany przyjaciel. Wciąż byliśmy podnieceni zmianą, która nastąpiła w naszym życiu. Opowiadaniom i pytaniom nie było końca.

W ciągu kilku (kilkunastu?) następnych dni, które spędziliśmy u państwa Wolterów – rozwiały się nasze pierwsze optymistyczne wyobrażenia o sytuacji panującej po polskiej stronie linii Curzona. Dowiedzieliśmy się, że PKWN powołany w Moskwie w lipcu 1944 roku – niedawno, bo 31 grudnia przekształcony w Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej – wprowadza „sowieckie porządki” na wszystkich terenach zajętych przez Armię Czerwoną. Komendy milicji i służby bezpieczeństwa są obsadzone albo wprost przez NKWD-zistów, którzy często w ogóle nie mówią po polsku, albo przez polskich komunistów ślepo posłusznych sowieckiemu „naczalstwu”. Trwają aresztowania osób podejrzanych o antysowieckie nastawienie – w tym głównie AK-owców – i także liczne mordy zarówno z wyrokami, jak i bez. W urzędach i we władzach partyjnych panoszą się ciągnący ze wschodu i miejscowi komuniści, bardzo często żydzi, którzy zdołali uniknąć hitlerowskiej zagłady. Dekret o przejęciu i parcelacji folwarków i posiadłości miejskich wydany przez PKWN we wrześniu 1944 roku jest wprowadzany w życie. Równocześnie gospodarstwa chłopskie (z wyjątkiem karłowatych) są obciążane obowiązkowymi dostawami zboża na rzecz państwa – co budzi sprzeciw i jest odbierane jako zapowiedź „zapędzania chłopów do kołchozów”.

Wszystkie te informacje głęboko mną wstrząsnęły. W całym okresie, w którym dążyłem do opuszczenia Kresów anektowanych przez Sowieców – żyłem w przekonaniu, że Polska za linią Curzona nie może być i nie będzie Polską sowiecką. Takiej myśli w ogóle nie dopuszczałem do świadomości – a teraz, gdy taka perspektywa zaczęła się rysować – byłem skrajnie „rozczarowany i zbuntowany”. W takim nastroju zastał mnie Sławek, który pojawił się u państwa Wolterów. Jak się okazało do Białegostoku dotarł przed nami, ale „zahaczył” o swoje kontakty z kadrą UBK, która dość licznie przeniknęła na Podlasie, i był już „tymczasowo urządzony”. Okazało się też, że miał dużo szczegółowych informacji o aktualnej sytuacji w terenie.

Wiedział sporo o oddziałach, które z bronią w ręku przeciwstawiają się sowietyzacji Polski, i także o funkcjonowaniu podziemnych struktur Białostockiego Okręgu Armii Krajowej. Ofensywa Armii Żukowa, która 12 stycznia 1945 roku ruszyła z nad Wisły i w szybkim tempie wypierała Niemców z zachodniej Polski – oznaczała, że sowietyzacja wkrótce obejmie cały kraj.

Nie miałem żadnych wątpliwości, że w tej sytuacji nie chcę „siedzieć beczynnienie”. Poprosiłem Sławka, żeby rozejrzał się w swoich „kontaktach” i wybałał, gdzie byłbym potrzebny. Gdy po paru dniach powiedział mi, że obwód AK Bielsk Podlaski chce uruchomić wydawanie podziemnego pisma – konspiracyjnej gazetki – decyzję podjąłem od razu. Gdzieś „w środku” byłem rad, że nie jest to propozycja wstąpienia do oddziału. Nie miałem wewnętrznego przekonania, że walka w oddziałach zbrojnych ma „perspektywiczny sens”. Tadeusz nie odradzał i nie zachęcał: „*rób jak uważasz, ale pamiętaj, że w razie wyspy grozi ci czapa*”^{*)}. Sam – nie wracając do swego prawdziwego nazwiska – a więc jako Roman Żaworonek – miał zamiar zatrudnić się w Białostockiej Izbie Rolniczej. Nawiązał już kontakt z jej dyrektorem, panem Surynem – podobno bardzo miłym, „swoim” człowiekiem. Był zdecydowany czekać na Mamę z Zosią i oczywiście na Jankę z resztą rodziny Radziunów. Ja także na razie nie miałem zamiaru wracać do swego prawdziwego nazwiska i wciąż byłem Andrzejem Tomaszewiczem.

W antykomunistycznym podziemiu

Z tego co działo się później, przez I półrocze 1945 roku najsilniej utkwiły mi w pamięci działania składające się na bezpośrednie prace wydawnicze podziemnego pisma. Podobnie, jak kiedyś Jerzy Kostrowicki („Dymitr”) w Szczuczynku (patrz str. 143) – byłem w jednej osobie: nasłuchem radiowym, redaktorem, maszynistką i „drukarzem” – kolejnych kompletnych numerów gazetki. Wszystko co działo się wokół – czy obok tych obowiązków – zachowało się w pamięci tylko we fragmentach, albo w ogóle uległo zatarciu. Nie pamiętam, na przykład kiedy i jakim transportem dotarłem na „melinę” pod Siemiatyczami, w której przygotowałem pierwszy numer gazetki. Jej tytuł był jakiś „przypadkowy”, ale w następnych edycjach obowiązywał tytuł „O Demokrację” – co zostało ustalone z udziałem Sławka i kogoś z Okręgu czy Obwodu. Nie pamiętam też ani nazw miejscowości, ani nazwisk gospodarzy, do których później – wraz z całym wydawniczym sprzętem – byłem przemieszczany nocą, co najmniej kilka razy.

Na każdej z tych „melin” dostawałem pokój, do którego mieli wstęp tylko gospodarze i raz w tygodniu „kolporter”, który odbierał cały nakład (około 100 egzemplarzy). „Meliny” były zawsze lokowane na tzw. „koloniach”,

^{*)} Kara śmierci.

gdzie sąsiedzi nie mogli sobie wzajemnie zaglądać w okna. Przy tych wszystkich ostrożnościach – nawet z gospodarzami, którzy z reguły byli bardzo uprzejmi i przecież mnie karmili – nie nawiązywały się jakieś bardziej zażyłe kontakty. Prowadzone rozmowy były dla mnie „lokalnym” źródłem informacji o represyjnych akcjach ściągania przez władze kontyngentów... o poborze do wojska i aresztowaniach... o akcjach odwetowych naszych oddziałów na posterunki milicji i siedziby UB... Na ogół jednak gospodarze byli zajęci pracą i swoimi sprawami – na rozmowy nie mieli wiele czasu. Poza tym – niewątpliwie stanowiłem zagrożenie, którego nie mogli się nie bać. Wiedzieli, że pistolet i granaty, które należały do wyposażenia „drukarni” – mogły dać nikłą szansę ucieczki mnie – ale nie im. Tak więc żyłem jak więzień lub średniowieczny „*mnich skryba »przykuty« do swego pulpitu*”.

Najdziwniejsze było to, że ja w tej sytuacji i w tym otoczeniu czułem się dobrze. Przeżywałem pierwszą w życiu pasję pracy nad podjętym zadaniem! Później w życiu miałem również inne tego rodzaju pasje, które podobnie pochłaniały mnie i „*przysłaniały niemal cały świat*”! Jednak wówczas było to pierwsze takie przeżycie. Nasłuch radiowy prowadziłem o różnych godzinach w dzień i w nocy. Na bieżąco sporządzałem notatki. Z nich stopniowo „układałem” cotygodniowego „wstępniaka” oraz dalsze „artykuły” i „aktualności”, które zawsze były uzupełniane „w ostatniej chwili”, tuż przed powieleniem gazetki. Jej treść była wiernym odbiciem treści zasłyszanych – głównie z Londynu. Z polskich radiostacji i prasy PKWN czerpałem jedynie informacje o faktach, „odsiewając” skrupulatnie całą propagandę i ewentualnie prostując przekłamania. Własnej publicystycznej „twórczości” było tam bardzo niewiele.

Najbardziej żmudne było pisanie przygotowanych tekstów na maszynie, na specjalnej powielaczowej matrycy. Najgorsze były początki, kiedy pisałem dosłownie „jednym palcem”. Później szło mi lepiej, ale nawet po kilkumiesięcznym treningu – napisanie tekstu było prawdziwą, wielogodzinną męką. Gazetka miała format A5, ale była pisana na matrycach A4 i na takim papierze powielana. Objętość gazetki wahała się od 4 do 12 stron – najczęściej 8 stron, tzn. dwie dwustronnie drukowane kartki A4, złożone na pół. Powielanie na powielaczu wałkowym było łatwe – pod warunkiem, że matryca nie uległa zniszczeniu i że nie trzeba było jej pisać powtórnie.

W czasie, gdy tkwiłem „na melinach” i cały swój czas angażowałem w przygotowanie gazetki – dookoła w „terenie” – dosłownie „wrzało”. W ślad za ofensywą Armii Czerwonej – z Podlasia wyszły jednostki zaplecza wojsk frontowych. Społeczeństwo zaczęło w jeszcze większej skali uchylać się od wykonywania zarządzeń Rządu Tymczasowego, zwłaszcza od poboru do Ludowego Wojska i obowiązkowych dostaw – co wywoływało represje i aresztowania. Dowódca Okręgu AK Białystok ppłk Władysław Liniarski („Mścislaw”) nie podporządkował się ostatniemu rozkazowi gen. Okulickiego i 15 marca 1945 roku powołał Armię Krajową Obywatelską (AKO), która

występowała w obronie obywateli – przeciw działaniom służb bezpieczeństwa i urzędów. „W drugim kwartale 1945 roku, stan organizacyjny (AKO) (...) wynosił blisko 30 tys. żołnierzy. Część z nich działała w dużych zgrupowaniach, m.in. kpt. Aleksandra Rybnika („Jerzy”), ppr. Kazimierza Kamińskiego („Huzar”), ppr. Władysława Łukasiuka („Młot”), mjr. Zygmunta Szendzielarza („Łupaszko”), wachm. Stanisława Chmielewskiego („Bohun”)”³¹⁾.

Por. Jan Trusiak („Korycki”) – Komendant (Przewodnik) Obwodu Bielsk Podlaski AK – AKO nr 2 – oceniając sytuację polityczną w obwodzie, w maju 1945 r., pisał w swym raporcie dla Okręgu: „Polacy nie wierzą w ogóle, aby PKWN mógł się utrzymać jako rząd; 90% a nawet 95% ludności polskiej pragnie jak najszybszego powrotu Rządu Polskiego z Londynu. Akcje samoobrony, odbijanie aresztowanych, dokonywane przez AKO – ludność wita z entuzjazmem” (...) I dalej: „Na terenie Obwodu jest 17 posterunków Milicji Obywatelskiej (...) Prawie wszystkie zostały rozbrojone dwukrotnie, a nawet i 3-krotnie (...) Władzę porządkową i karną przejęło AK”³⁵⁾. Na szczęście „głęboka konspiracja”, w której tkwiłem – w znacznym stopniu „izolowała” mnie od tego „wrzenia” i umożliwiała względnie spokojną pracę.

Jakości gazetki, którą redagowałem i „produkowałem” – nie umiem dziś ocenić. Podobno w niektórych parafiach, w rejonie Siemiatycz i Bielska Podlaskiego, teksty z gazetki były cytowane z ambony – ale nie wiem czy rzeczywiście tak było i czy może to świadczyć o jej jakości. Niewątpliwie było w niej dużo informacji ze świata – z nieoficjalnych źródeł – a było to przecież ostatnie półrocze toczącej się wojny, gdy działo się bardzo wiele i ostatecznie kształtowały się powojenne losy świata, Europy i Polski. To w tym półroczu armie radzieckie zajęły zgliszcza Warszawy (17.01.1945 r.), w połowie lutego Budapeszt, później Pragę i ostatecznie w końcu kwietnia osaczyły Hitlera w jego berlińskim bunkrze. Amerykanie, gdy otrząsnęli się po zimowych porażkach poniesionych w Ardenach – w zwycięskim pochodzie armii generała Pattona – 23 kwietnia 1945 roku spotkali się z żołnierzami radzieckimi nad Łabą, w saksońskim Turgau. W tym samym czasie Armia Brytyjska – wsparta przez Kanadyjską i Polską – w „rewanżu” za klęskę powietrznego desantu pod Arnhem – wyzwoliła Holandię i Danię. Lotnictwo alianckie burzyło systematycznie wszystkie znaczące miasta Niemiec, a sowieckie łodzie podwodne zatapiały okręty pełne Niemców uciekających z Prus Wschodnich i Pomorza. Wciąż trwała zacięta wojna na Pacyfiku.

Można pytać, czy gazetka, która przekazywała informacje o wydarzeniach kończącej się wojny – w wersji zachodnich aliantów i Polskiego Rządu w Londynie, a nie w wersji sowieckiej – była w stanie, choćby w niewielkim stopniu, przeciwdziałać sowietyzacji kraju? Otóż sądzę, że tak! Wielka Trójka, która w dniach od 4 do 11 lutego 1944 roku obradowała w Jałcie na Krymie – choć podtrzymała ustalenia podjęte w Teheranie – deklarowała jednak wolę jednoczenia w Polsce „wszystkich elementów demokratycznych

i antyfaszystowskich”. Nasi alianci – wprawdzie w Teheranie nie obronili Kresów przed zaborczością Stalina – ale w Jałcie utworzyli jednak „pole” do walki Polaków o demokrację. Na „*poziomie obywatelskim*” Polacy podjęli ją zresztą – nie czekając na przyzwolenie sprzymierzonych. Walkę rozpoczęli od razu po operacji „Burza”, gdy żołnierze Armii Krajowej i praktycznie niemal cała inteligencja zostały poddane masowej, brutalnej „pacyfikacji”, jako „element” wrogi sowietyzacji i zdecydowanie opowiadający się za demokracją. Na „*poziomie rządu i dyplomacji*” natomiast walka o demokrację była prowadzona przez Rząd Londyński. Ta walka stała się głośna w skali międzynarodowej – po powołaniu 28 czerwca 1945 roku Rządu Jedności Narodowej z udziałem Stanisława Mikołajczyka.

Wkrótce okazało się niestety, że był to dopiero początek walki, która miała się toczyć przez kilka dziesięcioleci – na wielu „*poziomach*” i w najróżnorodniejszych obszarach życia całego społeczeństwa poddanego komunistycznemu zniewoleniu. Patrząc z tej perspektywy na gazetkę, którą wówczas przygotowywałem z wielką determinacją – można (tak sądzę) oceniać ją pozytywnie. Była jednym z „*kamyków w lawinie oporu*”, który w polskim społeczeństwie został wywołany perspektywą sowietyzacji. Ta „lawina” sunęła powoli, z okresami spowolnienia i nasilenia, ale w końcu doprowadziła do „*wybuchu Solidarności*” i do zwycięskich, niemal w pełni demokratycznych wyborów w czerwcu 1989 roku.

A co działo się ze mną, gdy tkwiąc w głębokiej konspiracji – czas odmierzałem głównie cotygodniową edycją gazetki? Otóż pod wpływem napierających zdarzeń – „*rozzarowanie i bunt*”, które zdecydowały o wejściu w antysowieckie i antykomunistyczne podziemie – ulegały stopniowej „erozji”.

Tych zdarzeń było wiele, ale wskażę dwa najistotniejsze.

Pierwsze – to rozkaz gen. Leopolda Okulickiego, „*Niedźwiadka*”, z 19 stycznia 1945 roku, którym rozwiązał Armię Krajową. Generał znał Sowietów, bo po wojnie 1939 roku „zaliczył” moskiewską Łubiankę i dopiero z generałem Andersem wyszedł z ZSRR; do Kraju został zrzucony w maju 1944 roku. O jego ostatnim rozkazie wiedziałem, ale treść znałem tylko z radiowych omówień. Świadomość znaczenia tego rozkazu czemuś do mnie nie docierała. Pełny tekst przeczytałem dopiero gdzieś w końcu kwietnia. Wrażenie było nadspodziewanie duże. „*Polska według rosyjskiej recepty nie jest tą Polską, o którą bijemy się szósty rok z Niemcami, dla której popłynęło morze krwi polskiej i przecierpiano ogrom męki i zniszczenia Kraju. Walki z Sowietami nie chcemy prowadzić, ale nigdy nie zgodzimy się na inne życie, jak tylko w całkowicie suwerennym, niepodległym i sprawiedliwie urządzonym społeczeństwie Państwie Polskim (...) Daję Wam ostatni rozkaz. Dalszą swą pracę i działalność prowadźcie w duchu odzyskania pełnej niepodległości Państwa... W tym działaniu każdy z Was musi być dla siebie dowódcą (...) z upoważnienia Pana Prezydenta Rzeczypospolitej zwalnam Was – z przysięgi i rozwiązuję szeregi AK*”.

Te zwroty były przekonujące i nieuchronnie kierowały myślenie w stronę przyszłości. Zostałem zwolniony z przysięgi, którą złożyłem w Szczuczynku przed blisko trzema laty. Ale tkwiłem w strukturze poAK-owskiej i znów jak po rozwiązaniu kompanii „Antoniego” – musiałem decydować o swojej przyszłości. Zarówno treść rozkazu, jak i „*Traktat o przyjaźni, wzajemnej pomocy i współpracy*” zawarty 21 kwietnia 1945 roku między PKWN a rządem ZSSR – wskazywały jednoznacznie, że po zbliżającym się zakończeniu wojny – Polska nie potrafi uniknąć ogromnych wpływów Radzieckiej Rosji i polskich komunistów zarówno „rodzimych”, jak i „importowanych” ze wschodu.

Myślenie pozytywistyczne, którym nasiąknęłam, pochłaniając wspaniałe dzieła naszych klasyków drugiej połowy XIX wieku – zaczęło coraz wyraźniej dochodzić do głosu. Sprzyjała temu narastająca niechęć i pretensja do naszych anglosaskich aliantów. Ich obłudne „niezauważanie” sowieckiej determinacji wprowadzenia w Polsce swoich rządów – co wyraźnie demonstrowali moskiewskim procesem szesnastu uprowadzonych Przywódców Polskiego Państwa Podziemnego – przeżywałam wówczas jako coś niewiarygodnego i obrzydliwego. Stalin swą decyzją podstępnego aresztowania w Pruszkowie 28 marca 1945 roku gen. Okulickiego i jego towarzyszy – „wyłożył karty na stół” (aresztowanie zakończyło się skazującymi wyrokami w „pokazowym procesie”, ogłoszonym w Moskwie 21 czerwca). Ale to naszym aliantom nie wystarczyło! Nic nie potrafiło ich skłonić do bardziej stanowczej obrony naszego prawa do życia w *demokracji*, którą przecież umieścili „na sztandarze” Karty Atlantyckiej. Czułam, że walkę bez szans na bliskie zwycięstwo trzeba zamienić na walkę o choćby częściowe zwycięstwo w dalszej przyszłości – tam gdzie będzie ono możliwe.

Drugie zdarzenie było zupełnie przypadkowe. Jakoś w tym czasie, w którym zaczęło się moje „pozytywistyczne myślenie o przyszłości” – na zajmowanej „melinie” pojawił się Ernest Szulc – człowiek o kilka lat starszy ode mnie – miły i rozsądny. Zapamiętałam to imię i nazwisko ponieważ całkiem nie pasowało do ukrywającego się AK-owca. Nie wiem czy nazwisko było prawdziwe, ale używał je jeszcze w końcu lat 40., gdy jako student Akademii Górniczo-Hutniczej odwiedziłam go w Ziemi Kłodzkiej, gdzie był administratorem dużego PGR-u. Otóż ów Ernest Szulc opowiadał mi o swoim wujku, który był inżynierem górniczym na Śląsku i „*za złożenie jednego podpisu pod opinią lub ekspertyzą brał 500 zł*”. Nie wiedziałam co to były za opinie czy ekspertyzy, ale wiedziałam jaką wartość przed wojną miała kwota 500 zł – i bardzo mi to zaimponowało.

W „reakcji łańcuchowej” przypominały mi się opowiadania słyszane w Łasku, o „bajońskich” zarobkach pana Przedpełskiego, śląskiego przemysłowca, który przed laty obdarował Sławka i mnie parą osiołków (str. 9). Przypominałam sobie też „górnice” emocje, które około 1935 roku zapanowały w na-

szych stronach, gdy podczas kopania studni w Kulbaczynie natrafiono na dużą bryłę soli kamiennej. Wuj Skawiński miał nadzieję, że jest to zapowiedź złoża, na którym mogą powstać kopalnie i przemysł. Przyjazd dr Romana Krajewskiego z Akademii Górniczej (po wojnie znanego profesora geologii), który stwierdził, że jest to tylko pojedyncza bryła przywleczona na nasze Kresy przez lodowiec ze Skandynawii – rozwiął te nadzieje. Pozostało jednak wspomnienie perspektyw, które były wiązane z górnictwem. W efekcie – przypadkowe spotkanie z człowiekiem, który miał na Śląsku wujka górnika i jakieś „ułamkowe” wspomnienia z dzieciństwa – ukierunkowały moje myślenie o przyszłości – na Akademię Górniczą i na górnictwo.

Koniec II wojny światowej w Europie, w nocy z 6/7 i 8/9 maja 1945 roku był niezapomnianym przeżyciem. Niebywała radość i ulga – i zupełnie równoczesna decyzja o wyjściu z „podziemia”. W moim odbiorze te dwa fakty połączyły się jakby w jeden, który zwracał mnie ku „nowej, powojennej przyszłości”. Wojna i cała związana z nią „nienormalność” – nagle stała się „przeszłością”, a „przyszłość” – choć zupełnie mglista – zaczęła przyciągać z nieznaną dawniej siłą!!

Przy najbliższej okazji przekazywania nakładu gazetki – poprosiłem „Bolka – Białego” (kpr. Bolesława Sawic-Korsaka, bliskiego współpracownika por. „Koryckiego”), aby załatwił mi spotkanie z Komendantem. Do spotkania doszło chyba po tygodniu czy dwóch. Moja prośba o zwolnienie ze służby oraz argument, że mam maturę zdaną na tajnych kompletach w Warszawie i chcę podjąć studia górnicze w Krakowie – zostały przyjęte ze zrozumieniem. Wyrażał żal, że odchodzę i dziękował za wykonaną pracę. Równocześnie zaproponował udział w przyspieszonym kursie „Szkoły Podchorążych Rezerwy Piechoty” (S.P.R.P.), który właśnie organizuje w Obwodzie AKO. Zrozumiałem, że kurs będzie polegał głównie na przeprowadzeniu egzaminu dla grupy żołnierzy AKO posiadających odpowiednie kwalifikacje i stanowiących kadrę Obwodu – a propozycja, abym przystąpił do egzaminu (mimo, że deklarowałem chęć odejścia) była wyrazem Jego uznania dla mego przygotowania. Propozycją byłem mile zaskoczony i oczywiście ją przyjąłem. W związku z tym, że nie miał kandydata na moje miejsce – zdecydował, że odchodząc mam „zamelinować” całe wyposażenie i archiwum gazetki, na aktualnie zajmowanej „melinie”.

Egzamin odbył się 11 czerwca 1945 roku. Kazimierz Krajewski – w toku prac nad fundamentalną monografią działalności Białostockiego AK – AKO³¹⁾ – „odkrył” w Centralnym Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Warszawie: „Wykaz imienny absolwentów S.P.R.P., którzy złożyli (wówczas) egzamin”. Prezentuję go w tych wspomnieniach nie po to, żeby pochwalić się „wyróżnieniem” przyznany przez komisję, w której składzie oprócz Komendanta Obwodu było jeszcze paru oficerów. Chcę zwrócić uwagę na charakterystykę kadry wytypowanej przez por. „Koryckiego” do

uzyskania konspiracyjnego stopnia podchorążego: na ich dotychczasowy stopień, datę urodzenia, wykształcenie... datę wstąpienia do AK. To była kadra bardzo zróżnicowana – tak jak całe ówczesne antykomunistyczne podziemie – ale z pewnością nie byli to ludzie przypadkowi.

(nieczytelne). *Wykaz imienny absolwentów S.P.R.P. którzy złożyli egzamin dn. 11.VI.45 r.*

<i>Pseudonim</i>	<i>Stopień wojskowy</i>	<i>Data urodzenia</i>	<i>Wykształcenie ogólne</i>	<i>Funkcja organizacyjna</i>	<i>Data wstąpienia do organizacji</i>	<i>Wynik egzaminu</i>
1) Dzik	kapr. rez. z cenzusem mian. w konspiracji	10.XI.1923 r.	ukończył liceum matematyczne	Redaktor gaz. konspir.	V.1942 r.	Pomyślny z wyróżnieniem
2) Bolek Białły	kapr. rez. mian. w konspiracji	9.I.1923 r.	ukończył gimnazjum zawodowe	Łącznik obwodu	I.1941 r.	Pomyślny
3) Kropidło	kapr. rez. mian. w konspiracji	1923 r.	ukończył gimnazjum ogólnokształ.	D-ca drużyny partyzanckiej	I.1940 r.	Pomyślny
4) Wolodyjowski	sierżant rez. piechoty	27.IX.1896 r.	wyższy kurs nauczycielski i wolną wszech.	D-ca Plutonu	X.1940 r.	Pomyślny
5) Sęp M.	kapr. rez. z cenzusem, mian. w konspiracji	3.XI.1911 r.	matura gimnazjalna	Szef. komp.	V.1941 r.	Pomyślny
6) Tintinatus	kapr. rez. z cenzusem mian. w konspiracji	6.I.1923 r.	liceum humanistyczne	D-ca Ośrodka	VI.1942 r.	Pomyślny
7) Olsza	szeregowy	29.IX.1903 r.	wyższy kurs nauczycielski	Z-ca D-cy Ośrodka	IX.1942 r.	Pomyślny
8) Młot II	plutonowy kawalerii rezerwy	16.II.1906 r.	6 klas gimn. starego typu	D-ca plutonu partyzanckiego	II.1940 r.	Pomyślny
9) Słoń	szeregowy	1.V.1919 r.	liceum handlowe	Z-ca D-cy drużyny partyzanckiej	XI.1941 r.	Pomyślny
10) Żbik	st. strzelec rez.	1919 r.	liceum humanist.	Z-ca D-cy drużyny partyzanckiej	XI.1941 r.	Pomyślny
11) Wik	kaprał. rez. z cenzusem, mian. w konspiracji	5.III.1920 r.	liceum humanist.	Ref. inf. ... ośrodek	VI.1942 r.	Pomyślny
12) Bejca	szeregowy	1.I.1924 r.	gimnazjum, mała matura	Szeregowy	15.I.1942 r.	Pomyślny

Korycki – Pdk 2

Ten dokument został sporządzony przez por. „Koryckiego” w rękopisie. Niestety nie był dość czytelny, aby można go było prezentować w oryginale

W 2008 roku, w „Atlasie polskiego podziemia niepodległościowego, 1944–1956”¹⁴³⁾ – szukałem informacji o losie osób z „Wykazu...” Znalazłem informację, że „Młot II” (Władysław Łukasiuk) walczył do 1947 roku i był wówczas dowódcą VI Brygady Wileńskiej AK (eksterytorialnej) w stopniu porucznika/kapitana (zginął 27.06.1949 r.). „Bolka Białego”, który był później „likwidatorem” Bielskiego Obwodu AKO – spotykałem w Warszawie w latach 90. Ale o pozostałych nie wiem nic! Obawiam się, że wielu z nich nie przeżyło „wojny” prowadzonej w owych latach przeciw sowieckim porządkom – narzucanym Polsce siłą. Jeżeli nie zginęli w polu

– to najprawdopodobniej w NKWD-oskich i UB-eckich urzędach i więzieniach – tak jak dziesiątki tysięcy innych – do dziś niestety niepoliczonych.

Zgodnie z rozkazem por „Koryckiego” – sprzęt do radiowego nasłuchu i wydawania gazetki (wraz z dwoma granatami) – ukryliśmy z gospodarzem mojej ostatniej „meliny”, w jego stodole. W drewnianej skrzyni, pod klepiskiem – przykryty słomą – był względnie bezpieczny. Archiwum gazetki – czyli 28 jej egzemplarzy (taką liczbę zapamiętałem) ukryliśmy w ścianie pustego ula, niewielkiej pasieki prowadzonej przez gospodarza. To był ul starego typu, w którym między ściankami z cienkich drewnianych deseczek była ułożona izolacyjna warstwa słomy. Paczka archiwalnych egzemplarzy gazetki została ukryta właśnie w tej warstwie słomy.

Gdy minęło pół wieku i w latach 90. zacząłem „odkopywać” wspomnienia z tamtych lat antykomunistycznego podziemia – chciałem koniecznie dotrzeć do „archiwalnej” paczki ukrytej w ulu. Bardzo byłem ciekaw jak będę odbierał teksty pisane w tamtych latach! Niestety – „Bolek Biały”, który najpewniej mógł wskazać ostatnią „melinę” gazetki kończącej wówczas swój żywot (miała być we wsi Krynki) – nie mógł ze mną pojechać ze względu na stan zdrowia. Pojechałem sam, ale gospodarstwa nie znalazłem. Nadzieje na znalezienie innych egzemplarzy gazetki – też zawiodły. Byłem w kościele parafialnym w Siemiatyczach, gdzie podobno gazetka była cytowana z ambony, ale „starego” proboszcza już nie było. „Nowy” ksiądz poradził mi sprawdzenie dużych zbiorów dokumentujących historię Armii Krajowej na Kresach – zgromadzonych w Archiwum Diecezji Pińskiej, z siedzibą w Drohiczyźnie n. Bugiem. Także tam nie było choćby jednego egzemplarza gazetki. Gdyby pan Kazimierz Krajewski nie znalazł dokumentów¹⁵⁶⁾ potwierdzających niektóre fakty przeze mnie zapamiętane – mógłbym pomyśleć, że może cały ten okres zaangażowania w redagowanie i wydawanie gazetki był tylko moim długim snem?

Jednak to nie był sen! Do dziś „widzę” jak nie wtajemniczając gospodarza, chowałem w stodole – „dla siebie” – swój „zgrabny” pistolet pamiętający dobre partyzanckie czasy u „Antoniego”. Pistolet wsadziłem w grubą warstwę słomianej strzechy – od wewnątrz – nad prawym filarem wrót. Gdybym dziś znalazł się w tym gospodarstwie – i gdyby ta stodoła jeszcze istniała z tym samym słomianym dachem – potrafiłbym znaleźć ten pistolet w ciągu paru minut!

Pamiętam też jak uprzejmy gospodarz podwoził mnie swą jednokonną furką do szosy prowadzącej do Bielska Podlaskiego. Tam, na przystanku, miałem czekać na autobus lub „łapać okazję”.

* * *

Był piękny czerwcowy dzień. Czuję się dziwnie zdeterminowany – i byłem przy tym w dobrym nastroju. Zupełnie świadomie zostawiałem za

sobą konspiracyjne podziemie i wybierałem *przyszłość* – wprowadzie niepewną, ale dość wyraźnie zarysowaną.

Jednak wówczas nawet „przez myśl mi nie przeszło”, że historia porzucanego podziemia – walczącego z sowieckim zniewoleniem – zostanie zepchnięta w tak głęboką niepamięć..., że będziemy mogli swobodnie do niej wracać dopiero w latach 90. ... a „Atlas...” kreślący szerszą „panoramę” prowadzonych wówczas walk zbrojnych zostanie opublikowany dopiero w 2007 roku – po ponad sześćdziesięciu latach zakłamanej ciszy¹⁴³⁾.

Publikacje i źródła przywołane w I tomie

a) Publikacje autorskie w alfabetycznym układzie nazwiska autora (lub pierwszego współautora), a następnie w układzie chronologicznym

1. Adamiecki K.: O nauce organizacji. Wybór pism dokonany przez Zb. Heidricha. PWE. Warszawa, 1985.
2. Banasikowski E.: Na zew Ziemi Wileńskiej. Wydawnictwo MYŚL, 1987.
3. Bardzyński R.: Album Krysiaków 77 p.p. AK. Wydawnictwo powielaczowe. Materiały zebrał, opracował, zestawiał i przechował – Autor „Pajak”, Warszawa, 1 września 1992 r.
4. Bobowicz M.: Walka pod Dubiczami (23.X.1943). Biuletyn Okręgu Nowogródzkiego AK. Szlakiem Narbutta nr 1.IV.1988.
6. Boradyn Z., Chmielarz A., Piskunowicz H.: Armia Krajowa na Nowogródczyźnie i Wileńszczyźnie (1942–1944) w świetle dokumentów sowieckich. ITE, Warszawa, 1997.
7. Brochocki A.: Dzieje Samoobrony w Szczuczynie Nowogródzkim (Rok 1918–19) Warszawska Oficyna Wydawnicza „GRYF”, Biblioteka T-wa Rozwoju Ziem Wschodnich, Wilno, 1936.
9. Cygan K.W.: Kresy w ogniu. Wojna polsko-sowiecka 1939. Warszawska Oficyna Wydawnicza, Warszawa, 1990.
10. Davies N.: Europa – rozprawa historyka z historią. Wydawnictwo Znak, Kraków 1998. Europa Walczy. 1939–1945. Nie takie proste zwycięstwo. Wydawnictwo Znak, Kraków, 2008.
13. Dzieżyc J. i inni: Nad Niemnem i nad Lebiodą; wspomnienia nauczycieli i uczniów – żołnierzy AK Obwodu Szczuczyn Nowogródzki, kryptonim „Łąka”. Oficyna Wydawnicza Politechniki Warszawskiej. Wrocław – Warszawa, 1994.
14. Dzieżyc J.: Obwód (ośrodek) AK Szczuczyn Nowogródzki w okresie wojny. W pozycji 13.
15. Dzieżyc J.: Partyzantka antysowiecka w Obwodzie Szczuczyn i całej „Zachodniej Białorusi” po lipcu 1944 r. Część I i II. Szlakiem Narbutta. Biuletyn Nowogródzkiego Okręgu AK, 1997 nr 11/3 i 12/4.
16. Erdman J.: Droga do Ostrej Bramy. PAN, Warszawa, 1984.
17. Garlicki A.: 1815–2004. Historia. Polska i Świat. Wydawnictwo Naukowe SCHOLAR, Warszawa, 2005.
20. Jasienica P.: Pamiętnik. Pruszyński i S-ka, Warszawa, 2007.
21. Juchniewicz M.: Wprowadzenie. W pozycji 133.
23. Korab-Żebryk R.: Operacja Wileńska AK. PWN, Warszawa, 1985.

24. Kostrowicki J.: Dziennik VII Batalionu 77 pp. AK z operacji Wileńskiej. Lipiec 1944 roku. Instytut Literacki. Zeszyty Historyczne. Zeszyt 89. Paryż, 1989.
25. Kostrowicki J.: Działalność BIP Obwodu „Łąka”, Okręgu „NÓW”. W pozycji 13.
26. Koszyła Z.: Oddział wydzielony wojska polskiego Majora „Hubala”. Wydawnictwo MON, WIN, Warszawa, 1987.
27. Koźliński Z.: Czas Wernyhory. Oficyna Wydawnicza „Vacatio”, Warszawa, 1997.
28. Krajewski K.: Uderzeniowe Bataliony Kadrowe 1942–1944. Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa, 1993.
29. Krajewski K.: Na Ziemi Nowogródzkiej. „NÓW” – Nowogródzki Okręg Armii Krajowej. Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa, 1997.
30. Krajewski K.: Dokumenty pochodzące ze źródeł sowieckich dotyczące ostatniego etapu działalności i śmierci ppr. Czesława Zajączkowskiego „Ragnera”: Szlakiem Narbutta. Biuletyn Okręgu Nowogródzkiego AK 1997 nr 10/2.
31. Krajewski K., Łobuszewski T.: Białostocki Okręg AK-AKO. Oficyna Wydawnicza VOLUMEN, Dom Wydawniczy BELLONA, Warszawa, 1997.
32. Królikowski B.: Generał Mikołaj Bałtuć. Wizerunek żołnierza. APOSTOLICUM, Warszawa, 1998.
35. Kułak J.: Dokumenty do Dziejów PRL. Białostoczczyzna 1944–1945 w dokumentach podziemia i oficjalnych władz. Dokument nr 45, Meldunek sytuacyjny Komendy Obwodu AKO Bielsk Podlaski z 31 maja 1945 r. Zeszyt 10. Warszawa, 1998.
95. Lisowski A.: Podstawowe błędy w rynkowej transformacji polskiego górnictwa węgla kamiennego i szanse pomyślnego zakończenia tego procesu. Przegląd Górniczy 2007 nr 2.
97. Lisowski B.: Akcja na Dworzyszczu. Szlakiem Narbutta. Biuletyn Środowiska Żołnierzy AK Okręgu Nowogródzkiego, kwiecień 1989 nr 2.
98. Lipińska G.: Jeśli zapomnę o nich. Editions Spotkania. Warszawa, 1990.
99. Łojek J. (Leopold Jerzewski): Agresja 17 września 1939. Studium aspektów politycznych. Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa, 1990.
100. Łopalewski T.: Między Niemnem i Dźwiną. Ziemia wileńska i nowogródzka. Seria wydawnicza „CUDA POLSKI”. Wydawnictwo Polskie «R. Wegner», Poznań. Wznowienie PWN, Warszawa – Kraków, 1990.
102. Miłaszewska W.: Święty Wiąz. Księgarnia św. Wojciecha. Poznań, 1931.
104. Pujdak M.: O bohaterskich kapłanach z Lidy. Słowo Powszechne, 3 lutego 1975 nr 28.
105. Pujdak M.: Zdobycie Radunia. Szlakiem Narbutta. Biuletyn Okręgu Nowogródzkiego AK 1997 nr 7.

106. Pasierbska-Wójtowicz H.: Ponary. Wileński Przekaz (pismo Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej) 1996 nr 36. Także: Wileńskie Łukiszki, Gdańsk 2001.
107. Paszul S.: Burza nad Wilnem. Zeszyty Historyczne nr 36, Paryż, 1976.
108. Prawdzic-Szlaski J.: Nowogródczyzna w walce 1940–1945. Londyn, 1976.
109. Reiff R.: Archiwum osobiste. Wydawnictwo Komandor, Warszawa, 2007.
110. Sapięha E.: Tak było. Niedemokratyczne wspomnienia Eustachego Sapięhy. Wydawnictwo SAFARI POLAND 1999.
111. Sędziak S.: Nowogródzka konspiracja. W pozycji 133.
112. Siemaszko S.S.: Rozmowy z kapitanem Szabunią. Zeszyty Historyczne Paryż 1973 nr 25.
116. Ślaski J.: Polska Walcząca, tom I – Bitwa. Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa, 1985.
117. Sztrom B.: Echa pękniętej struny. W pozycji 133.
118. Teodorowicz S.: Akcja na państwowy bank w Lidzie (3 maja 1944 r.). Szlakiem Narbutta. Biuletyn Okręgu Nowogródzkiego AK, I–III.2003 nr 25.
119. Tomaszewski L.: Kronika Wileńska 1939–1941. Wydawnictwo POMOST, Warszawa, 1990.
120. Tucholski J.: Cichociemni. Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa, 1985.
121. Tworzyński B.: Tak jak pamiętam. AK Ziemia Konecka i Nowogródzka 1939–1945. Wydawca: B. Tworzyński, Warszawa, 1995.
122. Węglińska K.: Białoruskie ścieżki. Gawędy kresowe. Książka i Wiedza, Warszawa, 2006.

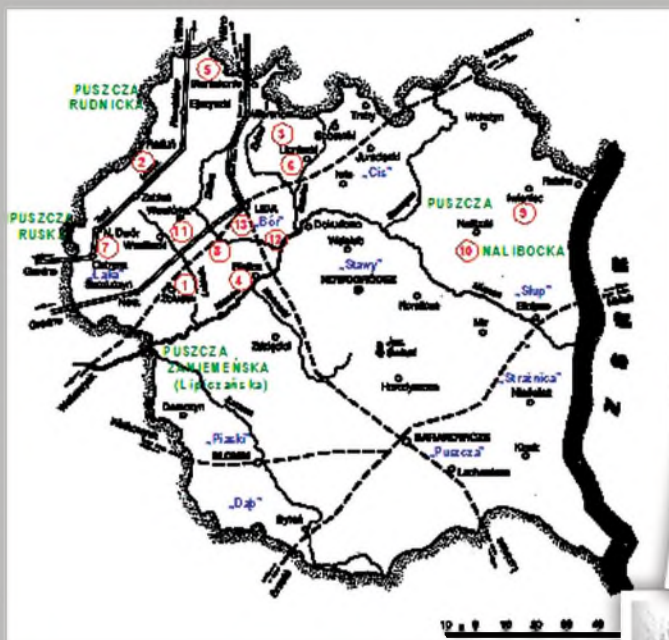
b) Publikacje – prace zbiorowe – w układzie chronologicznym

127. Studium Polski Podziemnej. AK w dokumentach 1930–1945, tom III i IV. Londyn, 1977.
133. Ze wspomnień żołnierzy AK Okręgu Nowogródek. Praca zbiorowa pod redakcją E. Wawrzyniaka: Instytut Wydawniczy Związków Zawodowych, Warszawa, 1985.
139. Najnowsza historia świata 1945–1995. Tom I, II i III. Praca zbiorowa pod redakcją A. Patka, J. Rydla, J.J. Węca. Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1997.
140. IV Batalion 77 pułku piechoty AK Okręgu „Nów”, 1943–1945. Praca zbiorowa. Zebrał i opracował Roman Gwiżdż – Wincenty („Wilk”). Klub Środowiskowy żołnierzy IV/77 ppAK, wydanie pierwsze 1998.
142. Operacja „Burza” i Powstanie Warszawskie. SZŻAK, Oficyna Wydawnicza RYTM, Warszawa, 2004.
143. Atlas polskiego podziemia niepodległościowego, 1944–1956. Instytut Pamięci Narodowej. Warszawa – Lublin, 2007.

c) Materiały niepublikowane i dokumenty, w układzie chronologicznym

144. List do pana Henryka Sikorskiego, wysłany przez Mamę z Włocławka 20.11.1945 r. Po śmierci adresata, jego rodzina przekazała list autorce jako pamiątkę (rękopis w zbiorach autora).
146. Tomaszewski T.: Relacja o wypadkach z wojny z bolszewikami w 1920 r. – spisana 15 maja 1968 r. dedykowana „Szanownej Pani Zofii Doszynie w dzień Jej imienin”. Dziesięć stron maszynopisu (w zbiorach autora).
149. Pismo Doradcy Ministra Sprawiedliwości nr PR I Oz 183/91 skierowane do „Pana Bolesława Skawińskiego”, w którym została Mu przekazana informacja uzyskana z Centralnego Archiwum KGB o śmierci jego Braci, Józefa i Jana Skawińskich (sprawa archiwalna nr 21139).
156. Odpis sporządzony przez Kazimierza Krajeńskiego z oryginału rozkazu nr 16 Komendy Okręgu Nowogródzkiego, w myśl którego funkcję kwatermistrza Obwodu Łąka pełnią przez „Wilczka” ma przejąć „Zyga”^{*} – oraz Wyjaśnienia do dokumentu: Wykaz imienny absolwentów S[zkoły] P[podchorążych] R[rezerwy] P[iechoty], którzy złożyli egzamin dn. 14 czerwca 1945 r. Dokument ten został przez niego odszukany w Centralnym Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Warszawie. Odpis został sporządzony w marcu 1997 r. i przekazany do Zarządu Głównego Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej dn. 19.III.1997 r. Kopia w zbiorach autora.
159. Wnioski do odznaczeń z lat 1921–1938 rotmistrza Bolesława Lisowskiego (1884–1942). Kserokopie dokumentów otrzymanych przez autora w 2005 roku z Centralnego Archiwum Wojskowego w Warszawie (pismo nr 390/k).

^{*} Pełna treść rozkazu nr 16, z decyzją o przekazaniu: „(...) Ob. Wilczka kwatermistrza Ośrodka „Łąka” do Batalionu Zaniemeńskiego została opublikowana w pracy K. Krajewskiego: Nowogródzki Okręg AK w dokumentach. Oficyna Rytm, Warszawa 2010 r.



9 788396 667311

ISBN 978-83-966673-1-1